

# Juliusz Jerzy Herlinger

## Historie niewiarygodne

Wydanie polskie 1977

### Spis rozdziałów:

Jedna na milion.....	2
Zadanie specjalne.....	2
Nr 659.....	7
Podniebne curiosa.....	9
Życie po raz drugi.....	10
Tchnienie śmierci.....	12
Postrach mórz.....	12
Przylądek Burz i Adamastor.....	14
Statki widma.....	15
Morze pułapka.....	18
Koniec legendy o „Latających Holendrach”.....	18
Czerwona Księga.....	21
Zbrodnia czy wielka niewiadoma?.....	24
Głos morza.....	25
„Mary Celeste”.....	26
Kamienne ucho.....	27
Deszcz meteorytów.....	30
„Diabelski Trójkąt”.....	32
Za siódmą górą.....	36
Mój przyjaciel krokodyl.....	36
Władca dusz.....	40
Ludzie-zwierzęta.....	41
Po drugiej stronie życia.....	43
Ogniste ścieżki.....	47
Gdzieś tam, niedaleko.....	50
W poszukiwaniu drugiego klucza.....	54
Dobranoc, kochanie.....	54
Co się komu śni.....	57
Żonglerzy liczb.....	60
Czarodziejska różdżka.....	64
To zdarzyło się jutro.....	66
Tajemnice spod znaku „psi”.....	70
Magiczna piątka.....	72
Elektronika wewnątrz nas.....	74
Niezwykłe fotografie.....	77
Psychokineza dla wszystkich.....	79
Oczy na dłoni.....	80
Pachnący meteoryt.....	84
Z czterech krańców świata.....	88
Milcząca tajemnica.....	88
Magia liczb.....	91
Odwiedziny z Kosmosu.....	93
Wyspa pułapka.....	95
Jack z Pelorus Sound i jego kuzyni.....	98
„Ludzie morza”.....	99
Paradoks Graya.....	101
„Inteligent morza”.....	102
Morski morderca.....	104
„Nie lubię poniedziałku”.....	105
Kartka z Biblii.....	107

Drogi Czytelniku!

Książka, którą bierzesz w tej chwili do ręki, jest dość dziwna. Przede wszystkim powinna mieć zupełnie inny tytuł: „Historie, które napisało życie”. Tak się bowiem składa, że wypadki, o których tutaj opowiadam, wydarzyły się naprawdę, choć na pozór wydają się nieprawdopodobne i nierealne i mogą uchodzić za wytwór wybujałej fantazji autora.

Tak jednak nie jest. Ta książka to nie zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych ani też popularny dreszczowiec, lecz literatura faktu, choć mam nadzieję, że zadowoli najbardziej nawet zagorzałych zwolenników science fiction czy też opowieści z dreszczem.

Rzecz bowiem w tym, że życie jest często bardziej „pomysłowe” od rutynowanych fantastów, których wymyślne historyjki błędną niekiedy w zestawieniu z faktami, jakie rzeczywiście miały miejsce, choć - jak już wspominałem - wydają się całkowicie nieprawdopodobne.

Niektóre zadziwiające zagadki, o których mowa w tej książce, zostały już rozwikłane, niektóre jednak wciąż jeszcze czekają na ostateczne wyjaśnienie, budząc zaciekle spory specjalistów. W każdym takim wypadku starałem się obiektywnie przedstawić najbardziej nawet przeciwstawne teorie, i to niezależnie od tego, która z nich bardziej mi przypada do gustu. Wydaje mi się, że sam Czytelnik zdoła sobie wyrobić własny pogląd w każdym konkretnym przypadku.

Dotyczy to zwłaszcza tych partii książki, w których jest mowa o tzw. zjawiskach parapsychicznych: odgadywaniu myśli na odległość, prze-widywaniu przyszłości, poruszaniu przedmiotów samym tylko wysiłkiem woli. Sprawy te nabrały w ostatnich czasach ogromnego rozgłosu, zajmowano się nimi na całym świecie, badano w doskonale wyposażonych laboratoriach przy zastosowaniu najnowocześniejszej aparatury, przy czym interesowali się nimi nie tylko żądni sensacji amatorzy, lecz również wybitni uczeni z różnych dziedzin nauki. Niestety - ostatecznej odpowiedzi na te pytania nie mamy po dziś dzień. Nie jesteśmy również w stanie wyjaśnić wielu innych zadziwiających faktów, o których mowa w tej książce. Być może uda się to w bliższej lub dalszej przyszłości, być może jednak, że niektóre z nich na zawsze już pozostaną zagadkami.

No cóż - rację miał chyba wybitny pisarz angielski, Thomas Hardy, kiedy stwierdził, że zdarzają się wypadki zbyt nieprawdopodobne, aby w nie można było wierzyć, nie ma jednak wypadków aż tak nieprawdo-podobnych, aby nie mogły się wydarzyć.

## **Jedna na milion.**

### ***Zadanie specjalne.***

- Sprawa jest trudna... - pułkownik odwrócił się od okna. - Czy widzieliście, majorze, te trzy transportowce, które dzisiaj weszły do portu? Niemieckie bombowce polowały na nie na Morzu Barentsa. Gdyby nie obrona przeciwlotnicza Murmańska, zostałyby najprawdopodobniej zbombardowane przy nabrzeżu. Angielski dowódca konwoju twierdzi, że takiej obrony nie powstydziliby się nawet Londyn. No cóż, nie wiem, jak jest w Londynie, ale nasi chłopcy spisują się dobrze.

Zapalił papierosa i dodał:

- Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Faszyci coraz agresywniej atakują wszelkie konwoje zmierzające do Murmańska. A dzieje się to wszystko właśnie w naszym rejonie.

Major Kurzienkow przyjrzał się mapie z uwidocznionymi na niej bateriami artylerii przeciwlotniczej.

- Rozumiecie więc, że jest to zadanie specjalne. Nie muszę chyba podkreślać jego wyjątkowej wagi - pułkownik zamyślił się na chwilę, po czym dodał: - Gdzieś w rym rejonie - zakreślił na mapie szerokie koło obejmujące swoim zasięgiem brzegi Norwegii - Niemcy mają nocne lotnisko. Trzeba je za wszelką cenę znaleźć. Za wszelką cenę! Polecicie dziś w nocy.

- Ile samolotów mam ściągnąć do akcji?

- Polecicie sami: tylko wy i nikt więcej. Główne wasze zadanie po odnalezieniu lotniska to przekazanie współrzędnych. To przede wszystkim. Ale - pułkownik uśmiechnął się - nie zabraniam, oczywiście w sprzyjających warunkach, zaatakowania...

Monotonny szum silnika działa usypiająco. Fioletowe strumienie gazów wydobywających się z dysz łagodnie oświetlają boki samolotu. Na tablicy przyrządów połyskują fosforyzowane cyfry i pulsujące światełka licznych wskaźników.

Kurzienkow spogląda na zegarek. Wszystko wskazuje na to, że w tej samej chwili przekracza linię frontu. W dole rozbłyskują ogniki przypominające zapalone papierosy. To nieprzyjacielska artyleria przeciwlotnicza próbuje wymacać jego samolot. Wszystkie pociski wybuchają jednak daleko w tyle.

Na białym tle pokrywy śnieżnej odbija się ołowianym połyskiem łuk zatoki i jest to znakomity punkt orientacyjny. Kurzienkow wykonuje szeroki skręt w głąb łądu: od tej chwili zaczyna się poszukiwanie.

Szybki myśliwiec mknie ze wschodu na zachód, potem z powrotem, skręcając nieco w kierunku południowym. Pilot wyteża wzrok, pod nim jednak rozciąga się jedynie monotonna śnieżna pustynia. Lotnisko - o ile znajduje się w tym rejonie - jest najwyraźniej doskonale zamaskowane, nie zdradza go ani jedno światło.

„Może jednak startują z Norwegii?” - myśli Kurzienkow i skręca na północ.

Po chwili z prawej strony wylania się najbardziej na północ wysunięty port Norwegii - Kirkenes. Ale i tu nie ma żadnych śladów lotniska, najmniejszego choćby światełka...

Rzut oka na przyrządy: kończy się benzyna! Kurzienkow niechętnie zmienia kurs. „Trzeba będzie spróbować jutro jeszcze raz - myśli z niezadowolaniem. - Straciłem ponad godzinę bez żadnego rezultatu”.

Pod lewe skrzydło podsuwa się powoli ołowiany łuk zatoki. Kurzienkow odwraca głowę i... Ręce mocniej chwytają drążek sterowy, a oczy z uporem wpatrują się w dół. Z prawej strony, tuż pod nim, błysnęły nagle trzy krótkie światełka: czerwone, zielone i białe, i natychmiast zgasły. Po chwili jednak znów rozbłysły na ułamek sekundy.

„Nasz? - myśli gorączkowo Kurzienkow. - Bzdura! To niemożliwe! Dlaczego niby radziecki samolot miałby zapalać światła pozycyjne nad nieprzyjacielskim terytorium? Może więc niemiecki myśliwiec?” Też nie - major doskonale wie, że nieprzyjacielskie myśliwce prawie nigdy nie latają w nocy. A więc pozostaje tylko jedna możliwość: bombowiec, i to w dodatku niemiecki!

Samolot najwyraźniej podchodzi do lądowania, stąd właśnie jego światła pozycyjne. „Gdzie jest jednak lotnisko? - zastanawia się Kurzienkow. - Nigdzie przecież ani śladu...”

W tym momencie w dole pod prawym skrzydłem rozbłyskuje migotliwy promień reflektora, a w jego świetle Kurzienkow wyraźnie dostrzega lądującą maszynę. Wprawne oko natychmiast rozpoznaje charakterystyczną sylwetkę: „Junkers-88”!

Prawy silnik bombowca nie działał - śmigło było unieruchomione. Najprawdopodobniej samolot z trudem dociagnął do lotniska.

Kurzienkow podejmuje natychmiastową decyzję: dobić! Maszyna gwałtownie nurkuje. Jest już w pół drogi, kiedy „Junkers” dotyka kołami pasa. Reflektor gaśnie natychmiast, a mrok okrywa szczelną zasłoną lądujący bombowiec.

Kurzienkow nurkuje jednak nadal. Samolot ma podwieszane pod skrzydłami dwie niewielkie bomby rozpryskowe, które pilot postanawia za chwilę zrzucić na kołującego „Junkersa”. Niżej!... Jeszcze niżej!...

Ponieważ lądujący bombowiec i tak już zdradził pozycję niemieckiego lotniska, jego obsługa nie krępuje się teraz niczym. Cała artyleria przeciwlotnicza otwiera huraganowy ogień do samotnego myśliwca, prując do niego ze wszystkich działek. Ciemność dookoła nurkującego samolotu zostaje rozświetlona jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Cały ten „fajerwerk” nie budzi w Kurzienkowie zbyt wielkiego zachwytu, myśliwiec jednak nadal nurkuje na maksymalnej prędkości. Rzut oka w dół: na płycie lotniska, jak na defiladzie, stoją ustawione w dwuszeregu „Junkersy”. Nieznaczny ruch ręki, niewielka poprawka i...

Nagle przed oczami Kurzienkowa wykwita oślepiający błysk, a jednocześnie ostry ból przeszywa nogę. „Pocisk! Trafili!” - przemknęło mu przez myśl. Z prawego skrzydła bucha płomień. Samolot jednak nurkuje nadal. Do ziemi jest jeszcze mniej więcej 400 metrów, kiedy pilot naciska wreszcie spust!

Bomby wyskakują z uchwytów. Sekunda, dwie, trzy... I oto dwa rozbłyski i dwie rozlewające się kałuże ognia wokół palących się „Junkersów”.

Nie przerywając nurkowania Kurzienkow naciska na drugi spust. Rozlega się terkot szybkostrzelnych działek. Długa, bardzo długa seria pocisków przeszywa inne samoloty ustawione na lotnisku. Kurzienkow zdaje sobie oczywiście sprawę z tego, że w ten sposób spali lufy działek, ale to go nie martwi: działka nie będą mu już przecież potrzebne.

Nagle kiedy jest tuż nad ziemią, Kurzienkow przypomina sobie o najważniejszym. Pozycja lotniska! W ferworze walki zupełnie wyleciało mu z głowy, że przecież to jest główny cel jego zadania: przekazanie do bazy współrzędnych lotniska, z którego startują niemieckie bombowce atakujące alianckie konwoje na Morzu Barentsa i w Zatoce Kolskiej.

Gwałtowne ściągnięcie drążka omal nie wyrzuci samolotu do góry kołami. Maszyna wychodzi z nurkowania i pędzi w górę!

Wysokość... Koniecznie jak największa wysokość! Tylko bowiem na odpowiedniej wysokości można przesłać meldunek radiowy do bazy. Kurzienkow spieszy się więc, ale spieszy się również niemiecka

artyleria przeciwlotnicza. Dla niej pałący się radziecki samolot jest świetnym celem. Dziesiątki, setki odłamków i kul przeszywa maszynę, ale Kurzienkowowi udaje się jednak wyrwać ze strefy ostrzału.

Wtedy dopiero oddycha z ulgą. Teraz trzeba jeszcze ustalić wysokość, a więc rzut oka na przyrządy... Przyrządów jednak nie ma! Nie ma w ogóle całej tablicy: została wyrwana wybuchem pocisku i teraz wisi nad nogami Kurzienkova.

W nocnym locie przyrządy są oczami pilota, bez nich jest ślepy jak nowo narodzone szczenię.

Major włącza radiostację z niepokojem: co będzie, jeżeli i ona została uszkodzona?

- Kazbiek! Kazbiek! Tu Sokół! Tu Sokół! Lotnisko znajduje się w kwadracie nr... Samolot pali się. Jestem ranny. Przyrządy nie działają. Nie wiem, dokąd lecieć. Podajcie kurs. Tu Sokół! Tu Sokół!... Odbiór, odbiór!...

Znowu mijają długie, potwornie długie sekundy. Każda z nich rozciąga się w nieskończoność. Każda z nich... I oto wreszcie w słuchawkach rozlega się głos:

- Sokół! Sokół! Tu Kazbiek! Tu Kazbiek! Zrozumiałem was! Zrozumiałem was! Powtórzcie! Powtórzcie! Włączamy pelengatory. Podajcie sygnał rozpoznawczy. Odbiór! Odbiór!

Fala radości zalewa Kurzienkova. Szybko powtarza raport i podaje sygnały rozpoznawcze dla pelengatorów.

- Macie odchylenie w prawo. Silne odchylenie w prawo. Kurs czterdzieści, powtarzam: kurs czterdzieści. Rozumiecie?

Wprawne dłonie wyprowadzają samolot na podany kurs. Silnik pracuje na maksymalnych obrotach. Maszyna wie do przodu, ze skrzydeł buchają płomienie. Pilot wie, że w takiej sytuacji może lecieć najwyżej dziesięć minut, potem zbiornik wybuchnie. Nie ma jednak innego wyjścia - samolot musi jak najszybciej pokonać bezludną śnieżną tundrę pokrytą niezliczonymi pagórkami.

Przejmujący ból w zranionej stopie... Widoczność coraz gorsza. Migocące gwiazdy służące pilotowi za punkty orientacyjne stają się coraz mniej dostrzegalne przez szyby osłony kabiny.

„Czyżbym się znalazł w chmurach?” - myśli Kurzienkow. Nie, to niemożliwe. Przecież prognoza była wyraźna: na trasie nie występują żadne zamglenia. A więc to po prostu dym, zakopcone szyby osłony. Co robić? Zrzucić osłonę? Wtedy ogień zacznie go parzyć. Kurzienkow jednak wie, że musi się na to zdecydować: bez przyrządów, na ślepo, daleko nie zaleci.

Naciska dźwignię awaryjną. Osłona nieznacznie się podnosi, ale gwałtowny napór powietrza uderza w nią z ogromną siłą i zrywa ją. Kabina otwarta! Kurzienkow widzi rozgwieżdżone niebo i... ogień na skrzydle.

Płomienie przedostają się do kabiny. Kurzienkow przekłada drążek sterowniczy do lewej ręki, a prawą, w skórzanej rękawicy, zasłania twarz. Nachyla się do przodu i przyciska czoło do przedniej szyby, kierując samolotem tylko lewą ręką i lewą nogą.

Sam nie wie, jak długo już leci w tej niewygodnej pozycji. Płomień na skrzydle jest coraz silniejszy. Siły go opuszczają, cały jest zalany krwią...

Właściwie powinien był, nie czekając, aż wybuchną zbiorniki benzyny, wyskoczyć z płonącego samolotu i ratować się na spadochronie. Zdawał sobie jednak sprawę z innego niebezpieczeństwa, jakie mu groziło: z raną nogą po głębokim śniegu daleko by nie zaszedł. A więc lecieć, lecieć możliwie jak najdalej!

Głęboko w dole na tle śnieżnej pokrywy pojawia się wreszcie ciemne pasemko: to Zatoka Kolska! Do lotniska jest już niedaleko - Kurzienkow widzi nareszcie realną możliwość dotarcia do swoich. Natychmiast uruchamia radiostację:

- Włączyć reflektory! Włączyć reflektory! Będę lądował natychmiast z unieruchomionym silnikiem! Włączyć ref...

Straszliwy wybuch przerywa mu w pół słowa - to eksplodują zbiorniki paliwa.

W mgnieniu oka Kurzienkow otwiera zamki pasów i próbuje przegiąć się przez burtę. Nie starcza mu jednak sił na pokonanie ogromnego naporu powietrza, opada więc z powrotem na fotel.

„Spalę się!” - przerażająca myśl rodzi się w mózgu i Kurzienkow z nową energią łapie za drążek, ściągając go gwałtownie w prawo.

Samolot jest jeszcze posłuszny lotkom - przewraca się na plecy. Kiedy pilot zawisa głową w dół, odpycha od siebie drążek. Samolot podrywa się do góry, potężna siła bezwładności wyrzuca Kurzienkova z kabiny jak katapulta.

Narastający pęd mroźnego powietrza parzy twarz i zapiera dech w piersiach. Kurzienkowowi wydaje się, że leci w nieskończoność, w bezdenną czarną przepaść.

Już w pierwszych sekundach normalnego spadania jego prawa ręka odruchowo szuka na lewej piersi prostokątnego stalowego uchwytu. Chce chwycić pierścień i w odpowiednim momencie wyszarpnąć. A wtedy otworzy się zbawczy spadochron.

Zanim jednak uchwyt znalazł się w dłoni Kurzienkova, pęd powietrza przewrócił go na plecy. Lecąc twarzą do góry zobaczył przerażający widok: pałący się myśliwiec pędził za nim jak ogromna

pochodnia, rozsiewając wokół snopy iskier. Gdyby w tej chwili otworzył spadochron, samolot by go dopędził i zapaliłaby się jedwabna czasza spadochronu.

Zachowanie zimnej krwi w beznadziejnej sytuacji nie jest sprawą prostą. Kurzienkow wie jednak, że może go uratować tylko opóźnione otwarcie spadochronu. Spada więc, spada i liczy sekundy. Doliczył mniej więcej do czterdziestu, tracąc w międzyczasie około dwóch tysięcy metrów wysokości, kiedy wreszcie zdecydował się na wyszarpięcie uchwytu. Za plecami rozległ się natychmiast znajomy dźwięk, któremu towarzyszył gwałtowny wstrząs: spadochron otworzył się.

Szarpięcie było tak silne, że zerwało mu z nóg lotnicze buty i lewą rękawicę.

W tym samym momencie, kiedy przemknęło mu przez myśl, że jest uratowany, uczył ponownie, że leci bezwładnie ku ziemi.

Spojrzał do góry: zbawcza czasza spadochronu ucieka od niego, zwiłając się w bezkształtną masę. Prawdopodobnie odłamki pocisków pocięły pasy utrzymujące spadochron.

Kurzienkow spadał w dół jak kamień. Zdawał sobie sprawę, że teraz nic już nie jest w stanie go uratować.

Z błyskawiczną szybkością przez mózg przelatują wspomnienia... Jako dziecko zleciał z oblodzonej beczki i rozbił głowę. Mając czternaście lat policzył własnymi żebrami wszystkie gałęzie brzozy. W cztery lata później „znurkował” z mostu na brzeg rzeki i złamał nogę. A teraz... teraz już koniec. Czekał tylko na śmiertelne uderzenie o granit wzgórza...

Świadomość odzyskał pod wpływem strasliwego bólu w całym ciele. Nie wiedział, ile czasu leżał ani skąd się tu wziął. Powoli jednak przypomniał sobie ostatnie wydarzenia. Pomyślał, że życie zawdzięcza grubym zaspom śnieżnym i ślizgowemu lądowaniu po stoku wzgórza.

Spróbował się podnieść, ale przeszywający ból w całym ciele powalił go z powrotem. Opanowuje go całkowita niemoc. Leży w zaspie, rozbity, z licznymi krwawiącymi ranami na całym ciele. A lotnisko jest przecież tuż obok, najdalej kilkaset metrów...

Cisza. Milczenie nocy otuliło ośnieżone wzgórza. Kurzienkow nieomal słyszy, jak zanika tętno w marznących nogach i w lewej ręce, na której nie ma rękawicy. Otwiera oczy... W bezkresnej ciemnej ciszy błyszczą dalekie gwiazdy, nieme i obojętne na wszystko.

Liczy ostatnie chwile zanikającego życia. Mróz coraz bardziej przenika jego ciało, ból ustaje, powieki opadają...

Nagle do uszu dociera znajomy dźwięk. „Silnik!...” Ale zaraz wszystko cichnie i znów oczy się zamykają, tylko gdzieś daleko, w podświadomości, kołaczce uporczywa myśl: „Nie zasypiać! Nie zasypiać!”

Wyostrzony słuch chwyta nagle odgłos czyichś kroków. A może to tylko złudzenie? Prawa ręka, ogrzana futrem rękawicy, z trudem sięga do pochwy po pistolet. Dwa ostre strzały przeszywają powietrze. Stokrotne echo roznosi je jeszcze dłużej, choć ręka z pistoletem już opadła na śnieg.

I nagle czyjś głos:

- Kto strzelał?

W odpowiedzi Kurzienkow strzela jeszcze dwa razy. Ktoś podchodzi. Przez kurczowo zaciśnięte zęby pilot z trudem wypycha oporne słowa:

- Lotnik... radziecki. Nogi zamarzają... Lewa ręka... Nieznajomy zrzuca z siebie kożuch, okrywa nim pieczołowicie Kurzienkova.

- Towarzyszu majorze, leżcie spokojnie... Ja tylko na lotnisko, zaraz przyprowadzę ludzi.

Kurzienkow nie pamiętał, jak długo nie było nieznajomego. Ocknął się, gdy dookoła niego zgromadzili się ludzie. Ale w pośpiechu zapomniano noszy, z ogromną więc ostrożnością przeniesiono go na rozciągniętym kożuchu do gazika.

Ból nie ustawał ani na chwilę. Ale Kurzienkow zamknął oczy z ulgą. Nareszcie... Zadanie... zadanie specjalne... wykonane...

Bohater Związku Radzieckiego major Siergiej Kurzienkow (obecnie pułkownik w stanie spoczynku) żyje po dziś dzień i cieszy się dobrym zdrowiem. Jak sam twierdzi, ma żelazny organizm, nigdy nie choruje, nigdy też nie odczuwa żadnych dolegliwości związanych z tym niezwykłym bądź co bądź lotem.

W czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej Siergiej Kurzienkow walczył w walkach nad Półwyspem Kolskim i Morzem Barentsa. 28 lutego 1940 roku wystartował do kolejnego lotu bojowego. Był to szczególny lot, zadanie specjalne, który miał zadecydować o losach wielkiego portu radzieckiego na Dalekiej Północy - Murmańska. Zadanie - jak wiemy - zostało wykonane.

Na dobrą sprawę w tym locie nie ma właściwie nic szczególnego. Przecież w czasie wojny tysiące lotników radzieckich wykonywało równie trudne zadania w równie ciężkich warunkach frontowych. Wszystko jednak to, co przydarzyło się potem majorowi Kurzienkowowi, jego lot na palącym się

samolocie i upadek bez spadochronu z dużej wysokości, zakrawa na czystą fantazję. Uczeni, specjaliści od aerodynamiki, których prosiłem o komentarz do tego niezwykłego wydarzenia, rozkładali ręce bezradnie:

- To jest niemożliwe! - twierdzili. - To się nie mogło wydarzyć! Z pilota, który spadł z tak ogromnej wysokości bez spadochronu, musiałyby zostać tylko przysłowiowa „mokra plama”. Co prawda Kurzienkow spadł na zbocze wzgórza i utknął w potężnej zaspie śnieżnej, co oczywiście w jakiejś mierze wyhamowało jego pęd, ale i tak nie mogło to niczego zmienić. Pilot powinien ponieść śmierć na miejscu...

- Czyżby więc była to owa przysłowiowa jedna szansa na milion? - zapytałem.

- Szansa? Jaka szansa? On nie miał nawet jednej szansy na milion! Nie miał żadnej szansy!

A jednak, jak już wspominałem, Siergiej Kurzienkow cieszy się dobrym zdrowiem i na dolegliwości żadne nie narzeka. W swych pamiętnikach z czasów wojny wspomina, że kiedy na chwilę ocknął się w szpitalu polowym, usłyszał przypadkowo słowa wypowiedziane przez chirurga:

- Straszne urazy organów wewnętrznych... liczne obrażenia, złamane kości... Sytuacja jest beznadziejna. Śmierć nastąpi najdalej za kilka godzin.

A jednak Kurzienkow żył. O jego życie walczył przez 14 dni zespół najlepszych chirurgów Floty Północnej z głównym chirurgiem Dimitrem Arapowem.

I Kurzienkow żyje. Niemożliwe stało się faktem!

Ale i to jeszcze nie wszystko.

Na kilka miesięcy przed tym szczególnym lotem tenże major Siergiej Kurzienkow miał wypadek równie nieprawdopodobny. W czasie jednego z lotów bojowych przestrelono mu podczas walki zbiorniki z benzyną. Oczywiście w takich wypadkach pilot z reguły porzuca maszynę i ratuje swe życie na spadochronie. Kurzienkow jednak chciał za wszelką cenę uratować również samolot. Postanowił więc wracać na lotnisko lotem ślizgowym. Musiał jednak na nie trafić bezbłędnie, ponieważ znajdowało się ono wśród tysięcy granitowych pagórków, wąwozów, jeziorok. Żadnej, najmniejszej nawet łączki, żadnego równego miejsca!

Oczywiście istniała jeszcze możliwość lądowania, a raczej wodowania w Zatoce Kolskiej, w pobliżu brzegu. Kurzienkow wiedział jednak doskonale, że w kilkadziesiąt sekund po zetknięciu się z powierzchnią morza samolot pójdzie na dno jak kamień: przecież nie był to wodnopłatowiec, a więc cały jego trud poszedłby na marne. No, a poza tym kąpiel w zawsze lodowatych wodach tej zatoki też nie należy do przyjemności. Lecąc jednak w kierunku lotniska, tej jedynej „wysepki”, na której mógł wylądować bezpiecznie, Kurzienkow zorientował się, że - niestety - „nie dociągnie”.

Kiedy więc ziemia była już tuż, tuż, zdecydował się lądować na dnie długiego i wąskiego wąwozu zakończonych pionową ścianą wysokiego wzgórza. Nie dotarł do niej jednak, ponieważ drogę przegrodziły mu dwie okazałe sosny, przy czym - jak się okazało - odstęp pomiędzy nimi był mniejszy niż rozstaw skrzydeł samolotu. Oba drzewa zostały ścięte jak brzytwą, podobnie jak oba skrzydła samolotu Kurzienkowa. Bezskrzydły kadłub maszyny ślizgał się jeszcze kilkadziesiąt metrów po granitowym dnie wąwozu i zatrzymał dosłownie na kilka centymetrów przed ścianą wzgórza.

Kurzienkow, w obawie przed wybuchem resztek benzyny, wyskoczył z samolotu i odbiegł kilkadziesiąt metrów dalej. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że jest żywy i cały. Nie miał nawet najmniejszego zdraśnięcia!

Przygodny przechodzień pobiegł na lotnisko, aby zawiadomić obsługę o wypadku, sam zaś Kurzienkow pozostał przy maszynie. W pół godziny później nadszedł gazik z naczelnym inżynierem.

Inżynier powoli, nie spiesząc się, wysiadł z samochodu i podszedł do pilota. Obejrzał go dokładnie i zdziwiony klepnął Kurzienkova po plecach:

- Niesamowite! - zawołał. - Żyjesz? Nic ci się nie stało? Jeżeli jeszcze samolot jest w takim samym stanie jak ty, to wieszuję.

Kurzienkow machnął ręką.

- W takim samym stanie? Popatrzcie tylko, przecież to wrak, oba skrzydła odpadły.

- Wrak? No, zaraz zobaczymy.

Skierował się do kadłuba samolotu, obejrzał go bardzo starannie, podobnie jak obie sosny i skrzydła, i z uśmiechem zwrócił się do Kurzienkova:

- Zuch jesteś! Oderwałeś mu skrzydełka prawie jak na zamówienie. Trochę pogięty jest dół, ale to drobnostka. Jutro zabierzemy go na lotnisko, przyczepimy inne skrzydła, na wał silnika nasadzimy nowy kręciołek, wyklepiemy blachę i zobaczysz - będziesz miał zupełnie nowy samolot. A może nawet lepszy od nowego...

W niecały rok po swym słynnym locie, po wykonaniu owego zadania specjalnego, major Kurzienkow powrócił na Daleką Północ na lotnisko. Zasiadł za sterami nowego samolotu i walczył do końca wojny.

Wspominałem już o tym, że Siergiej Kurzienkow żyje po dziś dzień i czuje się doskonale. Wspominałem również o tym, że uczeni, specjaliści, których proszono o mniej więcej logiczne

wytłumaczenie cudownego (bo chyba tak to trzeba określić) ocalenia Kurzienkowa, bezradnie rozkładali ręce:

- To się nie mogło zdarzyć! To nie jest nawet jedna szansa na milion!

A jednak, skoro już mowa o tej jednej szansie na milion (a może na sto milionów?), warto przypomnieć, że historia lubi się często powtarzać...

## Nr 659.

Dzień był nijaki. Rano trochę mgły, potem się przejaśniło, a mniej więcej w południe słońce przebiło się przez chmury i rozblęskło pełnym blaskiem.

Tego dnia George Smith nie zamierzał latać. Do fabryki „North American”<sup>1</sup> wpadł tylko na chwilę, aby napisać sprawozdanie na temat samolotu, na którym latał poprzedniego dnia. Promienie słońca odbijały się radośnie od wypolerowanych kadłubów nowiuteńkich „Super Sabre’ów” ustawionych rządkiem na fabrycznym lotnisku. Sprawozdanie było krótkie, Smith złożył je u głównego inżyniera, po czym postanowił wrócić do miasta i solidnie odpocząć. Kiedy wychodził już z budynku dyrekcji, zawołał go dyżurny dyspozytor :

- Hej, George, co dzisiaj robisz?

- Właściwie nic, miałem zamiar wrócić do miasta i...

- Słuchaj, właśnie zszedł z taśmy najnowszy egzemplarz, nr 659. Może chciałbyś go wypróbować?

- Bo ja wiem... Właściwie nie mam nic pilnego ani ważnego do załatwienia. Wiesz, że to jest pomysł? Chętnie się na nim przelecę.

- W porządku. Zaraz go wyciągniemy z hangaru i ustawimy na pasie startowym. Przebierz się w tym czasie w kombinezon. Albo po prostu wciągnij kombinezon na ubranie.

W pół godziny później najnowszy model „Super Sabre’a” był już w powietrzu. Kiedy jednak znalazł się w pobliżu Laguna Beach, pogoda popsuta się: słońce skryło się za nieprzenikloną zasłoną chmur, zaczął padać drobny deszcz.

Smith pociągnął stery do siebie. Nowiuteńki, „prosto z pieca” myśliwiec gwałtownie zadął nos i przebił pokrywę chmur. Prędkość samolotu szybko zbliżała się do bariery dźwięku, wreszcie maszyna przebiła ją i pędząc z prędkością naddźwiękową znalazła się na wysokości około 12 tysięcy metrów.

Wtedy właśnie zawiodły stery.

Znacznie później Smith, relacjonując ten niefortunny lot, powiedział :

- Zrobiłem wszystko, co zaleca instrukcja. Bez skutku. Samolot wpadł w korkociąg. Zdążyłem tylko włączyć nadajnik i krzyknąć: „Tu 659! Zepsuły się stery!”

A tymczasem „Super Sabre” pędził pionowo w kierunku ziemi z prędkością 1287 kilometrów na godzinę.

Pomyślałem wówczas: zostać w samolocie? Jest to przecież pewna śmierć! Wyskoczyć przy prędkości ponaddźwiękowej? To też coś w rodzaju samobójstwa, chociaż w tym przypadku istnieje jednak jakaś szansa, powiedzmy jedna na milion. Wtedy właśnie postanowiłem wyskoczyć z samolotu na spadochronie. Więcej niczego nie pamiętam - zakończył swoją relację Smith.

Tak się szczęśliwie złożyło (rzeczywiście szczęśliwie), że pilot wystrzelony z samolotu jak pocisk, zemdlął i nie poczuł strasznego bólu, jaki przeszył całe jego ciało w tym momencie. Trzeba bowiem pamiętać, że przy takiej prędkości ciężar pilota momentalnie wzrósł do 3630 kilogramów. Uderzenie twardego jak skała (dosłownie!) powietrza w brzuch i w piersi wywołało gwałtowny przyływ krwi do głowy. Potężny prąd powietrza zerwał mu z twarzy maskę tlenową i hełm, oderwał czubek nosa.

Wydaje mi się, że jest tu potrzebne krótkie wyjaśnienie, aby czytelnicy zdali sobie sprawę z tego, co się w tym momencie działo z pilotem. Otóż huragan pędzący z prędkością 161 km/h wywiera ciśnienie 586 kilogramów na metr kwadratowy. Taki huragan bez najmniejszego trudu rozwala domy, wyrzuca ciężkie, zakotwiczone statki na wybrzeża i dokonuje wielu innych, strasliwych spustoszeń. A ciało Smitha znalazło się w ogniu dziesiątka takich huraganów!

Ciśnienie, na jakie zostało narażone, wynosiło około 600 kilogramów na metr kwadratowy!

W dwie sekundy po tym, jak George Smith katapultował ze skazanego na zagładę samolotu, specjalne automatyczne urządzenie otworzyło jego spadochron. Znacznie później specjaliści z fabryki „North American” obliczyli, że w chwili kiedy Smith zdołał opuścić kabinę, samolot znajdował się na wysokości około 1850 metrów. Gdyby więc lotnik wahał się jeszcze przez dwie następne sekundy, wówczas, uwzględniając prędkość nurkowania samolotu, jego spadochron nie zdążyłby się otworzyć przed zetknięciem się z powierzchnią wody.

To jednak dopiero początek, gdyż dalszy ciąg tego niesamowitego wypadku był równie niezwykły.

---

<sup>1</sup> Wbrew nazwie (north = północ) zakłady zlokalizowane były w Kalifornii, a więc na południu Stanów Zjednoczonych.

W tym czasie, kiedy Smith na wysokości 11200 metrów nad Pacyfikiem bezskutecznie walczył z zablokowanymi sterami odrzutowca, niewielki, lecz bardzo szybki jacht zmierzał pod ulewnym deszczem w kierunku brzegu. Właściciel jachtu, znany prawnik z Los Angeles, Melvin Simon, wypłynął na ryby z piętnastoletnim synem i swoim przyjacielem. W pewnym momencie wszyscy trzej usłyszeli ogłuszający wybuch i zobaczyli gigantyczną fontannę wody wyrzuconą w powietrze mniej więcej w odległości 180 metrów od stateczku, która o mało nie przewróciła go do góry dnem.

Przeżaszony Melvin Simon, przekonany, że znalazł się w strefie manewrów okrętów wojennych, zawołał:

- Uciekajmy stąd natychmiast! Natychmiast!

W tej samej chwili syn jego Robert schwycił go za rękę i zawołał:

- Tato, popatrz, popatrz tutaj!

Zza chmur wypadły strzepy ogromnego czerwonego spadochronu, pod którym na pasach wisiało bezwładne ciało człowieka. Kiedy Simon spojrział przez lornetkę, zobaczył, że trup (nie miał wątpliwości, że to trup) nie ma ani butów, ani skarpetek, a jego ubiór jest równie poszarpany jak spadochron. Całe jego ciało było czerwone od krwi, która lała się z uszu, z nosa, z ust...

Na szczęście Melvin Simon był człowiekiem czynu. Bez chwili namysłu ujął ster i skierował jacht do miejsca, w którym pilot wpadł do wody. W ciągu niecałej minuty znaleźli się tuż obok niego. Cała trójka wspólnym wysiłkiem wyciągnęła okaleczone zwłoki, jak sądzono, na pokład. W kilkanaście minut później George Smith był już w szpitalu w Newport Beach.

Przez pięć dni pilot walczył ze śmiercią, nie odzyskując przytomności ani na chwilę. Lekarze bezradnie rozkładali ręce: wypadek był absolutnie agonalny.

A jednak Smith wyżył; mimo straszliwie potłuczonego ciała, pozbawiony w dodatku wzroku, powoli wracał do życia. Rany goiły się, a co najważniejsze, wzrok Smitha również wracał do normy, co wśród leczących go lekarzy wywołało nie lada zdumienie. Po przeszło czteromiesięcznej kuracji George Smith wyszedł ze szpitala na własnych nogach. Lekarze, wybitni specjaliści, nie mieli jednak żadnych wątpliwości: George Smith jest stuprocentowym kaleką i pozostanie nim już do końca swoich dni.

Życie jednak nie zawsze potwierdza werdykty lekarzy, ludzi uzbrojonych w całą potęgę wiedzy medycznej. Tak było i tym razem. Po upływie roku od owego wypadku George Smith stanął przed komisją lekarską i... został zakwalifikowany jako zdolny do odbywania lotów! I lata nadal, choć tym razem już nie na samolotach wojskowych, lecz na lekkich maszynach cywilnych.

Niefortunny lot George'a Smitha stał się taką samą sensacją, jaką w swoim czasie był wypadek Siergieja Kurzienkowa. Smith był bowiem pierwszym człowiekiem, który pozostał przy życiu, mimo że katapultował się z samolotu pędzącego z prędkością ponaddźwiękową, wynoszącą 1250 km/h.

Po przewiezieniu go do szpitala w Newport Beach i upływie jakiegoś czasu zjawiała się tam specjalna komisja lotnictwa wojskowego USA składająca się z ponad 20 specjalistów, lekarzy i inżynierów, która miała zbadać wszystkie, najdrobniejsze nawet szczegóły tego niezwykłego wypadku.

I tutaj zaczęła się druga część sensacji. Wyniki badań komisji świadczyły niezbitnie, że George Smith ocalał dosłownie cudem, ponieważ popełnił niezwykle poważny błąd. W momencie katapultowania się nie postawił nóg na specjalnych podnóżkach i nie zajął najwygodniejszej do katapultowania się pozycji ciała. Kiedy pociągnął za dźwignię odrzucającą osłonę kabiny, został momentalnie ogłuszony straszliwym pędem powietrza i jego głowa znalazła się w okolicy kolan. W tej niezwykle niebezpiecznej pozycji Smith nacisnął dźwignię katapulty i został wystrzelony z kabiny. Fotel w katapulcie nie posiadał urządzeń stabilizacyjnych, toteż pilot nieustannie koziółkował w straszliwym wirze powietrza, a ciało jego zostało potwornie potłuczone o oparcie i poręcze fotela. Jakim cudem George Smith przeżył to wszystko - pozostanie zagadką nie do rozwiązania.

Ale cudem cudów w tej całej historii jest jeszcze inna sprawa - spadochron otworzył się właśnie w tym jednym, jedynym ułamku sekundy, kiedy powinien się być otworzyć, a więc w pozycji, w której jego otwarcie w ogóle było możliwe. I choć poszarpany na strzepy, jednak w jakiś sposób amortyzował i zmniejszył prędkość spadania pilota.

Jak ta dziwna szansa, która właściwie na zdrowy rozum nie istnieje i nie może odegrać jakiegokolwiek roli, czasami jednak daje o sobie znać, przy czym niekiedy w sposób... arcytragikomiczny.

Duńczyk Hilm Jorgensen, zapalony pilot amator, przeżył podczas jednego ze swych lotów koszmarną historię: jego samolot nagle stanął w płomieniach!

Przeżaszony, nie namyślając się ani chwili, wyskoczył z samolociku zapominając o spadochronie i... po kilku sekundach wylądował na rozłożystym drzewie. Kiedy się ocknął, stwierdził ze zdumieniem, że



właściwie nic mu się nie stało. Był tylko podrapany, miał podarty kombinezon, ale ani jednego złamanego żebra czy też wywichniętego stawu.

Powoli i ostrożnie zsunął się więc z drzewa na ziemię. W tym momencie jednak... rzucił się na niego ogromny pies, który pogryzł go tak dotkliwie, że w szpitalu odratowano go z największym trudem!

No cóż, jak mówi przysłowie: „co komu pisane...”

## **Podniebne curiosa.**

W 1905 roku liczba pasażerów przewiezionych samolotami wynosiła 1 (słownie: jeden). Tym pierwszym pasażerem był nie znany nam z nazwiska przygodny farmer, którego jeden z braci Wright - twórców i konstruktorów pierwszego samolotu, który naprawdę oderwał się od ziemi - zabrał na pokład swej „latającej etażerki”.

A w 65 lat później, czyli w 1970 roku, z usług linii lotniczych na całym świecie skorzystało 300 000 000 (słownie: trzysta milionów) pasażerów. Liczba ta poza tym stale wzrastała z roku na rok, dopiero ostry kryzys paliwowy w 1974 roku ten wzrost zahamował.

Lotnictwo pasażerskie stawiało swoje pierwsze, nieśmiałe jeszcze „kroki w powietrzu” już w okresie międzywojennym, na dobre rozkwitło jednak dopiero po drugiej wojnie światowej. Nic w tym zresztą dziwnego - samolot jest przecież najszybszym i chyba najwygodniejszym środkiem lokomocji. Na przykład z Warszawy do Gdańska jedziemy pociągiem ekspresowym ponad 6 godzin, natomiast samolot „połyka” tę trasę w ciągu 50 minut. A przecież dzisiaj wszystkim nam się spieszy. Toteż lotnictwo pasażerskie, mimo wspomnianego już kryzysu paliwowego, wciąż jakoś nie narzeka na brak pasażerów.

Na liniach krajowych różnica w czasie nie jest zresztą aż tak widoczna. Im jednak większa odległość, tym różnica wzrasta, i to znacznie. Gdyby pan Fileas Fogg, bohater powieści Jules’a Verne’a „W 80 dni dookoła świata” żył w naszych czasach, odbyłby swoją „przejażdżkę” dookoła naszej planety w czasie znacznie krótszym. Zadzwoiłby po prostu do jednego z biur podróży i poprosił o zarezerwowanie biletów lotniczych wraz z połączeniami na taką to a taką trasę. Potem usiadłby sobie wygodnie w fotelu transkontynentalnego odrzutowca i aniby się obejrzał, a już byłby z powrotem. Nie przeżywałby przy tym tysiącznych, niezwykłych, krew w żyłach mrozących perypetii, pan Verne więc nie mógłby napisać swej pasjonującej książki o tej niecodziennej (jak na owe czasy) podróży. Może nawet dobrze się stało, że pan Fileas Fogg „odbył” swą podróż dookoła świata w 1872 roku, a więc przed ponad stu laty.

Dzięki długotrwałym i długoletnim doskonaleniom i ulepszeniom samoloty pasażerskie radzą sobie dzisiaj z łatwością z takimi trasami, które jeszcze przed kilkadziesiąt laty były dla nich absolutnie nie do przebycia. Może słyszeliście o słynnych radzieckich pilotach Czkałowie i Gromowie, którzy w latach trzydziestych pilotowali swoje maszyny, z narażeniem życia, lecąc na trasie ze Związku Radzieckiego do Stanów Zjednoczonych nad biegunem północnym? Był to wówczas niezwykle wyczyn, o którym rozpisywała się z zachwytem prasa całego świata.

A dziś jest to rzecz najprostsza pod słońcem. Od wielu już lat skandynawskie linie lotnicze SAS prowadzą regularną komunikację lotniczą z Kopenhagi do Tokio właśnie nad biegunem północnym. Kiedy zaś stewardesa ogłasza uroczyście: „Proszę państwa, pod nami biegun północny!”, większość pasażerów smacznie sobie śpi. A ci, co jeszcze nie spoczęli w objęciach Morfeusza, wzruszają ramionami: „No i co z tego?”

Podobnie rzecz się miała z Atlantykiem. Dramatyczne przeloty pionierów lotnictwa: Reeda, Alcocka, Lindbergha i naszego rodaka Ildzikowskiego - to już zamierzchła historia. Co prawda samolot pasażerski po raz pierwszy przebył Atlantyk bez lądowania dopiero w 1953 roku (był nim angielski odrzutowiec „Comet”), ale to też należy już do przeszłości. Dziś nad tym oceanem panuje w powietrzu taki tłok, jak na najruchliwszej ulicy w centrum Warszawy. Zresztą nie tylko nad oceanem. Gdybyśmy obejrzeli aktualną sieć linii lotniczych, oplatających naszą kulę ziemską, dostrzegliśmyby tę kulę... z największym trudem. Z Rio de Janeiro do Londynu, z Ottawy do Sydney, z Moskwy do Tokio biegań niezliczone, krzyżujące się szlaki powietrzne. Niewykluczone, że wkrótce już będziemy mogli latać samolotami z Bombaju do Pccimia, z Nowego Jorku do Kaczycy Dołów, z Buenos Aires do Koziej Wólki. Najszybciej, najwygodniej, najbezpieczniej!

Czy jednak rzeczywiście najbezpieczniej? A te liczne katastrofy lotnicze, o których czytamy w gazetach?

No cóż - zastanówmy się nad tym spokojnie. Rzeczywiście - w ostatnich latach na podniebnych szlakach panuje niebywały tłok. A w tłoku, jak wiadomo, czasami dochodzi do zderzeń. Jest to zresztą największa bolączka międzynarodowej organizacji lotnictwa cywilnego - ICAO - gdyż znaczna część katastrof została spowodowana przez zderzenia w powietrzu, jak choćby jedna z największych, która wydarzyła się w 1961 roku nad Nowym Jorkiem. Samolot pasażerski zderzył się wówczas z odrzutowym samolotem wojskowym. Śmierć w wyniku tej katastrofy poniosły wówczas 142 osoby. I

choć warunki atmosferyczne były doskonałe, pilot wojskowy, który cudem wyszedł z katastrofy ratując się na spadochronie, oświadczył później :

- Przecież ja tej maszyny w ogóle nie widziałem!

Rzeczywiście - przy tych prędkościach, które osiągają dzisiejsze samoloty, o wszystkim decydują dosłownie ułamki sekundy!

ICAO wprowadziła więc szczegółowe „przepisy drogowe”. Zależnie od prędkości samoloty poruszają się w powietrzu na różnych, ściśle określonych wysokościach (im szybciej, tym wyżej), w dokładnie wytyczonych korytarzach. W tym wypadku chodzi o zabezpieczenie samolotów pasażerskich przed zderzeniami z maszynami wojskowymi, które przecież nie latają według jakiegoś ustalonego „rozkładu jazdy”.

I choć katastrofy lotnicze zdarzają się nadal, samolot jest jednak naprawdę najbezpieczniejszym środkiem lokomocji. W katastrofach kolejowych i morskich (nie mówiąc już o drogowych) liczba ofiar jest dużo większa. To, że w lotnictwie procent ofiar jest znikomy, zawdzięczamy przede wszystkim technice i personelowi, który wielokrotnie sprawdza i kontroluje przed startem wszystkie, nawet najdrobniejsze elementy samolotu. W dzisiejszych czasach awaria silnika należy do niezwyklej rzadkości.

I jest to rzecz zrozumiała. Jeżeli bowiem podczas jazdy zepsuje się Wam samochód, staniecie spokojnie na poboczu i naprawicie uszkodzenie. W powietrzu zaś nie ma żadnych poboczy! Tam uszkodzenie jest jednoznaczne z zagładą samolotu, a więc również pasażerów i załogi.

Że samolot to jeden z najbezpieczniejszych środków lokomocji na świecie, przytaczamy suche liczby:

W 33 wypadkach lotniczych, jakie zdarzyły się na liniach pasażerskich w 1973 roku, zginęło 929 osób. W porównaniu z liczbą przewiezionych pasażerów jest to najniższy wskaźnik wypadków śmiertelnych w dziejach lotnictwa. I nie muszę chyba nikogo przekonywać, że jest również wielokrotnie niższy od liczby ofiar, które poniosły śmierć w wypadkach drogowych.

Ten stan rzeczy, tę proporcję pomiędzy wypadkami lotniczymi i drogowymi nieźle ilustruje taka choćby anegdota:

Kiedyś pewien znany angielski aktor lecący z Londynu do Nowego Jorku zauważył, że jego sąsiad ociera co chwilę blade, zroszone potem czoło i z lękiem wygląda przez iluminator na kłębiące się pod samolotem chmury. Odłożył więc na bok gazetę i z typowo angielską flegmą powiedział:

- Niech pan się tak bardzo nie przejmuj. Dziś latanie samolotem należy do zajęć najbezpieczniejszych pod słońcem. W każdym razie znacznie bezpieczniejszych od jazdy samochodem. Opowiem panu następujący fakt. Pewnego razu jeden z moich przyjaciół jechał najspokojniej swym samochodem po pustej szosie, kiedy zupełnie niespodziewanie... spadł mu na głowę samolot!

Wróćmy jednak na podniebne trasy pasażerskie. Pasażerowie często zadają pytanie:

- Dlaczego w samolotach pasażerskich nie stosuje się spadochronów? Przecież jeżeli posługują się nimi piloci wojskowi, ludzie doskonale obeznani z lotniczym fachem, to tym bardziej powinni z nich korzystać pasażerowie.

Takie pytanie wydaje się niezwykle słuszne. Przecież z owej katastrofy nad Nowym Jorkiem, o której przed chwilą wspominałem, uratował się tylko pilot myśliwca, i to właśnie dzięki spadochronowi, natomiast pasażerowie zginęli co do jednego.

Sprawa jednak jest tylko pozornie tak prosta, trzeba bowiem pamiętać, że przecież skok ze spadochronem to nie zjedzenie kromki chleba z masłem. Na skok może sobie pozwolić tylko człowiek, który przeszedł przeszkolenie pod okiem doświadczonych instruktorów i który poza tym wie, jak sobie z tym sprzętem radzić, aby wylądować szczęśliwie.

Pasażerów jednak nie sposób przeszkalać przed lotem, toteż dla nich skok ze spadochronem to także pewna śmierć. No i poza tym wśród pasażerów są często starcy i dzieci - jak sobie poradzić z nimi?

Z lotnictwa pasażerskiego spadochron został więc wyeliminowany. Zastąpiono go natomiast drobiazgową, skrupulatną kontrolą, która praktycznie rzecz biorąc prawie całkowicie eliminuje jakąkolwiek możliwość powstania awarii. Inna rzecz, że w razie katastrofy w powietrzu wszystkim pasażerom grozi niechybna śmierć. Chociaż... też nie zawsze.

## **Życie po raz drugi.**

Na przełomie lat 1971 i 1972 prasa światowa doniosła o dwóch wręcz nieprawdopodobnych wypadkach.

Na pokładzie samolotu jugosłowiańskich linii lotniczych „DC-9” wybuchła podłożona przez zamachowców bomba. W wyniku eksplozji samolot, który leciał na wysokości około 10 tysięcy metrów,

rozpadł się na tysiące kawałków. Wydawałoby się, że z takiej kraksy nie mógł ująć z życiem ani jeden człowiek. No bo niby jakim cudem, skoro nikt nie miał spadochronu? A tymczasem okazało się, że młoda 23-letnia stewardesa tej linii, Vesna Vulović, która znajdowała się na pokładzie samolotu w momencie wybuchu, spadła na ziemię i... nie zabiła się! Doznała jednak bardzo ciężkich obrażeń. Przypominam, że eksplozja samolotu nastąpiła na wysokości 10 kilometrów!

Jak to się mogło stać? Przecież taki wypadek graniczy z cudem! Wydaje się jeszcze bardziej nieprawdopodobny niż wypadki Siergieja Kurzienkova i George'a Smitha.

No bo jeżeli pominiemy ingerencję siły nieczystej lub jakiegokolwiek innej nadprzyrodzonej (a gdzież tu na nią liczyć w naszym stehniczowanym XX wieku!), pozostaje tylko taka odpowiedź: to jest niemożliwe! Wszelkie prawa fizyki, a zwłaszcza aerodynamiki muszą nieodwołalnie prowadzić do takiego wniosku.

A jednak fakt pozostaje faktem: Vesna Vulović żyje, żyje jak gdyby po raz drugi!

Podobną, o ile nawet nie większą sensację odnotowano nieco wcześniej, bo w dniu 24 grudnia 1971 roku, tym razem na drugiej półkuli, w Peru. Na trasie pomiędzy Andami i Amazonką rozpadł się w powietrzu na skutek awarii samolot pasażerski z 92 osobami na pokładzie. 91 osób poniosło śmierć, jedna się uratowała.

Była nią 17-letnia podówczas Julianna Köpcke, która wraz z matką leciała do ojca na święta. Matka, podobnie jak inni pasażerowie, zginęła w katastrofie, natomiast szczupła i niewysoka Julianna wyszła z katastrofy cało: wylądowała w samym sercu dziewiczej dżungli nad Ukajali. Nie dość jednak na tym: później, w minisukience, przedzierała się przez 9 dni przez nieprzebyte lasy, i z tego też wyszła cała i żywa, co jest prawie takim samym cudem, jak i jej niezwykle ocalenie z katastrofy. Trzeba bowiem pamiętać, że dżungla nad Ukajali jest właściwie nie do przebycia, a poza tym najeżona tysiącem najróżniejszych niebezpieczeństw: kajmanami, jadowitymi węzami, bezdennymi bagnami, trującymi roślinami... Najstraszniejsze są jednak przede wszystkim miliardy komarów i much składających swe jajeczka w ludzkim ciele. Julianna jednak przez to wszystko przeszła i dotarła do ludzi, do oczekującego ojca. Nie będę tu szczegółowo opisywał tej epopei, bo to już odrębny temat. Oddajmy jednak na chwilę głos Juliannie Köpcke, która tak oto opisywała sam moment katastrofy:

„Siedziałam w dziewiętnastym rzędzie po prawej stronie, tuż przy oknie. Wszystko odbywało się normalnie: wystartowaliśmy spokojnie, później samolot nabrał wysokości. Przelecieliśmy nad Andami, potem było śniadanie roznoszone przez uśmiechnięte stewardesy. Widzieliśmy pokryte śniegiem szczyty potężnych gór, a potem dziewiczy, nie kończący się las.

Nadal wszystko przebiegało zupełnie normalnie. Niektórzy pasażerowie - wszystkie miejsca były zajęte - spali, stewardesy zbierały naczynia po śniadaniu i wciąż jeszcze się uśmiechały. Jedni czytali, inni gawędzili, panował dobry nastrój, wszyscy cieszyli się świętami, spotkaniem z rodzinami, przyjaciółmi, znajomymi. Z Limy do Pucalpa leci się godzinę i przy dobrej widoczności może to być jeden z najpiękniejszych lotów na tym świecie. Ale w pół godziny po starcie nie mieliśmy już dobrej widoczności, a potem samolot zaczął trochę kołysać, potem kołysał coraz mocniej, aż wreszcie stewardesy poprosiły, by zapiąć pasy. Wciąż jeszcze nie bałam się. Takie „dziury powietrzne" są naturalne w tym miejscu, gdzie stoki górskie opadają ku wschodowi. Krople deszczu zaczęły stukać w okno i w chwilę potem samolotem zaczęło rzucać w dół i w górę, ktoś zaczął krzyżeć.

Wyjrzałam na zewnątrz, na chmury, przez które lecieliśmy, i zobaczyłam niebezpiecznie blisko błyskawicę. Znow samolotem strasznie zatrzęsło, znow usłyszałam krzyki, komuś spadł bagaż ręczny na podłogę.

»Teraz już po wszystkim« - powiedziała mama. Mama bała się samolotów od czasu, kiedy w Stanach Zjednoczonych dostała się raz w straszną burzę. Ale tym razem jej lęk nie miał nic wspólnego z kołysaniem: samolot płonął! Zobaczyłam żółty płomień z prawej strony, spojrzałam na mamę, ale w tym momencie nastąpił straszny wstrząs i potem stwierdziłam, że nie jestem już w samolocie. Byłam na zewnątrz. Siedziałam w moim fotelu w przestrzeni, leciałam w dół.

Wiem jeszcze, że ledwie mogłam oddychać, ponieważ pas bezpieczeństwa zaciskał mi brzuch. Wiem jeszcze, że w powietrzu ciągle mną obracało i że drzewa pode mną wyglądały jak kalafiory, nieskończenie wiele kalafiorów. Potem straciłam przytomność.

Zbudził mnie deszcz. Lało tak, jak tylko w tej części świata lać może w porze deszczowej. Zmierzchało, ale było jeszcze jasno. Leżałam pod moim fotelem, siedzenie obok mnie było puste. Ani śladu mojej matki, również ani śladu mężczyzny, który siedział na lewo od mamy i spał beztrósko, kiedy nastąpił wstrząs. Nie widziałam poza moją ławką żadnego śladu samolotu, byłam sama, tylko żaby rechotały i owady brzęczały. Zorientowałam się, że leżę w wysokopiennym lesie na lekko spadzistym terenie. Brzmi to niezwykle, ale tak było: prawie nic nie czułam.. Rejestrowałam tylko fakty: nie było mego pasa, zgubiłam jeden but, okulary i pierścionek, który był podarunkiem od mamy. Moja suknia mini była nie uszkodzona - zdziwiło mnie to. Czułam, że pod szyją wystaje mi jakaś kość, że jedno oko jest całkiem zapuchnięte, że mam guz na głowie i ranę na nodze. Nie czułam bólu, ale brak mi było energii, aby wstać i rozejrzeć się. Pozostałam więc pod siedzeniem przez całą noc w półśnie i szoku.

Następnego rana wstałam, ale musiałam odczekać, miałam zawroty głowy. Zobaczyłam niewielki pakunek, otworzyłam, wewnątrz był placek świąteczny. To mi przypomniało, że są święta. Pomyślałam o ojcu i jego choince."

Dalszy ciąg relacji Julianny Köpcke to już - jak wspominałem - zupełnie inna historia, choć równie niesamowita. Poprzestańmy jednak na samym opisie wypadku. Tak jak poprzednie wprawił on w osłupienie najlepszych nawet specjalistów. Nikt, absolutnie nikt nie był w stanie znaleźć jako tako rozsądnej odpowiedzi na pytanie: jakim cudem? I my też na nie nie odpowiemy.

## Tchnienie śmierci.

### Postrach mórz.

*„Latający Holender” to straszliwy statek widmo, którego załoga została za grzechy swego kapitana skazana na wieczną tułaczkę po bezmiarach mórz i oceanów. Kiedy dojrzysz kiedyś „Latającego Holendra”, wiedz, że jest to nieomylny znak rychłej zguby, jaka cię czeka...*

*Marynarska gadka*

W drugiej połowie XVII wieku w Niderlandach rozpowszechnia się legenda o Latającym Holendrze - człowieku, który za swe grzechy i zbrodnie skazany został na wieczną tułaczkę po bezmiarach mórz i oceanów aż po dzień Sądu Ostatecznego. Istniały trzy różne warianty tej opowieści. Według pierwszej, „bohaterem” był niejaki Falkenburg, zamożny i powszechnie szanowany kupiec, który w przeddzień ślubu swego brata zamordował podstępnie zarówno jego, jak i jego narzeczoną. Dręczony wyrzutami sumienia, zawędrował nad brzeg morza, gdzie kołysała się niewielka łódka z jednym tylko wioślarem.

- Expectamus te<sup>2</sup> - powiedział cicho marynarz i zawiózł kupca na pokład przedziwnego statku, na którym nie było żywej duszy. Żagle zostały niewidzialną ręką wciągnięte na maszty i statek popłynął na Morze Północne. Odtąd błąka się tam wiecznie i nigdy nie zawija do portu. Dwa duchy Falkenburga - zły i dobry - grają w kości o jego grzeszną duszę, a widmowy statek o purpurowych żaglach nieustannie przecina morskie fale. Nocą nad jego masztami rozbłyskują ogniki, zwiastujące marynarzom nieszczęście...

Według drugiej wersji (najbardziej zresztą rozpowszechnionej) owym legendarnym Latającym Holendrem miał być kapitan van Straaten - odważny, a nawet zuchwały żeglarz - który ośmielił się wypłynąć na morze w Wielki Piątek i przysiągł, iż mimo strasznego sztormu opłynie przylądek Horn. Trzeba pamiętać, że przylądek ten, będący jak gdyby słupem granicznym pomiędzy Atlantykiem a Oceanem Spokojnym, od wieków cieszył się u marynarzy bardzo złą sławą. W tym rejonie szaleją bowiem zawsze potężne sztormy, a i zdradzieckich podwodnych skał jest tu bez liku. Nic więc dziwnego, że od czasów Francisca Drake'a, który pierwszy opłynął Horn, niewielu było kapitanów, którzy kwapiliby się do powtórzenia jego wyczynu.

Rozumiemy więc, że taka zuchwałość nie mogła oczywiście ująć van Straatenowi bezkarnie. Odtąd on i jego statek bezustannie krążą po ołowianych wodach oceanu w oczekiwaniu dnia Sądu Ostatecznego. Kiedy nieszczęśnik spotyka na pełnym morzu inny statek, rozkazuje swoim widmowym marynarzom spuścić szalupę, pod pływa do napotkanego żaglowca i prosi jego kapitana o zabranie paczki listów zaadresowanych do ludzi, którzy już od dawna nie żyją. Przesąd nakazywał, aby takie listy - zwłaszcza jeżeli na pokładzie statku nie było Biblii - natychmiast przybijać do grotmasztu<sup>3</sup>. I pod żadnym pozorem nie wolno ich było czytać: śmiazków czekał bowiem niechybnie zły los.

Zgodnie z trzecią wersją, Latający Holender nazywał się van der Decken. Podobnie jak van Straaten, również poprzysiągł, że podczas sztormu opłynie przylądek Horn. Ocean szalał przez wiele dni, marynarze narzekali, a kapitan spokojnie palił swą nieodłączną fajkę i popijał piwo. Wszystkich, którzy ośmielili się mu sprzeciwić, kazał wyrzucać za burtę. I oto nagle na pokładzie statku pojawił się Duch Święty. Bezbożny kapitan nie uląkł się go jednak, lecz wymierzył doń z pistoletu. Kiedy przebrzmiał huk wystrzału, van der Decken zobaczył, że... sam sobie przestrzelił rękę, która już na zawsze pozostała martwa. Rozwścieczony, przeklął wtedy samego Boga i został za to skazany na wieczną tułaczkę wokół przylądka Horn.

<sup>2</sup> Expectamus te (łac.) - Czekamy na ciebie.

<sup>3</sup> Grotmaszt - na statkach żaglowych dwumasztowych maszt większy, na trzymasztowych - środkowy.

Odtąd jest złym duchem oceanu. Pojawienie się tego żaglowca zawsze zwiastuje sztorm i nieszczęścia.

Ciekawe, że legenda o Latającym Holendrze wcale nie jest rodem z Niderlandów. Wcześniej, bo już na początku XVII wieku, podobne opowieści powstały w Anglii. Według nich owym Latającym Holendrem (albo chyba Anglikiem?) był legendarny kapitan Bernard Fock, podobnie jak i późniejszy van Straaten, odważny i zuchwały żeglarz.

Na swoim statku kazał wzmocnić maszty żelaznymi kotwami<sup>4</sup> i kilkakrotnie zwiększył powierzchnię żagli. Pływał tak szybko po wszystkich morzach i oceanach, że trasę z Anglii do Bombaju w Indiach potrafił pokonać w rekordowym, nieprawdopodobnym czasie: w ciągu zaledwie... dziewięćdziesięciu dni!

Takie wyczyny nie spodobały się... szatanowi, który skazał Focka na wieczną tułaczkę po oceanie pomiędzy Przylądkiem Dobrej Nadziei i przylądkiem Horn. Na jego statku (niestety, legenda nie przekazała nam jego nazwy) jest tylko czteroosobowa załoga: sam kapitan, sternik, bosman i kucharz. Nie bardzo jednak wiadomo, po co komu ten ostatni, skoro są to tylko widma, bezcielesne stwory...

A oto jeszcze wcześniejsza legenda o Latającym Holendrze: tym razem hiszpańska.

Z portu Callao położonego na wybrzeżu hiszpańskiego wicekrólestwa Peru wypłynął do Barcelony żaglowiec, na którego pokładzie znajdował się syn wielkiego granda don Lopeza d'Arandy. Młodzieniec wracał do ojczyzny z przepiękną narzeczoną i wieloma skrzyniami wypełnionymi po brzegi złotem i kosztownościami. Załoga statku, skuszona tak ogromnym bogactwem, zamordowała młodą parę.

Ta zbrodnia została przez Najwyższego ukarana w straszliwy sposób: cała załoga zamieniła się w widma, a statek w wiecznego tułacza po bezkresnych przestrzeniach oceanu. Czasami zjawia się on w ujściu La Platy, wówczas najśmielszy nawet marynarz nie odważy się wyruszyć na morze...

Podobnych legend o Latającym Holendrze znamy dziś bez liku. Różne jest ich pochodzenie, różne są nazwiska przeklętego kapitana, różne powody rzucenia na nich klątwy: świętokradztwo, krwawe morderstwa, straszliwe zbrodnie...

Motyw Latającego Holendra przewija się szeroko w literaturze prawie wszystkich krajów, w których żeglarstwo od wieków było podstawą ich istnienia: w Holandii, Anglii, w Niemczech, w Hiszpanii... Nie chciałbym tu wymieniać wszystkich, ale jeszcze o jednym powiem kilka słów.

W 1834 roku wielki niemiecki poeta Henryk Heine napisał opowiadanie „Pamiętniki pana Sznablewopskiego”. Jego treść przytoczę tu w ogromnym skrócie, ale chyba warto to zrobić, ponieważ... Zresztą o tym za chwilę. A treść jest taka:

Diabeł wygrywa zakład z pewnym kapitanem, który odtąd skazany jest na wieczne tułanie się po morzach aż do dnia Sądu Ostatecznego (zwróćcie uwagę na ten termin!). Jedyne, co może wyzwolić nieszczęśnika z tej bezgranicznej udręki, to... wierność kobiety. Diabeł wcale nie jest jednak taki głupi, za jakiego go mają: świetnie wie, że owa kobieta wierność nie jest, mówiąc ogólnie... najmocniejszą walutą obiegową, toteż łaskawie zgadza się, aby zaczarowany kapitan raz na siedem lat wylądował w dowolnym porcie i spróbował się ożenić, a więc i rzucić z siebie zaklęcie.

Biedny Latający Holender! Ileż to razy z prawdziwą radością... uciekał od kolejnej wybawicielki na pokład swego widmowego statku i godził się na dalszą siedmioletnią włóczęgę!

Wreszcie jednak poznał kiedyś dziewczynę, która pokochała go naprawdę, ofiarowała mu swe serce, a więc i wybawienie, choć dobrze wiedziała, kim jest i za co pokutuje. Tu jednak nasz tułacz, który kochał ją szczerze, decyduje się na to, aby ją porzucić i w ten sposób uchronić przed zgubą. Wyjawia jej swą straszną tajemnicę i każe podnieść żagle na statku. Ale i dziewczyna go kocha, przy czym wie, że tylko jej poświęcenie może mu przywrócić wieczny spokój. Była mu wierna i chce zostać wierną na zawsze: skacze z pionowej skały do morza. Przekleństwo wiszące nad Latającym Holendrem zostaje odczarowane. Widmowy statek powoli zanurza się w szarych falach, a dusze Latającego Holendra i kochającej go wybranki ulatują do nieba.

Oczywiście w takim kilkunastowerszym skrócie doskonale opowiadanie Henryka Heinego sprawia wrażenie głupiej, cikliwej, wręcz idiotycznej historyjki. Pamiętajmy jednak, że jest to przecież tylko skrót! Nasz główny temat jest związany z zupełnie inną sprawą. Jeżeli wspominałem o tym opowiadaniu, to tylko dlatego, że na jego podstawie powstała jedna z najwspanialszych oper: „Latający Holender” Ryszarda Wagnera. W 1838 roku młody, dwudziestopięcioletni kompozytor przebywający podówczas w Rydze, gdzie pracował jako kapelmistrz w teatrze, natrafił na opowiadanie Henryka Heinego. W dwa lata później Wagner pisze swoją słynną operę, której libretto w znacznej mierze oparte zostało właśnie na tym opowiadaniu.

Zresztą „Pamiętniki pana Sznablewopskiego” nie są jedynym literackim opracowaniem motywu Latającego Holendra. W okresie romantyzmu temat ten przewija się w twórczości wielu pisarzy w różnych krajach...

---

<sup>4</sup> Kotew (albo kotwa) - stalowy łącznik, zwykle w postaci śruby lub zagiętego na końcach pręta.

## **Przylądek Burz i Adamastor.**

Legendy, legendy, baśnie i bajdy marynarskie... Jak we wszystkich tego typu opowieściach, tak i w historii o marynarzu tułaczu odnajdujemy ziarenka prawdy. Ciekawe, że pierwszym „oficjalnie” uznanym Latającym Holendrem był... czystej krwi Portugalczyk, przy czym wszystko działo się o dwa stulecia wcześniej.

Pod koniec XV wieku portugalscy żeglarze, podobnie jak ich hiszpańscy koledzy, starają się odnaleźć szlak morski do Indii -legendarnej krainy pełnej niezwykłych bogactw, a przede wszystkim tak poszukiwanych w Europie korzeni i wonności, do której drogę lądową skutecznie odcięło potężne państwo otomańskie. Epoka wielkich odkryć - podróże Kolumba, Magellana i Vasco da Gamy -miała więc całkiem prozaiczne podłoże<sup>5</sup>.

Pierwszym z odważnych żeglarzy, który starał się odnaleźć tę drogę, był Portugalczyk Bartholomeu Diaz de Novaes. W sierpniu 1487 roku trzy karawele pod jego dowództwem wyruszyły wzdłuż zachodniego krańca Afryki z zamiarem opłynięcia tego kontynentu. W okolicach 33° szerokości południowej, kiedy statki znalazły się w pobliżu Zatoki Świętej Heleny, zaczął szaleć potężny huragan. Diaz w obawie, aby statki nie roztrzaskały się o przybrzeżne skały, skierował je na pełne morze. Huragan poniósł karawele jak łupinki na południe, żeglarze stracili z oczu brzeg. Kiedy ocean się nieco uspokoił, Diaz kazał zwrócić je na wschód. Wśród załóg omal nie wybuchł bunt - wszyscy byli przeraźliwie wyczerpani kilkudniową walką ze sztormem. Diaz jednak poprzysiągł na wszystkich diabłów (Uwaga I Zaczyna się!), że będzie płynął tak długo, aż dotrze do południowego krańca Afryki.

Minęło kilka dni, statki płynęły cały czas na wschód, lecz zagubiony brzeg nie pojawiał się. Wówczas Diaz kazał skierować je na północ: chciał się bowiem przekonać, czy przypadkiem nie znalazł się już po drugiej stronie kontynentu. I rzeczywiście: kiedy wreszcie pojawiły się zarysy brzegu, odważny żeglarz stwierdził, że linia wybrzeża zatacza łagodny łuk na północny wschód. Tak więc karawele znalazły się wreszcie na Oceanie Indyjskim, który dotychczas uważany był przez geografów europejskich za morze zamknięte, nie mające połączenia z Atlantykiem.

Diaz był pełen szczęścia: jeszcze trochę, a dotrze do Indii, owej „krainy obiecanej” średniowiecza! Tu jednak wydarzyła się rzecz nieoczekiwana: załogi karawel stanowczo sprzeciwiły się kontynuowaniu wyprawy, grożąc otwarciem buntem, jeżeli dowódca nie kaze zawrócić do Portugalii. Diaz musiał ustąpić. Zły los sprawił, że zaszczyt odkrycia morskiej drogi do Indii miał przyspaść innemu żeglarzowi.

W powrotnej drodze, kierując się na zachód, Diaz dostrzegł u południowego krańca Afryki wielki skalny przylądek. Dla upamiętnienia owego dwutygodniowego sztormu nazwał go Przylądkiem Burz -Cabo Tormentoso.

Nazwa utrzymała się jednak dość krótko. Kiedy po półtorarocznym rejsie - w grudniu 1488 roku - Diaz powrócił do ojczyzny, król Jan II, po wysłuchaniu sprawozdania z wyprawy, kazał przemianować Przylądek Burz na Przylądek Dobrej Nadziei (Cabo da Boa Esperanca); przecież odkrycie Diaza pozwoliło teraz żywić nadzieję, że uda się dotrzeć do owej wymarzonej krainy drogą morską. Nadzieja spełniła się zresztą w rok później, kiedy to rodak Diaza, Vasco da Gama, wylądował nareszcie w Indiach.

Podczas kolejnych wypraw Portugalczyków w rejon Cabo Tormentoso straszliwe sztormy, na jakie tam natrafiono, podwodne rafy, trudy podróży zrodziły wiele fantastycznych legend o złym duchu burz - Adamastorze - władcy owego złowrogiego przylądka, zwanego już jednak, jak na urągowisko, Przylądkiem Dobrej Nadziei.

Zgodnie z krążącymi w marynarskim świecie opowieściami, Adamastor postanowił zemścić się na Diazie - pierwszym śmiałku, który dotarł do owego przylądka. Według innej wersji, której autorami byli przede wszystkim marynarze Diaza opowiadający swoje przerażające przeżycia w portowych knajpach Lizbony, Diaz został przeklęty przez Boga i skazany przezeń na wieczne tułanie się w pobliżu Przylądka Burz. Nie dziwnym jest więc, że odważny żeglarz miał coraz więcej kłopotów ze skompletowaniem załóg do swych karawel.

A w dwa lata po wyprawie na południowy kraniec Afryki... złowroga przepowiednia sprawdziła się: 29 maja 1500 roku statek Bartholomeu Diaza pod dowództwem odkrywcy Brazylii, Cabrala, zaginął bez śladu podczas sztormu w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei.

Przesądni ludzie morza widzieli w tym oczywiście spełnienie „woli Bożej” czy też straszliwej klątwy Adamastora. Odtąd w legendach, potwierdzonych niejako przez życie, odważny żeglarz staje się wiecznym tułaczem. Portugalscy marynarze powracający z Indii przysięgali, że w czasie sztormu wyraźnie widzieli w pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei statek Diaza pędzący pod wszystkimi żaglami...

---

<sup>5</sup> Obszerne informacje na ten temat znajdzie czytelnik w książce J.J. Herlingera „Niezwykłe perypetie odkryć i wynalazków”. Wyd. II Warszawa 1975 r.

## **Statki widma.**

W każdej legendzie, nawet najbardziej fantastycznej, jest zawsze jakaś część prawdy. Czyżby więc i opowieści o Latającym Holendrze nie były pozbawione sensu, nie były tylko wytworem wyobraźni marynarzy?

No cóż - historia zna wiele, bardzo wiele przypadków, kiedy napotymano na pełnym morzu żaglowce pływające bez załogi, statki widma, prawdziwe „Latające Holendry”, siejące nie tylko zabobony strach, lecz i materialne spustoszenia. Bezpańskie statki stały się prawdziwą plagą na morskich szlakach. Zderzenie się w nocy z na wpół zatopionym wrakiem nie mającym żadnych świateł było równoznaczne z pójściem na dno. W ciągu zaledwie dwóch lat - od 1891 do 1893 roku - słynna angielska firma ubezpieczeniowa Lloyd<sup>6</sup> otrzymała prawie dwa tysiące oficjalnych raportów o napotkaniu na pełnym morzu statku widma. Katastrofy zdarzały się coraz częściej, straty były coraz większe, toteż za czasów prezydenta Clevelanda zwołano w Stanach Zjednoczonych specjalną międzynarodową konferencję, w której wzięły udział wszystkie największe potęgi morskie świata. Wniosek był jednorodny: z „Latającymi Holendrami” trzeba prowadzić bezpardonową walkę, trzeba je niszczyć!

A porzucone żaglowce nie zawsze chciały dobrowolnie osiąść na morskim dnie, zwłaszcza jeżeli były wyposażone w drewno lub innymi lekkimi towarami. Tak zaczynały się często niezwykle odyseje widmowych żaglowców...

W 1775 roku angielski statek wielorybiczny „Grenlandia” znalazł się wśród lodów Arktyki na 77 równoleżniku w Zatoce Baffina. Jak okiem sięgnąć, wokół statku rozciągały się nie kończące pola lodowe. Kapitan Warrens kazał natychmiast wziąć powrotny kurs, ale w tym samym momencie wiatr ustał, żagle opadły. Dopiero w dwa dni później zaczął dąć lekki wietrzyk, który szybko jednak przemienił się w straszliwy sztorm. Potężne góry lodowe przewracały się jedna za drugą, wydawało się, że wybiła ostatnia godzina „Grenlandii” i jej załogi.

W południe następnego dnia sztorm ucichł równie gwałtownie, jak się rozpoczął. Statek powoli zaczął lawirować wśród gór lodowych, wycofując się na południe.

Nagle marynarze spostrzegli, że nad jedną z gór lodowych powoli przesuwają się wierzchołki trzech masztów z wydętymi żaglami.

Czyżby był tu jeszcze jakiś statek? Przecież to niemożliwe! Po chwili jednak zza góry wyłoniła się sylwetka wielkiego trójmasztowca. Wielorybnicy zauważyli, jak dziwnie powykręcane są reje, jak nienaturalnie postawione żagle...

- To „Holender”! - zakrzyknęli przerażeni marynarze. - To zwiastun naszej zguby!...

W pewnym momencie obcy statek zahaczył kilem o podwodną część jednej z gór lodowych i zatrzymał się w odległości 200 metrów od „Grenlandii”. Kapitan od razu zrozumiał, co się dzieje.

- To nie „Holender”! Oni potrzebują natychmiastowej pomocy. Spuścić szalupę!

Na pokładzie trójmasztowca, pokrytym grubą warstwą lodu i śniegu, nie było żywej duszy. Warrens zauważył, że korpus żaglowca jest poważnie uszkodzony i spróchniały. Nazwa statku była tak zatarta, że nikt nie był jej w stanie odczytać.

Kapitan zajrzał przez luk do wnętrza jakiegoś pomieszczenia i dostrzegł sylwetkę siedzącego przy stole człowieka. Kiedy wraz z marynarzami wszedł do kajuty, stwierdził, że człowiek był martwy. W ręce miał zaciśnięte gęsie pióro, przed nim leżał otwarty dziennik pokładowy:

„14 listopada 1762 roku. Jesteśmy uwięzieni w tych lodach już siedemnasty dzień. Wczoraj zgasł ogień. Kapitan bezskutecznie stara się go rozpaścić. Dziś rano zmarła jego żona...”

W kapitańskiej kajucie na łóżku leżały zwłoki kobiety. Obok, na podłodze, siedział martwy mężczyzna, trzymając w jednej dłoni krzesiwo, w drugiej krzemień, a niedaleko niego leżały zwłoki jeszcze jednego mężczyzny.

Przetrzęsnięto wszystkie pomieszczenia, odnaleziono jeszcze kilku martwych marynarzy: silny mróz dobrze zakonserwował ich ciała.

Warrens zabrał ze sobą część dziennika pokładowego. Tylko cześć, bo reszta rozsypywała się pod palcami. Po powrocie do Anglii kapitan zameldował o wszystkim w Admiralicji. Jednak mimo wszelkich starań nie udało się odtworzyć ani nazwy, ani portu macierzystego statku, który przez 13 lat błąkał się wśród lodów Arktyki.

Tragiczne były losy również statków zadżumionych. W 1773 roku jeden z nich zawinął do Wenecji, aby uzupełnić zapasy wody i prowiantu. Kiedy jednak zjawił się na redzie, władze portowe dowiedziały się przypadkiem, że na statku zmarło na dżumę kilkunastu majątków wraz z kapitanem. Na nieszczęsny statek wycelowano armaty i kazano mu natychmiast opuścić port. Żaglowiec skierował się do Tunisu, ale wieść o nim i o strasznej zarazie panoszącej się na jego pokładzie znacznie go wyprzedziła. W Tunisie powtórzyła się ta sama historia, co w Wenecji. Żaden port na Morzu Śródziemnym nie chciał ryzykować; ani Włochy, ani Hiszpanie, ani tym bardziej Francuzi, którzy dobrze

<sup>6</sup> Patrz rozdział: „Czerwona księga”.

jeszcze pamiętali, jak przed półwieczem połowa ludności Marsylii zmarła na skutek epidemii zawleczonej do portu przez jakiś statek.

Dwudziestu trzech marynarzy zadżumionego statku, którzy jeszcze pozostali przy życiu, skazani byli na powolną, lecz nieuchronną śmierć. Bez wody, bez prowiantu ginęli jeden po drugim... A statek żył, żył własnym życiem. Spotykano go jeszcze wielokrotnie w pobliżu Azorów, widziano, jak pędził pod wszystkimi żaglami, choć oczywiście nikt z jego załogi już nie pozostał przy życiu.

Na przełomie XIX i XX wieku w dziennikach pokładowych wielu statków aż roi się od notatek o spotkaniach z „Latającymi Holendrami”, przy czym te notatki często wpisywane były przez doświadczonych i wcale nie zabobonnych kapitanów. Opuszczone przez załogi, podziurawione lub wypalone wraki żaglowców nie zawsze szły na dno. Według danych amerykańskich w jednym tylko 1881 roku uległy katastrofom 2193 statki, z czego 1108 osiadło na mieliźnie, 550 - pozostało na otwartym morzu, 229 - zostało strawionych przez pożary, 205 - zatono na skutek zderzeń, 101 statków zaginęło bez wieści<sup>7</sup>.

W 1890 roku angielski trójmasztowiec „Marlborough” wypłynął z Nowej Zelandii do Anglii. Na pokładzie było 23 marynarzy, kilku pasażerów, ładunek wełny i mrożonej baraniny. Ostatni raz żaglowiec widziano w pobliżu przylądka Horn.

Statek nie przybył jednak do portu przeznaczenia, a wszelki śluch po nim zaginął. Przypuszczano, że była to jeszcze jedna ofiara tych niebezpiecznych wód, na których przez 300 dni w ciągu roku szaleją niezwykle silne sztormy.

Minęło ćwierć wieku i... „Marlborough” odnalazł się! Dostrzeżono go w pobliżu Ziemi Ognistej, w Cieśninie Magellana koło Puma Arenas. Marynarze angielskiego barku, którzy zauważyli „Latającego Holendra”, zgodnie oświadczyli, że żaglowiec płynął przy sprzyjającym wietrze. Na pokładzie wszystko było w idealnym porządku. Leżały tam jednak trzy szkielety ludzkie; dziesięć innych odnaleziono w kajutach. Burty, olinowanie i żagle pokryte były dziwnym, zielonkawym nalotem.

Poszycie statku przegniło, dziennik pokładowy zapleśniał do tego stopnia, że nie udało się z niego odczytać ani słowa. Żaglowiec obejrzano tylko pobieżnie, bo zaczął się wzmacać wiatr, toteż kapitan barku kazał odbić od burty „Marlborougha”.

Po powrocie do Anglii złożono w Admiralicji i w „Corporation of Lloyd's” obszernie sprawozdanie. Nikt jednak nie chciał uwierzyć, żeby martwy statek, przez nikogo nie kierowany, mógł się utrzymać na powierzchni w tym strasznym rejonie, będącym prawdziwym cmentarzyskiem statków, przez 25 lat! I jeszcze jedno: co się stało z pozostałymi dziesięcioma marynarzami? Zmarli wcześniej od innych i zostali zrzućeni za burtę? A może fale zmyły z pokładu ich ciała? Czy też starali się uratować w szalupach?

Niestety - na te pytania nigdy nie znaleziono odpowiedzi, a „Marlborough” został uwieczniony w annałach kronik morskich jako jeszcze jeden „Latający Holender”.

13 marca 1888 roku czteromasztowy szkuner amerykański „William White” rozpruł sobie dno o rafę koralową. Wszelkie próby załatania dziury w ładowni okazały się beznadziejne, toteż załoga opuściła pokład żaglowca w pobliżu wyspy Long Island<sup>8</sup>: statek skazany był przecież na zagładę.

A jednak szkuner nie poszedł na dno. Widziano go wielokrotnie na północnym Atlantyku. Kapitanowie statków, zmyleni sygnałem klęski - odwróconą flagą wywieszoną na gaflu - podpływali doń, spiesząc na ratunek. Szkuner pływał przez 10 miesięcy, aż wreszcie sztorm wyrzucił go na skały jednej z wysepek na Hebrydach. Przepłynął w tym czasie pięć tysięcy mil morskich!

W lipcu 1850 roku mieszkańcy niewielkiej rybackiej osady Eastons Beach, leżącej na wybrzeżu stanu Rhode Island, ze zdziwieniem zauważyli, że od strony morza pod wszystkimi żaglami pędzi w kierunku brzegu żaglowiec. Kiedy statek utknął na mieliźnie, rybacy weszli na pokład. I tutaj zauważyli rzecz zupełnie niebывалą: w kambuzie gotowała się kawa, w salonie na stołach porozstawiane talerze. Jediną żywą istotą na pokładzie był... pies, drżący ze strachu, nie dający do siebie nawet podejść. Poza nim na statku nie było ani jednego człowieka! A jeszcze dziwniejsze, że na żaglowcu panował absolutnie idealny porządek. Ładunek, przyrządy nawigacyjne, mapy, dokumenty, wszystko leżało nietknięte. Ostatnia notatka w dzienniku pokładowym brzmiała następująco „Jesteśmy na trawersie rafy Brenthon.”

A ta właśnie rafa, co jest też bardzo dziwne, znajduje się w odległości zaledwie kilku mil morskich od Eastons Beach.

Statek zbadano niezwykle dokładnie, sprawdzono jego trasę, ale po dziś dzień nie wiadomo, co się stało z ludźmi, gdzie zaginęła załoga i pasażerowie.

Równie tragiczny wypadek odnotowano we wrześniu 1894 roku na Oceanie Indyjskim, gdzie napotkano trójmasztowy bark szwedzki, na którego maszcie powiewał sygnał nieszczęścia. Kiedy na pokład weszli marynarze ze statku, który się nań natknął, zobaczyli rzecz straszną: zwłoki 38 ludzi. Żył jedynie kapitan, który był nieprzytomny. Gdy go ocucono, okazało się, że postradał zmysły. Nigdy nie dowiedziano się, jakie nieszczęście spotkało załogę statku.

<sup>7</sup> Patrz rozdział: „Czerwona księża”.

<sup>8</sup> Long Island - wyspa u wschodnich wybrzeży USA, oddzielona od ładu rzeką Hudson i zatoką, na której położony jest Nowy Jork.



Ostatni podobny wypadek odnotowano w 1972 roku...

Wszelkie rekordy „bezzałogowych” rajdów dzierży jak dotychczas amerykański szkuner „Star”.

1 czerwca 1893 roku żaglowiec z ładunkiem drewna i futer odpłynął z Aleutów w kierunku Hawajów. Na Pacyfiku w pobliżu wyspy Midway wystający szpic rafy koralowej rozpruł mu dno, statek osiadł na skałach. Załoga opuściła pokład żaglowca w szalupach i wkrótce została uratowana przez amerykański statek handlowy.

W miesiąc później kapitan amerykańskiego żaglowca „Doon”, który zawinął do portu w San Francisco, oświadczył, że widział szkuner pędzący pod wszystkimi żaglami około 130 kilometrów na północ od Midway. Nikt mu nie uwierzył, choć jego zeznanie potwierdziło kilku marynarzy z załogi.

W cztery miesiące później kapitan niewielkiego angielskiego statku oświadczył, że dostrzegł „Star” w odległości 400 mil na zachód od San Francisco. Pokład szkunera był pusty, ale statek pędził jak szalony i wkrótce skrył się za horyzontem.

Kolejna informacja nadeszła z wyspy Funning: na początku października 1893 roku „Star” został dostrzeżony z latarni morskiej.

Ta wiadomość była już prawdziwą sensacją. Nikt nie chciał uwierzyć, by opuszczony statek, który zresztą uległ uszkodzeniu, pływał sobie nadal. Wszczęto więc poszukiwania szkunera, który nagle rozplynął się jak gdyby we mgle. W cztery miesiące później „Star” dostrzeżono z pokładu norweskiego żaglowca w pobliżu wyspy Hull w archipelagu Feniks należącym do Wysp Gilberta. Statek szybko skrył się jednak za horyzontem i wszelki słuch o nim zaginął na przeciąg kilku lat.

I oto nagle - w październiku 1896 roku - szkuner osiadł... na tej samej rafie wyspy Midway, na której został porzucony przez załogę przed ponad trzema laty. Żaglowiec odbył w tym czasie rejs dookoła świata!

Wszystko to działo się dawno, przed mniej więcej stu laty. Ale i w XX wieku zdarzały się rzeczy równie dziwne. Oto jeden z najbardziej niezwykłych przypadków, jakie zanotowano w kronikach morskich już naszego wieku.

Duński żaglowiec szkolny „København” w dniu 4 grudnia 1928 roku wyszedł z portu Buenos Aires, aby kontynuować swoją podróż dookoła świata. Na pokładzie żaglowca znajdowała się załoga oraz 60 kadetów, wychowanków szkoły morskiej. W tydzień później, kiedy „København” pokonała już odległość około 400 mil morskich, otrzymano od niej radiotelegram. Dowódca informował, że rejs przebiega normalnie i że na statku wszystko jest w porządku. Była to ostatnia wiadomość, jaka nadeszła ze statku.

Do swego portu macierzystego, Kopenhagi, żaglowiec nigdy nie dotarł. Wszelki ślad po nim zaginął, choć później napłynęło wiele informacji o napotkaniu go w najprzeróżniejszych zakątkach Atlantyku. Wypowiedzi naocznych świadków tych spotkań zawsze się ze sobą pokrywały. Zgodnie z nimi statek płynął pod wszystkimi żaglami, ale na jego pokładzie nie było żywej duszy. W styczniu 1929 roku mieszkańcy wyspy Tristan da Cunha, znajdującej się na Atlantyku mniej więcej w połowie drogi między Brazylią a Przylądkiem Dobrej Nadziei, dostrzegli wspaniałego żaglowca, który pędził wprost na zdradzieckie rafy przybrzeżne. Zbliżył się on na tyle blisko do wyspy, by można było stwierdzić, iż na pokładzie nie ma żywej duszy. Szeroki biały pas ciągnący się wzdłuż burty - cecha charakterystyczna wszelkich statków szkolnych - pozwalał przypuszczać, że jest to właśnie zaginiona „København”.

Mniej więcej w odległości pół mili od wyspy statek dostał się jednak w potężny prąd morski, a nagle mgła skryła go. Nie odnaleziono nigdy żadnych szczątków pochodzących z żaglowca. Wkrótce jednak nadeszła wiadomość, że mniej więcej w tym samym okresie w pobliżu wyspy Tristan da Cunha przepływał czteromasztowy bark bardzo przypominający „København”. Niewykluczone więc, że to właśnie on został dostrzeżony z wyspy, a nie zaginiony żaglowiec.

Jeszcze w tym samym roku otrzymano kolejną informację, tym razem od rybaków z Chile. W czasie połowów u południowych wybrzeży tego kraju dostrzegli oni podczas ostrego sztormu żaglowiec, który bardzo przypominał „København”. Tym razem jednak statek nie miał już ani jednego masztu. Kutry ratunkowe natychmiast popłynęły we wskazany rejon, przeszukały go, ale nie natrafiły nie tylko na jakikolwiek ślad „København”, lecz nawet najmniejsze choćby szczątki statku.

Duńska opinia publiczna była oczywiście wstrząśnięta tym wypadkiem. Statek słynął przecież w owym czasie jako jeden z najwspanialszych żaglowców świata. Rodzice zaginionych kadetów wykupowali z własnych funduszy ekspedycję poszukiwawczą. Niestety - długotrwałe wysiłki zmierzające do odnalezienia „København” nie dały żadnego rezultatu...

## **Morze pułapka.**

„Latające Holendry” - a było ich bez liku - nie zawsze wędrowały przez oceany w kierunkach uzależnionych od wiatrów czy prądów morskich. Na północnym Atlantyku czyhała bowiem na nie dziwna pułapka: morze bez brzegów, morze wśród morza.

W ciągu bez mała pięciu stuleci, począwszy od epoki wielkich odkryć geograficznych, marynarze całego świata byli przekonani, że owa pułapka - oficjalnie zwana Morzem Sargassowym<sup>9</sup> - pozbawiona jest wszelkich wiatrów i prądów. Pełno tutaj gęstych, podwodnych roślin, które jak ośmiornice chwytają zabłąkane statki i wciągają je na dno, gdzie spoczywają obok siebie smukłe łodzie wikingów, hiszpańskie galeony i pirackie brygantyny angielskie.

To największe na świecie cmentarzysko statków napawało żeglarzy tak wielkim strachem, że aż do 1925 roku panowało powszechne przekonanie, iż ani jeden, najpotężniejszy nawet parowiec nie jest w stanie dotrzeć do środka Morza Sargassowego, gdyż wodorosty, wplątane w śruby okrętowe, niechybnie go unieruchomią. A wtedy!...

No cóż, domyślacie się chyba reszty.

Tymczasem rzeczywistość okazała się inna. Uczeni po zbadaniu morza stwierdzili, że tutejsze wodorosty, owe niby-hydry, niby-ośmiornice, są tak kruche, że z łatwością poradzi sobie z nimi najsłabszy nawet parowiec.

A jednak Morze Sargassowe jest prawdziwą pułapką dla „Latających Holendrów”, opuszczonych wraków, które przypadkiem trafią w ten rejon Atlantyku. Wokół tego morza bowiem przebiega zamknięty, prawie kołowy prąd morski poruszający się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Jeżeli jakkolwiek wrak dopłynie do tego prądu i zostanie przezeń porwany., będzie krążył wraz z nim niestrudzenie przez długi czas. Przed prawie stu laty, w 1884 roku, spotkano tutaj tak stary statek, że nikt nie umiał określić, z jakiego wieku pochodzi.

15 października 1891 roku w pobliżu przylądka Hatteras<sup>10</sup> przepływał uszkodzony amerykański szkuner „Fenui Valeten”. Załoga w obawie przed zatonięciem opuściła go, a on, mimo uszkodzenia, nie zatonął, mając w swych ładowniach duże ilości drewna. Załoga szkunera odpłynęła w szalupie i została przyjęta na pokład jakiegoś przepływającego statku. Sądzone, iż szkuner zatonął.

Tymczasem „Fenui Valeten”, opuszczony przez załogę, samotnie, zdany na łaskę fal oceanu, niesiony prądem Gólfströmu, płynął prawie przez cały rok na zachód z prędkością około 36 mil na dobę, aż dopłynął do Morza Sargassowego. Przez nie posuwał się tylko z prędkością 6 mil na dobę, gdyż wodorosty hamowały jego szybkość. Rejs ów trwał przeszło 3 lata, droga jego zaś wyniosła ponad 8 tysięcy mil. Załogi różnych statków widziały szkuner „Fenui Valeten” 46 razy, co pozwoliło dokładnie określić drogę jego dryfu.

Po raz ostatni zobaczono ów samotny szkuner 21 października 1894 roku i - co jest najbardziej dziwne i tajemnicze - w tym samym rejonie, gdzie go opuściła załoga, stwierdziwszy uszkodzenie.

Angielska brygantyna „Polly” pływała po Morzu Sargassowym przez okrągłe pół roku. Kiedy wreszcie dotarła do jej wraka, na pokładzie odnaleziono... żywego marynarza z jej załogi!

Pod koniec ubiegłego wieku, kiedy statki parowe prawie całkowicie opanowały handlowe szlaki morskie, właściciele żaglowców starali się wyciągnąć ze swych starych, spróchniałych łajb jak najwięcej pieniędzy. Eksploatowano je więc niemilosiernie, a w razie jakiegokolwiek awarii porzucano na środku oceanu. Wtedy właśnie pojawiło się szczególnie dużo statków widm, które stanowiły poważne zagrożenie dla żegluga na wytyczonych liniach oceanicznych.

Uczestnicy owej konferencji, o której już wspominałem, postanowili wydać wrakom śmiertelną walkę: niszczone je pociskami z dział okrętowych, wysadzano w powietrze potężnymi ładunkami wybuchowymi, palono, a nawet taranowano.

Prawdziwe statki widma okazały się bowiem znacznie groźniejsze od legendarnych!...

## **Koniec legendy o „Latających Holendrach”.**

Właśnie! Co z tą legendą, co z tymi prawdziwymi widmowymi żaglowcami, których kapitanowie za swe ciężkie zbrodnie skazani zostali na wieczną tułaczkę po bezmiarach mórz i oceanów? Bo przecież te wszystkie statki wraki wcale nie były widmami, lecz jak najbardziej materialnymi jednostkami pływającymi, nie mającymi ostatecznie nic wspólnego z duchami i upiorami przeklętych żeglarzy.

No cóż - wspominałem już, że w każdej legendzie, nawet najbardziej nieprawdopodobnej, jest ziarenko prawdy, choćby najmniejsze. Otóż owe widziadła, owe nierealne mary... istniały jednak (i istnieją jeszcze po dziś dzień) naprawdę! Mówiłem zresztą już o tym, że informacje o nich zostały wielokrotnie uwiecznione w dziennikach pokładowych statków i okrętów, których kapitanów w żadnym

<sup>9</sup> Jest to część Oceanu Atlantyckiego, wielkie skupisko glonów, zwanych sargassami (stąd nazwa morza).

<sup>10</sup> Przylądek Hatteras w stanie Północna Karolina na wybrzeżu atlantyckim USA.

wypadku nie można podejrzewać o zabobony, przesady lub najzwyczajsze przywidzenia wywołane na przykład nadmiernym spożywaniem rumu.

Oto dwa wyciągi z dzienników pokładowych. Pierwsza informacja została odnotowana na przełomie XIX i XX wieku przez młodego, lecz bardzo już doświadczonego badacza arktycznego, kapitana Edwarda White'a:

„...Widziałem przez lornetkę zarysy statku, jego olinowanie i ożaglowanie tak dokładnie, że natychmiast poznałem, iż jest to statek mego ojca. Kiedy kazałem zrobić zwrot, żaglowiec nagle zniknął z pola widzenia. Odnotowałem dokładnie dzień i godzinę, a także pozycję mego statku. Kiedy po kilku miesiącach porównaliśmy z ojcem nasze dane, okazało się, że byliśmy od siebie w odległości ponad trzydziestu mil morskich<sup>11</sup>. W żaden sposób nie mogłem go więc zobaczyć.”

A jednak kapitan White widział statek swego ojca. Widział go zresztą również sternik i marynarz z bocianiego gniazda. A oto jeszcze jedna notatka:

„11 lipca 1881 roku w pobliżu Sydney o godzinie 4 nad ranem obok nas przemknął »Latający Holender«. Zauważyliśmy dziwną czerwoną poświatę otaczającą żaglowiec. W tym świetle zupełnie wyraźnie dostrzegliśmy maszty i żagle brygantyny, która minęła nas w odległości jednego kabla<sup>12</sup>. Kiedy zbliżyła się do nas, zaczęliśmy wołać.

Brygantynę widział także oficer wachtowy i jeden z kadetów. Kiedy jednak pobiegł na bak naszego statku, brygantyna nagle zniknęła. Morze było spokojne, noc wyjątkowo jasna. Marynarz, który pierwszy dostrzegł »Latającego Holendra«, spadł dzisiaj z rei i zabił się na miejscu, później nieszczęście spotkało admirała...”

No, jak Wam się to podoba? Wszystko jak w legendzie: „Latający Holender” pojawiający się nagle, jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, otoczony widmową poświatą, przepływający w zupełnym milczeniu i znikający równie nagle i niespodziewanie, jak się ukazał. I jeszcze owe nieszczęścia, które zwiastuje pojawienie się go: gwałtowna śmierć marynarza, który pierwszy go dostrzegł, bliżej nie określone kłopoty dowódcy.

Gdybyście powątpiewali w autentyczność tej notatki, spieszę donieść, że została ona wpisana do dziennika pokładowego angielskiego okrętu wojennego „Bacchant” własnoręcznie przez... późniejszego króla Jerzego V, który na pokładzie tej właśnie jednostki odbywał praktykę morską jako kadet.

Jeżeli zaś chodzi o „Latające Holendry”, zauważono już dawno szereg prawidłowości, które dały fachowcom wiele do myślenia. Przede wszystkim sposób, w jaki się pojawiały. Normalny statek wychyla się spoza linii horyzontu powoli: najpierw widoczne są czubki masztów, potem górne żagle, dolne, wreszcie kadłub... „Prawdziwy” Holender nigdy tak się nie ukazuje. Pojawia się nagle, w ułamku sekundy, w całej swej okazałości, przy czym prawie zawsze pędzi przeciwnym kursem niż statek, z którego go obserwują. Czasem unosi się w powietrzu, nad poziomem morza, przy czym cała jego podwodna część, znajdująca się poniżej waterlinii, jest niewidoczna. Wydaje się, że statek płynie w powietrzu! Często otacza go różowawa poświatą, czasem nad masztami połyskują ogniki św. Elma. Mknie w absolutnej ciszy: nie słychać najmniejszego łopotania żagli, skrzypienia rej, świstu wiatru w olinowaniu. Kiedy wydaje się, że zderzenie jest prawie nieuniknione, znika w ułamku sekundy, rozplywa się równie błyskawicznie, jak się pojawił.

I jeszcze jedno: zwrócono uwagę, że w miarę upływu czasu coraz rzadziej odnotowuje się jego pojawianie. Czyżby więc nasze czasy, w których kierujemy się racjonalizmem w postępowaniu i myśleniu, stwarzały coraz mniej miejsca przesądom i zabobonom i nie sprzyjały „Latającym Holendrom”?

Jak to zwykle bywa, im bardziej tajemnicze jest jakieś zjawisko, tym prostsze jego rozwiązanie. Tak było i tym razem. Okazało się, że „Latający Holender” to po prostu... miraż, fatamorgana.

Na pewno słyszeliście już, co to jest. Wędrowcy na pustyni nagle widzą przed sobą wspaniałą oazę, pełną daktylowych palm, pod którymi można znaleźć tak przecież upragniony cień i ożywczą wodę. Karawana przyspiesza, ale... oaza również. Odległość pomiędzy nią a wędrowcami na pustyni jest wciąż taka sama, aż nagle miraż znika.

Rzecz polega na tym, że poszczególne warstwy powietrza nagrzewają się w różny sposób, niejednakowo. Na przykład rano, kiedy dolne warstwy stykają się z zimną jeszcze wodą, górne są bardziej nagrzane i tworzy się w nich jak gdyby lustro atmosferyczne, w którym odbijają się wyspy i wybrzeża, a także statki znajdujące się daleko poza linią horyzontu. Nasze oczy nie dostrzegają tego załamania się promieni, dlatego też dalekie przedmioty będziemy widzieli znacznie wyżej, ale i znacznie bliżej niż w rzeczywistości. Całe zjawisko zostało w uproszczeniu przedstawione na załączonym rysunku.

Rozumiecie teraz, skąd się brały „Latające Holendry”? Były to prawdziwe statki, żeglujące sobie spokojnie gdzieś daleko poza linią horyzontu, które na skutek załamania promieni słonecznych pojawiały się nagle przed oczami przerażonych marynarzy. Dlatego też często mknęły ponad wodą, dlatego nie słychać było najmniejszego szmeru. Otoczone ciszą, pojawiały się i znikły jak widma.

<sup>11</sup> Ponad 75 kilometrów. 1 mila morska = 1,852 kilometra.

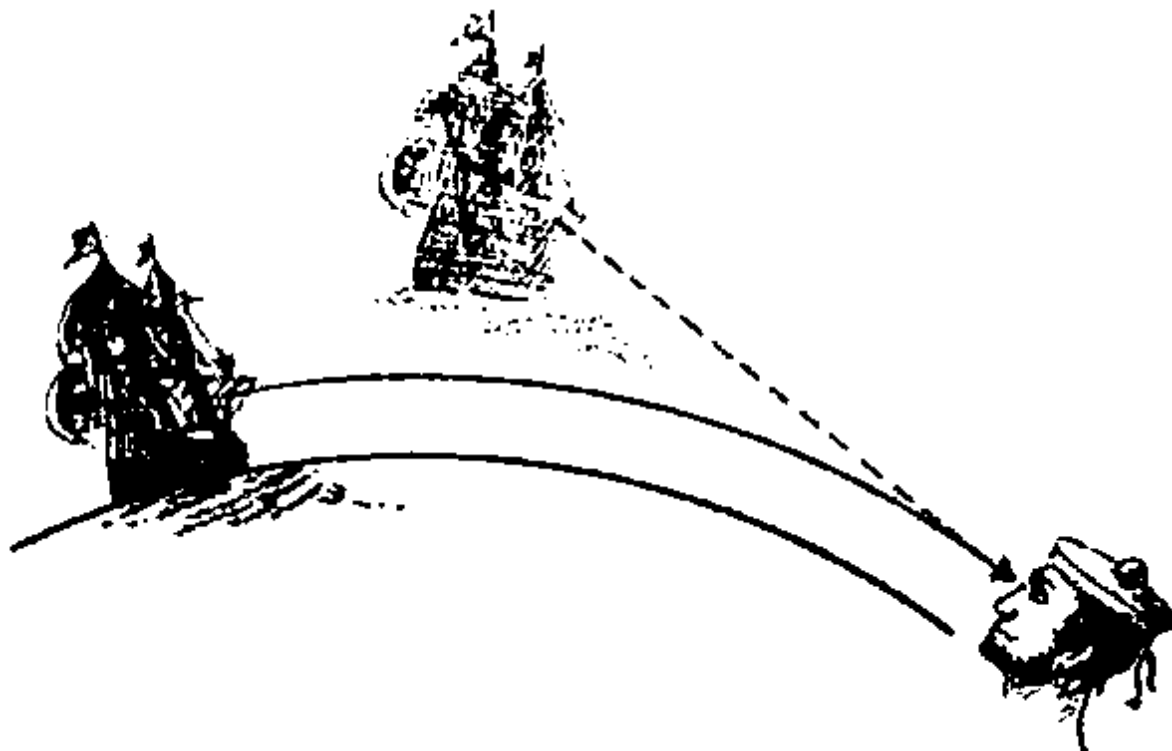
<sup>12</sup> Jednostka odległości stosowana na morzu, równa 1/10 mili morskiej, czyli 185,2 metra.

Stąd też często czerwona poświata, bo czerwone promienie załamują się znacznie silniej niż pozostałe.

A to, że tych „Latających Holendrów”, tych widmowych żaglowców jest coraz mniej, że coraz rzadziej pojawiają się oczom zdumionych żeglarzy, wynika po prostu z tego, że coraz mniej jest w ogóle żaglowców, bezlitośnie wypieranych ze wszystkich mórz i oceanów przez dymiące parostatki i motorowce. W epoce pary i silników wysokoprężnych nie ma miejsca dla „Latających Holendrów”.

Chociaż nie tak znowu dawno, bo w latach dwudziestych, zdarzył się wypadek równie nieprawdopodobny. Nowoczesny transatlantyk podążał z kompletem pasażerów z Europy do Ameryki. Nagle kilkaset osób znajdujących się na pokładzie statku zobaczyło niezwykle wyraźnie „Latającego Holendra”, który pod wszystkimi żaglami pędził wprost na nich!

Dążył silny wiatr i legendarny szesnastowieczny statek, prując dziobem ogromne fale, zbliżał się jak błyskawica. Dosłownie w ostatniej chwili kapitan transatlantyku odruchowo nakazał zmianę kursu: czerwona karawela omal nie otarła się o burtę statku.



Rys. 1. Oto on - „Latający Holender” - złudzenie optyczne polegające na odbiciu się od cieplejszych warstw atmosfery jak od lustro wizerunku prawdziwego statku znajdującego się jednak poza linią horyzontu

I tutaj zdumieni pasażerowie zobaczyli coś nieprawdopodobnego. Na pokładzie żaglowca było pełno ludzi, w strojach sprzed czterech stuleci, uzbrojonych w kordelasy i siekiery, wymachujących rękami i wykrzykujących jakieś niezrozumiałe słowa. Jeden z nich wyciągnął zza pasa ogromny, ciężki pistolet, wymierzył w kapitana transatlantyku i pociągnął za spust. Rozległ się huk wystrzału i w tym momencie „Latający Holender” zniknął.

To było niepojęte! Największe zdumienie budziły okrzyki i wystrzał, który słyszeli wszyscy na pokładzie transatlantyku. A przecież, jak już wspominałem, „Latające Holendry” zawsze pojawiały się i zniknęły w absolutnej ciszy!

Cała sprawa nabrała niebywałego rozgłosu, jak tylko statek zawinął do portu przeznaczenia. W większości angielskich i amerykańskich gazet pojawiły się ogromne artykuły o zjawach, duchach i życiu pozagrobowym. Cały ten rwetes trwał jednak dokładnie... dwa dni, po czym cała sprawa się wyjaśniła.

Jak się okazało, był to najprawdziwszy z najprawdziwszych „Latających Holendrów”, tyle tylko, że... zbudowany przez amerykańską wytwórnię filmową, która zamierzała nakręcić film pt. „Latający Holender”. W czasie zdjęć na morzu rozszalał się sztorm. Na żaglowcu było zaledwie trzech emerytowanych żeglarzy i kilkunastu aktorów, którzy nie byli w stanie odróżnić grotmasztu od trupu. Taka „załoga” nie mogła oczywiście poradzić sobie ze skomplikowanym ożaglowaniem: wiatr pognął statek na otwarte morze. Zrozpaczeni aktorzy jedyną szansę widzieli w napotkany transatlantyku:

stąd krzyki i ów sławetny wystrzał z przedpotopowego pistoletu. Na nic się to jednak nie zdało! Statek został odnaleziony dopiero po kilku dniach, a na wpół martwi z przerażenia aktorzy odstawieni na ląd.

Takie było współczesne spotkanie z najprawdziwszym ze wszystkich legendarnych „Latających Holendrów”<sup>13</sup>.

## **Czerwona Księża.**

Anglicy żartują, że jedno z największych towarzystw ubezpieczeniowych świata narodziło się... w najzwyczajszej filiżance kawy. Ten dowcip niedaleko zresztą odbiega od prawdy, gdyż powstało ono w końcu XVII wieku w Londynie w bardzo podówczas popularnej kawiarni braci Lloydów, a jego założycielami była grupa angielskich kupców i właściciele statków, na czele z jednym z braci Lloydów - Edwardem.

Początkowo „Corporation of Lloyd's” - bo taką nosi dziś nazwę - zajmowało się jedynie ubezpieczaniem statków. Interes okazał się jednak tak dobry, że w 1871 roku (Edward Lloyd zmarł w 1713 roku) firma została formalnie uznana przez państwo za spółkę akcyjną.

Dziś, a więc w ponad sto lat po zatwierdzeniu tego towarzystwa, „Lloyd” jest rzeczywiście największym towarzystwem ubezpieczeniowym świata. Można tu ubezpieczyć dosłownie wszystko (poza życiem i pożarem): brylanty i ukochanego pieska, stary samochód i nowoczesny wielopiętrowy wieżowiec, przede wszystkim jednak statki. „Corporation of Lloyd's” specjalizuje się bowiem właśnie w tej dziedzinie i można tu ubezpieczyć maleńką łódeczkę jak i ogromny tankowiec o wyporności ponad 500 tysięcy ton.

Nic więc dziwnego, że w salach tego towarzystwa w Londynie panuje zawsze ożywiony ruch i rwetes, i to od świtu aż do zmierzchu. Pracują tu setki urzędników, przychodzą tysiące klientów.

Nagle jednak pod wysokimi sklepieniami głównej sali rozlega się uderzenie dzwonu. I natychmiast cały zgiełk milknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Urzędnicy zamierają w swych fotelach, klienci nadstawiają uszu. Na podium pojawia się w długim czerwonym płaszczu herold, który tubalnym głosem oznajmia, że jeden z dziesiątków tysięcy statków ubezpieczonych u „Lloyda” nie dotarł w oznaczonym terminie do swego portu przeznaczenia.

Po otrzymaniu takiej informacji w aktach dotyczących danego statku dokonuje się odpowiedniej adnotacji, gdyż w przypadku gdyby statek zatonął lub zaginął bez wieści, firma będzie musiała wypłacić właścicielom odszkodowanie.

Kiedy jednak rozlegają się dwa uderzenia dzwonu, twarze urzędników rozpromieniają się, oznacza to bowiem, iż jeden z ponad dwóch tysięcy agentów Lloyda rozsianych po wszystkich portach na całej kuli ziemskiej poinformował centralę, że statek, który właśnie miał opóźnienie, szczęśliwie dotarł do portu.

Kiedy zaś dzwon bije trzy razy...

Zanim jednak dowiemy się, co to oznacza, chciałbym poświęcić kilka słów samemu dzwonowi, zwłaszcza że jego historia, a właściwie statku, z którego pochodzi, jest naprawdę niezwykła.

Fregata „Lutine” była dumą francuskiej marynarki wojennej. W 1793 roku, a więc tuż po wybuchu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, stacjonowała wraz z całą flotą francuską w Tulonie, który był wówczas opanowany przez rojalistów, czyli zwolenników monarchii. Republikanie zorganizowali jednak w tym mieście tak potężną manifestację, że rojaliści w popłochu... oddali całą flotę francuską, znajdującą się w porcie, w ręce Anglików. Oddali bez jednego strzału! W taki sposób piękna „Lutine” znalazła się w Anglii i zaczęła pływać pod banderą Wielkiej Brytanii.

W 6 lat później, w 1799 roku, na kontynencie, a ściślej mówiąc w Hamburgu, wybuchła panika na giełdzie. Wiele banków i firm handlowych, w których angielscy kupcy ulokowali ogromne kapitały, stanęło przed widmem bankructwa. Angielska giełda, która za wszelką cenę chciała uratować, co tylko się da, wysłała na kontynent znaczną sumę pieniędzy właśnie na pokładzie „Lutine”. Oczywiście zarówno sam okręt, jak i cały ładunek zostały ubezpieczone w „Corporation of Lloyd's”.

W owym czasie Anglia była w stanie wojny z Francją i Holandią. Nic więc dziwnego, że kapitan „Lutine” postanowił ominąć z daleka wybrzeża holenderskie. Niestety, w czasie rejsu fregatę zaskoczył tak gwałtowny sztorm, że zbił ją z kursu i pognął w kierunku wysepki holenderskich: Vlielandu i Tescherlingu, a potem wepchnął okręt na przybrzeżne mielizny.

Statek był na pewno stracony, nikt nie miał co do tego wątpliwości. I wówczas zaczyna się drugi akt dramatu. Otóż załoga, korzystając ze strasznego zamieszania, jakie powstało na pokładzie fregaty,

---

<sup>13</sup> Ostatni raz dostrzegł „Latającego Holendra” kapitan P. Algra dowodzący holenderskim frachtowcem „Straat Magelhaen” w nocy z 7 na 8 października 1959 r. Oficjalne oświadczenie podpisał także drugi oficer statku.

wywołała bunt. Oczywiście cel buntu był jasny: chodziło o przechwycenie całego ogromnego skarbu i ukrycie się z nim na terenie Holandii.

Ale nie koniec na tym. Załoga, mimo najlepszych „chęci”, nie zdążyła nawet dotrzeć do skarbcza. Okręt szedł na dno w takim tempie, że marynarze cudem tylko zdążyli spuścić szalupy ratunkowe i opuścić statek. Wszystkie one jednak podzieliły los macierzystego okrętu: spoczęły na morskim dnie. Z ponad dwustuosobowej załogi uratował się tylko jeden marynarz!

Informacja o tej katastrofie wywołała w Anglii prawdziwą panikę, gdyż przewożone na „Lutine” złote gwineje, piastry i luidory, a także sztabki ze szlachetnego kruszcu zostały ocenione na 18 milionów funtów szterlingów! A trzeba pamiętać, że ówczesny 1 funt „kosztował” co najmniej 5 funtów dzisiejszych.

Oczywiście zatonięcie „Lutine” było ciężkim ciosem dla „Lloyda”, który musiał wypłacić niezwykle wysokie odszkodowanie. Rzecz jasna, nikt nie miał zamiaru zrezygnować jednak z tak ogromnych bogactw. Zanim jednak w Anglii zdołano opracować wstępne plany wydobywania skarbu z dna morza, wieść o nim rozeszła się wzdłuż całego holenderskiego wybrzeża. Król Holandii, korzystając z tego, że jego państwo było w stanie wojny z Anglią, ogłosił, że odtąd „Lutine” staje się jego własnością.

Podczas silnych odpływów burta statku widoczna była nad wodą i dostać się do jego ładowni nie było wcale trudnym przedsięwzięciem. W ciągu niecałych dwóch lat miejscowi rybacy wydobyli z „Lutine” złoto wartości ponad 70 tysięcy funtów szterlingów, z czego oczywiście jedną trzecią otrzymał rząd Holandii.

as forer	Agent	Master	Port	Tn Part	Ton	Class	At Build or Cap	Owners	64	65	66
D	Deking	Wm. Taylor	Land	Cork	150	S D B	12 Liverpool	Deking & Co	EM	EM	EM
	Dalrymple	Wm. Taylor	Land	St. K. Am.	140	B	12 Liverpool	Davenport	EM	EM	EM
	Dankbarhey	Col. Manders	Land	Amsterdam	160	S d	12 Liverpool	Felama	AG	AG	AG
	Danz. Vacker	Heulry		Riga	100		12 Liverpool	Sellor	EM	EM	EM
	Darby	J. B. ...		Dublin	40	S D	7 Plantation	J. Bon-din			
	Darlington	M. ...		Quebec	200	S D B	12 Liverpool	W. ...	EM	EM	EM
	Davids & Wils	John ...		Amsterdam	30	S I	8 Cockbeffer	David Baker	AG	AG	AG
	Dawson	John ...		Jamaica	100		3 ...	H. ...	AG	AG	AG
	Dawkins	W. ...		Mad. & Jam	150		4 ...	Alex. ...	EM	EM	EM
	Dean	John ...		Dublin	130		1 ...	John ...	EM	EM	EM
	Dear Betty	B. ...	Liverp.	Cork & Barb	100	B	12 Liverpool	Doran & Co	EM	EM	EM
	Deep Bay	Wm. ...	Land	St. Kitts	160		13 ...	J. & J. ...	AG	AG	AG
	Deep Bay	S. ...		Boston	150	B	10 Boston	Lane & ...	AG	AG	AG
	Delaware	Sturte	Liverp.	Larne	50	B	6 British	60	EM	EM	EM
	Delaware	Revine	Land	Hamburgh	100	B	5 Amherst	81 ...			
	Delaware	J. Jolly		Nap. & ...	100	B	33 Plantation	J. Jolly			
	Delaware	Pat ...		Am.	100	B	10 Philadel	61 ...	AG	AG	AG
	Delight	W. ...	Liverp.	Am. & Am.	120	B	20 French	30 ...	EM	EM	EM
	Delight	R. ...	Farm	Nepes	130	S & B	1 ...	Wm. ...	AG	AG	AG
	Deliver	John ...	Land	Sunlight	100	B	12 Plantation	C. ...	AM	AM	AM
	Deliver	H. ...		Sofia	160	B	10 Boston	61 ...	AM	AM	AM
	Deliver	Rich. ...		Amherst	200	B	15 French	58 ...	EM	EM	EM
	Deliver	Pet. ...		Amherst	100	B	12 Amherst	53 ...	EM	EM	EM
	Deliver	Even ...		Liphorn	100	B	20 French	50 ...	EM	EM	EM
	Diamond	Wm. ...		Gen. & Leg.	160	B	43 River	41 ...	EM	EM	EM

Rys. 2. Strona z rejestru Lloyda z lat 1764-66

Była to jednak kropla w morzu w porównaniu z tymi skarbami, które nadal pozostawały we wnętrzu wraku. Statek tymczasem stale osiadał w miękkim dnie, a silny prąd morski ustawicznie zasypywał go piaskiem. Wkrótce okoliczni mieszkańcy przestali szukać tutaj złota - jego wydobywanie stało się zbyt ryzykowne.

O fregacie przypomniano sobie po upływie dalszych 15 lat, kiedy w Europie przestały szaleć wojny napoleońskie. W 1821 roku król Holandii Wilhelm I zatwierdził koncesję, w myśl której mieszkańcy wyspy Tescherling mogli poszukiwać i wydobywać złoto z „Lutine”, pozostawiając sobie połowę znalezionych monet. W dwa lata później Wilhelm odstąpił jednak koncesję angielskiemu królowi Jerzemu, który przekazał ją oczywiście „Lloydowi”.

Od tej chwili poszukiwaniami skarbu zajmowali się głównie Anglicy. Podjęli oni szereg poważnych prób, aby wydobyć zatopione złoto, i w ciągu pięciu lat, a więc od 1855 do 1861 roku, udało im się odzyskać jeszcze około 40 tysięcy funtów szterlingów. Wciąż jednak były to marne, bardzo marne okruchy skarbu.

W 1859 roku wydobyto z „Lutine” dzwon okrętowy i doskonale zachowane, dębowe koło sterowe. Wykonano z niego wspaniałą, rzeźbioną fotel, na którym po dziś dzień zasiada w uroczystych chwilach

sam prezes „Corporation of Lloyd's". Dzwon zaś został zawieszony pod sklepieniem głównej hali i odtąd jego głos poprzedza wszystkie informacje o statkach ubezpieczonych u „Lloyda”.

Kiedy rozlegają się trzy uderzenia dzwonu, jest to informacja, że wszelkie realne terminy dopłynięcia któregoś ze statków do jakiegokolwiek portu na kuli ziemskiej dawno minęły. Odtąd statek uważany jest za zaginiony bez wieści.

Wszystkie statki ubezpieczone u „Lloyda” są w razie awarii lub katastrofy skrupulatnie wpisywane do osobnych wielkich ksiąg, które podzielone są na poszczególne działy. W jednych zapisuje się statki, które osiadły na mieliznach, osobno te, które zatonięły na morzu, uległy zniszczeniu na skutek zderzenia lub pożaru. Tak więc w tych wszystkich księgach zanotowane są szczegółowe informacje o statkach i o tym, w jaki sposób zatonięły. Kiedy jednak dzwon „Lutine” odzywa się trzy razy, statki wpisywane są do specjalnej księgi, w której odnotowuje się wszystkie wypadki zaginięcia bez wieści. Są to specjalne księgi w czerwonych, safianowych oprawkach, przy czym każda z tych ksiąg składa się z 200 kart.

Pierwsza Czerwona Księga „Lloyda” została założona w 1893 roku. Minęły zaledwie dwa lata i dwa miesiące, a wszystkie karty tej księgi zostały zapisane. Odnotowano więc tutaj 200 nazw statków, które zaginęły bez wieści i których wraki spoczywają gdzieś na dnie mórz i oceanów. Były to głównie stare, drewniane żaglowce, tak zwane „pływające trumny”, wyładowane ponad wszelkie dopuszczalne granice<sup>14</sup>.

Potem pojawiła się druga Czerwona Księga, następnie trzecia, czwarta i dalsze, aż wreszcie czternasta. Pierwsza karta tej księgi została zapisana w dniu 10 lipca 1929 roku, natomiast ostatnia - w dniu 22 grudnia 1954 roku. W tej księdze zapisane zostały 222 statki, które zaginęły bez śladu w ciągu ćwierćwiecza. Tu trzeba oczywiście podkreślić, że statki, które zaginęły bez wieści w czasie II wojny światowej, nie były w księdze odnotowywane. Ciekawe, że w miarę upływu lat na zapisanie kolejnych Czerwonych Ksiąg trzeba było coraz więcej czasu. Przypominam, że pierwsza została wypełniona od pierwszej do ostatniej strony w ciągu zaledwie dwóch lat i dwóch miesięcy, czternasta - przedostatnia, dopiero po upływie 25 lat. Jest to najlepszy dowód, że ludzie w miarę upływu czasu uczyli się coraz lepiej walczyć z morzem, z tym bezlitosnym żywiołem i jego niezliczonymi zasadzkami. Uczyli się budować wytrzymalsze statki, mocniejsze kadłuby, potężniejsze silniki, lepsze przyrządy nawigacyjne. Do tego doszło jeszcze radio, powszechna służba meteorologiczna i wiele, wiele innych czynników.

Dziś, w naszych czasach, zapisywana jest piętnasta Czerwona Księga „Lloyda”. Odnotowano już w niej nazwy ponad stu statków...

Tu warto może powiedzieć kilka słów o tym, gdzie na kuli ziemskiej statki toną najczęściej.

Współczesny nawigator ma do swojej dyspozycji nowoczesne urządzenia pozwalające na precyzyjne określenie pozycji statku względem lądu i innych poruszających się po wodzie obiektów. Posiada także dokładne opisy wszystkich szlaków żeglugowych. W zasadzie trasa, po której płynie statek, nie ma dla niego tajemnic. Przez długie lata wszystkie trasy zostały zbadane i opisane, jednak... często są już nieaktualne choćby ze względu na działanie prądów morskich zmieniających konfigurację dna. Nic więc dziwnego, że na tych znanych i zbadanych trasach tonie w ciągu roku średnio 100 statków. Co trzy i pół dnia gdzieś na morzach rozgrywa się tragedia, leci w eter sygnał S.O.S.

Światowe towarzystwa ubezpieczeniowe określiły cztery miejsca na morzach, gdzie ze względu na duże trudności nawigacyjne i spory ruch najczęściej dochodzi do katastrof. Oto one:

1. Najwęższe miejsce szlaku łączącego Morze Północne z Oceanem Atlantyckim, Cieśnina Kaletańska w kanale La Manche. Dziennie przepływa tędy w obu kierunkach 800-1000 statków handlowych. Mimo że tory wodne są ściśle wyznaczone, a większość statków posługuje się radarem, dochodzi do częstych kolizji i zatonięć. Wielu kapitanów lekceważy obowiązujące przepisy i prowadzi swe statki wbrew ustalonym regułom.

2. Wzdłuż wschodnich wybrzeży Ameryki Północnej, a zwłaszcza w Zatoce Św. Wawrzyńca i Zatoce Meksykańskiej zawsze panuje duży ruch. Płynący z południa prąd Golfstrom niesie masy ciepłej wody z Zatoki Meksykańskiej, które stykają się tutaj z zimnym Atlantykiem. To powoduje duże, stałe zamglenia i mimo powszechnego stosowania radarów często dochodzi w tym rejonie do katastrof.

3. Jeden z bardziej ruchliwych szlaków morskich przebiega w okolicach wyspy Tasmanii. Łączy on porty południowo-australijskie z Europą i Afryką. Rejon ten znany jest z częstych i silnych sztormów oraz sporej ilości dni mglistych.

4. Największym niebezpieczeństwem dla statków na północ od 50 równoleżnika na Atlantyku są - oprócz mgły i częstych sztormów - góry lodowe. W tym właśnie rejonie, po zderzeniu z górą lodową, zatonął w 1911 r. największy wówczas statek świata, „Titanic”, z 1503 osobami. Specjalnie powołana

---

<sup>14</sup> W 1876 r. dzięki staraniom Samuela Flinsolla wchodzi w życie akt nakazujący oznakowanie linią maksymalne zanurzenie statku: statki zanurzone głębiej nie mogły opuścić portu.

międzynarodowa służba lodowa obserwuje ruch lodowych olbrzymów wędrujących z Grenlandii i północnej Kanady i ostrzega statki. W tych niebezpiecznych rejonach jest zawsze sporo statków rybackich, gdyż tu właśnie znajdują się obfite łowiska.

## **Zbrodnia czy wielka niewiadoma?**

Oczywiście komentowanie zaginięcia statków bez wieści jest zupełnie niemożliwe - przecież przyczyny mogą być najróżniejsze, czasem nawet tak nieprawdopodobne i nie przewidziane, że nie jesteśmy w stanie ich sobie nawet wyobrazić. Wiele przypadków tajemniczego zaginięcia statków bez wieści, a więc właśnie tych, które zapisywane są w Czerwonych Księgach „Lloyda”, można złożyć na karb żywiołu, morza, z jego straszliwymi sztormami, trąbami powietrznymi, cyklonami, rafami i wielu, wielu innymi niebezpieczeństwami. Powoływanie się jednak wyłącznie na żywioł byłoby oczywiście znacznym uproszczeniem. Na pewno niejednokrotnie przyczyną zatonięcia statku lub zaginięcia bez wieści jest niedoświadczenie kapitana, jego pierwszego lub drugiego oficera, niewłaściwy manewr, podejmowanie niewłaściwych decyzji.

Tak więc przyczyn może być bardzo wiele. O jednej z nich trzeba jednak tutaj wspomnieć koniecznie. Niektórzy właściciele statków, stojąc w obliczu bankructwa, sami często usilnie starali się o to, aby ich statek zginął bez wieści, w takim bowiem przypadku mogli otrzymać wysokie odszkodowanie. Często statki - stare, zniszczone, właściwie nie nadające się już do eksploatacji - ubezpieczane były na niezwykle wysokie sumy. No a dalszy ciąg jest już oczywisty: podpalenie statku czy też podłożenie silnego ładunku wybuchowego to najpewniejsze sposoby zatopienia go na dużej głębokości, co gwarantowało zniszczenie i zatarcie po nim wszelkich śladów.

Takie oszukańcze praktyki są zresztą dobrze znane. Nie tak dawno, bo w 1963 roku, we Włoszech wykryto aferę, której autorami byli właśnie wielcy armatorzy - właściciele statków. Z ich polecenia zatopiono w różnych okresach czasu 13 statków należących właśnie do nich. W ciągu 10 lat zdołali oni uzyskać odszkodowanie w wysokości 350 milionów lirów!

Inaczej przedstawia się sprawa w przypadku „Latających Holendrów”, a więc statków porzuconych przez załogę lub też z martwą załogą na pokładzie. Tutaj możemy już dowolnie popuszczać wodze swej fantazji. Toteż specjaliści, a i niespecjaliści również, wysuwali wiele najprzeróżniejszych hipotez - od najbardziej fantastycznych, wręcz śmiesznych, aż po najbardziej nieprawdopodobne, ale... możliwe! A więc na przykład: potężna trąba powietrzna zmiotła z pokładu statku całą załogę. No cóż - taki przypadek jest w zasadzie możliwy. Inna wersja: ludzie zostali pożarci przez potwora morskiego\* który wypłynął z głębin. No - ta wersja jest już fantastyczna, ale też nie możemy jej odrzucić z całą stanowczością, choć trudno traktować ją poważnie. Na dobrą sprawę bowiem nie bardzo jeszcze wiemy, co się kryje w głębinach mórz i oceanów, jakie zwierzęta mogą w nich żyć. Nie tak dawno przecież, bo zaledwie przed kilkunastu laty, wyłowiono żywy okaz ryby, zwanej dziś Latimerią. A przecież uczeni byli przekonani, że ten gatunek wymarł na pewno... przed pięćdziesięcioma milionami lat. A więc może jakiś przedpotopowy potwór morski?

Inna wersja: cała załoga została otruta przez jakiegoś szaleńca lub też człowieka, który chciał się na wszystkich zemścić. Taka hipoteza jest już jednak mniej prawdopodobna, na statkach bowiem marynarze żywią się ze względu na ustalony system wacht o różnych porach, nigdy zaś jednocześnie. Część załogi musi pracować. W związku z tym otrucie wszystkich marynarzy jednocześnie jest w zasadzie niemożliwe.

Jeszcze inna wersja: napad piracki. No, to już jest coś! Natychmiast przypominają się nam wyczyny kapitana Blooda czy też angielskich i francuskich korsarzy działających na Morzu Karaibskim. Hipoteza nader prawdopodobna (piractwo jest nadal intratnym rzemiosłem), tylko że... nie bardzo da się ją dopasować do statków, które zagięły bądź co bądź niedawno. A wśród nich mamy prawdziwe kolosy!

W 1951 roku na południowym Atlantyku znikł z powierzchni morza brazylijski... pancernik „Saõ Paulo” o wyporności 21 tysięcy ton! Trudno chyba przypuścić, by ten wielki wojenny okręt mogli zaatakować piraci czy też potwór morski. A jednak fakt pozostaje faktem: do dziś nic nie wiadomo o jego losach.

W dniu 21 października 1952 roku kapitan wielkiego zachodnio-niemieckiego motorowca „Melanie Schulte” podał przez radio swoją pozycję. Statek (w idealnym stanie!) znajdował się wtedy w punkcie o współrzędnych 58°22' N - czyli północnej szerokości, i 9°33' W - zachodniej długości (przy okazji spróbujcie odszukać na mapie ten punkt). A potem... Potem motorowiec rozplynął się we mgle i wszelki śluch o nim zginął raz na zawsze. Nie znaleziono najmniejszego nawet szczątku „Melanie Schulte”.

W 1954 równie bez śladu zginął argentyński masowiec „General San-Martin” - największy statek handlowy wpisany do Czerwonej Księgi „Lloyda”. Bez najmniejszego śladu!



Pozostaje jeszcze inna możliwość: bunt załogi. Kapitana zamordowano, kasę rozpruto, po czym oczywiście dla uniknięcia wszelkich konsekwencji statek zatopiono, a załoga zniknęła w oddali w szalupach ratowniczych.

Takich wersji - mniej lub bardziej prawdopodobnych - można by przytoczyć jeszcze wiele, ale na jedną z nich warto chyba zwrócić uwagę.

## **Głos morza.**

Aby dobrze zrozumieć, o co chodzi, musimy na chwilę zająć się sprawami związanymi z tak zwanymi infra- i ultradźwiękami i w ogóle z dźwiękami.

Fale dźwiękowe są przenoszone przez powietrze, w którym rozchodzą się na wszystkie strony z prędkością około 330 metrów na sekundę. Kiedy poprzez muszlę uszną wpadają do naszego ucha, wprawiają w nim w drgania cieniutką błonkę. Im wyższy jest dźwięk, tym częściej drga błonka, im niższy, tym drgań jest mniej.

Nasze ucho jest jednak urządzone dość dziwnie: najniższy dźwięk, jaki jeszcze możemy usłyszeć, musi mieć co najmniej 16 drgań w ciągu jednej sekundy. Jeżeli tych drgań będzie mniej, błonka pozostanie nieruchoma, a my usłyszymy... ciszę, czyli nic nie usłyszymy. A jeżeli więcej?

16, 100, 500, 10000 drgań na sekundę. Słyszymy coraz wyższe dźwięki. 14 000, 15 000 - wciąż to samo... Aż wreszcie przekraczamy 16000 drgań na sekundę i... znów cisza. Nic nie słyszymy. Dlaczego?

Okazuje się, że to znów nasza błonka, która nagle nieruchomieje. Po prostu nie jest w stanie drgać tak szybko: kiedy chce się odchylić w jedną stronę, już powinna w przeciwną i znów z powrotem...

Tak więc jesteśmy w stanie słyszeć tylko dźwięk o częstotliwości drgań od 16 do 16000 na sekundę (niektórzy ludzie odbierają również wyższe drgania, ale to są wyjątki).

Oczywiście sam fakt, że nie słyszymy ani niższych, ani wyższych dźwięków, wcale jeszcze nie oznacza, że one nie istnieją. Te niższe nazywamy infradźwiękami, wyższe natomiast - ultradźwiękami. Ultradźwięki zostały przez uczonych dość dokładnie zbadane i wykorzystane w praktyce, i to w dodatku w bardzo szerokim zakresie. Mało jednak wiemy, a przynajmniej do niedawna bardzo mało wiedzieliśmy na temat dźwięków o niskiej częstotliwości.

I tutaj właśnie dochodzimy do sedna sprawy.

Dawno już zauważono, że kiedy na morzu zaczyna się sztorm, na wybrzeżu pogarsza się stan chorych, zwiększa się liczba samobójstw, jak również liczba katastrof drogowych i wielu innych nieszczęśliwych wypadków. A winę za to wszystko ponosi infradźwięk.

Ciekawe, że po raz pierwszy teorię powstawania fal infradźwiękowych w oceanie podczas sztormów wysunął już w 1938 roku wybitny radziecki uczyony, akademik Szulejkin. Ale dopiero niedawno zwrócono na tę sprawę baczniejszą uwagę.

Oto co na ten temat pisze Maciej Iłowiecki w swej książce pt. „Nasz wiek XX”:

„Zaczęło się od tego, że w pobliżu laboratoriów CNRS (Centre National de la Recherche Scientifique) w Marsylii rozpoczęła produkcję nowa fabryka. Uczeni z pracowni akustycznej profesora Gavreau byli bardzo uradowani, ponieważ fabryka pracowała c i c h o. Zauważono tylko po pewnym czasie, że w jednej z sal po 2 godzinach pobytu każdy czuł się wyjątkowo zmęczony, zniechęcony, zdenerwowany. Niekiedy odczuwano też mdłości i bóle głowy - zwłaszcza jednak niepokojący był fakt wyraźnego obniżenia sprawności intelektualnej. »Proste rachunki wydawały nam się czynnością wymagającą umysłu Einsteina. Mieliśmy uczucie, że w tej sali sączy się niewidzialny jad« - powiedział jeden z uczonych.

Gavreau podejrzewał ultradźwięki, potem pole magnetyczne, wreszcie radioaktywność. Nic nie wykryto. Przypomniał sobie wówczas infradźwięki; choć koncepcja ta wydawała mu się nieprawdopodobna, postanowił ją sprawdzić dla świętego spokoju. Okazało się, że system wentylacyjny cichej fabryki był źródłem infradźwięków przenikających do „trującej” sali. Profesor rozpoczął dokładne badania efektów biologicznych tego rodzaju drgań. Wyniki okazały się przerażające.

Zbudowano generator infradźwięków, rodzaj gwizdka o średnicy 1,5 m. Pierwszą próbę musiano przerwać po kilku sekundach - w złowieszczej ciszy ściany laboratorium poczęły drgać, sufit popękał w kilku miejscach. Potem stwierdzono, że najszkodliwsze dla człowieka są infradźwięki o częstotliwości 7 Hz<sup>15</sup> (może dlatego, że odpowiadają tak zwanemu rytmowi alfa w naszych mózgach?) - mogą nawet spowodować śmierć. Niektóre infradźwięki wywołują rezonans w ciele ludzkim - amplituda uderzeń serca wzmacnia się wówczas tak, że powoduje pęknięcie aorty. Jeśli drgania powietrza i drgania serca przesunięte są w fazie - serce może się nagle zatrzymać. He więc śmierci na serce

---

<sup>15</sup> Hz = herc. Cykl na sekundę; jednostka częstotliwości przebiegu okresowego. Skrót od nazwiska Heinricha Rudolfa Herza, który odkrył doświadczalnie fale elektromagnetyczne.

zawdzięczamy infradźwiękom? Drgania o mniejszej mocy wywołują czasem paraliż, choroby układu pokarmowego, omdlenia. Odpowiednio niskimi infradźwiękami o wielkiej mocy można rozwalić najsilniejszą konstrukcję (gazety donoszą więc już o »milczącej broni«). A jaki jest zasięg cichych dźwięków? O ile np. zwykły gwizdek (2900 Hz) słychać do pół kilometra, o tyle infradźwięki dochodzą do kilkudziesięciu kilometrów.

Pocieszające jest może to, że tak katastrofalne w skutkach infradźwięki o wielkiej mocy można wywołać jedynie za pomocą specjalnych urządzeń, które wypróbowuje się - na razie - tylko w celach naukowych. Z kolei przed biologicznym działaniem infradźwięków słabszych, pochodzących np. z naturalnego « środowiska miejskiego, chroni nieco... muzyka lub inne niezbyt głośne dźwięki otoczenia. Niekiedy więc cisza jest równie groźna jak hałas. Niemniej źródłem szkodliwych dla zdrowia infradźwięków mogą być np. silniki Diesla, sprężarki, wentylatory przemysłowe, właściwie każda pracująca w powolnym rytmie maszyna, a nawet turkot pojazdów czy przejazd pociągu i Bóg wie co jeszcze. Profesor Gavreau skłonny jest obarczać te »ciche dźwięki« odpowiedzialnością za wiele nerwic i chorób »cywilizacyjnych«. Potwierdzenia jego wniosków dochodzą także z innych pracowni."

A przecież w morzu powstają bardzo potężne źródła infradźwięków o częstotliwościach mniej więcej około 6-7 herców, przy czym ta ostatnia, jak pamiętamy, jest już dla człowieka śmiertelna.

Może się więc zdarzyć, że statek, znajdujący się w zupełnie spokojnym rejonie morza, zostanie zniemacka zaskoczony właśnie przez taką falę zabójczych dźwięków. Jeżeli ich częstotliwość będzie wynosiła właśnie 7 herców, śmierć całej załogi może nastąpić momentalnie.

I co najważniejsze - najdokładniejsze nawet badania lekarskie nie będą w stanie wykryć przyczyny śmierci, ponieważ pod wpływem tego dźwięku serce po prostu przestaje bić!

Ale to jeszcze nie wszystko. Możliwe jest również wywołanie mechanicznego rezonansu w kadłubie lub masztach statku. W takim przypadku statek zostaje przeszyty potężnymi drganiami, a oszałała z przerażenia załoga, która przecież nie wie, co się dzieje, ucieka zeń w największym popłochu. Na korzyść tej hipotezy świadczy również fakt, że na wielu statkach porzuconych przez załogę maszty były połamane, chociaż jednocześnie wiadomo było na podstawie informacji meteorologicznych, że w danym rejonie i w danym dniu nie występowały żadne silniejsze wiatry.



Do dziś odnaleziono już dziesiątki statków, których załogi porzuciły je w popłochu, pozostawiając na pastwę losu. A najdziwniejsze jest to, że z reguły załoga opuszczała statek, który był absolutnie zdolny do dalszej żeglugi, przy czym ani jeden z marynarzy i pasażerów nie pozostawał przy życiu. Coś dziwnego, coś absolutnie niezwykłego zmuszało ludzi do ucieczki ze statku w ciągu zaledwie kilku minut, choć przedtem wszyscy spokojnie zajmowali się swoimi sprawami.

Oczywiście hipoteza o niszczyielskim działaniu infradźwięków tłumaczyłaby dość dobrze większość zagadkowych wypadków. Ale o tym, że nie jest to tylko jedyne możliwe rozwiązanie, świadczy choćby hipoteza ostatnio wysunięta w sprawie, która jest głośna od ponad stu lat.

Zacznijmy jednak od początku.

## **„Mary Celeste”.**

Historie morskie są często tak niezwykle i tak nieprawdopodobne, iż wydaje się, że zostały po prostu zmyślane. O niektórych z nich już opowiadałem, ale najbardziej tajemniczą spośród nich i po dziś nie rozwiązaną zagadkę stanowi sprawa brygu „Mary Celeste”. Od ponad stu lat łamano sobie głowę nad tym, co się właściwie na tym żaglowcu wydarzyło, ale brak jest jakiegось naprawdę rzeczowego rozwiązania. Historia „Mary Celeste” została opisana w wielu książkach i artykułach. W Polsce sporo miejsca poświęcił jej w swojej książce „Rumaki Lizypa” Zenon Kosidowski.

A oto w skrócie przebieg wypadków.

4 grudnia 1872 roku w odległości 400 mil od Cieśniny Gibraltarskiej kapitan statku „Dea Gratia” David Morehouse dostrzegł płynący przeciwnym kursem bryg „Mary Celeste”. Morehouse ogromnie się ucieszył z tego spotkania, kapitan bowiem „Mary Celeste”, Briggs, był jego serdecznym przyjacielem, przy czym obaj wielokrotnie spotykali się w różnych portach na różnych kontynentach. Jednakże coś w zachowaniu się statku zaniepokoiło kapitana Morehouse’a: pokład był pusty, a choć część żagli była porwana, ustawiony prawidłowo bryg sprawiał wrażenie, jakby był położony w dryf. Nie odpowiadając na sygnały Morehouse’a, „Mary Celeste” przepłynęła obok „Dea Gratia” jak widmo.

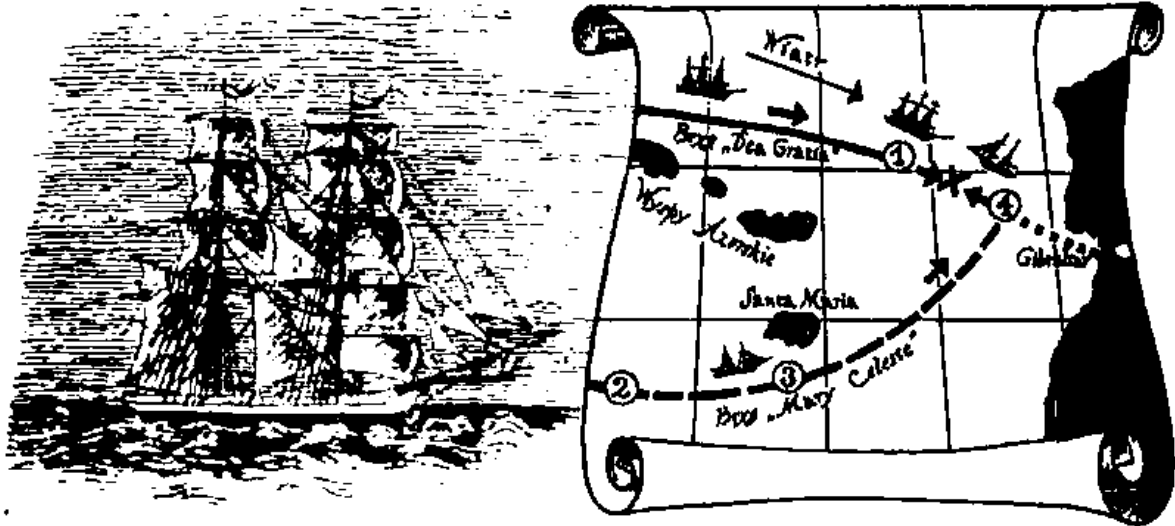
Pierwszy oficer na „Dea Gratia” uważnie obserwował przez chwilę napotkany bryg, po czym nagle roześmiał się.

- Panie kapitanie - zwrócił się do Morehouse'a. - Pamięta pan, jaki oni mają ładunek? 1700 beczulek czystego alkoholu! To chyba jasne, że wszyscy się tam upili na amen, a i sam statek sprawia wrażenie pijanego.

- To jest absolutnie wykluczone - odparł Morehouse. - Znam Briggsa, nigdy by na coś takiego nie pozwolił. Już przedtem mu się załoga zbuntowała.

- Możemy to sprawdzić. Trzeba tylko wysłać do nich szalupę.

Morehouse kazał zrobić zwrot i popędził w ślad za „Mary Celeste”.



Rys. 3.

1. Punkt o współrzędnych 38°20' szer. półn. i 17° 37' dług. zach., w którym w dniu 4 grudnia 1872 r. bryg „Dea Gratia” spotkał się z „Mary Celeste”.

2. W tym punkcie o współrzędnych 36°57' szer. półn. i 27° 20' dług. zach. w dzienniku pokładowym „Mary Celeste” znalazła się ostatnia adnotacja.

3. W tym punkcie oficer wachtowy wziął namiar na wyspę Santa Maria i odnotował to kredą na tablicy.

4. Komisja prowadząca dochodzenie doszła do wniosku, że załoga i pasażerowie „Mary Celeste” zniknęli z jej pokładu pomiędzy punktami 3 i 4.

Wkrótce pomocnik kapitana i dwóch marynarzy weszli na pokład brygu. Nie było tu nikogo. W kapitańskiej kajucie zastano idealny porządek. Na biurku leżały zwinięte zwoje map, w jednej z szuflad biurka znajdowała się poważna suma pieniędzy, a także szkatułka z biżuterią. W kubryku również wszystko było w porządku. Cztery koje były starannie posłane, na stole leżały nie dopalone fajki. Na baku suszyła się bielizna.

Kabina kapitana też była pusta, stała tam jednak tablica, na której pomocnik kapitana „Dea Gratia” odczytał napis, że w dniu 25 listopada o godzinie 8 rano bryg znajdował się w odległości 6 mil na północ od jednej z wysp azorskich, Santa Maria.

Przejrano również ładownie. Znalaziono tam 1700 beczulek ze spirytusem. Jedna z nich była odszpuntowana; brakowało w niej jednej trzeciej zawartości. Na całym statku nie było jednak żywej duszy. Co się stało z załogą, co się stało z kapitanem i jego żoną?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, choć sprawą „Mary Celeste” zajmowali się zarówno detektywi ze Scotland Yardu, jak i liczne komisje składające się z wybitnych specjalistów. Oczywiście wysunięto wiele najprzeróżniejszych wersji, przy czym każda z nich równie dobrze tłumaczyła przebieg wypadków, jak pozostałe, bo po prostu brak było jakiegokolwiek punktu zaczepienia. W marynarskim świecie krążyło wiele fantastycznych opowieści, zasłyszanych jakoby z ust „naocznych” świadków całej tragedii, ale były to historyjki po prostu wysane z palca.

Prawdziwa bomba wybuchła dopiero w 13 lat po tym wydarzeniu.

### **Kamienne ucho.**

Sprawcą całego zamieszania, dzięki któremu „Mary Celeste” znów pojawiła się na pierwszych kolumnach wszystkich prawie gazet na świecie, był niejaki pan doktor Habakuk Jephson. Otóż na

początku 1884 roku wydrukował on w angielskim czasopiśmie „Cornhill Magazin” obszerny artykuł opisujący dokładnie przebieg wydarzeń na „Mary Celeste”.

Przede wszystkim pan Jephson oświadczył, że jest jedynym pozostałym przy życiu, a raczej jedynym, który powrócił do Anglii, pasażerem brygu. Na samym wstępie wspomniał również, że kiedy przed trzynastu laty próbował wszystko dokładnie opowiedzieć policji, został wyśmiany, gdyż jego historia brzmiała absurdalnie (o czym zaraz sami się przekonamy). Nawet znajomi i przyjaciele wysłuchiwali tej historii z pewnym pobłażaniem, traktując pana Jephsona jako człowieka, który na pewno postradał zmysły. Bo też historia, jaką wydrukowano na łamach „Cornhill Magazin”, była rzeczywiście zadziwiająca. Nie będę tu przytaczał dokładnej i szczegółowej relacji dra Jephsona, gdyż mogłoby to znużyć czytelników, podam ją w skrócie.

Dr Jephson, z zawodu lekarz, brał udział w wojnie domowej w Stanach Zjednoczonych po stronie stanów północnych walczących o zniesienie niewolnictwa. Był zresztą zawsze zdeklarowanym zwolennikiem równości rasowej (szczegół, jak się zaraz okaże, bardzo istotny). Podczas jednej z bitew doznał bardzo ciężkiej kontuzji i najprawdopodobniej by się z tego nie wyliżał, gdyby nie troskliwa opieka jakiejś starej Murzynki. Kiedy już wyzdrowiał, Murzynka wręczyła mu na pożegnanie jakiś dziwny przedmiot. Było to czarne, kamienne ucho ludzkie, typowy prymitywny amulet.

W 7 lat później pan Habakuk Jephson postanowił wybrać się w podróż do Europy i dziwnym zbiegiem okoliczności trafił właśnie na „Mary Celeste”. Na statku oprócz niego był jeszcze kapitan wraz ze swoją żoną i małą córeczką oraz dwóch innych pasażerów: młody człowiek o nazwisku Harton i mulat Septimus Goring, a także 10 marynarzy, wśród których było 3 Murzynów.

Dalej następują opisy wydarzeń tak krew w żyłach mrozących, że nie powstydziliby się ich żadne brukowe powieściopisarze. Pewnego dnia z pokładu statku w tajemniczy sposób znikła żona i córeczka kapitana. Wszelkie poszukiwania nie dają rezultatu, widocznie obie spadły z pokładu brygu i utonęły. Zrozpaczony kapitan Briggs zamyka się w swojej kajucie. Jego cierpienia musiały być chyba straszne, skoro pewnego dnia... wyjmując z szuflady rewolwer, pakuje sobie lufę w usta i naciska spust.

Dowództwo przejmuje pierwszy oficer. Przez kilka następnych dni nie dzieje się właściwie nic ciekawego, jeżeli nie liczyć małego incydentu. Któregoś dnia na pokładzie w czasie pogawędki z Goringiem dr Jephson pokazuje mu owo czarne kamienne ucho, tajemniczy amulet ofiarowany mu przed laty przez starą Murzynkę. Goring, uśmiechając się lekceważąco, omal nie wyrzuci amuletu za burtę. Przeszkadza mu w tym jeden z murzyńskich marynarzy, który w okropnym podnieceniu zaczął coś tłumaczyć Goringowi, po czym z największą czcią zwrócił kamienne ucho doktorowi Jephsonowi.

Dalszy ciąg niespodzianek zaczął się w kilka dni po tym incydencie. Właśnie zastanawiano się, dlaczego panują tak potworne, tropikalne upały, nigdy nie spotykane u wybrzeży Portugalii, do której zmierzała „Mary Celeste”, kiedy nagle okazało się, że ktoś rozmyślnie uszkodził kompas.

Wieczorem tego samego dnia dr Jephson został niespodziewanie napadnięty przez Goringa i trzech murzyńskich członków załogi statku, którzy w mgnieniu oka skrępowali go powrozami. To samo spotkało oficera i wszystkich białych marynarzy oraz drugiego pasażera, owego Hartona. Dalej zaczęły się dziać rzeczy straszne. Owi trzej czarni marynarze kolejno strącali skrępowanych ludzi do morza. Kiedy jednak kolej doszła do dra Jephsona, wszyscy trzej Murzyni zgodnie sprzeciwili się wykonaniu wyroku. Z głośnej sprzeczki, jaka rozgorzała na pokładzie, dr Jephson wydedukował, że jest uważany przez nich za kogoś nietykalnego - nietykalnego tylko z tego powodu, że był posiadaczem owego tajemniczego amuletu.

Z dalszej relacji dra Jephsona wynikało, że bryg został porzucony, cała piątka, a więc trzej murzyńscy marynarze, Septimus Goring i dr Jephson, popłynęli w szalupie na brzeg. Tam zostali owacyjnie powitani przez miejscową ludność, a dr Jephson w dalszym ciągu był traktowany z oznakami najwyższej czci.

Wszystko się wyjaśniło, kiedy pewnego dnia dr Jephson został wprowadzony do miejscowej świątyni. W jej wnętrzu, ozdobionym matami i muszlami, stał posąg bożka wykonany z czarnego kamienia, który miał odłupane jedno ucho, właśnie to, które miał przy sobie Habakuk Jephson.

Historia tego kamiennego ucha była dość dziwna. Zgodnie z nie pisanymi legendami, przed wielu, wielu laty kilkunastu członków plemienia postanowiło się przenieść do innej części Afryki. Kiedy opuszczali rodzinną wieś, odłupali bożkowi właśnie to jedno czarne ucho, aby mieć w swym posiadaniu choćby drobną część świętego posągu. Podczas swojej wędrówki wpadli jednak w ręce handlarzy niewolników, którzy przewieźli ich do Stanów Zjednoczonych i sprzedali na plantację. W wyniku niezliczonych perypetii owo czarne ucho znalazło się w posiadaniu Murzynki pielęgnującej przed laty dra Jephsona.

Murzyni w wiosce wierzyli (tak przynajmniej głosiła legenda), że to brakujące ucho zostanie zwrócone plemieniu przez człowieka zesłanego z nieba. Stąd właśnie wzięła się owa „amnestia” na pokładzie „Mary Celeste”. Dr Jephson został oszczędzony - i co więcej - odtransportowany z wioski na wybrzeże przez samego Goringa, który, chcąc zostać wodzem plemienia, obawiał się, że Amerykanin pokrzyżuje mu plany.

Nic więc dziwnego, że tenże Septimus Goring odtransportował dra Jephsona na wybrzeże, usadowił go w dużej szalupie i... odetchnął z ulgą, pozbywając się tak groźnego konkurenta.

Natomiast Amerykanin błąkał się po oceanie przez 5 dni, nim jego łódź została dostrzeżona z pokładu jakiegoś statku. Dalszy ciąg już znamy.

Oczywiście zwierzenia dra Jephsona, choć spóźnione o 13 lat, wywołały niebywałą sensację.

Zdania były jednak podzielone. Jedni twierdzili, że relacja zamieszczona w „Cornhill Magazin” jest autentycznym opisem przygód autora i w całości wyjaśnia los „Mary Celeste”, inni zaś traktowali ją jako wierutną bajkę i nie dawali jej wiary.

Minęło jeszcze kilka lat i wtedy... bomba wybuchła po raz drugi!

Tak się bowiem złożyło, że przypadkiem ktoś gdzieś kiedyś powiedział komuś, iż prawdziwym autorem wspomnień doktora Habakuka Jephsona jest nie kto inny, jak... sam Conan Doyle, wybitny pisarz angielski, który między innymi stworzył postać słynnego detektywa Sherlocka Holmesa. Przypuszczam, że Conan Doyle miał przez te wszystkie lata przepyszną zabawę, śledząc na łamach prasy angielskiej i amerykańskiej zażarte spory o to, czy relacja doktora Habakuka Jephsona jest autentycznym, czy też tworem czyjejś wybujałej fantazji.

Oczywiście „zdemaskowanie” prawdziwego autora sensacyjnych relacji nie istniejącego doktora Jephsona w najmniejszym nawet stopniu nie przyczyniło się do wyjaśnienia zagadki „Mary Celeste”. Sam Conan Doyle miał zresztą wielu naśladowców, którzy jednak - oddajmy tu cześć wielkiemu pisarzowi - nie dorastali mu nawet do pięt. A jeżeli jeszcze doliczymy wszystkie „hipotezy” zawarte w niezliczonych marynarskich bajdach kolportowanych w portowych tawernach oraz ich najprzeróżniejsze warianty, okazałoby się nagle, że o dziejach „Mary Celeste” można by napisać opasły tom.

Co się jednak zdarzyło naprawdę?

Wśród licznych możliwych (i zupełnie niemożliwych) wersji znalazły się oczywiście wszystkie te, o których wspominałem w jednym z poprzednich rozdziałów.

Jednakże takie hipotezy, jak napad piratów czy też bunt załogi, odpadły od razu. Na ich niekorzyść świadczyły przede wszystkim pieniądze znalezione w biurku kapitana Briggsa. Poza tym nie tknięto przecież alkoholu, a któryż marynarz przeszedłby obojętnie obok takiej gratki?

Wersja o napadzie potwora morskiego i pożarciu przez niego całej załogi dziś już odpada jako - niestety (a może na szczęście?) - całkowicie nierealna. Trąba powietrzna również nie wchodzi w rachubę - statek miałby na pewno znaczne uszkodzenia. A tymczasem - jak pamiętamy - wszystko było na nim w idealnym niemal porządku.

Pozostaje jeszcze oczywiście fatalne działanie infradźwięku - ta wersja jest już dość realna.

Przez wiele jednak lat za najbardziej prawdopodobne rozwiązanie tajemnicy katastrofy „Mary Celeste” uważana była hipoteza wysunięta przez jednego z najwybitniejszych specjalistów od spraw morskich - Anglika J. G. Lockharta. Po długotrwałych i żmudnych badaniach doszedł on do wniosku, że rozwiązanie zagadki kryje się w ładunku, który znajdował się na pokładzie „Mary Celeste”.

Pamiętamy, że statek wiózł 1700 beczulek wypełnionych spirytusem. Specjaliści od przewozów morskich stwierdzili, że w zwykłych warunkach taki ładunek jest zupełnie niegroźny, ale transportowany w zbyt wysokiej temperaturze może czasami doprowadzić do wybuchu. A przecież jedna z tych baryłek była odszpuntowana, a część jej zawartości wypita lub też zużyta do innych celów. Niewykluczone jednak, że była jeszcze jedna taka otwarta baryłka, która, być może, nagle eksplodowała. Oczywiście wybuch mógłby spowodować reakcję łańcuchową, a wybuch całego ładunku rozniósłby bryg w strzępy. W tej sytuacji załoga w pośpiechu spuściła łodzie ratunkowe i starała się jak najdalej odpłynąć od „Mary Celeste”, która lada moment powinna była wylecieć w powietrze.

Tymczasem nic takiego się nie stało. Prawdopodobnie wybuch tej jednej baryłki alkoholu wyrwał luk, dzięki czemu nagromadzone pod pokładem gazy zdołały się ulotnić. Kiedy jednak załoga chciała powrócić na pokład, zerwał się silny szkwał i „Mary Celeste” - pod pełnymi żaglami - bez trudu „oderwała” się od szalupy.

Rozbitkowie musieli się więc pogodzić z losem i zrezygnować z beznadziejnej pogoni za brygiem. Zaczęli wiosłować w kierunku pobliskiej wyspy Santa Maria, która słynie z burzliwych wód przybrzeżnych i wielu podwodnych raf. Prawdopodobnie na jednej z nich rozbiły się szalupy, a wszyscy rozbitkowie poszli na dno.

Jak już mówiłem, hipoteza dra Lockharta najpełniej chyba tłumaczy wypadek, jaki wydarzył się na „Mary Celeste”. Ostatnio jednak wysunięto inną hipotezę, przy czym tak dziwną, że aż... prawdopodobną.

Ma ona ścisły związek z innym tajemniczym wydarzeniem, jakie miało miejsce pod koniec 1872 roku. Aby jednak zrozumieć, o co chodzi, musimy się przenieść bardzo daleko od miejsca zagłady „Mary Celeste” - mianowicie do Chicago.

## Deszcz meteorytów.

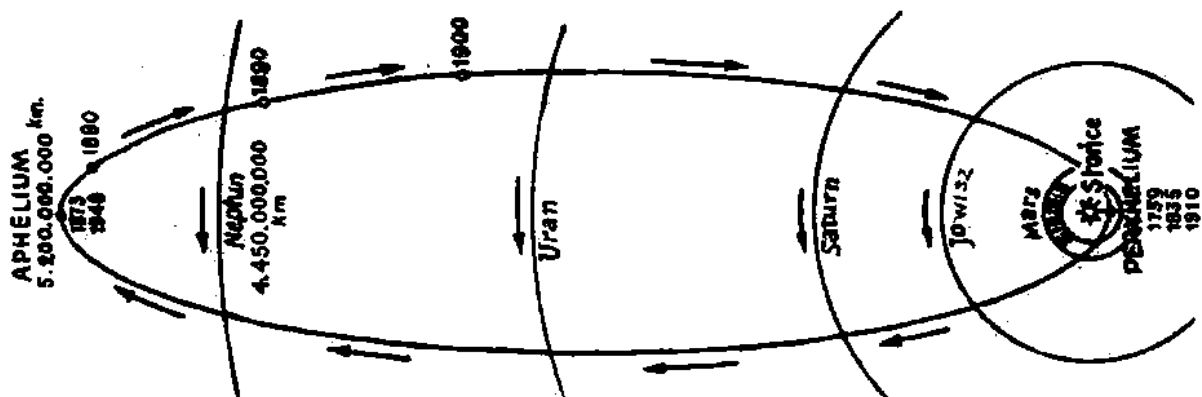
Przez wiele lat uważano, że słynny pożar w Chicago w 1872 roku, podczas którego zginęło ponad 1000 mieszkańców, wybuchł z powodu nieszczęśliwego wypadku. W myśl tej wersji czyjaś krowa wierzgnęła nogą, przewróciła lampę naftową, od której zapaliła się słoma, potem obora, wreszcie stojące obok domy i w konsekwencji całe miasto. Należy pamiętać, że w owym okresie Chicago - jak i większość miast - było w przewadze drewniane.

Wiele ludzi jednak wątpiło w tę wersję. Rzecz bowiem w tym, że zgodnie z oświadczeniami naocznych świadków słynny pożar wybuchł jednocześnie w różnych punktach miasta. Trudno sobie oczywiście wyobrazić, by krowa mogła zapalić miasto jednocześnie w kilku miejscach. Poza tym ogień nie mógł się przetrzącić aż tak szybko z jednego krańca miasta na drugi. Należy pamiętać o tym, że dzień, w którym wybuchł pożar, był spokojny: nie było wiatru! Wysłunięto więc inną wersję: podpalenie.

W miarę upływu czasu sprawą pożaru w Chicago zajmowano się coraz mniej i prawdopodobnie zapomniano by o niej już dawno, gdyby nie młody amerykański uczone Chamberlain, który w swych pracach starał się doszukać związków i zależności pomiędzy różnymi zjawiskami atmosferycznymi a pożarami w preriach i lasach.

Pewnego razu, wertując setki informacji, natrafił na coś, co zaparło mu dech w piersiach. Okazało się, że jednocześnie ze słynnym pożarem w Chicago cała seria pożarów wybuchła w najprzeróżniejszych rejonach stanów Wisconsin, Michigan, Indiana, Illinois, Minnesota, Kansas, Nebraska, a także na wybrzeżu Oceanu Spokojnego. Przewaliły się one szerokim pasem przez cały amerykański kontynent!

W miarę studiowania materiałów uczone napotyka coraz więcej niezrozumiałych faktów dotyczących również samego pożaru w Chicago. Bo też był to pożar dość niezwykły. Na przykład metalowa pochylnia na brzegu rzeki, z dala od najbliższych domostw, została, dosłownie stopiona w jedną całość! A przecież ogień od palących się zabudowań nie mógł się tu przetrzącić w żaden sposób! Dalej okazało się, że w ten straszny wieczór nawet marmur palił się jak najzwyklejszy węgiel, a domy stojące dość daleko od siebie zapalały się i stawały w płomieniach w ułamku sekundy!



Rys. 4. Eliptyczna orbita komety Halleya. Kometa przecina orbity planet naszego Układu, by między orbitami Neptuna i Plutona dojść do aphelium - punktu najdalej położonego od Słońca - i stąd bieć to kierunku Słońca aż do osiągnięcia po zatoczonym łuku perihelium - punktu najbliższej położonego Słońca. Obieg komety wynosi 76 lat.

Równie niezwykle wyglądała sprawa ofiar pożaru. W okolicach Chicago odnaleziono zwłoki setek ludzi, którzy uciekli z palącego się miasta. Leżały one na polach i na łąkach, w pobliżu dróg, a przecież w tych miejscach ogień nie mógł ich dopaść. Zdziwienie wywoływał również fakt, że nigdzie - ani na ich ciałach, ani na ubraniach - nie stwierdzono żadnych śladów ognia. A tymczasem w jednej z gazet Chamberlain trafił na krótką informację, że tego dnia z nieba spadały... palące się główne. Cóż to mogło być?

★ ★ ★

W 1826 roku W. Bieli, czeski astronom amator, odkrył jedną z najciekawszych chyba komet. Po obliczeniu jej trajektorii ustalono, że powinna się pojawiać na naszym niebie po upływie około 6 lat i 6 miesięcy. Tak więc kolejne spotkanie z kometa zostało przepowiedziane na listopad 1832 roku. I rzeczywiście - w ściśle określonym terminie kometa zjawiła się na to spotkanie. Natomiast w 1839 roku komety nie dostrzegł nikt - prawdopodobnie przeszła zbyt blisko Słońca - ale za to w wielu rejonach Północnej Ameryki spadł obfity deszcz meteorytowy.

Następnie kometa - zgodnie z obliczeniami - pojawiła się w 1846 roku. Początkowo wyglądała normalnie, ale po upływie miesiąca rozpadła się na dwie samodzielne części. W takiej właśnie podwójnej postaci zjawiła się również na swoje następne spotkanie, z tym że jej części były teraz już oddalone od siebie o ponad dwa i pół miliona kilometrów. Więcej nikt już tej komety nie widział. Może zmieniły one swoje trajektorie?

W nocy 27 listopada 1872 roku w różnych częściach Europy spadł obfity grad meteorytów. Astronomowie obliczyli, że punkt na firmamencie niebieskim, z którego leciał ten „deszcz”, pokrywa się dokładnie z punktem, gdzie spodziewano się pojawienia komety W. Bieli. Świadczyłoby to więc niezbicie, że „deszcz” meteorytów nie był niczym innym, jak resztkami komety bliźniaka, która rozpadła się całkowicie.

Zależność pomiędzy pożarami w Chicago i innych miejscach, wykryta przez Chamberlaina, pozwala na wysunięcie przypuszczenia, że wszystkie one zostały wywołane przez deszcz meteorytów. Tak więc ów zagadkowy „ogień z nieba”, który podpalił stare, drewniane Chicago, był rozpalonymi odłamkami istniejącej niegdyś komety.

Ta hipoteza doskonale również tłumaczy fakt, że podczas owego niezwyklego pożaru palił się nawet marmur, a metalowa pochylnia na brzegu rzeki została stopiona w jedną całość. Przecież „kamienie z nieba”, przechodząc przez ziemską atmosferę, rozżarzają się do bardzo wysokiej temperatury. Zrozumiała staje się również bardzo duża liczba źródeł pożaru w Chicago, a także śmierć wielu ludzi, którzy uciekli z miasta, a na których ciałach i ubraniach nie znaleziono śladów ognia. Zginęli oni na skutek wydzielających się z tych rozżarzonych odłamków trujących gazów, takich jak na przykład cyjan czy tlenek węgla.

Cóż jednak ma wspólnego słynny pożar w Chicago z kometa Bieli i tajemnicą „Mary Celeste”? A może już sami zwróciliście uwagę na dość dziwną zbieżność?

Odlamki owej dziwnej komety spadły na ziemię w listopadzie 1872 roku i wtedy też wybuchł ów straszliwy pożar w Chicago. A przecież z ostatniej informacji odczytanej z tablicy znajdującej się w kabinie kapitana „Mary Celeste” wynikało, że o godzinie 8 w dniu 25 listopada bryg znajdował się w odległości 6 mil od wyspy Santa Maria. To ta właśnie zbieżność stanowiła punkt wyjścia do wysunięcia jeszcze jednej hipotezy, która pozwoliłaby na rozwiązanie zagadki „Mary Celeste”. Zgodnie z tą hipotezą sytuacja wyglądała następująco:

Bryg płynął spokojnie w kierunku Gibraltaru, mijając wyspę Santa Maria, gdy nagle z nieba zaczęły spadać rozżarzone do białości kamienie. A nie zapominajmy przy tym, że w ładowni „Mary Celeste” znajdowało się 1700 beczulek ze spirytusem! Czy wyobrażacie sobie, jak musieli być przerażeni marynarze na brygu? Przecież znaleźli się nagle w sytuacji ludzi siedzących na otwartej beczce prochu, do której ktoś usiłuje wrzucić rozżarzoną głownię! Wystarczyłoby wszak tylko jedno trafienie, a straszliwy wybuch byłby nieunikniony. Nic więc dziwnego, że załoga w popłochu, w ciągu zaledwie kilku minut, porzuciła statek.

Cóż działo się dalej? Najprawdopodobniej kapitan Briggs i jego załoga, kiedy ustał już ognisty deszcz, popłynęli swą szalupą w kierunku „Mary Celeste”. Ale w tym momencie nagły szkwał porwał bryg. Nie zapominajmy bowiem, że kiedy zaczęły spadać meteoryty, statek płynął pod wszystkimi żaglami i nikt nie zamierzał tracić czasu na ich refowanie. Bryg - opuszczony przez wszystkich - stał się „Latającym Holendrem”. Szalupa nie była w stanie dopędzić go.

A co stało się z załogą?

No cóż... Może szalupa rozbiła się o przybrzeżne rafy, a może została trafiona jednym z owych rozżarzonych kamieni? Któż to wie...



A jakie były dalsze losy „Mary Celeste”?

Bryg, w znakomitym stanie, pływał jeszcze przez około 12 lat, choć z upływem czasu jego właściciel miał coraz więcej trudności z werbowaniem marynarzy.

Marynarze to ludzie, jak wiemy, zabobonni. Mało więc było śmiazków, którzy zdecydowaliby się zaokrętować na ten bryg. „Mary Celeste” coraz częściej zmieniała właścicieli, aż wreszcie kupił ją kiedyś za psie pieniądze pewien oszust, który postanowił się na niej wzbogacić.

Na samym początku 1884 roku bryg rozbił się na mieliźnie niedaleko od Haiti. Ładunek, który miał na swoim pokładzie, był tak wysoko ubezpieczony, że wzbudziło to powszechne podejrzenia. Wszczęto szczegółowe śledztwo, które wykazało ponad wszelką wątpliwość, że właściciel umyślnie zatopił bryg, aby otrzymać od-szkodowanie: wysoko ubezpieczony ładunek, jaki „Mary Celeste” miała na pokładzie podczas swego ostatniego rejsu, był bez żadnej wartości...

## **„Diabelski Trójkąt”.**

- Gentlemen - oficer dyżurny uśmiechnął się do zebranych - jest to normalny lot patrolowy. Trasa prawie taka sama jak zawsze. No, proszę spojrzeć na mapę. Najpierw dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód, potem około sześćdziesięciu kilometrów na północ i powrót do bazy. Czas trwania patrolu mniej więcej dwie godziny. Pogoda wspaniała, sądzę, że żadnych kłopotów nie będzie. Życzę powodzenia!

O godzinie 14 w dniu 5 grudnia 1945 roku z bazy USAF<sup>16</sup> w Fort Lauderdale na Florydzie wystartowało 6 samolotów typu „Grumman-Avenger”. Były to doświadczone załogi, każdy z członków służył już w lotnictwie od dwóch do sześciu lat. Wszystkie myśliwce, a były to jak na owe czasy jedne z najnowocześniejszych, wyposażone zostały w radiostacje, automatycznie nadmuchiwane gumowe łódki i pasy ratunkowe.

Był to zwykły lot patrolowy. Jasne, błękitne niebo, bez jednej chmurki, równie błękitne lustro morza, spokojne i ciche. 6 „Grummanów” wystartowało idealnie jeden po drugim i oddaliło się od bazy we wskazanym kierunku.

Na lotnisku zapanowała cisza, oficer dyżurny udał się do kantyny, mechanicy zajęli się drobnymi naprawami i porządkowaniem sprzętu w hangarach.

O godzinie 15.45 punkt kontrolny w bazie Fort Lauderdale odebrał pierwszy radiogram od patrolujących samolotów. Mniej więcej o tej porze piloci powinni byli poprosić o wszelkie dane niezbędne do lądowania. Tymczasem...

- Baza? - głos radiotelegrafisty jednego z samolotów wykazywał wszelkie oznaki przerażenia. - Baza, coś się stało!... Niestety, zgubiliśmy kurs... Nigdzie nie widać ziemi, powtarzam, powtarzam - nigdzie nie widać ziemi!...

- Spokojnie, spokojnie!... - powiedział główny dyspozytor. - Podajcie mi wasze współrzędne.

- Nie wiem, nie wiem, jakie są nasze współrzędne. Nie jesteśmy w stanie określić pozycji. Pojęcia nie mam, gdzie jesteśmy. Chyba zabłądziliśmy...

W punkcie kontrolnym wielkiej bazy wojennej zapanowało zamieszanie. Jak to - 6 doświadczonych załóg ze znakomitymi pilotami, ze świetnymi nawigatorami nie jest w stanie określić swojej pozycji? To coś absolutnie niebywałego. Coś, co się w głowie nie mieści.

- Halo, patrol, patrol! Słyszycie mnie? Co się z wami dzieje?

- Właśnie nie wiemy. Nie widzimy ziemi. A przecież powinniśmy być w pobliżu bazy. Wszelkie przyrządy wskazują poprawny kurs. Nic z tego nie rozumiem.

- Dobrze - głos oficera dyżurnego brzmiał spokojnie. - Tylko bez paniki. Zaraz zrobimy namiar. Na razie proponuję, abyście skierowali się na zachód.

- Na zachód? Ależ my nie jesteśmy w stanie ustalić, z której strony jest zachód! Zupełnie nie rozumiem, co się stało!

To już było wysoce niepokojące. Dowódca eskadry słyszał przecież jako jeden z najbardziej doświadczonych pilotów bazy. A może samoloty dostały się w rejon burzy magnetycznej? To się oczywiście mogło zdarzyć, ale przecież w takim przypadku lotnicy mogli sobie poradzić bez kompasów, wystarczyło dokonać namiaru na Słońce. A jednak - z jakichś bliżej nie znanych powodów - nie mogli tego zrobić: prawdopodobnie nie widzieli Słońca. Tylko dlaczego?

Przez kilka następnych minut w punkcie kontrolnym na lotnisku słychać było rozmowy pomiędzy poszczególnymi załogami patrolu. Wszystko wskazywało na to, że zarówno piloci, jak i nawigatorzy są na granicy absolutnej paniki.

Punktualnie o godzinie 16.00 dowódca patrolu przekazał swoje funkcje drugiemu pilotowi. W eterze zapanowała cisza. A w 25 minut później nowy dowódca połączył się z punktem kontrolnym na lotnisku.

- Nadal absolutnie nie jestem w stanie określić swej pozycji. Przypuszczam, że znajdujemy się mniej więcej w odległości 360 kilometrów na północny wschód od bazy. Wydaje mi się...

W tym momencie łączność została przerwana. Były to ostatnie słowa, jakie odebrano od dowódcy eskadry patrolowej.

Na lotnisku natychmiast ogłoszono alarm. W 5 minut później z pasów startowych poderwał się w powietrze ogromny, supernowoczesny samolot-amfibia „Martin-Mariner” z załogą składającą się z 13 osób i pełnym wyposażeniem ratunkowym. W tym czasie punkt kontrolny bezskutecznie próbował połączyć się z patroliem i przekazać mu informację, że ekspedycja ratunkowa już udaje się w kierunku prawdopodobnego miejsca katastrofy.

Minęło dalsze 20 minut. Punkt kontrolny zażądał podania współrzędnych od dowódcy „Martin-Mariner”. Ale w eterze panowała cisza.

Z myśliwcami i samolotem ratunkowym stało się coś, czego nikt nie umiał wytłumaczyć - coś strasznego, coś przerażającego!

<sup>16</sup> United States Air Forces (ang.) - Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych.



Dowództwo bazy w Fort Lauderdale zwróciło się o pomoc do Coast Guard<sup>17</sup> w Miami i do Marynarki Wojennej. W kilka minut później wystartował samolot patrolowy, wykonał kilka okrążeń nad przewidywanym rejonem katastrofy, ale nie dostrzegł śladu jakichkolwiek szczątków. 6 nowoczesnych samolotów bojowych i równie nowoczesny samolot ratunkowy zaginęły bez śladu.

Przez całą noc 20 kutrów patrolowych Coast Guard i okrętów wojennych oraz ponad 300 samolotów prowadziło poszukiwania w nadziei, że gdzieś w ciemności rozbłyśnie sygnałna rakietą wyrzeland przez kogoś spośród tych, którzy ulegli katastrofie. Bez rezultatu.

Wkrótce do jednostek ratunkowych dołączyły' również okręty z angielskiej bazy wojennej na Bermudach. Sprawdzono dosłownie każdy metr kwadratowy powierzchni morza w przewidywanym rejonie katastrofy. Bez rezultatu.

Od rana poszukiwaniami objęto cały rejon pomiędzy Florydą a Bermudami, a także część Zatoki Meksykańskiej. Nie znaleziono jednak najmniejszego nawet szczątku.

Dowództwo USAF wpadło w panikę. W ciągu zaledwie kilku godzin w czasie pokoju i w stosunkowo niewielkim rejonie zaginęło bez wieści 7 nowoczesnych samolotów bojowych, na których pokładach znajdowało się 27 osób.

Wysunięto wiele hipotez na temat przebiegu wydarzeń. Być może w samolotach patrolowych skończyło się paliwo, w związku z czym musiały wylądować na powierzchni morza. Oczywiście samoloty typu „Grumman” nie są przystosowane do pływania na morzu, są jednak na tyle bezpiecznie skonstruowane, że przez jakiś czas mogą utrzymać się na powierzchni. A ten czas byłby wystarczający, aby ich załogi mogły przesiąść się w nadmuchiwane pontony, nie zamoczywszy sobie nawet nóg. Przecież każdy z członków załogi przeszedł specjalne przeszkolenie, jak należy zachować się w takiej sytuacji. Z doświadczeń lat wojennych wynikało niezbicie, że wyposażenie, jakim dysponowali, pozwoliłoby im na wygodne utrzymanie się na powierzchni morza przez kilka tygodni. Wszystkie samoloty, jak pamiętamy, miały nadajniki radiowe. Dlaczego więc ani jeden z nich nie nadał sygnału S.O.S.? A poza tym, co się stało z latającą amfibią „Martin-Mariner” przystosowaną do lądowania i startowania z powierzchni morza?

Dowódca bazy Fort Lauderdale wysunął przypuszczenie, że samoloty patrolowe zboczyły z kursu z powodu bardzo silnych wiatrów. Jednakże zgodnie z komunikatami meteorologicznymi w rejonie tragedii prędkość wiatru nie przekraczała 20 m/s. Taki wiatr nie był oczywiście w stanie spowodować odchylenia od kursu.

Inną przyczyną zagłady eskadry mogła być gwałtowna trąba wodna. W okolicy Florydy wodne tornada zdarzają się bardzo często i niszczą wszystko, co napotkają na swej drodze.

W krótkim okresie czasu - trąba wodna trwa bowiem średnio od 8 do 12 minut - fruują w powietrzu samochody, kioski, beczki, a co gorsza - ludzie.

Trąby wodne jako zjawisko meteorologiczne nie zostały dotychczas bliżej zbadane. Powstają od potężnych, lejowatych wirów powietrznych nad morzem, które wsysają wodę i gdy dostają się na ląd, czynią olbrzymie spustoszenia. W największym niebezpieczeństwie znajdują się samoloty i niewielkie statki. Stery w samolocie przestają działać, maszyna koziółkuje, czasem spychana jest na ziemię i ulega zniszczeniu, innym razem wir wynosi samolot wysoko w górę.

Dr Robert Simpson, dyrektor Narodowego Centrum Zwalczania Huraganów w Miami, twierdzi, że jeśli na łódź długości 10 do 15 metrów zwali się wirujący stożek trąby wodnej, wówczas w mgnieniu oka albo łódź się przewróci, albo rozleci na kawałki. Resztę dopełniają prądy powietrzne towarzyszące trąbom wodnym, których prędkość dochodzi do 250 km/h.

Trąbom wodnym towarzyszy też nagły i gwałtowny spadek ciśnienia atmosferycznego, fatalny w skutkach dla meteopatów, to jest osób wrażliwych na zmianę warunków meteorologicznych. Szybki spadek ciśnienia, który uzyskuje najniższy stan „w oku cyklonu”, może spowodować eksplozję każdego zamkniętego pomieszczenia, na przykład domu, zbiornika itp.

Najgorsze, że trąby wodne rodzą się nagle, prognozowanie ich nadejścia jest praktycznie niemożliwe - wszystko trwa kilka minut. Trąba wodna ma kształt stożka, którego średnica podstawy wynosi kilkanaście, a niekiedy kilkadziesiąt metrów. Gdy powstaje nad morzem, skierowana jest wierzchołkiem w dół, na lądzie przyjmuje pozycję poziomą z wierzchołkiem z przodu.

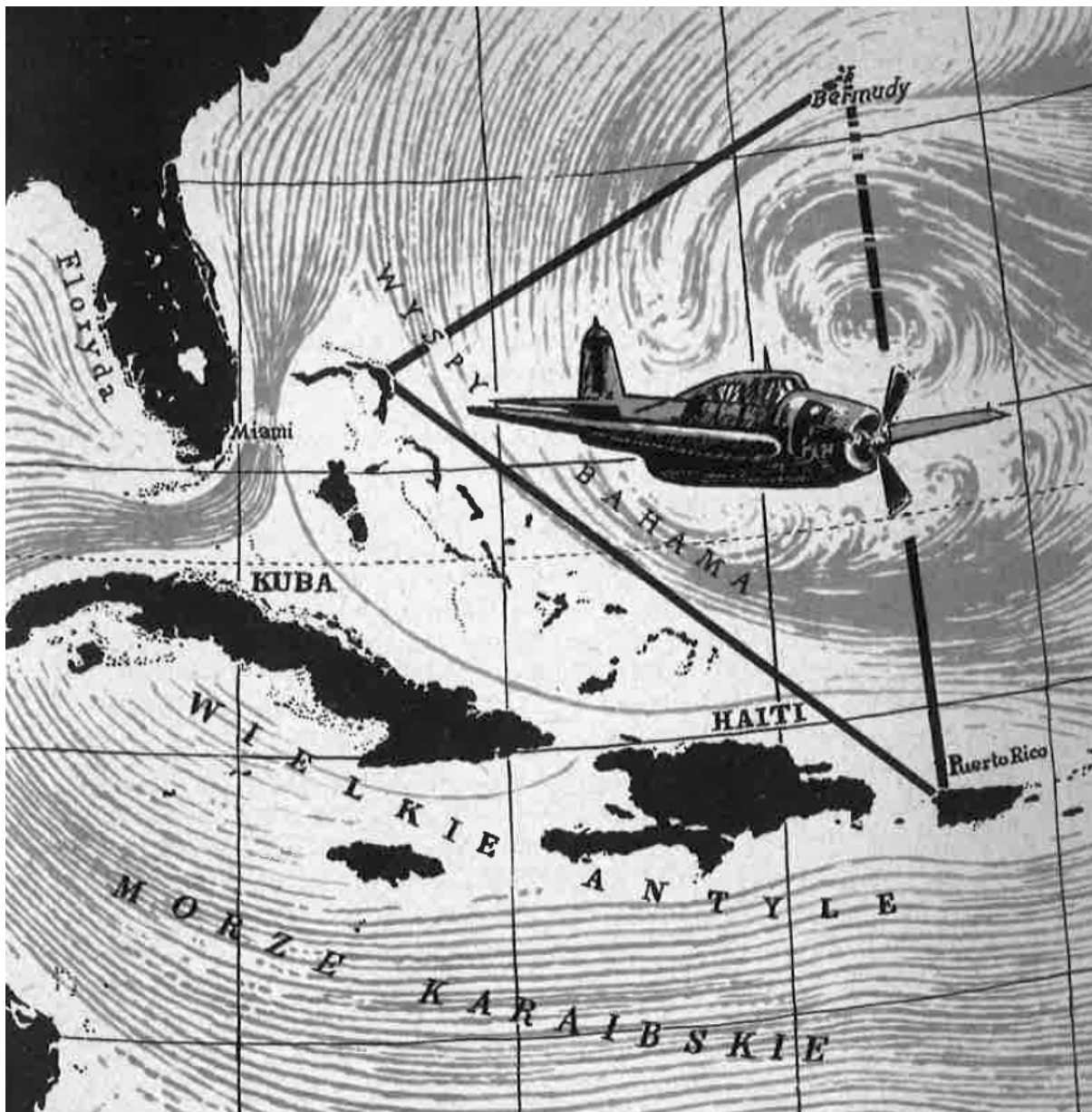
Na Florydzie trąby powietrzne są tak częste, a szkody, jakie wyrządzają, tak duże, że towarzystwa ubezpieczeniowe wyłączają skutki tornado z polis ubezpieczeniowych.

Czy taka właśnie trąba wodna mogłaby być przyczyną zagłady całej eskadry? Bardzo wątpliwe, gdyż zatopiłaby jedynie samoloty lecące bardzo nisko, natomiast „Grummany” znajdowały się na takiej wysokości, do której trąba wodna nie dochodzi. Gdyby tornado zatopiło również latającą łódź, na pewno w takim wypadku odnaleziono by chociaż szczątki tego samolotu.

Stało się coś nieprawdopodobnego, coś, co przekraczało wszelkie ramy zdrowego rozsądku. Specjaliści wysunęli więc hipotezę o pewnych niezwykłych, nie znanych warunkach atmosferycznych.

Zgodnie z tą hipotezą w rejonie ograniczonym przez Florydę, Bermudy i Puerto Rico miałyby istnieć pewnego rodzaju „dziura w niebie”. Skąd jednak wzięłaby się właśnie tutaj?

<sup>17</sup> Coast Guard (ang.) - Wojska Ochrony Wybrzeża.



Na pytanie nikt nie był w stanie odpowiedzieć. Ten niezwykły trójkąt śmierci nie zdradził dotąd swojej tajemnicy.

W dwa lata później, w ostatnim dniu stycznia 1948 roku, o godzinie pierwszej w nocy kontrola lotów lotniska Hamilton na Bermudach ogłasza alarm: zginął dwusilnikowy pasażerski samolot „Douglas DC-3” z trzydziestoma ludźmi na pokładzie! Ostatni meldunek pilota głosił, że samolot leci zgodnie z kursem, o właściwym czasie, a na pokładzie wszystko jest o.k. Ale w Hamilton na próżno oczekiwano na zapowiedziany samolot. „Douglas” nigdy nie doleciał do Bermudów, a wszczęte natychmiast i trwające przez kilkanaście dni poszukiwania nie dały żadnych wyników... Samolot zniknął bez śladu, jak gdyby rozstał w nocy. 30 amerykańskich i angielskich okrętów wojennych, a także dziesiątki samolotów bezskutecznie próbowały odszukać szczątki „Douglasa”.

Tego samego roku ze stolicy Puerto Rico - San Juan - wystartował do Miami wielki, czterosilnikowy samolot „Douglas-CA” z trzydziestoma dwoma pasażerami na pokładzie. Działo się to w dniu 24 grudnia, toteż - jak informował radiotelegrafista samolotu -pasażerowie wesoło śpiewali chórem kolędy. Do celu było już niedaleko. Widział już nawet światła Key West na południe od Florydy. O godzinie 4.13 nad ranem z pokładu samolotu wysłana została ostatnia depecha radiowa:

- Zbliżamy się do lotniska. Proszę o wskazówki dotyczące lądowania.

A kilka sekund później doszło do głosu to coś - coś tajemnicze i niezbadane. Radio zamilkło, samolot zginął bez śladu. Nikt nie wie do dziś, co się stało z ludźmi, którzy lecieli do domu na Boże Narodzenie.

W miesiąc później ginie następny samolot - dwusilnikowy „Curtiss Commando” lecący z Bermudów na Jamajkę. Po czterdziestu minutach lotu jego dowódca melduje o przejściu na łączność z kontrolą w Kingston, ale na Jamajce nikt już więcej nie słyszy jego głosu. Flotylla okrętów i eskadry samolotów penetrujące ocean od Bermudów do Jamajki powracają z niczym do swych baz...

Te wszystkie katastrofy wydarzyły się mniej więcej 30 lat temu, kiedy wyposażenie techniczne i aparatura radiowa nie były jeszcze -być może - na najwyższym poziomie. Ale mimo poważnego rozwoju techniki „Diabelski Trójkąt” w dalszym ciągu sieje śmierć.

28 sierpnia 1961 roku z florydzkiej bazy US Air Force wystartowały 2 powietrzne tankowce mające zaopatrzyć w paliwo zespół Superfortec B-52 krążących nad środkowym Atlantykiem. Ostatni meldunek z pokładu objuczonych paliwem „Boeingów” nadszedł na parę minut przed dojściem nad Bermudy... Tym razem znacznie rozszerzono krąg poszukiwań. 500 samolotów z wszystkich rodzajów sił powietrznych uporczywie przeszukiwało oceaniczne przestrzenie, by wreszcie po kilku dniach odnaleźć w 400-kilometrowej odległości na północny wschód od Bermudów pływające fragmenty samolotów-cystern. Ratownicy wysnuli jedyny logiczny wniosek: obie maszyny musiały zderzyć się w powietrzu prawdopodobnie podczas jakiegoś manewru. Lecz w dwa dni potem śmigłowiec marynarki wojennej odnalazł szczątki „Boeinga” o 250 kilometrów dalej...

Wersja o zderzeniu odpadła od razu. A żadnej innej nie udało się wysunąć.

Kilka dalszych takich katastrof - a raczej całkowitych zaginięć -zdarzyło się jeszcze w latach późniejszych.

Czasem znajdowano szczątki, nigdy jednak ciał ludzi.

W lutym 1963 roku w rejonie „Diabelskiego Trójkąta” zaginął bez śladu ogromny tankowiec „Marinę Sulphur-Queen” z załogą składającą się z 39 ludzi, a w kilka miesięcy później w równie tajemniczy sposób sejner<sup>18</sup> „Snow-Boy”.

W ciągu zaledwie ostatnich 25 lat tajemniczy żywioł tego rajskiego zakątka - na terenie dokładnie zbadanym - pochłonął ponad tysiąc istnień ludzkich! Przy czym terytorium, o którym mowa, jest stosunkowo niewielkie i otoczone gęsto zaludnionymi wyspami.

W ciągu całej doby trwa tu ożywiony ruch samolotów i statków, rejon jest nieustannie patrolowany przez samoloty i okręty wojenne. Ale „Diabelski Trójkąt” wciąż zbiera nowe ofiary.

W jaki sposób?



Tego nikt na razie nie wie na pewno, choć wysunięto już wiele najprzeróżniejszych hipotez. A więc przede wszystkim zaburzenia magnetyczne występujące w tym rejonie, które wywołują wadliwe wskazania przyrządów pokładowych, możliwość występowania potężnych antytornad, tworzących ogromne leje zasysające wszystko, co znajdzie się w ich zasięgu, pęknięcia w dnie morskim, które dawać mogą podobny efekt.

Ciekawe, że na półkuli północnej występuje jeszcze jedno takie samo miejsce: Morze Diabła lub Diabelskie.

Przyznacie, że ta nazwa jest wyjątkowo trafna, choć nie znajdziecie jej na żadnej mapie. Mianem tym marynarze określają niewielki rejon Pacyfiku pomiędzy północnymi Filipinami, Japonią i wyspą Guam.

Zarówno Trójkąt Bermudów, jak i Morze Diabła mają osobliwy wspólny punkt. Na zachodnim krańcu trójkąta przebiega południk 60°, gdzie biegun magnetyczny i geograficzny nakładają się na siebie i gdzie wszelkie obliczenia dewiacji - odchylenia kąтового pomiędzy południkiem magnetycznym a kierunkiem wskazywanym przez igłę magnetyczną - są niedokładne.

Ogromne straty, jakie poniesiono na Morzu Diabelskim, sprawiły, że rząd japoński wysłał w 1955 r. do tego rejonu specjalną ekspedycję naukową na pokładzie statku badawczego „Kaiyo Maru 5”, który krążył po tych niebezpiecznych wodach aż do tragicznego zakończenia wyprawy: statek wraz z całą załogą i uczonymi... zniknął bez śladu!

„Diabelski Trójkąt” - ta współczesna Scylla i Harybda - zyskał sobie już bardzo dawno złą sławę wśród żeglarzy i pilotów. Czy jednak rzeczywiście jest to jakiś wyjątkowy rejon? Czy rzeczywiście liczba katastrof i ofiar, jakie się w tym trójkącie zdarzyły, jest tak wielka, iż można tu mówić o jakiejś prawidłowości?

No cóż - sensacja i statystyka mają na ten temat zupełnie inne zdanie.

Według statystyki na regularnych liniach lotniczych w jednym tylko 1968 roku doszło do 31 katastrof powietrznych. Spośród nich na sławetny „Diabelski Trójkąt” przypada... tylko jedna, gdy tymczasem na Filipiny i Hongkong przypadają aż po dwie katastrofy.

---

<sup>18</sup> Sejner- statek rybacki łowiący ryby specjalnym, wyrzucanym z towarzyszących mu łodzi wiosłowych workowatym, zaciągającym się od dołu niewodem.

W tym samym roku jedynie nad terytorium Stanów Zjednoczonych zginęło 10 samolotów pasażerskich latających na regularnych liniach. Tak więc o terytorium tego kraju można by powiedzieć, że jest to „Prostokąt Śmierci”.

Rzecz jasna, że liczba samolotów, które uległy katastrofie, nie stanowi jeszcze podstawy do wyciągania zbyt daleko idących wniosków. Przecież im większy jest ruch, im więcej samolotów lata nad danym terytorium, tym bardziej prawdopodobna jest większa liczba katastrof lotniczych.

A oficjalna statystyka mówi o jeszcze jednej bardzo istotnej sprawie. Okazuje się bowiem, że najwięcej katastrof przypada na moment startu samolotu i lądowania. We wspomnianym już 1968 roku na łączną liczbę 986 pasażerów, którzy padli ofiarami katastrof lotniczych, 214 zginęło podczas startu samolotu, a 435 podczas lądowania. Pod tym względem „Diabelski Trójkąt” nie odbiega od normy. Prawdopodobnie samoloty pasażerskie, o których wspominałem, a które przygotowywały się do lądowania, zginęły właśnie w tym momencie i nie zdążyły podać nawet sygnału S.O.S....

No cóż, nie dziwny się! Wydarzenia na takim samolocie przebiegają przecież dosłownie w ułamkach sekundy.

Znacznie dziwniejsze wydają się zaginięcia statków. Statek nigdy nie ginie w ciągu kilku sekund tak jak samolot. A jednak oba przytoczone przeze mnie przykłady - tankowca „Marinę Sulphur-Queen” i rybackiego sejnera „Snow-Boy” - też nie mogą być uważane za coś niezwykłego. Przypominam - o czym mówiłem już w rozdziale pt. „Czerwona Księża” - że w ciągu jednego tylko roku na wszystkich morzach i oceanach ginie bez śladu średnio 5 statków.

Oczywiście najbardziej zadziwiający wydaje się wypadek z zaginięciem 6 myśliwskich samolotów „Grumman-Avenger” i poszukującej ich amfibii „Martin-Mariner”. W swoim czasie była to rzeczywiście sensacja na skalę światową.

Co jednak było przyczyną ich zaginięcia? Może niszczycielskie działanie infradźwięków? Niewykluczone. Może trąba wodna? Też możliwe, choć - jak wspominałem - na tej wysokości tornado nie jest zbyt groźne.

A może... może jakieś nie znane nam jeszcze dzisiaj i zupełnie nie zbadane zjawiska?

Oddajmy więc głos jeszcze raz statystyce.

W ciągu 25 lat nad terytorium „Diabelskiego Trójkąta” zginęło 1000 osób. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest to liczba ogromna, jeżeli jednak porównamy ją z innymi danymi, okaże się, że terytorium to również „utrzymuje się w normie”, gdyż według dokładnych obliczeń na terytorium wszystkich mórz i oceanów na całej kuli ziemskiej ginie w ciągu jednego zaledwie roku 200 tysięcy ludzi.

Amerykański Lotniczy Urząd Federalny (FAA) obalił modną legendę „Trójkąta bermudzkiego”. Akwen między Miami, Bermudami i wyspami Virgin nie jest bynajmniej zamieszkały przez pozaziemskie istoty lub też zagrożony przez jakieś tajemnicze siły. Dokładna analiza przeprowadzona przez FAA stwierdza, że obszar ten cechuje po prostu wyjątkowo zmienna pogoda, która stanowi groźbę dla samolotów i statków.

Tak więc ów przerażający „Diabelski Trójkąt” nie jest w świetle statystyki niczym przerażającym.

Czy jednak na pewno?

## **Za siódmą górą.**

### ***Mój przyjaciel krokodyl...***

Nave był świetnym myśliwym i dzielnym wojownikiem, lecz musiał porzucić swoje ziemie i swoje łowiska i wraz z ludźmi z plemienia uciec na południe, gdyż na ich wsie stale napadali wojownicy z plemienia Samorów i Babutu - brali do niewoli mężczyzn i kobiety, aby potem sprzedać ich w niewolę Arabom. Było to dawno - może 100, może 200 lat temu - nikt już tego dziś nie pamięta.

Wędrowali tak długo, aż trafili na miejsce, które im się spodobało. Trawa była tutaj wysoka i soczysta, w jeziorach zawsze dostatek wody dla ludzi i zwierząt. Wokół panowała cisza i spokój. Życie w nowej wiosce płynęło tak, jak w ojczystych stronach. Rankiem Nave szedł na polowanie i wracał dopiero wieczorem, a niekiedy nawet po kilku dniach.

Pewnego razu Nave udał się, jak zawsze, na polowanie, lecz zawędrował dalej niż zazwyczaj. Już dawno skończył mu się zapas wody, nie mógł jednak znaleźć żadnego źródła.

I oto usłyszał nagle jakiś szelest. Kiedy się odwrócił, zobaczył krokodyla. Pomyślał, że jeżeli pójdzie za nim, na pewno dotrze do jakiejś rzeczki, jakiegoś źródła lub chociażby bajorka.

I tak też postąpił. Wkrótce krokodyl doprowadził go rzeczywiście do niewielkiej rzeczki. Nave ugasił pragnienie, napełnił skórzaną sakwę wodą, a potem... Potem wydobył łuk i strzały i zabił krokodyla. Kiedy zaś wracał do wioski, napotkał jeszcze jednego krokodyla, więc wystrzelił drugą strzałę i też go zabił.

Gdy Nave powrócił do domu, zobaczył, że dwóch jego synów leży martwych. A przecież kiedy wychodził na polowanie, obaj byli zdrowi i pełni sił. Nie wiedział więc, co się stało, i nie domyślił się, że śmierć ich wiąże się z zabiciem przez niego dwóch krokodyli.

Gdy upłynął już okres żałoby, Nave ponownie wybrał się na polowanie. A stało się to na samym początku pory deszczowej. Nave znów polował z dala od swojej wsi. Na maleńkiej pirodzie przepłynął szeroką Woltę i zagłębił się w dżunglę. Wtedy właśnie zaczęła się straszliwa ulewa. Nave pobiegł pędem z powrotem do rzeki, lecz pirogę już uniósł prąd. Rzeka była tak wzburzona, że lada chwila mogła zalać las. Toteż myśliwemu nie pozostało nic innego, jak przeczekać wezbranie wód siedząc na drzewie.

Ciężkie to były chwile, pełne zwątpienia i rozpacz. Nave świetnie rozumiał, że jeżeli szybko wody nie opadną, po prostu umrze z głodu. A nic nie wskazywało na to, by miały opaść.

W pewnym momencie Nave zauważył płynącego krokodyla, który spokojnie i powoli zmierzał ku przeciwnemu brzegowi.

Nave zdecydował się na czyn zupełnie desperacki: zeskoczył z drzewa, chwycił krokodyla za ogon i tak - holowany przez to straszne zwierzę - doплыł do drugiego brzegu wezbranej rzeki.

A tam - kiedy był już bezpieczny i nic mu nie zagrażało - wyjął nóż i zabił zwierzę, któremu zawdzięczał ocalenie. Zabił go i zjadł jego mięso.

Gdy po kilku dniach powrócił do domu, dowiedział się, że o tej samej godzinie zmarł jego trzeci syn.

Wtedy dopiero po raz pierwszy Nave zastanowił się nad tym, co się stało, pomyślał, że pomiędzy śmiercią jego synów a zabitymi przez niego krokodylami coś jest, coś łączy te dwie rzeczy.

Poszedł więc Nave do czarownika z sąsiedniej wioski, który słynął z mądrości na całą okolicę, i opowiedział mu o wszystkim. Czarownik myślał, myślał - myślał bardzo długo - aż wreszcie powiedział:

- Tak, wszystko się zgadza. Twoje dzieci umierały, bo umierały krokodyle, a umierały dlatego, że twoim totemem i totemem całej twojej rodziny jest właśnie krokodyl. Jeżeli więc głowa rodziny zabije krokodyla, jest to zbrodnia. A każda zbrodnia musi być ukarana śmiercią.

I wtedy Nave złożył przysięgę, że już nigdy - ani on sam, ani nikt z jego wsi - nie podniesie ręki na krokodyla.

I jeszcze przysiągł, że wszystkie krokodyle, które zamieszkają w pobliżu wsi, będą czczone jak bóstwa i chronione przez ludzi. I dodatkowo przysiągł, że rozprawi się z każdym, kto będzie chciał te zwierzęta skrzywdzić...

Malutkie miasteczko Tamale, na wpół zasypane piaskiem, leży na północy Ghany w pobliżu granicy z Górną Woltą. W odległości kilku mil na południe od Tamale drzemie w słońcu niewielka wioska ukryta wśród pagórków, nielicznych drzew i krzaków. Dookoła pełno jest stawów, których powierzchnia gładka jest jak lustro. Ot, zwykła wioska, jak wiele jej podobnych. A jednak... jest to wieś niezwykła.

Nad brzegiem jednego ze stawów widać w ziemi jakieś dziwne wyłobienia. Są to ślady... długich ciał i krótkich łap olbrzymich krokodyli. A w pobliżu tych śladów murzyńskie kobiety spokojnie płuczą bieliznę, nie opodal zaś pasą się krowy strzeżone przez pastucha z włócznią.

Mała wioska Page, tak niby niepozorna i niczym nie różniąca się od innych, słynie w okolicy z tego, że jej mieszkańcy żyją w idealnej zgodzie z krokodylami. I nie tylko w zgodzie.

Przez zarośla gęstej i wysokiej trawy przedziera się kilkunastu czarnoskórych chłopców. Towarzyszy im niski mężczyzna, szczupły i nijaki, w kwiecistej koszuli i sandałach przywdzianych na boscie nogi. A jednak jest to człowiek zajmujący w wiosce jedno z najwyższych stanowisk - tuż po wodzu i czarowniku. To „sekretarz od krokodyli” - człowiek odpowiedzialny za organizację i przebieg wszelkich ceremonii z udziałem tych świętych zwierząt.

Chłopcy w podskokach zbliżają się nad brzeg jeziora i na chwilę zamierają w bezruchu.

Na znak dany przez towarzyszącego im mężczyznę rozpoczyna się nieprawdopodobna wrzawa. Chłopcy krzyczą, wskakują do wody, biją dłońmi o jej powierzchnię. Cały ten tumult trwa kilka chwil, nic się jednak nie dzieje. Powierzchnia wody nadal jest spokojna, kobiety w sąsiedztwie płuczą bieliznę, a krowy pasą się jak gdyby nigdy nic. Tak mija parę minut. Wreszcie mężczyzna kiwa głową, odwołuje chłopców i mówi:

- Widocznie śpią. Trzeba je będzie rozbudzić.

To mówiąc powoli zdejmuje koszulę i spodnie, zrzuca sandały i wchodzi do wody. Na środku jeziora nurkuje, woda znów jest gładka. Na chwilę pokazuje się jego czarna kędzierzawa głowa i znów niknie w wodzie. Po chwili mężczyzna wychodzi na brzeg, zakłada koszulę i spodnie i mówi spokojnie:

- Już idą... Za chwilę tu będą.

I oto nagle na powierzchnię wody wypływa gruba brązowa bela. Po chwili jeszcze dwie takie same. Nie są to jednak na wpół zgniłe pnie drzew, lecz... krokodyle! Powoli i spokojnie podpływają do brzegu. Dwa z nich pozostają w wodzie, trzeci zaś niezgrabnie gramoli się na brzeg.

Zwierzę ma co najmniej trzy metry długości, jego potężny ogon wlecze się po ziemi, ogromna paszcza, pełna straszliwych zębów, jest szeroko otwarta. Kuśtykając na krótkich łapach potwór powoli zbliża się do mężczyzny, który „wywołał” go ze stawu, i spokojnie układa się u jego nóg.

Wiele ludzi uważa, że krokodyle to najgłupsze zwierzęta na kuli ziemskiej. I rzeczywiście - wyraz mordy potwora nie robi najlepszego wrażenia. Wypisane jest jak gdyby na niej nieme pytanie: „A po co właściwie wołałście mnie? Czego ode mnie chcecie? Tam, na dole, tak się fajnie spało...”

Mężczyzna nachyla się nad krokodylem, delikatnie gładzi go po głowie, bez najmniejszej obawy, że straszliwa paszcza odgryzie mu rękę. Coś szepcze, coś doń mruczy... Jest to prawdziwy dialog - dialog człowieka ze zwierzęciem.

Chłopcy w oczekiwaniu na wyniki tej niezwyklej narady przycupnęli wokół i bacznie obserwują to, co się dzieje. „Narada” trwa kilka minut, po czym mężczyzna wstaje i zdecydowanym krokiem kieruje się do wody. Natychmiast na jego spotkanie zbliża się para pozostałych krokodyli. Na znak dany przez mężczyznę chłopcy wskakują do wody i... tu zaczynają się dziać rzeczy zdumiewające!

Chłopcy gramolą się na krokodyle, dosiadają ich, jak gdyby były to potulne osiołki, ciągną je za potężne ogony, których jedno uderzenie mogłoby zmiażdżyć ich kości, szarpną za potężne szczęki, bawią się w berka, każą się obwozić dookoła jeziora. To szaleństwo trwa mniej więcej przez godzinę.

W pewnym momencie mężczyzna siedzący na brzegu tuż obok trzeciego krokodyla daje znak. Chłopcy, co prawda z ociąganiem, wychodzą na brzeg i pędzą w kierunku pobliskich zabudowań, krokodyle zaś - wszystkie trzy - czekają „grzecznie” w wodzie tuż przy brzegu. Po chwili chłopcy pędem wracają z wioski: każdy z nich trzyma w ręce małego związanego kurczaka. To nagroda dla zwierząt za godziną zabawę.

Po spożyciu dobrze zastróżonego posiłku dwa krokodyle znikają w wodzie, trzeci zaś wypęta na brzeg i otworzywszy szeroko paszczę zasypia spokojnym snem poobiednim. Tylko z oczu leją mu się obficie przysłowiowe krokodyle łzy...

Te potulne niczym baranki krokodyle zdomowione w wiejskim jezioru są takie tylko w stosunku do mieszkańców wioski. Od niepamiętnych czasów nikt z Page nie słyszał o wypadku, aby krokodyl komukolwiek wyrządził najmniejszą choćby krzywdę. Mieszkańcy wsi spokojnie kąpią się i myją we wszystkich okolicznych stawach, a co najdziwniejsze, ich bydlę też nic nie grozi ze strony krokodyli: nigdy nie zdarzyło się, aby któryś z drapieżników chciał się połakomić na wiejską kozę, która przyszła do wodopoju.

Cała ta sielanka dotyczy jednak tylko miejscowych. Natomiast jeżeli chodzi o obcych przybyszów...

Przed kilkunastu laty do Page dotarł misjonarz. Był to czystej krwi Afrykanin, który kształcił się w Europie, gdzie ukończył seminarium duchowne i otrzymał święcenia kapłańskie. Kiedy usłyszał o świętych krokodylach i o czci, jaką ich obdarzają mieszkańcy wioski, dotarł do Page i próbował przekonać miejscową ludność, że krokodyle nie mogą być istotami świętymi, nie mogą choćby dlatego, że nie mają duszy, że są dzikimi zwierzętami, które należy tępić, a dobre stosunki z nimi są po prostu zakazane.

Posłuchajmy zresztą, jak ten wypadek relacjonuje wódz wioski o imieniu Awampaga.

- No cóż - powiedzieliśmy - bardzo możliwe, panie misjonarzu. Bardzo możliwe, że u innych te sprawy wyglądają właśnie tak, jak pan mówi. U nas jednak jest inaczej. My się przyjaźnimy z krokodylami. Zresztą możecie się o tym sami przekonać.

Pokazaliśmy mu wtedy, jak nasze dzieci bawią się z krokodylami, ale on i tak nie chciał uwierzyć. Wciąż twierdził, że to niemożliwe i że ludzie nie mogą się przyjaźnić ze zwierzętami. Przecież w Europie, podczas pobierania nauk, nie uczyli go o tym.

Mieszkał on u nas kilka dni i wciąż się mieszał w nie swoje sprawy, wciąż mu się coś nie podobało. A po kilku dniach zrobił rzecz straszną: przy nas wszystkich, jak tutaj byliśmy, na oczach całej wioski zjadł kawałek krokodylego mięsa, który przyniesiono mu z innej wsi. Chciał nam w ten sposób pokazać, że mu się nic nie stanie...

A wszystko wyszło odwrotnie: następnego dnia jeden z naszych krokodyli wyskoczył z wody, schwycił misjonarza na nogę i wciągnął na dno. Co po nim pozostało, dotychczas jeszcze leży na dnie. Nawet nie zdążyliśmy się wmieszać, tak nagle to się stało. Ja wówczas jeszcze byłem małym chłopcem, ale do dziś pamiętam, jak strasznie krzyczał ten biedny misjonarz, kiedy krokodyl wciągał go do wody. Pamiętam także krzyki ludzi, którzy rzucili się na pomoc, choć już było za późno.

Oczywiście historia ta narobiła wiele szumu, nawet przyjechała do nas policja z Tamale, szukali winnych, szukali bardzo długo, no ale przecież to nie była nasza wina.

Wypadek ten został rzeczywiście odnotowany w kronikach policyjnych Tamale, jak i kilka innych podobnych. Świadczą one niezbicie, że owe „łagodne” krokodyle stają się straszliwymi, żarłocznymi bestiami, jak tylko mają do czynienia z obcymi.

Page to mała wioska leżąca w odległości zaledwie kilku mil od granicy z Górą Woltą. A tamtejsza ludność ma zupełnie inny stosunek do krokodyli: poluje na nie, zabija, spożywa ich mięso i sprzedaje skóry, które, jak wiadomo, są niezwykle cennym towarem.

Niedawno, bo zaledwie przed kilku laty, niektórzy myśliwi z Górnej Wolty przekradali się nocą przez granicę i polowali na krokodyle w odległych bajorkach należących do Page. Nazajutrz mieszkańcy wioski często odnajdywali ślady okrutnej nocnej walki.

Wówczas postanowiono zorganizować specjalny oddział złożony z wojowników, który miał za zadanie chronić krokodyle i w ten sposób spełnić przysięgę, jaką kiedyś, w niepamiętnych już czasach, złożył założyciel wsi, Nave.

Wokół wioski jest jednak wiele bajerek i stawów, a i krokodyli jest tam mnóstwo. Interwencje wojowników nie zawsze więc były skuteczne, toteż myśliwi z Górnej Wolty nadal bezkarnie polowali na krokodyle w pobliżu Page.

Pewnego razu zdarzyło się jednak coś, co położyło temu kres raz na zawsze.

Którejś nocy czterech myśliwych z Górnej Wolty wybrało się na polowanie na krokodyle. A nazajutrz znaleziono ich ciała straszliwie zmasakrowane nad brzegiem jednego ze stawów. Natychmiast ściągnięto policję z Tamale, ale śledztwo utknęło na martwym punkcie. Wszelkie podejrzenia, że to mieszkańcy Page zamordowali owych czterech myśliwych, okazały się bezpodstawne. Nie znaleziono na ciałach ofiar ran od włóczni, noża czy też strzały. Ci ludzie zostali rozszarpani przez krokodyle...



Tak więc z jednej strony legenda o myśliwym Nave i jego trzech synach, a z drugiej - rzeczywistość, która wydaje się jeszcze bardziej nieprawdopodobna.

Alberto Ongaro, znany włoski podróżnik i dziennikarz, jest znakomitym znawcą Afryki. To właśnie on przed kilku laty przypomniał żywe po dziś dzień wierzenia Afrykanów w magiczną więź pomiędzy człowiekiem i zwierzęciem, w nadprzyrodzone więzy braterstwa z lampartami, a nawet z węzami.

W 1973 roku dotarł do niewielkiej wioski Page w Ghanie, o której od dawien dawna krążyły nieprawdopodobne legendy. Jego relacja z pobytu w tej wiosce stała się rewelacją na skalę światową, sensacją tak wielką, że aż... podejrzaną. Wiele ludzi przypuszczało, że jest to po prostu mistyfikacja, inaczej mówiąc - zwykła kaczka dziennikarska.

Ale dowody dostarczone przez Ongaro nie budziły jednak wątpliwości: przebieg całej zabawy ghańskich dzieci z krokodylami ilustrowany był licznymi zdjęciami, a jego relacja poświadczona przez innych uczestników wyprawy.

Zacznijmy jednak od legendy. Często jesteśmy skłonni dowierzać legendzie na tej zasadzie, że ponoć pamięć ludowa przechowuje wspomnienia o tym, co było kiedyś, o przeszłości, ale nie jest to zawsze prawda. Takie stanowisko nie w każdym przypadku jest słuszne. Często legenda jest po prostu odbiciem ludowych wyobrażeń czy wierzeń i dlatego nie można jej brać dosłownie. Należałoby więc najpierw wyjaśnić choć w kilku słowach historię tego mitycznego (a może rzeczywistego?) założyciela wioski.

Oczywiście wszystko zaczyna się nie od niego, a o parę tysięcy lat wcześniej. Nawet w samej legendzie dziwna śmierć synów Nave zakłada jakąś więź pomiędzy bohaterem a krokodylami. Przecież czarownik przypomina myśliwemu, że jego totemem jest właśnie krokodyl.

Nazwą „totem” określa się jakieś przedmioty lub zwierzęta, o których człowiek czy pewna grupa ludzi sądzi, że są z nimi w pewnym stopniu spokrewnieni. Najczęściej totemem jest zwierzę, któremu oczywiście pod żadnym pozorem nie wolno wyrządzić krzywdy. Odwrotnie nawet: należy dbać o to, aby mu się dobrze powodziło.

Najprawdopodobniej w zamierzchłych czasach takie wierzenia wykształciły się u wszystkich plemion i narodów, w każdym razie ślady totemizmu wykryto na całej kuli ziemskiej. Jest to bowiem jedna z najwcześniejszych religijnych koncepcji ludzkości. W różnych krajach czczono różne zwierzęta, które uważano za swych przodków albo za mitycznych opiekunów tych przodków, a nawet za bóstwa.

Najwięcej informacji o świętych krokodylach przypada właśnie na Afrykę. Pamiętajmy, że kult tego zwierzęcia znany był już w starożytnym Egipcie. Krokodyl nie jest jednak tylko „monopolem” Afryki. Na przykład Papuasi z Nowej Gwinei również czcili to zwierzę. Wspomina o tym zresztą słynny rosyjski podróżnik N. Mikłuchow-Makłaj, który opisuje drewnianą figurę przodka w jednej z chat w Nowej Gwinei. Był to człowiek z głową krokodyla.

Tak więc cześć, jaką otacza się krokodyl w małej zagubionej wiosce w Ghanie, nie jest niczym wyjątkowym ani dziwnym. Sądząc z legendy, starożytne wierzenia związane z kultem krokodyla zdołały już wśród mieszkańców Pagi zaniknąć. Dlatego właśnie przesiedleńca z północy, który najprawdopodobniej jest jednak postacią historyczną i który założył wieś, uważany jest również za inicjatora więzi pomiędzy krokodylami a ludźmi.

Z drugiej jednak strony sama forma kontaktu ludzi z krokodylami jest rzeczywiście czymś niebywałym. Etnografowie, którzy zajmują się badaniami Czarnego Kontynentu, znają takie przypadki, kiedy człowiek umiał się kontaktować z tym niebezpiecznym i bardzo starym zwierzęciem, reliktem z ery mezozoicznej. Na przykład doskonały znawca Afryki, Lawrence G. Green, opisuje w swej książce „Old Africa's Last Secrets” („Ostatnie tajemnice starej Afryki”) starą Murzynkę, która najspokojniej w świecie kąpała się w rzece wśród stada ogromnych krokodyli. Nigdy żaden z nich nie zrobił jej nic złego.

Jednakże to, co opisał Alberto Ongaro, owe beztrioskie zabawy dzieci z krokodylami w stawie, nie zostało jeszcze dotychczas nigdzie opisane.

I tutaj nasuwają się pytania. W jaki sposób ludność całej wioski potrafiła doprowadzić do tego, że owe groźne zwierzęta zachowują się łagodnie w stosunku do wszystkich mieszkańców? I tylko w stosunku do nich? Jak odróżniają one „swoich” od „obcych”?

No cóż - na ten temat mamy jeszcze bardzo niewiele danych. Możemy jedynie wysunąć kilka przypuszczeń: na przykład niezwykle i zupełnie nie znany przypadek tresury, i to zbiorowej tresury zwierząt w ciągu wielu pokoleń. Tu warto przypomnieć, że w cyrkach występują niekiedy tresowane krokodyle wykonujące posłusznie nieskomplikowane polecenia tresera. Niewykluczone jednak, że ta zbiorowa tresura oparta została na swego rodzaju hipnotycznym oddziaływaniu człowieka na zwierzę. Takie przypadki też są znane.

Niestety na razie nauka nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie w sposób jednoznaczny. Może jednak rozwiązanie tej zagadki nastąpi w niedługim czasie?

A swoją drogą - gdyby o tym wszystkim wiedział biedny Papkin! Może cała akcja „Zemsty” potoczyłaby się zupełnie inaczej.

## **Władca dusz.**

Początkowo w kole ustawiają się nowicjusze i ci najmłodszy, później dopiero, jeden po drugim, dorośli mężczyźni. Przed rozpoczęciem wszyscy kłaniają się po kolei na „osiem wiatrów”, składając dłonie przed twarzą, po czym powoli zaczynają krążyć wokół usypanego wzniesienia.

Tak zaczyna się penczak - wojenny taniec przypominający nieco walkę judo lub karate, niezwykle popularny we wszystkich wioskach zachodniej Jawy. Ostre, przenikliwe dźwięki terompetu - ludowego instrumentu w kształcie trąby - popędzają tańczących, zmuszają ich do coraz szybszego, a potem zawrotnego, wręcz szaleńczego tempa. Tancerze pilnie się wzajem obserwują, gotowi w każdej chwili rzucić się do ataku lub też - odwrotnie - przejść do obrony. Terompet wyje coraz przenikliwiej, napięcie wzrasta. Wśród tłumu otaczającego wzniesienie panuje milczenie.

Nagle jeden z tańczących gwałtownie skacze i atakuje swojego sąsiada. Obnażone, splecione ciała wiją się w powietrzu. Muzyka milknie, wszyscy czekają, dopóki jeden z walczących nie oswobodzi się z objęć przeciwnika. Wówczas ostry dźwięk terompetu rozlega się ponownie, taniec toczy się dalej.

Ale oto nagle w samym środku koła pojawia się mężczyzna cały ubrany na czarno, przepasany purpurową szarfą. Na jego widok zebrani widzowie zaczynają szeptać pomiędzy sobą. To dukun<sup>19</sup>. Czarne iskrzące się oczy, potężne dłonie, których nadgarstki owinięte są kawałkami tygrysiej skóry, i głęboka blizna na czole - wszystko to robi oczywiście na zebranych ogromne wrażenie.

Nowo przybyły tańczy znacznie pewniej od zebranych. Terompet i gamelan<sup>20</sup> gwałtownie akcentują wszelkie jego skoki. Wszyscy mężczyźni z wioski ustawiają się teraz przed nim w szeregu, a każdy z nich trzyma w rękach gruby bambusowy kij.

Nagle terompet milknie, zapada martwa cisza. Dukun pochyla głowę, jego „przeciwnicy” potrząsają ciężkimi kijami. I oto mężczyźni z rozpędu kolejno doskakują do dukuna i co sił walą go po głowie bambusowymi pałkami, z których pozostają tylko drzazgi.

W tłumie rozlega się okrzyk, okrzyk ulgi. Terompet znów pruje powietrze ostrymi dźwiękami. Taniec zostaje podjęty na nowo.

Dukun, który według wszelkich reguł logiki powinien już leżeć na ziemi z rozwaloną czaszką, tańczy nadal. Na głowie nie ma nawet sińca, najdrobniejszego choćby zadrapania! Tańczy, pilnie rozglądając się wokół i kontrolując wszelkie ruchy pozostałych tancerzy. Wszystko wskazuje na to, że w ogóle nie odczuwa bólu. Potężne skoki dukuna stają się coraz szybsze, szybsze... Nagle zatrzymuje się przed

<sup>19</sup> Dukun - szaman, czarownik.

<sup>20</sup> Gamelan - instrument ludowy bardzo popularny na Wyspach Sundajskich, składający się zazwyczaj z dwóch ksylofonów, dużego i małego, przymocowanych do drewnianej podstawy, po których uderza się cienkimi pałeczkami.



długą ścianą budynku, pochyla głowę i z rozpędu, celując w potężną belkę podtrzymującą dach, uderza w nią głową. Potem jeszcze raz i jeszcze. Na belce pozostają wgłębienia od uderzeń, na głowie dukuna... nie ma żadnego śladu. Rozlegają się głośne oklaski.

To jednak jeszcze nie koniec widowiska. Tocząc wokół rozszalałym wzrokiem, dukun dopada ogromnej tacy, chwyta z niej szklankę z wrzątkiem, który wypija jednym łykiem, po czym... zjada szklankę w całości. Słychać zgrzytanie szkła rozgniatanego zębami. Dukun powoli rozgryza je, jak gdyby był to zwykły sucharek. Najprawdopodobniej sztuczka ze szklanką wchodzi do klasycznego repertuaru dukuna, ponieważ wśród publiczności rozlegają się śmiechy i pojedyncze oklaski. Na tym jednak wciąż jeszcze nie kończy się program pierwszej części spektaklu.

W ziemię zostają wbite dwa kilkumetrowe potężne bambusy, pomiędzy którymi zwisa gruby sznur; dukun podchodzi do jednego z pali, gdzie w skorupie orzecha kokosowego pali się kadzidło. Czarownik składa teraz ofiarę: wpuszcza do skorupy dziewięć trawek, a obok kładzie grzebień i lustro. Zgodnie z nakazem tradycji, przed wykonaniem tego numeru dukun musi się przemienić... w kobietę. Zawiązuje więc na głowie chustkę, poprawia sarong<sup>21</sup>, bierze do ręki parasolkę, a nawet lekko pomadką maluje wargi.

Podobnie jak przed rozpoczęciem tańca dukun obraca się, szepcząc zaklęcia na osiem wiatrów; rozlegają się delikatne, ciche dźwięki muzyki. Dukun chwyta za gruby sznur zwisający z wierzchołka jednego z pali i wspina się w górę. Kiedy dociera do poprzecznej liny łączącej oba pale, podciąga się i kładzie na niej na plecach. Lina kołysze się, a ciało czarownika szybuje jak gdyby równoległe do ziemi.

Znów rozlegają się oklaski, a dukun tymczasem na górze otwiera i zamyka parasolkę, układa się w pozycji lotosu, potem chwyta dłońmi za kostki nóg, przy czym to wszystko dzieje się podczas swobodnego balansowania na linie. Wreszcie wpija się w linę zębami i zwisa z rozłożonymi na boki rękami, a nogami zaczyna huśtać się. Giętkie bambusowe tyki przeginają się pod jego ciężarem, prawie stykają się swymi wierzchołkami. A dukun wciąż uczipiony zębami liny stopniowo coraz mocniej ugina bambusy, opuszczając się w ten sposób na ziemię.

Tak kończy się pierwsza - cyrkowa - część widowiska. Za chwilę, po krótkiej przerwie, rozpocznie się „program specjalny”.

## **Ludzie-zwierzęta.**

Mieszkańcy wsi zostali podzieleni na dwie części. Po jednej stronie ustawili się mężczyźni, po drugiej - kobiety z dziećmi. Pośrodku siedzi w milczeniu dukun nad misą wypełnioną owocami. W skorupie orzecha wraz z kadzidłem leży kilka ziarenek kawy. Czarownik ma tym razem na głowie zielony zawój - totopong. Oznacza to, że jego właściciel stale utrzymuje kontakt ze światem duchów. Złożywszy dłonie przed twarzą dukun coś szepcze. Za jego plecami powolutku i cicho zaczyna grać gamelan. Dźwięki stają się coraz głośniejsze, po chwili dołącza do nich ostre, przenikliwe brzmienie terompetu.

Na scenie pojawiają się tancerze odziani w barwne stroje: wielu ma na sobie liczne ozdoby. Dołącza do nich dukun. Zielony totopong i purpurowa szarfa podkreślają ponurą czerń stroju i przykuwają wzrok widzów.

Taniec przybiera na sile. Mężczyźni poruszają się po kole, uważnie przyglądając się szamanowi. Po chwili rytm tańca staje się tak szybki, że widzowie i tancerze zaczynają krzyżeć. Powoli liczba tańczących zwiększa się, a najbardziej niezmierny jest wśród nich oczywiście dukun - reżyser i główny aktor tego widowiska. Pulsujący rytm tańca przyprawia o zawrót głowy nie tylko tancerzy, lecz i widzów.

W pewnym momencie, kiedy tancerze pędzą po kole jeden za drugim, gęsiego, dukun przerywa taniec, bierze maleńki koszyczek z popiołem i rozsypuje go wokół siebie, zakreślając wyraźnie widoczny krąg. W ręce ma teraz jaskrawo wymalowaną maskę. Nagle podskakuje do jednego z tańczących i przykładą mu ją do twarzy. Tańczący rozpaczliwie zdiera ją z twarzy.

Nie wiadomo skąd w rękach szamana pojawia się gruby worek, na którym naszyte zostały długie, czarne pasy. Górny koniec worka uwieńczony jest ogromną głową tygrysa. Tymczasem wybrany tancerz zrzucił już z siebie wszystkie ozdoby, a także prawie cały strój. Nie przerywając ani na chwilę tańca, skacze nagle do worka i teraz dopiero zaczyna się szaleństwo.

Poprzez materiał worka wyraźnie widać wszelkie ruchy ciała, czerwona tygrysia maska szczerzy długie, ostre zęby. Człowiek tygrys rzuca się na dukuna, ale ten zręcznie odskakuje w bok. Wygląda to, jak gdyby rzeczywiście prawdziwy tygrys atakował swoją ofiarę. Tancerz w worku trzyma maskę na wyciągniętych do góry rękach. Wszelkie ataki „zwierzęcia” mijają się jednak z celem - dukun za każdym razem jest zwinniejszy.

---

<sup>21</sup> Sarong - rodzaj spódnicy upiętej z płata ozdobnej tkaniny noszonej na Jawie, Malajach i w Syjamie.

Nagle podnosi rękę i „zwierzę” zamiera. Ręka szamana zniża się coraz bardziej, aż dotyka głowy tancerza, który jest tuż obok niego i ściśle wykonuje wszelkie polecenia dukuna, obecnie pogromcy tresującego uległe mu zwierzę: w prawo, w lewo, leżeć, wstać!

W pewnym momencie tancerz zrywa z siebie worek i opada na czworaki. Jego twarz nie ma już teraz w sobie nic ludzkiego, jest przerażająca! Jest to najprawdziwsze zwierzę o oszalałym wzroku, walące bezmyślnie dookoła swoją „łapą”. Ten człowiek rzeczywiście został zamieniony w tygrysa.

Wszystko to trwa kilka minut. Dukun ponownie kładzie rękę na głowie poskromionego „tygrysa” i podnosi do góry jego straszliwie naprężoną twarz. Wzrok szamana nieruchomieje, mięśnie na rękach nabrzmięte są od napięcia. Muzyka cichnie, rozlega się tylko delikatny odgłos bębna. Człowiek tygrys już nie ryczy, nie bije łapą, jest nieruchomy, jego głowa powoli zniża się coraz bardziej, aż nagle przewraca się na ziemię: wpada w głębokie omdlenie.

Jego nieruchome, bezwładne ciało przenoszą pod ścianę domu. Dukun podchodzi do leżącego i zaczyna wykonywać nad jego głową wolne ruchy ręką. Człowiek jednak (czy też wciąż jeszcze tygrys?) leży nadal w głębokim omdleniu, oczy ma zamknięte, ręce i nogi rozrzucone na ziemi. Dukun nachyla się, dmucha mu w uszy, potem podskakuje i gwałtownie krzyczy. Człowiek, który jeszcze zaledwie przed ułamkiem sekundy był absolutnie nieprzytomny, podrywa się i włącza się do kręgu. Tańczy jak gdyby nigdy nic.

Muzyka znów staje się coraz gwałtowniejsza. Dukun tańczy wraz ze wszystkimi, a obok niego człowiek tygrys z twarzą zalaną potem, przy czym nie wykazuje najmniejszych nawet oznak zmęczenia! Najprawdopodobniej nie zdaje sobie sprawy z chwilowej hipnozy, w jaką został wtrącony.

Nagle dukun znów wydaje przeraźliwy okrzyk, pod wpływem którego tancerz natychmiast opada na czworaki i zamiera. „Władca dusz” obwiązuje mu wokół bioder jakiś sznurek i oto człowiek, który przed chwilą tańczył jak gdyby nigdy nic, znów wpada w trans.

Tym razem jednak będzie to zupełnie inne zwierzę: małpa! Podskakuje, obraca się w koło, przygląda wszystkim i nie poznaje nikogo; drapie się po głowie i po biodrach. Dukun rzuca mu orzech kokosowy, który tamten łapie, podskakując radośnie. Następnie odgryza zębami twardą skorupę orzecha i zdziera ją. Jego usta są pełne kory, ale człowiek małpa na tym nie poprzestaje: trzeba przecież jeszcze rozbić orzech. Ujmuje go więc oburącz i rozbija jednym uderzeniem... o własną głowę!

Wszystko, co działo się dotąd, to wciąż tylko preludium, dopiero teraz zaczynają się dzieła rzeczy niezwykle. W pewnym momencie „małpa” potężnie odbija się od ziemi i ląduje na dachu murzyńskiego domu. Tego nie jest w stanie dokonać żaden człowiek! Dukun każe mu jednak zejść z dachu, po czym ten zjada w nagrodę kilka bananów, które mu rzucono z tłumy. Jeszcze chwila i opętany wspina się błyskawicznie na wysokie drzewo. Kotłuje się na samym jego wierzchołku, po czym przeskakuje z gałęzi na gałąź zupełnie jak małpa.

Dukun, który pozostał w środku kręgu, zmusza jednak „małpę” do powrotu na ziemię. W tym celu postukuje palcami o mały bębenek. „Małpa” posłusznie schodzi na ziemię i usadawia się u nóg czarownika. Jego wzrok ponownie nieruchomieje, a szaleniec nagle przewraca się: znów wpadł w stan głębokiego omdlenia. Wszyscy zamierają: czy szamanowi uda się również tym razem ocucić zaklętego człowieka?

„Władca dusz” radzi sobie jednak z tym bez trudu. Człowiek, który wystąpił już na tym „pokazie” w podwójnej roli - tygrysa i małpy - jak gdyby nigdy nic zajmuje swoje miejsce w kręgu tańczących. I znów na twarzy ani śladu zmęczenia, ani śladu przebytego szaleństwa!

Całe to widowisko trwa już kilka godzin, ale dukun jest niezmordowany. Gdy tylko niedawna „małpa” po odzyskaniu przytomności zajęła miejsce w kręgu tańczących, szaman przystępuje do nowych metamorfoz.

Tym razem wybiera spośród tańczących dwóch uczestników. Gwałtownym ruchem chwytą ich za szyje i krzycząc przeraźliwie przygina ich głowy do ziemi. Obaj nieruchomieją, a czarownik przywiązuje im do pasków jakiś niewielki kolorowy sznurek.

Obaj zaczarowani nieruchomo patrzą na ziemię. Kucnąwszy, dukun uważnie się w nich wpatruje. Obaj nachylają się coraz niżej, wlepiając oczy w drgające palce szamana. Ich twarze prawie dotykają już ziemi.

Nagle obaj wydają... charakterystyczne pochrząkiwania. To już nie ludzie, to wieprze! Dukun wskazuje im drogę wzdłuż ściany domów w kierunku pola znajdującego się na skraju wsi. Obaj chłopcy, pochrząkując i szybko przebiegając nogami i rękami, pędzą w kierunku im wskazanym.

Na polu rośnie maniok. Jest to roślina wysoka mniej więcej na półtora metra, której duże, bulwiaste korzenie głęboko tkwią w ziemi. Oba „wieprze”, gdy tylko dotarły do pola, zaczęły natychmiast wyrwać zębami soczyste łodygi. W ich ruchach nie ma już niczego ludzkiego. Są to naprawdę zwierzęta!

Ale oto rozlega się dźwięk czarodziejskiego bębna. To dukun - władca ich dusz - karze im wracać. Potrafi narzucić im swoją wolę, choć znajdują się od niego w odległości ponad pół kilometra! Ludzie wieprze natychmiast pokornie zawracają. Pędzą w kierunku koła ciągnąc za sobą w zębach wyrwane korzenie manioku. Żaden kontakt z zewnątrz jest z nimi niemożliwy: nie reagują na jakiegokolwiek

nawoływania. Jedynie dukun ma na nich nieograniczony wpływ. Ich pochrząkiwanie, tak typowe, nie jest wcale śmieszne, jest wręcz przerażające.

Dukun przyciąga do siebie obu zaczarowanych i kładzie dłonie na ich drżących głowach. Powoli ich przerywisty oddech uspokaja się, obaj cichną. Dukun przechyla ich głowy coraz niżej, w takt szaleńczych dźwięków wydobywających się z gamelana. To właśnie dźwięki tego instrumentu mają mu pomóc w odczarowaniu obu młodych ludzi. Jeszcze przez chwilę ich mięśnie są napięte, ale nagle obaj padają na ziemię w stanie głębokiego omdlenia. Wydają się martwi: nie ma w nich ani śladu życia.

Teraz dukun musi ponownie tchnąć życie w te nieruchome ciała. Odwiązuje niepotrzebne już sznurki, podnosi ich głowy. Obaj nadal jednak nie wykazują żadnych oznak życia.

Muzyka milknie, czarownik dokładnie oczyszcza im palcem usta z liści manioku i grudek ziemi. Te nieruchome istoty to już co prawda nie wieprze, ale jeszcze nie ludzie. Władca dusz zaczyna swoje magiczne sztuki: delikatne ruchy rąk nad nieruchomymi ciałami, krąży wokół nich, zrazu powoli, potem coraz szybciej i szybciej. Wreszcie przykuca obok i dotyka ich twarzy. Po chwili obaj, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wstają, w otwartych oczach nie ma ani cienia obłądu. To znowu ludzie.

Ale to wciąż nie koniec programu. Obaj chłopcy mają do spełnienia jeszcze jedną rolę narzuconą im przez wszechwładnego dukuna: za chwilę zamienią się w wydry.

Wszystko powtarza się w tej samej kolejności, z tym że obaj kierują się teraz - również na czworakach - w kierunku jeziora. Zanurzają się w brudnej wodzie, rozgrzebują łapami zarośla lotosu w poszukiwaniu ryb, a dukun, który stoi obok nich, uważnie śledzi ich poczynania. W pewnym momencie jeden z zaczarowanych nagle nurkuje i po chwili wypływa na powierzchnię wody. W zębach ma żywą rybę. Mija jeszcze kilka minut i ten sam wyczyn udaje się drugiemu zaczarowanemu.

Po wykonaniu swego „zadania” obaj wracają do koła. Ruch ręki dukuna i znów padają na ziemię w pełnym omdleniu. Tym razem sytuacja jest jednak nieco trudniejsza. W kurczowo ściśniętych szczękach tkwią bowiem ryby, których nie sposób wyjąć. Dopiero długie i żmudne wysiłki szamana powodują, że szczęki obu omdlałych rozkurczają się. „Odczarowanie” <trwa kilka minut. I znów, tak jak poprzednio, obaj nagle wracają do życia. Są to normalni ludzie, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o tym, co się z nimi działo przed chwilą. Na twarzach byłych tygrysów, małp, wieprzów i wyder nie widać żadnych oznak minionych przeżyć, jeżeli nie liczyć lekkiego zmęczenia. Obaj uśmiechają się i zajmują miejsca wśród pozostałych widzów...

## **Po drugiej stronie życia.**

Etnografowie - uczeni zajmujący się badaniem początków i rozwojów różnych kultur - zgodnie stwierdzają, że wszystkie etniczne grupy na ziemi знаły (co prawda w różnym stopniu) zjawisko transu. W pierwotnych wspólnotach taniec-trans spełniał szczególną rolę, w czasie bowiem takiego tańca składano ofiary otaczającej przyrodzie. Człowiek „porzucał” swoje ciało „wcielając się” w określone zwierzę, aby jak najściślej zespolić się z otaczającym go światem. Rzecz jasna, że takie wcielenie powinno było wpłynąć na inne zwierzęta tego samego gatunku. Zgodnie bowiem z poglądami ludów prymitywnych, w obliczu przyrody wszyscy są równi, a więc i człowiek jest wtedy równy zwierzętom. Odbicie tych wierzeń znajdujemy prawie we wszystkich baśniach ludowych, gdzie zwierzęta i ludzie swobodnie rozmawiają ze sobą, świetnie się wzajem rozumiejąc.

Od niepamiętnych czasów szaman spełniał wśród ludów określoną rolę: był lekarzem, przewidywał przyszłość, rozsądzał najbardziej skomplikowane sprawy.

Główna funkcja szamana polegała na odbywaniu wędrówek w krainę duchów.

Wprowadzając się w trans szaman na oczach wszystkich tracił swoje zwyczajne ludzkie oblicze, zrywał całkowicie kontakt z otoczeniem. Uważano, że jego duch porzucał ciało, które wpadało w stan głębokiego omdlenia. Po „powrocie” opowiadał o wszystkim, co zobaczył, i przekazywał opinie przodków, a więc tych najbardziej kompetentnych i najbardziej doświadczonych, z których zdaniem zawsze należało się liczyć.

Oczywiście takie „zdolności” powodowały, że szaman miał prawie nieograniczoną władzę nad członkami danej wspólnoty. Panowało powszechne przekonanie, że potrafi on latać, leczyć chorych, zsyłać na odległość nieszczęścia na wrogów, a także rozmawiać ze zwierzętami i wcielać się w nie.

Po tym krótkim wstępie możemy już teraz spokojnie zastanowić się, na czym właściwie polega tajemnica owych jawajskich władców dusz? Na czym się te wszystkie ich „sztuczki” opierają?

W zasadzie należałoby je podzielić na dwie odrębne grupy. Pierwsza z nich to oczywiście numery typowo cyrkowe, na przykład balansowanie na zwisającej linie czy też zjedanie szklanki. Z takimi cudami bez większych kłopotów radzi sobie spokojnie byle jarmarczny sztukmistrz, natomiast druga, znacznie obszerniejsza i tak wstrząsająca grupa zjawisk powinna być traktowana bardziej serio.

Od dawna już wiadano, że u podstaw wielu przeróżnych niezwykle faktów, które zawsze umacniały wiarę w różne nadprzyrodzone siły, leżą zjawiska jak najbardziej naturalne - przede wszystkim hipnoza: przejściowy stan utraty świadomości, podobny do snu, wywołany przez sugestie hipnotyzera, mogącego u osoby hipnotyzowanej wywołać halucynacje, zanik pamięci, paraliż itp. Do takiego wniosku doszedł zresztą już w 1843 roku angielski chirurg James Braid, który jest autorem samego określenia „hipnoza”<sup>22</sup>.

Odtąd też hipnoza oraz wszelkie inne związane z nią zjawiska (sugestia czy autosugestia) były wielokrotnie i bardzo wnikliwie badane przez uczonych różnych krajów. Najwszechstronniejsze i najbardziej uzasadnione eksperymentalnie były badania znanego rosyjskiego fizjologa Iwana Pawłowa i jego kontynuatorów.

Ustalili oni ponad wszelką wątpliwość, że stan hipnozy powstaje pod wpływem ściśle określonych warunków, a więc czynników oddziałujących hamująco, usypiająco na większą część mózgu. Jednocześnie jednak działają przeciwnie - pobudzająco, aktywizujące, ale tylko na jakiś jeden wyizolowany odcinek mózgu.

Nie chcąc nużyć czytelników rozwlekłymi rozważaniami, proponuję taką oto definicję hipnozy: jest to pewnego rodzaju cząstkowy, niepełny sen, podczas którego na tle uśpionego w zasadzie mózgu pozostaje pewne ognisko komórek nerwowych nadal „czuwających”. Ten podwójny charakter hipnozy wpływa właśnie na dziwne i niezwykle zachowanie się ludzi zahipnotyzowanych.

Posłuchajmy zresztą, co na ten temat mówi dr Krzysztof Boruń:

„Nie ulega już dziś wątpliwości, że podstawowym czynnikiem wywołującym zjawiska hipnotyczne (zwłaszcza w stanie somnambulicznym) jest sugestia, przy czym szczególną rolę w przypadku człowieka odgrywa sugestia słowna. Bodźce fizyczne są czynnikami sprzyjającymi sugestii, niemniej najistotniejsze znaczenie ma kontakt między operatorem a obiektem eksperymentu - to jest dominująca pozycja hipnotyzera w oddziaływaniu sugestywnym na hipnotyzowanego. To właśnie w wyniku sugestii, spotęgowanej stanem ograniczenia pola świadomości wywołanym hipnozą, pojawiają się tak zadziwiające zjawiska, jak nieodczuwanie określonych bodźców czy też nadwrażliwość. Można na przykład wmówić zahipnotyzowanej osobie, iż nie odczuje bólu w czasie przeprowadzanej bez znieczulenia operacji lub porodu. Co ciekawsze, sugestia taka powoduje zmniejszenie krwawienia, często demonstrowane w czasie pokazów hipnozy w postaci przekłuwania igłą dłoni. I odwrotnie - dotknięcie ołówkiem dłoni przy sugestii, że jest to palący się papieros, powoduje nie tylko okrzyk bólu, ale czasem również zacerwienie skóry, podobne do oparzenia.”

Sugestie dotyczą nie tylko wrażeń dotykowych czy termicznych, ale również słuchowych i wzrokowych. Zahipnotyzowany może nie słyszeć niektórych dźwięków (np. głosu określonej osoby) lub odwrotnie - słyszeć nie istniejące w rzeczywistości (np. nieobecnych lub zmarłych). Do szczególnie efektywnych eksperymentów należy wywoływanie omamów wzrokowych - zahipnotyzowany wita się z nieobecną na sali matką, wskazuje na stół w strachu przed wyimaginowaną zmiją, rozbiiera się i kładzie spać do nie istniejącego łóżka.

Tak więc w opisanych ceremoniach obrzędowych wszelkie poczynania „władcy dusz” zmierzają do tego, aby poprzez hipnotyczne oddziaływanie uśpić rozum, uśpić mózg człowieka, który za chwilę ma być zamieniony w zwierzę. Pamiętajmy bowiem, że wszyscy ludzie - w mniejszym lub większym stopniu - są podatni na emocjonalne oddziaływanie na ich psychikę. Rzecz jasna, że dukun, który musi być z konieczności dobrym psychologiem, wybiera już podczas tańca „delikwentów”, którzy są na to oddziaływanie najbardziej podatni. Zahipnotyzowany przez dukuna człowiek traci poczucie rzeczywistości, traci kontakt z całym otoczeniem, aż wreszcie przestaje odczuwać samego siebie, własne ciało.

Pozostaje w nim jednak, jakaś niewielka zresztą, cząstka świadomości. Jest to również efekt oddziaływania na jego psychikę w tym wypadku obliczony na pobudzenie jego wyobraźni (i nie tylko jego, lecz również i widzów). Chce on wpoić wszystkim bez różnicy ślełą wiarę w możliwość dokonania cudu. Ci ludzie przyszli już zresztą ten spektakl pełni takiej wiary, zostali więc jak gdyby wstępnie przygotowani do kontaktu z innym, nadnaturalnym światem. A jeżeli nawet jeszcze w to nie wierzyli, to bardzo chcieli w to uwierzyć, chcieli się na własne oczy przekonać, że władca dusz może dokonać takiej właśnie metamorfozy.

Główna rola dukuna sprowadza się do tego, aby wszyscy zebrani uwierzyli, że jest on właśnie tym pośrednikiem pomiędzy światem wszechpotężnych duchów a światem zwykłych śmiertelników. Wybitny radziecki uczony profesor dr W. Rożnow zwraca uwagę również między innymi na fakt, że nawet sam strój, sam ubiór dukuna jest niezwykle wyrazisty: czarny sarong przepasany purpurową szarfą i zielony totopong na głowie będący symbolem rzekomo nadprzyrodzonych zdolności. Symbolem jego siły są ozdoby ze skóry tygrysa na nadgarstkach rąk, a wszelkie cyrkowe triki, którymi poprzedzona zostaje główna część spektaklu, również obliczone są na rozbudzenie i wyczerpanie wyobraźni widzów.

Swoistym kulminacyjnym, takim nie do odparcia dowodem jego rzekomego kontaktu z siłami pozaziemskimi jest niezwykle odporność na ból. To już nawet nie jest panowanie nad samym sobą, to

<sup>22</sup> Z greckiego hypnos - sen.

jest całkowita niewrażliwość na ból, niewrażliwość wręcz niezwykła. Uczeni jednak ustalili już dawno, że taka właśnie niewrażliwość jest jedną z charakterystycznych cech typowych dla głębokiego stadium hipnozy (jest to tzw. somnambulizm) i określana mianem analgezji. To dziwne zjawisko zostało niejednokrotnie odnotowane przez badaczy zajmujących się hipnozą. Analgezja powoduje, że dukun rzeczywiście nie czuje żadnego, najmniejszego nawet bólu, kiedy na jego głowę spada grad uderzeń, natomiast na zebranych widzach cała ta procedura robi oczywiście ogromne, wstrząsające wrażenie, co oczywiście znakomicie ułatwia dukunowi dalszą część jego zadania.

Wróćmy jednak do naszego „spektaklu”. Po tych wszystkich wstępnych przygotowaniach (balansowanie na linie, zjedzona szklanka, potężne ciosy walące się na głowę dukuna) dukun może przystąpić już do głównego punktu programu. Audytorium jest przygotowane do cudu, jaki ma za chwilę nastąpić, on zaś, ponieważ jest niezłym psychologiem, dawno sobie wybrał odpowiednią „ofiara”. Wspominałem o tym, że wszyscy ludzie są - w mniejszym lub większym stopniu - podatni na sugestię słowną lub też jakiegokolwiek inne emocjonalne oddziaływanie na ich psychikę. Ta podatność zależy przede wszystkim od wrodzonych predyspozycji systemu nerwowego, a także od warunków życia, miejsca, czasu. Cechą charakterystyczną hipnozy jest to, że wzmacnia ona w znacznym stopniu te właśnie indywidualne predyspozycje.

W taki właśnie sposób rodzą się ludzie zwierzęta: tygrysy, małpy, świnie i wydry...

Dziś, w XX wieku, mimo ogromnego postępu cywilizacji, nie brak jeszcze na świecie zakątków, gdzie życie przebiega na prymitywnym poziomie. Oczywiście szamanizm nie odgrywa dziś już tak istotnej i wiodącej roli, jak choćby jeszcze przed kilkudziesięciu laty, ale wiara w niezwykłe umiejętności i możliwości władców dusz jest jeszcze wśród prymitywnych ludów bardzo silna...



Czy jednak rzeczywiście tylko wśród prymitywnych ludów? Po przeczytaniu ostatniego zdania nasunęła mi się poważna wątpliwość...

W 1974 roku jeden z moich przyjaciół, dr Wiktor Osiatyński, świetny dziennikarz i publicysta, odbył długą, zamorską podróż, z której relacje publikował w tygodniku „Kultura”. Nie był co prawda na Wyspach Sundajskich, lecz nieomal „po sąsiedzku” - na Filipinach. I tam był świadkiem, a nawet - jeśli można się tak wyrazić - uczestnikiem „eksperymentu” nie mniej dziwnego od opisanego przeze mnie.

Podczas pobytu w Manili dr Osiatyński miał okazję spotkać się z niejakim Virgilio Gutierrezem, jednym z najznakomitszych magów filipińskich, który wyleczył tysiące przypadków chorób uznanych przez lekarzy za beznadziejne. Oto obszerny fragment relacji dra Osiatyńskiego z tego spotkania, który za jego zgodą pozwałam tu sobie przytoczyć. Jak się za chwilę sami przekonacie, był on świadkiem czegoś, co na zdrowy rozum jest absolutnie niemożliwe.

„Weszła wychudzona Amerykanka w towarzystwie otyłego męża i kierowcy. Virgilio zaprowadził ją do drugiego pokoju, położył na połowym łóżku przykrytym prześcieradłem i zamknął za sobą drzwi. Po dziesięciu minutach wychylił się i kiwnął do mnie ręką.

- Może pan popatrzeć przez uchylone drzwi.

Odstłonił brzuch kobiety. Lewą rękę położył jej na czole, palcami prawej natomiast wykonywał nad brzuchem takie ruchy, jakby sypał sól lub piasek. Powoli przeciągnął palcem nieco ponad powierzchnią ciała i sięgnął do środka, znów tymi samymi solącymi ruchami. Pogrzebał tam chwilę, wyjął coś i wrzucił do kosza. Znów zaczął solić powietrze nad brzuchem, przejechał po nim całą dłonią, potem raz jeszcze, znów i znów, ponownie poruszył palcami, zdjął lewą dłoń z czoła, zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka.

- Musi poleżeć, potem zrobię jej masaż magnetyczny - powiedział do męża.

- Co pan robił? - spytałem zdumiony, nie wierząc w to, co widziałem na własne oczy.

- To był rak. Wyrzuciłem zepsutą tkankę.

- Jak to. Bez krwi?

- Bez krwi. Widzi pan, ciało ludzkie jest skomplikowane, ale nie niezbadane. Składa się z komórek. Każda komórka wysyła fale. Można je rozpoznać, można nimi kierować.

- Jak?

- Kierując wibracjami. Kiedy chirurg tnę ciało skalpelem, przecina żywe komórki. Wtedy ciało krwawi. Ale przecież między komórkami jest błona. Można tak pokierować wibracjami, że ustawią się one w linii, jedna przy drugiej. Granica będzie przebiegała wzdłuż błony, między komórkami. Kiedy umocni się tę granicę, można otworzyć ciało bez krwi; potem można je zamknąć i nie będzie żadnej blizny.

- A co z tkanką rakowatą? Jak pan ją ocenia i określa jej zasięg?

- Chora tkanka ma inne wibracje niż zdrowa. Nic zatem prostszego, jak określić jej granice. Potem wyjąć na analogicznej zasadzie.

- Widziałem to, co pan zrobił przed chwilą, ale niech się pan nie dziwi, że nie bardzo wierzę. Trochę to przekracza możliwości pojmowania: klóci się ze wszystkim, czego się uczyłem.

- Bo jest pan człowiekiem małej wiary. Nie wierzy pan w potęgę iluminacji, w zdolności duszy ludzkiej. Niech pan da rękę.

Wziął moją lewą rękę w swoją. Uchwycił silnie i długo patrzył mi w oczy. Po kilku minutach zaczął wykonywać ponad moją dłońią prawą ręką te same ruchy - jakby sypał sól. Po chwili odczułem w dłoni wibracje, jakby drobny prąd. Najpierw na środku dłoni, a potem kierowane jego ruchami na całej dłoni - od nadgarstka po palce. Zmienił ruch ręki z pokrętnego na prosty, choć palcami nadal sypał ten swój eter. Przejechał nimi kilka razy nad linią, w której palce zlewają się ze środkiem dłoni. Odczułem wyraźną granicę wibracji właśnie w tym miejscu - jedne szły do środka dłoni, inne po palcach, od środka. Były mocniejsze, niż gdy zaczynał. Poczułem, że z łatwością może mi wyjąć każdy palec. Krzyknąłem »dostyc!« i zatrzymałem jego rękę. Wibracje powoli zaczęły przybierać coraz bardziej chaotyczny kształt, zakotłowały się i zaczęły ustępować.

Byłem cały czas świadomy, w pełni sprawny umysłowo - nie mogła to więc być hipnoza. Wciąż jeszcze jednak nie dowierzałem. Zawinąłem lewy rękaw koszuli.

- Czy może pan mi przeciąć lewe przedramię?

- Mogę, czy coś panu dolega? - zapytał, wiedząc, że nie.

- Nic, ale chcę wiedzieć na pewno, że nie śnię.

- Dobrze - powiedział z pewnym zakłopotaniem.

Nie dawałem mu się schwycić oczami. Patrzyłem na rękę. On znów zaczął jakby sypać sól. Znów wibracje. Potem ciągnęła linia wysokiego napięcia wzdłuż przedramienia. Przeciągnął wzdłuż niej paznokciem wskazującego palca. Zauważyłem wąską, płytką rysę. Przeciągał dalej ponad nią: rysa pogłębiała się aż do kości. Bez bólu, bez krwi. Zapytał, czy starczy. Ułożył swoją rękę poziomo i zaczął nią przeciągać wzdłuż otwartego ramienia. Wibracje przełamały granicę i zaczęły się o siebie ząbiać. Były już inne. Rysa robiła się coraz płytsza, aż wreszcie znikła zupełnie. Niestety, nie było żadnego dowodu - jakiegokolwiek blizny. Czuję tylko, jakbym miał w ciele kawałek blachy.

- Przez kilka dni, może nawet do dwu tygodni, będzie pan odczuwał wibracje wzdłuż miejsca, gdzie panu otworzyłem rękę. Potem przejdzie. Czy już pan wierzy?"

A czy Wy uwierzylibyście? Nie? No to posłuchajcie.

Oto co na ten temat mówi świetny znawca tego tematu, Krzysztof Boruń.

Sprawy słynnych magów filipińskich - bo o nich tu oczywiście mowa - nie można skwitować wzruszeniem ramion nad naiwnością ludzką. I nie chodzi tu tylko o to, że istnieje wiele wiarygodnych relacji potwierdzających lecznicze efekty praktyk uprawianych przez tych ludzi, gdyż nie brak przecież również licznych, udokumentowanych przypadków zawodności stosowanych przez nich metod. Rzecz w tym, iż problem „leczenia duchowego” nie jest ani lokalnym problemem filipińskim, ani też kwestią sporu między sceptykami a ludźmi wierzącymi w skuteczność zabiegów magicznych. Dotyczy znacznie szerszej i poważniejszej sprawy - miejsca psychoterapii we współczesnej medycynie. Zanim jednak pozwolę sobie na pewne ogólniejsze refleksje na ten temat, wróćmy do magów filipińskich i prób oceny tego, co w ich praktykach cudotwórczych jest zjawiskiem realnym, a co złudzeniem wywołanym odpowiednimi zabiegami.

Jak wynika z relacji pacjentów i obserwatorów - naukowców i dziennikarzy - metody terapii stosowane przez magów filipińskich można podzielić na trzy grupy: oddziaływanie psychiczne, masaże i zabiegi operacyjne, te ostatnie nie przez wszystkich praktykowane. Leczenie poprzedza zazwyczaj rozmowa, w czasie której pacjent mówi o swych dolegliwościach, mag zaś stawia własną diagnozę, prezentując nierzadko swe zdolności jasnowidcze (podając np. niektóre fakty z życia pacjenta). Z kolei mag poczyna wywierać wpływ „fizyczny”: ruchy jego dłoni i palców wywołują w określonych miejscach wrażenia wibracji, drętwienia itp. Teraz może już przystąpić do klasycznych niejako zabiegów leczniczych, jakimi są „masaże magnetyczne” i uciskanie odpowiednich mięśni czy narządów wewnętrznych. W wielu przypadkach udaje się w ten sposób nie tylko złagodzić cierpienia chorych, ale nawet doprowadzić do całkowitego wyleczenia, na przykład przywrócić władzę w sparaliżowanych kończynach.

Światową sławę „cudotwórców” zawdzięczają jednak ci filipińscy „magnetyzerzy” nie tyle swym sukcesom leczniczym, ile sensacyjnym relacjom o dokonywanych przez nich zadziwiających „operacjach magicznych”. Wielu z nich bowiem podejmuje się przeprowadzenia niezwykle skomplikowanych zabiegów chirurgicznych bez żadnych narzędzi, gołymi rękami. Usunięcie rakowatej tkanki z wnętrza organizmu jest dla nich ponoć błahostką... Potrafią jakoby otworzyć człowiekowi brzuch, sięgnąć do organów wewnętrznych, usunąć, co trzeba, i zamknąć go z powrotem w ten sposób, że nie pozostanie żaden ślad operacji. Świadczenie takich zabiegów, którym pozwolono przyglądać się z daleka, widzieli, jak ręce magów zagłębiały się w ciele i wydobywały jakieś krwawe strzępy, jak wyjmowano i wkładano na powrót gałki oczne, jak łała się krew i ropa.

Nie będę się tu zajmował treścią wyjaśnień Gutierrez - kontynuuje Krzysztof Boruń - czy można je zaliczyć do wytworów czystej fantazji, czy też do dziedziny fantastyki naukowej, opartej o pewne odkrycia i teorie biofizyczne. Przedmiotem kontrowersji między entuzjastami magii filipińskiej a sceptykami są jednak kwestie nie tyle teoretyczne, co praktyczne: magowie oszukują czy nie oszukują? Zarzut szarlatanerii dotyczy, rzecz jasna, przede wszystkim owych magicznych operacji. Sceptycy twierdzą wręcz, że są to zwykłe sztuczki iluzjonistów, i to dość prymitywne. W kilku przypadkach udało się zresztą przyłapać magów na oszustwie, na przykład wyrwijając z ręki maga wyjętą rzekomo z piersi pacjenta „tkankę rakowatą”, która po zbadaniu okazała się tkanką zwierzęcą, i to nie nowotworową! Zdaniem naukowców i dziennikarzy, interesujących się bliżej praktykami magów filipińskich, krew, ropa, organa zwierzęce są przynoszone w plastikowych torebkach i ukrywane w fałdach ciała pacjenta. Zanurzenie dłoni w większych fałdach skóry (zwłaszcza na brzuchu) stwarza z daleka wrażenie sięgania do wnętrza ciała. Przytaczane są też przypadki, w których, wbrew twierdzeniom magów, zdjęcia rentgenowskie nie wykazały „pooperacyjnych” zmian w organizmie. Jeśli zresztą nawet przyjąć, że przychwycenie na oszustwie czy niepowodzeniu zabiegu nie dowodzi jeszcze, że wszyscy magowie są szarlatanami - faktem pozostaje, iż nie pozwalają oni obserwatorom zbliżyć się i filmować operacji. Żaden też dotąd ze świadków nie był w stanie stwierdzić, że widział otwarte wnętrze ciała „operowanej” osoby. Czy teraz też uwierzylibyście?...

## **Ogniste ścieżki.**

„Przejmujące dźwięki tamtamów i piszczałek, zapach kadzidła i jaśminu... Wokół długiego, buchającego żarem rowu zebrał się ogromny tłum. W tym rowie długości prawie 5 metrów i szerokości przeszło 3 metrów spalono 6 ton drewna. Potworny żar bije w oczy, kiedy zbliżacie się do ogrodzenia z lin ustawionego w odległości mniej więcej dziewięciu metrów od rowu.

Bogobojni Hindusi kroczą majestatycznie za swoimi kapłanami. Wielu z nich niesie wizerunki najwyższych bóstw: Brahmy i jego wcielenń Wisznu i Sziwy, a także pomniejszych bożków: bogini cholery - Malamy, odzianej w żółty strój, bogini kaszlu - Kokalamy, bogini ospy i odry - Sukhadżamy.

Nagle procesja zamiera: to odbywa się pudża - modły kapłanów.

Bębny i piszczałki przyspieszają tempo, wśród tłumu rozlega się wrzask. To zbliżają się sutri, Hindusi, którzy chodzą po ogniu. Wśród nich na pierwszy plan wybija się siwy mężczyzna z długą białą brodą. Wielu młodszych defiluje z językami przebitymi długimi stalowymi igłami, a ich piersi ozdobione są dziesiątkami srebrnych haczyków. Na niektórych z nich wiszą niewielkie cytryny.

Wszystko to sprawia wrażenie średniowiecznych tortur, a jednak na twarzach ani jednego z nich nie widać jakichkolwiek oznak bólu czy też strachu. Co prawda jeden z nich jęczy, ale powód tych jęków jest zupełnie inny. Paznokcie na palcach jego stóp przechodzą przez grube podeszwy drewnianych sandałów i są zagięte do góry. Dla niego wędrówka po ognistej ścieżce będzie wybawieniem od tej dobrowolnej tortury...

Tak rozpoczyna swoją relację z niezwykłego widowiska Lawrence G. Green, jeden z najlepszych znawców Afryki, w swojej książce „Old Africa's Last Secrets”.

Muzyka, przejmująca, wręcz klująca uszy, wzmaga się lub słabnie w zależności od tego, czy sutri zbliżają się do rowu, czy też oddalają od niego. Nagle wszystko cichnie. To najstarszy z sutri powoli podchodzi do rowu, w którym tłą się dogasające drewna, choć żar nadal nie słabnie. A jednak starzec bez najmniejszych objawów strachu wkracza na rozżarzoną ścieżkę. Cała reszta - wszyscy pozostali - bez namysłu podążają tuż za nim. Niektórzy z nich przebywają ognistą ścieżkę dwukrotnie, a jeden z nich nawet trzykrotnie.

Kiedy już wszyscy sutri przeszli przez rów, na jego skraju zjawia się kobieta o olśniewająco jasnych włosach. Rozkłada ramiona i... równie spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu kroczy ognistą ścieżką.

Cała ta „ceremonia” trwa mniej więcej około godziny. Biorą w niej jednak udział nie tylko Afrykanie i Hindusi, którzy są oczywiście głównymi bohaterami całego widowiska, lecz i wielu Europejczyków, a wśród nich liczni przedstawiciele policji z Durbanu i kilkunastu lekarzy. Wszyscy bardzo dokładnie, wręcz komisyjnie badają stopy sutri, którzy przeszli przez ognistą ścieżkę. Ani jeden z nich nie ma jednak najmniejszych oparzeń czy też pęcherzy. Nie ma też ani kropelki krwi w tych miejscach, gdzie w ciało zostały wbite stalowe pręty i srebrne haczyki.

Nie zawsze wszystko jednak kończy się tak dobrze. Zdarza się bowiem, że niektórzy z tych niezwykłych fanatyków umierają podczas ognistych prób albo są tak strasznie poparzeni, że z trudem udaje się ich uratować. A jednak większość z nich nie ma na swym ciele żadnych śladów przebycia ognistej drogi.

Wspomniany już Lawrence G. Green opowiada, że kiedyś został zaprowadzony przez swego przewodnika na przedstawienie - bo jak to inaczej nazwać! - którego bohaterem był jeden z marabutów (muzułmańskich pustelników).

Wszystko działo się w tym okresie, który Egipcjanie nazywają zapachem wiatru. W krajach o klimacie bardziej umiarkowanym odpowiada on wiosnie.

Spektakl - zostaliśmy już przy tym niezbyt precyzyjnym określeniu - odbywał się wprost na ulicy. Marabut, ogromny mężczyzna w podeszłym wieku, w turbanie i typowym arabskim zawoju, stał nieruchomo. Przed nim ustawione było ogromne naczynie z żarem, do którego chłopczyk, chudy i umorusany, wrzucał gałązki i rozdmuchiwał ogień. Po jednej stronie marabuta siedzieli muzycy z piszczałkami i bębnami.

„Allah, Allah, Allah, Allah” - zawodził monotonna marabut, dyrygując w jakiś niezwykle sposób tą orkiestrą i przygotowując się do swego „koronnego numeru”.

Kiedy zrzucił z siebie cały strój spowijający go od stóp do głów, na jego ciele widać było dziesiątki blizn: niepodważalne ślady własnoręcznych wieloletnich tortur.

Marabut wstał i zamarł w bezruchu. Trwało to tylko chwilę, po czym westchnął ciężko i podszedł do rozżarzonego do czerwoności paleniska. Obiema rękami wyjął żarzące się głownie i zaczął bić nimi swoje ciało od głowy aż po pas.

- To święty człowiek - rozległy się głosy w tłumie - odbył wiele pielgrzymek do Mekki. Tacy ludzie nie czują bólu.

Tymczasem chłopczyk rozżarzył do białości długą, metalową pręt i podsunął go marabutowi, który otworzył szeroko usta i kilkakrotnie go polizał. Na tym jednak cały „spektakl” też jeszcze się nie zakończył. Chłopiec przewrócił bowiem palenisko rozsypując dookoła żarzące się węgle. A marabut - jak gdyby nigdy nic - przespacerował się po nich bosymi stopami.

Wśród muzułmanów chodzenie po rozżarzonych ścieżkach jest jedną z form pokuty za to, że kiedyś, w przeszłości, kalifowie zamordowali swoich rywali w walce o władzę. Jednym z zamordowanych był Hussajn, potomek proroka Mahometa.

Religijne obrządki chodzenia po ognistych ścieżkach zawsze są związane z okresem żałoby przypadającym na pierwsze dziesięć dni mahometańskiego kalendarza. A jednak wędrówki te są w Afryce rozpowszechnione nie tylko wśród Hindusów i muzułmanów. Podobne ceremonie chodzenia po ogniu można spotkać również wśród ludów afrykańskich, między innymi u plemienia Wakimbu w Tanzanii. Członkowie tego plemienia przechodzą przez ognisko obsypując swoje ciało rozżarzonymi węglami, smagają się po twarzach głowniami, które wyjmują z ogniska... ustami!

Jeden z czarowników tego plemienia dokonał kiedyś czegoś bardzo niezwykle. W ognistej ścieżce wykopał niewielki dołek, do którego potem... włożył własną głowę. Przetrwał w tym strasliwym żarze ponad dwadzieścia minut. Na tym „spektaklu” obecnych było wielu lekarzy europejskich, którzy dokładnie mierzyli czas, a potem zbadali stan zdrowia czarownika. Nie znaleźli najmniejszych nawet śladów oparzeń!

Jak twierdzi Lawrence G. Green, członkowie plemienia Wakimbu zbierają przed rozpoczęciem takiej uroczystości liście określonych drzew i krzewów, po czym powoli je przeżuwają i smarują nimi całe ciało. Twierdzą oni, że to magiczne lekarstwo, zwane dawa, chroni ich przed oparzeniami.

Tenże Lawrence Green widział na własne oczy, jak w Kapsztadzie ognistą ścieżkę przemierzał... Europejczyk.

Był to widok zaiste zadziwiający. Karas - czyli biały jog (jak nazywał sam siebie ów nie znany z nazwiska biały) - rozłożył rozżarzone głownie na betonowym placu w ogrodzie jednego z ekskluzywnych hoteli. Karas przebył ścieżkę bez najmniejszych kłopotów: przespacerował się po rozżarzonych głowniach, nie wpadając przy tym w trans. Kiedy kilku znakomitych lekarzy obejrzało jego nogi, stwierdzili, że nie były one niczym zabezpieczone. A jednak nie znaleźli na nich najmniejszych nawet śladów oparzeń.

Takie wędrówki po ognistych ścieżkach kończą się jednak czasami tragicznie. Na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej durbańskie gazety podały informację o wypadku, jaki wydarzył się w trakcie jednego z takich spektakli. Pewien młody Hinduś, odprawiający pokutę, doszedł bez najmniejszych przeszkód do środka 6-metrowego dołu wypełnionego rozżarzonymi węglami. Nagle jednak zachwiał się i upadł. Tu trzeba powiedzieć, że przed nim już czterech takich samych jak on pokutników przebyło tę ścieżkę bez kłopotów.

Sytuacja wydawała się beznadziejna: nikt nie był w stanie mu pomóc. Młody chłopiec z największym trudem doczołgał się do skraju dołu, gdzie widzowie podali mu ręce i wyciągnęli z ognia. Był straszliwie poparzony. W najbliższym szpitalu dokonano wielokrotnych transplantacji skóry i uratowano go z największym trudem.

Pozostali sutri, którzy brali udział w tym widowisku, zgodnie stwierdzili, że ów nieszczęśnik wypadł z transu i dlatego tak straszliwie się poparzył.

Relacje z wędrówek po ognistych ścieżkach pochodzą z absolutnie wiarygodnych źródeł, nie mogą więc być w żaden sposób kwestionowane. Powstaje więc uzasadnione pytanie: jak to się dzieje, że



większość uczestników tej od wieków znanej ceremonii przebywa ogniste ścieżki bez najmniejszej szkody dla własnego zdrowia, a tylko nieliczni doznają poważnych oparzeń, w wyniku których często umierają?

Sprawą tą już od dawna interesują się uczeni. Ich komentarze pozwolę sobie przytoczyć na zakończenie całego rozdziału. Tutaj chciałbym tylko wspomnieć, że istnieją oczywiście substancje chemiczne, które w znacznym stopniu chronią przed oparzeniami, jednakże uczeni, specjaliści z różnych dziedzin, jak również lekarze, którzy wielokrotnie asystowali przy tego typu próbach, nie wykryli śladów posługiwania się takimi preparatami. Tak więc ten argument całkowicie odpada. Lekarze są zresztą zdania (niekoniecznie słusznego), że oparzenia występują głównie u tych ludzi, którzy mają delikatną skórę. Wszyscy jednak są zgodni co do tego, że rozwiązania tej zagadki należy szukać gdzie indziej.

Lawrence G. Green, o którym już tu kilkakrotnie wspominałem, daremnie poszukując wyjaśnienia tych zadziwiających zjawisk odwołuje się w komentarzu często do argumentów na wskroś przesiąkniętych mistyką. Oto jego słowa:

„Czy to wszystko nie jest jeszcze jednym, kolejnym świadectwem przewagi ducha nad ciałem? Chyba jednak w nieznacznym stopniu. Ludzie nerwowi, którzy decydują się na tak głupie igraszki z ogniem, prawie zawsze wychodzą z tego z poważnymi oparzeniami. Cóż więc pozwala ludziom na przebycie ognistej ścieżki bez żadnych komplikacji? Może to jest hipnoza, może jakaś religijna ekstaza. A przecież to właśnie odgrywa główną i decydującą rolę.”

Hinduscy sutri z Natalu twierdzą, że na dziesięć dni przed odbyciem przewidywanych wędrówek po ognistych ścieżkach zmieniają całkowicie dietę: stają się jaroszami, a ponadto przez cały czas odprawiają modły, kąpią się i stosują specjalną gimnastykę. Rankiem tego dnia, kiedy ma się odbyć próba, w świątyni zostają odprawione szczególnie uroczyste modły ukoronowane ogólną ablucją w najbliższej rzece. Próba ognia, jakiej poddają się sutri, jest albo pokutą za popełnione przestępstwo, albo spełnieniem ślubowania złożonego w czasie ciężkiej choroby.

Oczywiście argumenty natury religijnej niczego już w naszych czasach nie tłumaczą. Wręcz odwrotnie - często komplikują wyjaśnienie dość nawet prostych spraw, z jakimi nauka stykała się zawsze i styka nadal. Pozostawmy więc na uboczu sprawy wiary, zwłaszcza że i sam L. G. Green, który się do nich ucieka, usiłuje znaleźć rozwiązania znacznie bardziej racjonalne.

Wśród uczonych i badaczy, którzy obserwowali chodzenie po ogniu, powstało przekonanie, że cała sprawa kryje się w popiele pokrywającym rozżarzone węgle. Green przytacza jednak przypadek niezwyklego widowiska, na którym sam był obecny, a który tę hipotezę obalił.

Oto niejaki Kuda Bux, mieszkaniec Kaszmiru, zaprezentował na kilka lat przed drugą wojną światową swoje umiejętności chodzenia po ognistych ścieżkach przed grupą angielskich lekarzy i uczonych z góry sceptycznie nastawionych do tego typu eksperymentów. Przed rozpoczęciem „widowiska” Kuda Bux poprosił o miotłkę, a następnie dokładnie zmiotł z ognistej ścieżki cały popiół, który się na niej nagromadził. Potem odłożywszy miotłkę na bok, powolutku i spokojnie przebył całą ognistą ścieżkę.

Ognista ścieżka, po której wędrował Kuda Bux, miała przeszło 6 metrów długości i 1 metr szerokości. Kuda Bux przebył ją drobnymi, lecz szybkimi kroczkami (Uwaga! O tym jeszcze będzie mowa!). Wymiary takich ścieżek są zazwyczaj przyjęte w Indiach.

Lekarze, którzy zbadali go po przebyciu przezeń ognistej ścieżki, stwierdzili, że ponad wszelką wątpliwość skóra na podszewkach jego stóp jest normalna. Stopy zostały przez nich przetarte tamponami z waty, które następnie poddano drobiazgowej analizie chemicznej. Analiza wykryła... tzn. nic nie wykryła. Nie ulegało wątpliwości, że Kuda Bux nie korzystał z żadnych preparatów chemicznych, które zapobiegałyby oparzeniom. A jednak na jego stopach nie było śladu oparzeń lub pęcherzy.

Tu jeszcze jedna ciekawostka, i to chyba najdziwniejsza. Załóżmy bowiem, że jakaś niezwykle sugestia, niezwykle siła woli, niezwykle opanowanie nerwów i Bóg wie co jeszcze (przepraszam: mieliśmy się nie odwoływać do argumentów natury religijnej) pozwoliło temu „cudotwórco” na przebycie ognistej ścieżki bez narażenia organizmu na jakiegokolwiek szkody. To jeszcze można w jakiś sposób zrozumieć. Ale w czasie eksperymentu Kuda Bux odziany był w dość dziwny strój: długie bawełniane spodnie, sięgające aż do kostek, i taki sam bawełniany surdut mniej więcej tej samej długości. A jednak jego ubiór też nie doznał żadnych uszkodzeń! Nie był nawet osmalony!

Uczeni pamiętając już o niezwykle możliwościach sugestii i autosugestii skłonni byli przyjąć za dobrą monetę fakt, iż na jego skórze nie było żadnych pęcherzy ani oparzeń. Ale odzież! Bawełniany surdut i także spodnie, które powinny spłonąć przy zetknięciu się ze straszliwym żarem, a którym również nic się nie stało? Trudno przecież posądzić je o ukryte zdolności autosugestii!

To już się zupełnie nie mieściło w głowie!

Inny świetny znawca Afryki, dr T. Osborne, znakomity lekarz, przez wiele lat interesował się ludźmi chodzącymi po ognistych ścieżkach. A jednak mimo długotrwałych badań i różnorodnych eksperymentów nie był w stanie udzielić odpowiedzi na to pytanie, ponieważ, jego zdaniem, tego zjawiska nie można wyjaśnić za pomocą sugestii. Dr T. Osborne zakładał, że silne pobudzenie

organizmu może doprowadzić do maksymalnego zwężenia naczyń krwionośnych. Krew koaguluje<sup>23</sup> szybciej, niż powinna, i wskutek tego niebezpieczeństwo uszkodzenia organizmu, w tym przypadku stóp, zostaje sprowadzone do minimum.

Na poparcie swojej tezy dr T. Osborne przytacza przykłady hinduskich jogów, którzy na przeciąg długiego okresu czasu uodpornieni byli na bardzo wysokie i bardzo niskie temperatury. Ci ludzie potrafili przez kilkanaście godzin pod rząd siedzieć nago na lodzie zamrożonej rzeki. Niektórzy z nich żyją zresztą w jaskiniach wśród wiecznych śniegów Himalajów i nigdy nie używają ognia, a jedynym ich strojem są wąskie opaski na biodrach. Żaden normalny człowiek (z fizjologicznego punktu widzenia) nie jest w stanie wytrzymać czegoś podobnego. Na Dalekim Wschodzie tego typu autotortury są wśród wierzących uważane za coś absolutnie naturalnego. Pomińmy jednak mistykę.

Inny uczoney, profesor David Waterstone, był naocznym świadkiem wędrówek po ognistych ścieżkach na wyspach Fidżi.

Mieszkańcy tych wysp chodzili boso po kamieniach tak rozżarzonych, że papierowa kartka, którą zbliżano do nich, zapalała się natychmiast. Waterstone wysunął wówczas hipotezę, że stopy mieszkańców tych wysp były przez tak długi czas ćwiczone, przystosowywane do wysokich temperatur, że potem nie czuły już najmniejszego bólu i nie doznawały żadnych uszkodzeń podczas „spacerów” po rozpalonych kamieniach. Rzecz jasna, że dla ludzi, którzy nie odbyli takiego „treningu”, dotknięcie owych rozżarzonych kamieni było równoznaczne ze straszliwymi oparzeniami.

Podobny opis przytacza Janusz Wolniewicz w swej książce „Kolorowy pasat”.

No cóż, jak już proponowałem - a sądzę, że czytelnicy zgodzą się ze mną - wszelkie dalsze komentarze zostawimy sobie na „deser”.

Teraz jednak chciałbym zwrócić uwagę na pewien dość interesujący szczegół.

Dotychczas zawsze panowało (i panuje nadal) przekonanie, że wszelkie tajemnicze, niezwykle zjawiska, zupełnie nieprawdopodobne, jak choćby zabawy z oswojonymi krokodylami, przemienianie ludzi w mały czy też chodzenie po ogniu, dzieją się gdzieś tam -za siódmą górą, za siódmą rzeką... Takie opowieści zawsze trochę przypominały historyjki pseudofantastycznonaukowe, pomieszane ze zwykłymi kaczkami dziennikarskimi. Wszystko to, twierdzono czasem, może i zdarzyło się naprawdę, ale gdzie? W zapadłych wioskach na Jawie, do których nie sposób przedrzeć się przez dziewiczą dżunglę, czy też w prymitywnych lepiankach zagubionych w buszu Ghany lub na pustyni Kalahari.

Tym wszystkim, którzy są przekonani, że takie niezwykle rzeczy nie mogą się dziać w naszej cywilizowanej Europie, i to nawet niezbyt daleko od Polski, polecam następną rozdział.

## ***Gdzieś tam, niedaleko...***

Na południu Bułgarii rozciąga się masyw górski Strandża sięgający aż do Turcji. Są to niewysokie, lecz posępne, trudno dostępne góry. Nic więc dziwnego, że w okresie wielowiekowego jaźma tureckiego najeźdźcy nie byli w stanie opanować tego zakątka Bułgarii. Każda próba dotarcia do dolin okrążonych posępnymi skalami była prawie równoznaczna z całkowitą zagładą oddziałów tureckich.

To właśnie tu - w Strandży - od dawien dawna, od niepamiętnych czasów, kultywowany jest stary obrządek: nestinarstwo.

Cóż to takiego?

Rokrocznie w dniu 3 czerwca, w czasie święta Konstantyna i Heleny, na wiejskim rynečku odbywało się dziwne misterium: chodzenie po ogniu.

W przeddzień święta kilkanaście kobiet nestinerek - tak w Bułgarii nazywa się kobiety chodzące po ogniu - zamykało się w miejscowej cerkiewce, gdzie odbywały długotrwałe modły. Nazajutrz zaś - od samego rana - w wiosce rozlegały się dźwięki muzyki granej na ludowych instrumentach bułgarskich: tympanonie i chajdo. W tym samym czasie mężczyźni układali na wiejskim rynečku długi rząd grubych bierwion. Przy dźwiękach muzyki podpalali tę długą drewnianą ścieżkę, wieczorem zaś, gdy z gór nadciągał zmrok, powoli i starannie rozkładali głównie, tworząc buchający żarem okrąg.

Kiedy już wszystko zostało przygotowane, otwierała się brama cerkiewki i kobiety, które spędziły tam całą dobę, wychodziły na wiejski ryneček. Powoli i majestatycznie zbliżały się do rozżarzonego dysku, wkraczały nań boso, sprawiając wrażenie, że nie odczuwają przy tym potwornego żaru. Stawiając drobne kroczki posuwały się po spirali aż do środka rozpalonego kręgu. Wszystkie robiły wrażenie jak gdyby zahipnotyzowanych, zapamiętałe tańczących jakiś rytualny taniec.

Kiedy już przeszły przez ognistą próbę, w wiosce zaczynał się masowy „bankiet”. Nestinarki były na takim przyjęciu-bankiecie zawsze traktowane jak święte. Nic zresztą dziwnego - pamiętajmy o tym, że temperatura rozżarzonych główni dochodziła do 400° - 500°C!

Święte! No cóż - nie zapominajmy, że opis tego niesamowitego widowiska, zwanego w Bułgarii nestinarstwem, pochodzi jeszcze z czasów przedwojennych. Bułgarski kler nie omieszkał, rzecz jasna,

<sup>23</sup> Koagulacja - łączenie się cząstek koloidowych w zespoły, w wyniku czego wytrąca się osad.

wykorzystać tego obrządku, tych dziwnych praktyk do „podbudowania” religii. „Przez taką próbę - głosili popi - mogą bez żadnej szkody dla zdrowia przejść tylko ludzie obdarzeni siłą nadprzyrodzoną, daną im z łaski Bożej”. Wiara w tę nadprzyrodzoną łaskę była w Strandży szeroko rozpowszechniona.

Oczywiście po utworzeniu w Bułgarii państwa ludowego trzeba było ten zabobon - jak i wiele innych - koniecznie zwalczyć. Należało przekonać miejscową ludność, że cały obrządek nie ma nic wspólnego z religią czy też z siłami pozaziemskimi.

Jak to zrobiono?

W bardzo prosty i bardzo pomysłowy sposób. W 1946 roku dość duża grupa komsomolców bułgarskich, zdeklarowanych ateistów, nie odbywając żadnych modłów, nie odwołując się ani do Boga, ani do wszystkich świętych, postanowiła dokonać tego samego: przespacerować się na oczach zebranych widzów po rozżarzonych węglach.

Oczywiście frekwencja na zapowiadzianym widowisku pobiła wszystkie możliwe rekordy. Widzowie zjechali się z najodleglejszych zakątków Strandży, a także z innych regionów Bułgarii. Nikt przecież nie miał najmniejszych wątpliwości, że taki popis musi się zakończyć absolutną klęską młodych komunistów.

Przygotowano wszystko bardzo starannie. Przed rozpoczęciem próby dwudziestosiedmioosobowa grupa młodych komsomolców oświadczyła głośno i wyraźnie dla usunięcia jakichkolwiek wątpliwości, że nikt z członków tej grupy nie wierzy ani w Boga, ani w jakiegokolwiek siły pozaziemskie.

Po złożeniu owego uroczystego oświadczenia przystąpiono do próby.

I stała się rzecz niespodziewana: w czasie dziesięciminutowego spaceru po ognistym dysku jedynie 3 osoby spośród całej grupy odniosły obrażenia. Pozostałe 24 wyszły z tego pokazu bez najmniejszego szwanku!

Ten eksperyment, opisany zresztą szczegółowo w annałach Bułgarskiej Akademii Nauk, nie mógł już budzić żadnej wątpliwości: owe wędrówki po ognistych ścieżkach nie są związane z „protekcją” jakiegokolwiek sił pozaziemskich.

Wszystko to działo się jednak w „zamierzchłych” czasach: w 1946 roku. Nie myślcie jednak, że dziś zwyczaj chodzenia po ogniu został zarzucony. Obrządek ten jest w niektórych regionach Bułgarii (poza Strandżą jeszcze na przykład w okolicach Kiten) kultywowany po dziś dzień. Posłuchajcie, jak o przebiegu takiej „współczesnej” uroczystości opowiada znany bułgarski dziennikarz Swiatosław Sławczew, którego relacja, ilustrowana zresztą szeregiem zdjęć, została w 1971 roku - a więc już „w naszych czasach” - opublikowana na łamach wielu pism.

Ogromne ognisko otoczono grubym sznurem ozdobionym różnobarwnymi wstążkami. Stary, siwowłosy mężczyzna, który piekł nie opodał na różnie ogromne tusze baranie o wspaniałym, niepowtarzalnym aromacie, podszedł do ogniska z drewnianą łopatą, którą rozbijał duże głownie. A tuż pod rozłożystym dębem stało trzech mężczyzn i dziewczyna. Wszyscy byli bez butów. Mężczyźni odziani byli w stare, regionalne stroje własnej roboty, dziewczyna zaś - w bogato zdobioną sukienkę sięgającą kolan.

Sławczew wraz ze swym przyjacielem Łukaszem podeszli do dziewczyny i zapytali ją:

- Jak się nazywasz?

- Newena.

- Od jak dawna chodzisz po ognistych ścieżkach? - zwrócił się do niej Sławczew.

- Od dwunastego roku życia. Zresztą właściwie nawet od dziewiątego, ale kiedy weszłam po raz pierwszy na ognistą ścieżkę, straszliwie poparzyłam sobie stopy. Wyratowała mnie babcia, która przez trzy tygodnie robiła mi okłady z ziół i otrębów zmieszanych z kozim mlekiem. Myślałam wtedy, że już nigdy więcej tego nie zrobię, ale w trzy lata później nauczyłam się wszystkiego, stałam się nestinarką. To zresztą bardzo proste: trzeba iść po ognistym dysku bardzo szybko drobnymi kroczkami i - co najważniejsze - trzeba mocno podginać palce. Zresztą sami zobaczycie, to bardzo proste...

- Jeżeli to takie proste, to chyba każdy mógłby to zrobić?

- Oczywiście - odparła Newena. - U nas w czasie świąt wszyscy ze wsi chodzą po rozżarzonych węglach.

Rozmowę przerwał najstarszy z całej czwórki, czterdziestoletni Todor, wysoki mężczyzna o czarnych, błyszczących oczach, z rozwianą czupryną.

- Dość tego. Zaczynamy!

Cała czwórka w takt ostrych dźwięków fletu podążyła powoli w kierunku rozżarzonego ogniska. Buchający ogniem dysk - miał mniej więcej 6 metrów średnicy. Żywy korytarz utworzony przez widzów zamknął się natychmiast, jak tylko cała czwórka dotarła do koła.

Pierwszy wstąpił na ścieżkę Todor. Stał na rozżarzonych węglach, powoli, nie spiesząc się przeciął całe koło aż do środka, wrócił z powrotem, a następnie powolutku zaczął kroczyć po obwodzie tego koła, spokojnie, bez pośpiechu, jak gdyby nie odczuwając w ogóle strasznego żaru, który właściwie, na dobrą sprawę, powinien mu poparzyć stopy już w ciągu pierwszej sekundy. Szedł

tak przez kilka minut, nie zwracając zupełnie uwagi na zdziwione spojrzenia widzów, którzy na tę uroczystość ścignęli z różnych zakątków Bułgarii.

Tup, tup, tup, tup, lewa noga, prawa noga, lewa noga, prawa noga, a pod nimi żar, straszliwy żar!

Po kilku minutach Todor wyszedł z kręgu, wziął Newenę na ręce i wraz z nią podążył do samego środka tego rozżarzonego koła. Tam, powoli i ostrożnie, postawił ją na rozżarzony krąg. I wtedy Newena poszła, a raczej - poprunęła. Szybkie, drobne kroczyki, rozstawione ręce... Sprawiała wrażenie lunatyczki kroczącej po krawędzi stupiętrowego budynku. Muzyka, coraz szybsza, coraz bardziej przenikliwa jeszcze mocniej podkreślała niesamowitość całego widowiska.

Sam Swiatosław Sławczew twierdzi, że wszystko to podziało na niego tak silnie, iż nieomal sam nie zdjął butów i skarpetek i nie spróbował wędrówki po tym ognistym kole. Na szczęście nikt mu na to nie pozwolił, zatrzymano go w pół drogi.

Cała uroczystość, cały ten ceremoniał, spektakl czy w jakikolwiek inny sposób go nazwiemy - zakończyła się i wtedy wszyscy przystąpili do wieczerzy. Sławczew, który spróbował w tym momencie podejść do rozżarzonego dysku, natychmiast z tego zrezygnował: żar był tak niesamowity, że opalił mu rzęsy.

Sławczew odszukał w tłumie Newenę, która siedziała tuż obok drewnianej estrady.

- Przepraszam najmocniej - uśmiechnął się do niej. - Czy mógłbym zobaczyć pani stopy?

Był przekonany, że Newena w żadnym wypadku na to się nie zgodzi. Tymczasem ta najspokojniej w świecie zdjęła pantofle i pokazała mu swoje stopy. Były gładkie, różowe, bez odcisków i bez najmniejszych śladów oparzeń. Nie było też śladów jakichkolwiek maści czy środków chemicznych, które mogłyby zabezpieczyć je przed żarem. Zdziwiony Sławczew długo oglądał jej stopy przez lupę, badając skórę centymetr po centymetrze. I nie znalazł nic.

- Jak pani to robi, Neweno?

- Sama nie wiem. Jak tylko zaczyna grać muzyka, wydaje mi się, że cała krew ucieka z moich nóg, stopy mi drętwieją, a ja wtedy unoszę się jak gdyby nad rozżarzoną ziemią. Wydaje mi się, że lecę, że w ogóle nie dotykam ognia.

- I często tak chodzi pani po ogniu?

- Co wieczór, począwszy od maja aż po listopad. Niekiedy nawet dwa albo trzy razy w ciągu wieczora. Ale to tylko wtedy, kiedy ogniska rozkłada się tuż nad samym morzem.

- I nie boi się pani tego?

- A czegoż tu się bać? Przecież to rzecz najprostsza pod słońcem. Mój brat Dymitr, który mieszka na wsi, chodzi po ogniu na rękach i jeszcze ani razu mu się nie zdarzyło, aby się poparzył.

Ten tajemniczy, pełen cudów wieczór dobiegał końca. Newena na chwilę przeprosiła swoich gości, weszła do sąsiedniego domu i po chwili wyszła stamtąd przebrana w elegancką niebieską sukienkę; na nogach miała delikatne zamszowe pantofelki. Kiedy Sławczew wraz ze swym przyjacielem zaofiarował się, że podwiezie ją do autobusu odchodzącego do Słonecznego Brzegu, Newena zaproponowała im, że sama ich podwiezie. Przyjechała tutaj przecież własnym samochodem.

- A czy pani wóz też umie latać po ogniu?

Newena uśmiechnęła się tylko, otworzyła drzwiczki szarego samochodu i zaprosiła obu dziennikarzy do środka. Samochód ruszył i z nieustannym piskiem hamulców zaczął zjeżdżać serpentynami w kierunku morza...



Pierwsze wiadomości o chodzeniu po ogniu w Bułgarii datują się z połowy XIX w. Historycy są jednak zgodni co do tego, że obrządek ten jest oczywiście o wiele starszy i ginie gdzieś w pomroce dziejowej.

Do dziś zachowały się opisy dorocznych uroczystości w starożytnej Italii obchodzonych na cześć boga Apollina, kiedy to po złożeniu ofiar całe rodziny, zrzucając z nóg sandały, wstępowały bosymi stopami na rozżarzone węgle. O tych uroczystościach wspomina zresztą w „Eneidzie” słynny poeta rzymski Wergiliusz.

Takie same rytualne tańce na ogniu wykonywały również kapłanki bogini Artemidy, afrykańscy szamani, a przede wszystkim hinduscy jogowie. Znane są również szczegółowe opisy podobnych „ceremonii”, których tradycje są od wielu stuleci kultywowane na wyspach Fidżi na Oceanie Spokojnym. Zdaniem historyków kultury, to właśnie Fidżi jest ośrodkiem owego starodawnego kultu chodzenia po ogniu, który został potem przejęty przez mieszkańców sąsiednich wysp na Pacyfiku, Nowej Zelandii, a nawet przez Indian z Kanady.

Bardzo ciekawe są informacje opracowane przez specjalistów, którzy zbadali i określili fizyczne właściwości kamieni stosowanych przez mieszkańców Fidżi podczas chodzenia po ogniu. Z reguły jest to bazalt, kamień często występujący na wyspach Oceanu Spokojnego. Bazalt pochodzenia wulkanicznego jest porowaty, dobrze wchłania wodę, natomiast bardzo źle przewodzi ciepło, przy

czym ogrzewa się nierównomiernie. Kiedy jedna jego strona jest rozżarzona prawie do białości, druga - zaledwie ciepła: można jej nawet dotknąć ręką. Pod względem właściwości fizycznych bazalt bardzo przypomina lak. Pałeczkę laku przecież topi się w ogniu świecy trzymając ją za drugi koniec ręką.

To oczywiście jeszcze wszystkiego nie tłumaczy. Spróbujmy więc odpowiedzieć sobie na pytania: jak to się dzieje, że niektórzy ludzie są w stanie stąpać, chodzić po rozżarzonych węglach?

Oprócz hipotez wysuniętych przez Lawrence'a G. Greena, dra T. Osborne'a i profesora Davida Waterstone'a, o których już wspominałem, istnieje jeszcze kilka innych wersji nie najgorzej tłumaczących to zjawisko.

Zacznijmy od fizyki. Znany jest fakt, że kiedy na rozżarzoną płytę kuchenną wylejemy trochę wody z czajnika, woda nie rozplynie się po całej powierzchni płyty, lecz przybierze kształt nieco spłaszczonych kuleczek tańczących zresztą po powierzchni tej płyty dość długo. Co prawda zawarta w nich woda wyparowuje, ale mniej więcej pięćdziesiąt razy wolniej niż podczas wrzenia. W zasadzie ciecz (bo nie tylko woda), która przybiera sferoidalny kształt, właściwie nie dotyka rozżarzonej płyty, ponieważ dzieli ją od niej bardzo cieniutka warstewka pary, która spełnia rolę izolacji cieplnej, jako że para bardzo źle przewodzi ciepło.

To właśnie na tym zjawisku oparł się Green, próbując wytłumaczyć tajemnicę ludzi z ognistych ścieżek. Nie ma mowy o żadnych narkotykach. W grę nie wchodzi również ani hipnoza, ani sugestia, ani autosugestia, choć oczywiście człowiek, który się na taką wędrówkę zdecyduje, musi być absolutnie wewnętrznie przekonany, że nic mu się nie stanie i że przetrwa tę próbę bez najmniejszego szwanku. Green, który wielokrotnie obserwował takie wędrówki, twierdzi również, iż w tym wypadku nie ma mowy o anestezji (znieczuleniu), podobnie jak i o jakimkolwiek oszustwie. Wszystko oparte jest po prostu na Fizyce: przecież nogi wydzielają pot, a tworzące się z niego kuleczki chronią stopy przed oparzeniami.

Na poparcie tej teorii Green przypomina, że Kuda Bux usuwał miotełką warstwę popiołu z rozżarzonej ścieżki i wolał chodzić bezpośrednio po węglach. Gdy węgle są niedostatecznie rozżarzone, wówczas izolacja termiczna jest znacznie słabsza i wtedy właśnie człowiek może doznać bolesnych oparzeń.

Prawdopodobnie - twierdzi Lawrence G. Green - tylko niewielu śmiałków zdaje sobie sprawę z tego, co właściwie chroni ich przed oparzeniami. Jednakże wszyscy oni świetnie wiedzą, że bardzo długie spacerowanie po ogniu są niebezpieczne dla zdrowia. „Trasa” takich wędrówek nie może przekraczać 25 metrów. Rzecz bowiem w tym, że podczas każdego kroku stopa styka się bezpośrednio z węglami zaledwie przez mniej więcej pół sekundy. A każda część tej stopy jeszcze krócej.

Na tym właśnie polega cała sztuka „ognistych spacerów”. Człowiek, który zawaha się, straci zimną krew i zatrzyma się choćby na sekundę lub zawróci w swej wędrówce, jest z reguły skazany na ciężkie oparzenia.

Znane jest na przykład doświadczenie, podczas którego do rozżarzonego pieca do pieczenia chleba wsuwał się obnażony człowiek, obok którego kładziono kawałek surowego mięsa. Kiedy eksperyment dobiegł końca, uczeni stwierdzili, że mięso zostało upieczone, natomiast człowiekowi nic się nie stało! Mięso nie może oczywiście wydzielać potu, natomiast człowieka ratowała właśnie owa izolacja termiczna, o której już wspominałem.

Jeżeli kiedykolwiek prasowaliście spodnie lub koszulę, na pewno sprawdzaliście, czy żelazko jest dostatecznie gorące. A najprawdopodobniej sprawdzaliście następująco: śliniliście palec i dotykaliście nim króciuteńko rozżarzonego żelazka. Jest to taka sama magia, jak i chodzenie po ogniu. Prawie każdy człowiek może się nauczyć tej niezwyklej sztuki - twierdzi L. G. Green. Nie jest to żadna szarlataneria. Takie spacerowanie nie są jedynie domeną fakirów.

Oczywiście hipoteza wysunięta przez Greena nie jest jedyną. Wielu uczonych wysuwa kilka innych możliwych rozwiązań. Interesująca jest wersja zaproponowana przez radzieckiego uczonego, kandydata nauk medycznych J. Salnikowa.

Historia średniowiecza - twierdzi Salnikow - nie zanotowała ani jednego wypadku, w którym człowiek palony na stosie mógł w jakikolwiek sposób oprzeć się działaniu ognia. Z drugiej jednak strony sucha i zrogowaciała warstwa skóry na stopach ludzi zmuszonych często do chodzenia boso w najprzeróżniejszych warunkach atmosferycznych stanowi znakomitą ochronę przed żarem. Skórę trzeba bowiem rozpatrywać jako swego rodzaju „pierwszą linię obrony” naszego organizmu przed atakiem szkodliwych oddziaływań środowiska. Można więc założyć, że w arsenale jej „środków obronnych” są również i takie, o których istnieniu na razie nic nie wiemy. Chciałbym zresztą poinformować czytelników, że w rozdziale „Pachnący meteoryt” na str. 191 będzie mowa o tym, że ludzka skóra wciąż jeszcze kryje w sobie wiele, wiele tajemnic, chwilowo nie zbadanych.

Tak więc mamy już kilka wersji tłumaczących niezwykle umiejętność chodzenia po ogniu. Istnieje przede wszystkim teoria fizjologiczna: hipnoza - sugestia, autosugestia. Wiemy przecież, że w określonych sytuacjach mogą one zdziałać cuda. Druga wersja to wersja mineralogiczno-geologiczna. Chodzi tutaj o wspomniane przeze mnie kamienie bazaltowe o krańcowo zróżnicowanej przewodności cieplnej. Takimi właśnie kamieniami posługują się w czasie swoich tańców mieszkańcy wyspy Fidzi. I

wreszcie koncepcja fizyczna: termoizolacyjne działanie pary potu wydzielanego przez człowieka chodzącego po ogniu.

Każda z tych wersji na swój sposób w jakiejś mierze tłumaczy to dziwne zjawisko. Tak czy inaczej, stopy są chronione przed działaniem wysokich temperatur.

Stopy stopami, ale należy jeszcze pamiętać o strojach. Uczni wielokrotnie stwierdzali, o czym już też wspominałem, że stroje „ognistych wędrowców” są również odporne na działanie wysokich temperatur, choć powinny przecież, w myśl najprostszych zasad fizyki, zapalić się w mgnieniu oka. Nic takiego jednak się nie dzieje.

Moim zdaniem to jest właśnie najdziwniejsza rzecz w tej całej historii. A jednak fakt pozostaje faktem: stroje, często długie, sięgające niemal rozżarzonych węgli, są równie niewrażliwe na działanie wysokich temperatur, jak ich właściciele. A pamiętajmy, że bawełniana tkanina zapala się już przy 300°C! To jest niepojęte!

Czy jednak nie istnieją żadne możliwości impregnacji takich tkanin? Okazuje się, że istnieją. Jest to dość specyficzny sposób barwienia tkanin bawełnianych w roztopionym metalu. Najpierw tkaninę pokrywa się warstwą barwnika, a następnie bardzo szybko przepuszcza się przez roztopiony metal. Tak spreparowany materiał nie zapali się już w stosunkowo wysokiej temperaturze. To jest oczywiście tylko jeden ze sposobów impregnacji materiału. Może więc w różnych punktach naszego globu „ogniści wędrowcy” radzą sobie z tym problemem jeszcze inaczej?

A więc sprawa jest prosta, a raczej „najprostsza pod słońcem” - jak twierdzi bułgarska nestinarka Newena. Każdy może sobie pozwolić na wędrowkę po ognistej ścieżce. Trzeba się tylko ubrać w specjalnie impregnowaną suknię lub strój, poddać się hipnozie, sugestii lub autosugestii, wydzielać obficie pot przez skórę stóp i można spokojnie przystąpić do eksperymentu.

Osobiście jednak radziłbym Wam nie próbować. Licho nie śpi!

## **W poszukiwaniu drugiego klucza.**

### ***Dobranoc, kochanie...***

Patrycja Magger wróciła tego wieczoru do domu przemarznięta do szpiku kości. Nic zresztą dziwnego - był właśnie 27 stycznia 1947 roku.

- Bardzo zmarzłaś, kochanie? - spytała matka.

- Ledwo żyję - odparła Patrycja. - Nie czuję nosa, chyba mi odpadł? A ręce mam tak zdrętwiałe, że właściwie nie mogę zdjąć rękawiczek.

- Rozgrzej się szybko i siadaj do stołu. Trzeba zjeść kolację. Aha, jeszcze jedno - jest do ciebie list.

- Od kogo?

- Nie wiem. Nie otwierałam, musisz zobaczyć sama.

- Dobrze, zaraz go przeczytam. Najpierw muszę się jednak rozgrzać. Zrób mi, mamó, herbatę.

Po kolacji, kiedy już Patrycja usadowiła się wygodnie w głębokim fotelu, przypomniała sobie o liście.

- Mamó, gdzie jest ten list?

- Zaraz ci go dam. O, proszę, przeczytaj.

Patrycja otworzyła kopertę i wyjęła maleńką kartkę papieru.

„Szanowna Pani!... Z największym bólem... donosimy, że pani narzeczony...”

Patrycja Magger spokojnie przeczytała list do końca. Była to informacja od przyjaciół jej narzeczonego odbywających służbę wojskową w tej samej jednostce co i on. Z listu wynikało, że w czasie ćwiczeń wojskowych został przypadkowo ciężko ranny i zmarł w szpitalu wojskowym, nie odzyskawszy przytomności.

Patrycja przeczytała cały ten list uważnie. Wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Czy to jakieś dobre wiadomości? - spytała matka.

- Nie, mamó - wręcz odwrotnie. Wiadomości są jak najgorsze. Johnny nie żyje. Zmarł przed kilkoma dniami w szpitalu. List jest od jego kolegów z tego samego plutonu. To nieszczęśliwy wypadek... Czy mogłabyś mi dać, mamó, filiżankę kawy?

Matka zmartwiała. Wiedziała, jak bardzo Patrycja kochała swego narzeczonego. Spodziewała się, że córka wpadnie w krańcową rozpacz, tymczasem Patrycja siedziała spokojnie, czytała list po raz drugi i trzeci, a wyraz jej twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Dziękuję, mam - powiedziała, kiedy matka postawiła na stole przed nią filiżankę kawy. - Jest już późno. Kładź się spać. Ja też zaraz idę do łóżka, wypiję tylko kawę.

- Może, kochanie, coś ci...

Patrycja machnęła ręką.

- Nie, nie, mam, niczego mi nie potrzeba. Idź już spać.

- Nie pij tej kawy - powiedziała matka. - Nie zaśniesz potem...

- Nie przejmuj się, mam, nic mi nie będzie...

- No cóż - westchnęła matka - skoro tak sądzisz...

Pogładziła ją po głowie i dodała:

- Dobranoc... Śpij spokojnie.

Patrycja Magger długo jeszcze siedziała bez ruchu, patrząc apatycznie przez okno na wirujące płatki śniegu. Później podniosła się ociężale i poszła do sypialni. Rozebrała się, wzięła prysznic i położyła się do łóżka. Zasnęła natychmiast.

Kiedy po trzech dniach ani na chwilę nie otworzyła oczu, przerażona matka wezwała pogotowie. Nic jednak nie było w stanie jej obudzić. Nie pomogły nawet elektrowstrząsy. Wszelkie wysiłki lekarzy zmierzające do tego, aby ją obudzić, spełzyły na niczym, choć przewieziono ją do jednej z najlepszych w Stanach Zjednoczonych klinik neurofizjologicznych. Patrycja spała nieprzerwanie. W 1965 roku mijała trzydziesta siódma rocznica jej urodzin. Spała już wtedy od dziewiętnastu lat. I wciąż nikt, największe nawet sławy medyczne, nie był w stanie wytrącić jej z tego nieprawdopodobnego snu.

Przypadek Patrycji Magger nie jest jednak jedyny - medycyna zna wiele podobnych.

W dniu 8 lutego 1919 r. Augusta Langgaard, mieszkanka niewielkiego miasteczka Torsen w Norwegii, urodziła w miejscowej klinice położniczej córeczkę. Dziecko było zdrowe, duże, a stan matki nie budził żadnych obaw. W 6 godzin po porodzie młoda matka zdrzemnęła się. Zdrzemnęła się i... już się nie obudziła.

Pogrążona w tym śnie kobieta reagowała na bodźce zewnętrzne całkowicie mechanicznie. Miała otwarte oczy, ścisnęła podawane jej ręce, otwierała usta, kiedy przynoszono jej kolejny posiłek. Nie czuła jednak żadnego bólu. Nie reagowała wcale na ukłucia. Czasem zdarzyło się, że podawano jej zbyt gorącą potrawę, jadła ją jednak jak gdyby nigdy nic, choć parzyła sobie usta.

W domku, w którym mieszkała, okiennice były zamknięte dzień i noc. Od czasu do czasu odwiedzał ją lekarz z kliniki uniwersyteckiej w Oslo. Skrupulatnie badał jej serce, ustalał, jaka ma być dieta. Tętno śpiącej Augusty Langgaard było zawsze normalne, a jednak przez cały czas spała.

Tak powoli mijały lata. Wszystko dookoła zmieniło się nie do poznania. Jej mała córeczka, urodzona w przeddzień zaśnięcia, stała się już dorosłą panną. Nie zmieniała się tylko Augusta Langgaard. Wyglądała tak samo jak przed dwudziestu laty, kiedy po raz pierwszy zasnęła.

Obudziła się 23 listopada 1941 roku. Obudziła się i poprosiła, aby... przyniesiono jej niemowlę, które - jej zdaniem - właśnie przed chwilą urodziła i które musi nakarmić. Kiedy nad jej łóżkiem nachyliła się młoda, przystojna dziewczyna i wysoki szpakowaty mężczyzna, nie chciała uwierzyć, że to właśnie jej córka i mąż.

Augusta Langgaard spała prawie 22 lata. Ocknęła się z tego niesamowitego snu równie niespodziewanie, jak w ten sen zapadła.

Najdziwniejsze rzeczy zaczęły się jednak dzieć po jej obudzeniu. Kiedy ocknęła się po raz pierwszy, wyglądała na bardzo młodą dziewczynę. Nie zmieniła się ani na jotę. Kiedy lekarze obejrzeliby rodzinny album ze zdjęciami przedstawiony przez jej męża, stwierdzili, że ten długotrwały sen „zakonserwował” ją. Wyglądała tak samo, jak na zdjęciach zrobionych przed dwudziestu dwu laty. Ani jednej zmarszczki, ani jednego siwego włosa; ciało miała jędrne i młode. Jednym słowem, była to ta sama dziewczyna; ząb czasu nie miał się jej zupełnie podczas tego niesamowitego snu.

Jednakże już w ciągu pierwszego roku po przebudzeniu Augusta Langgaard... postarzała się błyskawicznie o te właśnie 22 lata. Czas upomniął się o swoje prawa: trzeba mu było zapłacić lichwiarską cenę. Utrata sił fizycznych następowała u niej znacznie szybciej, niż to się dzieje normalnie w tym wieku.

Augusta Langgaard żyła jeszcze 5 lat od chwili przebudzenia. Była już wtedy jednak zgrzybiałą staruszką. Zmarła w pierwszych dniach października 1946 roku.

Nadieżda Liebidin zaczęła przejawiać pierwsze oznaki zmęczenia i senności w 1954 roku. Stale chciało się jej spać: w domu, w pracy, w kinie. Pewnego dnia, kiedy właśnie zabierała się do jakichś porządków domowych, a w mieszkaniu poza nią nie było nikogo, Nadieżda zasnęła. Gdy wrócił jej mąż, zastał ją leżącą na podłodze bez ruchu. Kiedy podniósł ją, wyszeptała tylko jedno słowo: „umieram”. Odtąd nic już więcej nie pamiętała.

Miała wtedy 35 lat, a jej małą córeczka - 5. Przez 5 lat Nadieżda Liebiedin przebywała w szpitalu, gdzie roztoczono nad nią pieczołowitą opiekę. Karmiono ją i opiekowano się nią. Wszystkie narządy wewnętrzne, serce i płuca pracowały nienagannie. Nadieżda Liebiedin wciąż jednak spała. Wszelkie próby obudzenia nie zdały się na nic.

Ten sen trwał równo 20 lat.

Po pięcioletnim pobycie w szpitalu Nadieżdę przewieziono na wieś i oddano pod opiekę jej matki. W 1970 roku matka została sparaliżowana i wówczas obiema chorymi zaopiekowała się z kolei siostra Nadieżdy. W sierpniu 1973 roku matka Nadieżdy była umierająca. Siostra Nadieżdy, Anastazja, podeszła wówczas do łóżka śpiącej, uniosła jej głowę i powiedziała:

- Nadia! Mama umiera! Pożegnaj się z nią!

Prawdopodobnie pod wpływem szlochań Anastazji Nadieżda nagle ocknęła się. Nie pamiętała absolutnie nic.

Oczywiście po przebudzeniu się Nadieżdy grono wybitnych specjalistów i lekarzy ponownie roztoczyło nad nią troskliwą opiekę. Nadieżda Liebiedin, która przed zaśnięciem była kobietą pełną, tęgą, po przebudzeniu bardzo zeszczupiała. Mimo jednak prawie dwudziestoletniego nieruchomego przebywania w łóżku nie miała żadnych odleżyn. Na skutek tak długiego snu wystąpił u niej częściowy zanik strun głosowych.

Wkrótce jednak poczuła się lepiej. Specjaliści opracowali dla niej program fizycznej i psychicznej rehabilitacji. Po kilku miesiącach mogła już swobodnie rozmawiać, samodzielnie poruszać się, ubierać, jeść.

Nie są to - jak już wspominałem - wypadki odosobnione. Literatura fachowa odnotowała wiele takich niezwykłych wydarzeń. Oto jeszcze dwie podobne informacje.

We Francji nerwowo chora czteroletnia dziewczynka przstraszyła się pewnego razu czegoś i zemdląca, a następnie zapadła w sen letargiczny, który trwał bez przerwy 18 lat. Chorą umieszczono w szpitalu i troskliwie pielęgnowano i żywiono, dzięki czemu fizycznie rozwijała się normalnie. Ale choć obudziła się już jako osoba dorosła, jej umysł, zainteresowania i odczucia były takie same, jak przed zaśnięciem. Pierwsza rzecz, o jaką poprosiła po ocknięciu się ze snu dorosła już bądź co bądź, dwudziestodwuletnia dziewczyna, była... lalka do zabawy.

Światowej sławy radziecki uczoney Iwan Pawłow przytacza przypadek jeszcze dłuższego snu. Pewien człowiek leżał w jego klinice przez 25 lat. Był to prawdziwy „żywy trup”. W ciągu całego tego czasu nie wykonał żadnego ruchu, nie wypowiedział ani jednego słowa. Zasnął jako trzydziestopięcioletni mężczyzna, obudził się mając lat sześćdziesiąt.

Stopniowo zaczął powracać do życia, poruszać się, wstawać, mówić, jeść. Kiedy pytano go, co czuł przez te wszystkie lata nieustannego snu, wyjaśnił, że słyszał wszystko, wszystko widział i rozumiał, nie mógł się jednak ani ruszyć, ani mówić.

Najnowszy wypadek takiego długotrwałego snu odnotowała przed kilku laty prasa amerykańska. Pewnego pochmurnego grudniowego poranka kierowca taksówki z Chicago usnął przy kierownicy swego samochodu. Obudził się dopiero po upływie 1318 dni. Nie mógł uwierzyć, że przespał prawie 4 lata. Był przekonany, że do łóżka położył się poprzedniego wieczora.



Wspominałem już o tym, że fachowa literatura medyczna odnotowała sporo przypadków takich niezwykłych snów. Uчени są jednak bardzo ostrożni w ich komentowaniu. Radziecki specjalista, profesor A. Snieżniewski, członek Akademii Nauk Medycznych, omawiając przypadek Patrycji Magger stwierdził, że jej trwający 19 lat sen nie był letargiem. Letarg - stan pozornej śmierci - charakteryzuje się zupełnie innymi objawami: skóra chorego jest zimna i blada, ciepłota ciała znacznie obniżona, tętno ledwo wyczuwalne, zanikający oddech. Żrenice oczu nie reagują na światło, chory nie czuje żadnego bólu. Letarg nie może jednak trwać zbyt długo: zazwyczaj nie dłużej niż kilka dni, najwyżej tydzień. Dłużej organizm chorego nie wytrzyma choćby dlatego, że nie odżywia się on normalnie.

Prawdopodobnie w opisanych tu przypadkach wystąpiła jedna ze szczególnych form schizofrenii - katatonii, ciężkie schorzenie psychiczne. Podczas katatonii ruchy stają się coraz powolniejsze, aż wreszcie ciało chorego zamiera w całkowitym bezruchu, występują zaburzenia mowy, zmniejszają się reakcje na bodźce zewnętrzne.

Profesor A. Snieżniewski twierdzi zresztą, że gdyby na przykład Patrycja Magger znajdowała się w stanie letargu, to tak silny bodziec, jakim jest wstrząs elektryczny, na pewno musiałby ją ocucić. Niestety - w stanach katatonicznych elektrowstrząsy nie skutkują.

Katatonii jest zresztą tak podobna do letargu, że nawet bardzo doświadczeni specjaliści nie zawsze są w stanie ją rozpoznać. Wspominałem tu już o chorym przebywającym na leczeniu w klinice Iwana Pawłowa. Wielki uczoney był początkowo przekonany, że jest to właśnie przypadek snu letargicznego. Dokładniejsze obserwacje wykazały jednak, że jest to typowy objaw katatonii. Przypadki snów katatonicznych są dość częste i zawsze związane z zaburzeniami psychicznymi lub



ciężkimi schorzeniami. Na przykład profesor Wiktor Mirtowska, która opiekowała się chorą Nadieżdą Liebiedin po jej przebudzeniu, stwierdziła, że źródłem tej niezwyklej choroby było przebyte przed laty zapalenie opon mózgowych.

## **Co się komu śni.**

Wszystko zaczęło się w 1942 roku, kiedy w pobliżu siedmioletniego podówcza Frańo Mikulicza wybuchł granat. Przerażony chłopak nie zmrzył tej nocy oka. Niestety - nie tylko tej. Sen nie nadchodził w ciągu najbliższych dni, tygodni, miesięcy, a później nawet lat. A jednak mimo to chłopiec jak gdyby nigdy nic chodził normalnie do szkoły i niczym nie różnił się od swoich kolegów, jeżeli nie liczyć faktu, że wykazywał niezwykle zdolności matematyczne i rozwiązywał w pamięci najtrudniejsze zadania. Później, po ukończeniu szkoły, Frańo pracował na gospodarstwie ojca i nawet w najcięższych okresach prac polowych, kiedy wszyscy dookoła padali z nóg ze zmęczenia, nie czuł potrzeby snu. Wprawdzie zdarzało się, że czuł zmęczenie, kładł się wtedy do łóżka, nigdy jednak nie zmrzył oczu i nie zasnął. Nadal czuje się dobrze. Nie zdradza żadnych objawów przemęczenia, ma doskonałą pamięć i wciąż jeszcze nieprzeciętne zdolności matematyczne. Tak jak przed wielu laty, za szkolnych czasów, rozwiązuje bez ołówka i bez papieru skomplikowane zadania matematyczne. Wymienia również bez zająknięcia daty ważnych wydarzeń historycznych. Pamięta nawet numery fabryczne karabinów, których używali koledzy z jego kompanii podczas służby wojskowej.

Oczywiście tym niezwyklej fenomenem zainteresowali się lekarze. Zespół specjalistów poddał Mikulicza wszechstronnym badaniom. Lekarze orzekli, że jest całkowicie zdrow i że absolutnie nic mu nie dolega.

Jak dotąd przypadek Frańo Mikulicza jest jedyny. Podobnego fenomenu nie odnotowano dotychczas w literaturze fachowej. Zresztą uczeni, którzy nie zetknęli się bezpośrednio z Mikuliczem, dość sceptycznie odnoszą się do tej informacji. Znane są co prawda przypadki ludzi, którym w ciągu wielu lat wystarczały dwie do pięciu godzin snu na dobę. Do takich fenomenów należał wielki wynalazca amerykański Thomas Alva Edison. Nie zanotowano poza tym jednak ani jednego przypadku długotrwałej bezsenności.

Jak wiadomo, na świecie nie brak dziwaków, którzy chcąc sobie zyskać popularność, choćby na krótko, wymyślają najprzeróżniejsze „rekordy”. A więc mamy takie, jak rekord chodzenia na rękach, stania na jednej nodze, nieprzerwanej gry na fortepianie, no i oczywiście rekord bezsenności. Do 1960 roku rekord ten należał do Amerykanina Wallace'a, któremu udało się nie zasnąć ani na chwilę w ciągu 212 godzin. W kilka lat później rekord został pobity przez jego rodaka Ricka Michelsa, który pijąc niezliczone ilości kawy i cucąc się zimnymi prysznicami nie spał przez 242 godziny, a więc ponad 10 dni.

Lekarze, którzy obserwowali ową „próbę bicia rekordu”, stwierdzili, że po 72 godzinach „zawodnik” zaczął zdradzać oznaki rozdrażnienia i agresywności, po upływie 100 godzin stał się gadatliwy, a po dalszych 60 miał halucynacje. Jego umysł był tak rozkojarzony, że nie mógł rozwiązać nawet bardzo prostego zadania matematycznego. Po 220 godzinach nie mógł już samodzielnie chodzić i mówić z największym trudem, wreszcie po 242 godzinach sen obezwładnił Michelsa, który zwał się na łóżko i natychmiast zasnął. Obudził się po 14 godzinach głębokiego snu, który całkowicie przywrócił mu siły.

Podobne próby bicia rekordu obserwowane były przez zespół lekarzy w jednej z klinik w Detroit. Badanie krwi wykazało, że w pierwszych godzinach doświadczenia w organizmie badanego wzrósł poziom kwasu adenylozotryjfosforowego, którego rozkład jest źródłem energii mechanicznej mięśni. Już jednak po upływie 80 godzin zawartość tego kwasu we krwi spadła raptownie. Organizm wyczerpał więc wszelkie rezerwy umożliwiające mu walkę ze snem, a w zachowaniu badanego wystąpiły objawy nienormalne. Tak więc przypadek Frańo Mikulicza wydaje się tym dziwniejszy, że lekarze dotychczas nie odnotowali podobnych.



Właściwie trzeba sobie najpierw uświadomić, czym jest sen, dlaczego śpimy i dlaczego mamy sny.

Nie sądzicie, że na ten temat wiemy już wszystko. Specjaliści zajmujący się tym problemem mają jeszcze sporo wątpliwości. Na przykład najwybitniejszy na świecie znawca tego przedmiotu profesor A. Wein twierdzi, że mimo ogromnego materiału, jakim dysponujemy, nikt właściwie nic wie, ani co to jest sen, ani dlaczego właściwie śpimy, ani nawet dlaczego widzimy sny. Na razie wśród uczonych toczą się ciągle na ten temat zacięte spory.

Tak więc nie śpieszmy się z wnioskami i poczekajmy, aż owa dyskusja dobiegnie końca. Na razie pomówimy tylko o tych sprawach, które nie budzą żadnych wątpliwości. A jeżeli nawet niektóre nie zostały całkowicie wyjaśnione, na pewno mają jakiś konkretny związek z naszym tematem.

Zacznijmy więc od tego, co wiemy już na pewno. Na przykład udowodniono ponad wszelką wątpliwość rzecz najważniejszą: sen wcale nie jest związany i nie jest nawet wywołany przez ochronne hamowanie ogarniające cały mózg. Okazało się, że podczas snu neurony<sup>24</sup> wcale nie śpią i nie odpoczywają, choć odpoczywa organizm. Mózg natomiast - podobnie zresztą jak płuca, serce i żołądek - pracuje nadal bez chwili wytchnienia. Nie dość na tym: niektóre jego partie są pobudzone podczas snu znacznie silniej niż na jawie, ale aktywność mózgu wówczas ma inny charakter.

Niektórzy fizjologowie są zdania, że sen jest swego rodzaju przyzwyczajeniem, nawykiem, który powstał u nas pod wpływem rytmów dobowych, kiedy to pierwsi mieszkańcy Ziemi, którzy wyszli na ląd z oceanu, musieli się przystosować do gwałtownych zmian temperatur w ciągu doby i „nauczyć regulować” własną temperaturę. Pewne ślady takiej regulacji dostrzegamy u siebie po dziś dzień. Wraz ze zbliżaniem się nocy temperatura naszego ciała obniża się, a to z kolei związane jest ze zmniejszoną aktywnością mięśni.

Zwierzętom jednak (z wyjątkiem niektórych) nocna aktywność wcale nie była potrzebna, przecież żyły one, rozmnażały się i odżywiały tylko w ciągu dnia, przy świetle. Nasi przodkowie w dzień polowali, budowali sobie schronienia, a w nocy nie mieli po prostu nic do roboty. Pozostawało im tylko jedno: odpoczywać. Do takiego właśnie rytmu dobowego dostosował się nasz mózg, w którym ukształtowały się specjalne oddziały, partie włączające i wyłączające sen i regulujące kolejne następowanie snu czy też czuwania.

Oczywiście na razie uczeni wcale nie twierdzą, że tak jest właśnie na pewno, hipoteza jednak wydaje się bardzo prawdopodobna. Nie wiadomo tylko jeszcze, dlaczego mózg pracuje podczas snu i dlaczego mimo jego aktywności, mimo przeżywanego snów czujemy się po obudzeniu wypoczęci, i to nie tylko fizycznie, lecz i psychicznie? Dlaczego zwiększa się nasza „energia” umysłowa? Dlaczego po dobrym śnie nasze myśli są szczególnie świeże? Czy nie jest to przypadkiem dowód, że podczas snu nasz mózg zajęty jest pracą umysłową o dość szczególnym charakterze?

Specjaliści od fizjologii nie uzgodnili jeszcze swoich poglądów na ten temat, kiedy sprawą zajęli się... cybernetycy. Ci wysunęli hipotezę, że pod wieczór mózgowi jest coraz trudniej przetrwać informację, które gromadzi przecież w ciągu całego dnia. Nie jest już po prostu w stanie nadal wchłaniać informacji i odczuwa potrzebę oczyszczenia pamięci operatywnej od przeciążających ją informacji, „posegregowania” ich, a więc oddzielenia informacji potrzebnych od zbędnych, i przekazania do pamięci długotrwałej. W czasie czuwania, czyli podczas pracy, mózg nie ocenia znaczenia informacji, nie ma też czasu na odpowiednie zakodowanie jej. Nic zresztą dziwnego: sygnały, bodźce ze środowiska napływają nieprzerwanie, jedne nakładają się na drugie i w efekcie powstaje coś w rodzaju grochu z kapustą. Mózg musi się jednak skupić, „odłączyć” od świata i zająć się „w spokoju ducha” opracowaniem całej informacji, która doń napłynęła.

Uczeni zwracają uwagę, że informacyjna teoria snu wyjaśnia wiele szczegółów, między innymi również marzenia sennie - „niezwykłe kombinacje zwykłych wrażeń”, jak określił je wybitny rosyjski uczony Sieczenow. Fizjologowie i psychologowie są natomiast zdania, że marzenia sennie mają przede wszystkim chronić nasz mózg od bodźców zewnętrznych. Zwrócono bowiem uwagę, że podczas marzeń sennych sen jest bardzo głęboki. Często zresztą te bodźce zostają włączone do „akcji snu”.

Marzenia sennie jednak nie tylko chronią mózg przed bodźcami zewnętrznymi. Uczeni od dawna zwrócili uwagę na jeden bardzo ciekawy fakt. Niezwykle często odkrycie lub rozwiązanie jakiegoś trudnego problemu pojawia się nagle, niespodziewanie, jak gdyby pod wpływem objawienia, pewnych tajemniczych, zupełnie nie znanych sił.

Olśnienie!... Objawienie!...

Pamiętacie kąpiel Archimedesesa? To właśnie było olśnienie -nagle, zaskakujące rozwiązanie, którego uczony daremnie poszukiwał przez dłuższy czas.

Wielu wybitnych uczonych, odkrywców i wynalazców przyznaje, że takie właśnie długo i bezskutecznie poszukiwane rozwiązanie pojawia się w chwili najmniej stosownej: na spacerze, w teatrze, na przyjęciu u znajomych. I to w dodatku bez najmniejszego wysiłku.

Rozumiecie, na czym polega cały paradoks? Najpierw człowiek męczy się, głowi i poci - bez żadnego efektu. A potem nagle następuje rozwiązanie, które spada mu jak z nieba, a przy tym akurat wtedy, kiedy wcale o nim nie myśli.

Przed chwilą użyliśmy dwóch bardzo gromkich słów: „olśnienie” i „objawienie”. Bardzo bym jednak nie chciał, aby te słowa wprowadziły Was w błąd. Moglibyście sobie bowiem pomyśleć tak: „Po co mam się głowić nad jakimś rozwiązaniem, po co mam go szukać przez długi czas, skoro i tak - wcześniej czy później - ono mnie odszuka. A więc precz z wszelkim wysiłkiem myślowym. Niech żyje natchnienie!”

Niestety - na tym koniku daleko byśmy nie zajechali.

Rzecz polega na tym, że myślimy nawet wtedy, kiedy nam się wydaje, że... wcale nie myślimy. Nie, nie - to nie paradoks. Uczeni dawno stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że istnieje tak zwane

---

<sup>24</sup> Neuron - komórka nerwowa, podstawowa jednostka budowy i działania układu nerwowego, o bardzo dużej zdolności odbioru i przewodzenia impulsów nerwowych.

myślenie podświadome. Póki się zajmujemy różnymi sprawami nie mającymi żadnego związku z problemem, nad którym głowiliśmy się od dłuższego czasu - gramy w karty, pływamy, jemy obiad - pewne grupy szarych komórek w naszym mózgu funkcjonują nadal. Kombinują, „głowią się” i wreszcie dochodzą do właściwego rozwiązania, często właśnie w chwili najmniej do tego odpowiedniej.

Ale aby mogły się one „głować” w sposób produktywny, muszą mieć odpowiednią pożywkę. Pożywkę zaś stanowią właśnie wszelkie wstępne badania, próby i doświadczenia, bez których nie moglibyśmy zrobić ani kroku w kierunku nowego odkrycia czy wynalazku. A to, że odkrycie pojawia się nagle, wtedy kiedy uczony nie skupia świadomie swojej uwagi na danym zagadnieniu, wcale nie oznacza, że odkrycie jest tylko dziełem przypadku, uśmiechu fortuny, natchnienia.

Ciekawa rzecz - wytężona, żmudna praca nad jakimś problemem, praca prowadzona bez chwili wytchnienia, rzadko daje dobre efekty. Odpoczynek jest więc w każdej pracy - a tym bardziej w twórczej - czymś absolutnie niezbędnym, niezastąpionym jak... jak na przykład sen.

Sen...

Czy śnią się Wam sny? Czy rano, kiedy się obudzicie, pamiętacie, co się Wam śniło w nocy? A może... może zagłądacie do sennika egipskiego, aby sprawdzić, co też ten sen „oznacza”? Nie macie sennika? A to szkoda! Jest to bowiem wspaniałe, niezastąpione wręcz źródło - nie, nie wiedzy tajemnej, lecz humoru. Boki można zrywać! Jak Wam się podobają takie na przykład przepowiednie:

„Wąsy golić tępą brzytwą - nieprzyjemności w szkole” (może dwójka z matematyki?) Albo: „Łysego widzieć - wygrasz w Toto-lotka”.

Dziś już żaden rozsądny człowiek nie wierzy w prorocze sny. A jednak...

Znany niemiecki chemik August Kekule von Stradonitz zastanawiał się długo nad budową różnych związków organicznych, między innymi odkrytego przez Faradaya benzenu. Początkowo jednak bezskutecznie. Pewnej nocy przyśnił mu się nader interesujący sen. Zresztą oddajmy głos samemu uczonemu:

„Podczas mojego pobytu w Gandawie miałem pokój, do którego nie dochodziło dzienne światło. Siedziałem właśnie i pisałem podręcznik, ale jakoś mi to nie szło. Wobec tego obróciłem krzesło do kominka i zapadłem w półdrzemkę.

Znów zaczęły przede mną tańczyć atomy... Długie łańcuchy, często i gęsto splecione, wszystkie w ruchu, kręcące się i wyginające jak węże. I nagle... Jeden z węży uchwycił własny ogon. Obraz ten drwiąc kręcił się przed moimi oczami. Zbudziło mnie to jak nagła błyskawica. Resztę nocy spędziłem na opracowywaniu wniosków wypływających z mojej hipotezy”.

Kręcący się węź, który schwytał własny ogon... Trzeba Wam wiedzieć, że benzen, związek o składzie chemicznym  $C_6H_6$ , ma dość niezwykłą budowę - jest mianowicie podobny do pierścienia.

Tak więc proroczy sen...

W nocy z 9 na 10 listopada 1610 roku francuskiemu filozofowi i matematykowi Kartezjuszowi przyśniły się jeden po drugim trzy sny. Nazajutrz uczony sporządził notatkę tej oto treści: „Odkryłem tej nocy niezwykłą naukę...” Znając późniejsze prace tego uczonego można przypuszczać, że był to, być może, pomysł „uniwersalnej matematyki” czy też wprowadzenie do matematyki jednolitej symboliki literowej albo zaczątek geometrii analitycznej.

Na pewno wszyscy wiecie, kim był Dymitr Mendelejew. Otóż ten wielki uczony rosyjski przez wiele lat łamał sobie głowę nad ułożeniem układu okresowego pierwiastków w postaci tablicy. Pewnego razu pracował bez wytchnienia przez trzy dni pod rząd, toteż kiedy się położył do łóżka, zasnął natychmiast. I w nocy przyśnił mu się sen. Wszystkie pierwiastki rozstawione były w tabeli tak jak należy.

- Kiedy się obudziłem - opowiadał później Mendelejew - natychmiast zapisałem na kawałku papieru to, co widziałem we śnie. Okazało się potem, że tylko w jednym miejscu musiałem wprowadzić poprawkę.

Nikt chyba jednak nie przypuszcza, że „wieszczy” sen, jaki przyśnił się Mendelejewowi, „załatwił” za niego całą sprawę w ciągu jednej nocy. Zresztą uczony zapytany o to, jak dokonał swego epokowego odkrycia, odpowiedział:

- Panie, ja nad tym pracowałem trzydzieści lat, a pan mnie pyta jak?

Czy te przykłady Wam wystarczą? Jeżeli nie - mogę podać jeszcze kilkadziesiąt. Na przykład włoski kompozytor Tartini słyszał we śnie melodie swoich nowych utworów, a genialny poeta rosyjski Aleksander Puszkina miał na swym nocnym stoliku przygotowane pióro i kawałek papieru.

Do ciekawego wniosku doszedł pewien psycholog, który zwrócił uwagę na to, że wszelka próba zrobienia rano notatek z „wieszczych snów” powoduje stan pobudliwości, nerwowego napięcia. Wystarczy jednak kilka słów, niewielki szkic, aby można było ponownie i smacznie zasnąć. Warto tu może jeszcze dodać, że na przykład wybitny angielski pisarz Robert Louis Stephenson („Wyspa

skarbow", „Porwany za młodu") pisał swe fascynujące książki opisując własne sny, które mógł podobno dowolnie przerywać, a po ponownym zapadnięciu w sen kontynuować.

„Wieszcie" sny... Oczywiście jest to jeszcze jeden przejaw podświadomego myślenia, którego badaniem zajmuje się heurystyka. A robi to po to, aby ustalić jakąś „receptę" na pobudzenie mózgu do twórczej, odkrywczej działalności.

Albowiem, jak pisał autor książki pt. „Heurystyka", Beniamin Puszkina: „...Twórcza myśl uczonych i techników to największe bogactwo ludzkości. Bogactwo to należy wykorzystywać nie mniej intensywnie i celowo niż na przykład skarby wydobywane z głębi ziemi."

## **Żonglerzy liczb.**

Ile to jest: siedem razy raz po raz i trzy razy trzy po trzy?

- Proponuję państwu teraz taką oto zabawę...

Młody człowiek w eleganckim fraku stojący na jasno oświetlonej estradzie nie jest ani żonglerem, ani iluzjonistą, ani konferansjerem. Nie jest też modnym piosenkarzem, o czym świadczy fakt, że w dłoni zamiast gitary trzyma... kredę i ściereczkę. Sala jest jednak wypełniona po brzegi, panuje pełna napięcia cisza.

- Proszę mi podać dwie wielocyfrowe liczby. Spróbujemy je sobie wspólnie przemnożyć.

Po chwili w głębi sali wstaje starsza pani i mówi:

- Jeden milion pięćset dziewięćdziesiąt cztery tysiące trzysta dwadzieścia trzy proszę przemnożyć przez trzy tysiące czterysta pięćdziesiąt sześć.

Młody człowiek uśmiecha się, odwraca, podchodzi do czarnej tablicy i natychmiast wypisuje wynik:  
5 509 980 288.

Teraz przerwa jest .znacznie dłuższa, młody człowiek czeka bowiem cierpliwie, aż widzowie na sali przemnożą na papierze podane liczby. Wreszcie po kilku minutach wynik jest gotowy. Okazuje się, że jest prawidłowy, na tym jednak nie koniec. Młody człowiek podaje bowiem wszystkie pośrednie wyniki, jakie uzyskał podczas mnożenia tych dwóch ogromnych liczb.

Próby są wielokrotnie ponawiane, liczby coraz większe, coraz bardziej skomplikowane, działania również. A wyniki za każdym razem prawie błyskawicznie wykwitają na czarnej tablicy w głębi sceny.

Tak właśnie prezentuje się jeden z chodzących komputerów: człowiek obdarzony niezwykłym darem szybkiego liczenia.

Cóż to jest za dar? Niestety - żadne opisy, żadne opowiadania nie dadzą nam jasnego obrazu. Znany radziecki popularyzator i autor wielu książek, Wiktor Pekelis (może czytaliście jego książkę zatytułowaną „Mała encyklopedia o wielkiej cybernetyce" wydaną przez Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"?) od lat już interesuje się tym właśnie zagadnieniem: umiejętnością błyskawicznego liczenia. Zebrał wiele materiałów, asystował przy wielu doświadczeniach i sam stwierdza, że wszelkie najbardziej nawet barwne opisy nie potrafią w pełni oddać tego niezwykłego fenomenu. Po prostu trzeba być obecnym samemu, aby zrozumieć, w jakim stopniu słowo „cud" jest tu jak najbardziej na miejscu.

Oto jego relacja z eksperymentu przeprowadzonego przez zespół badaczy japońskich z niejaką panią Osaka, niepozorną kobietą, która jednak już nie raz wprawiała w zdumienie wybitnych uczonych.

Pewnego razu proponowano jej, aby podniosła do drugiej potęgi liczbę 97, a potem wyciągnęła z otrzymanego wyniku pierwiastek dziesiątego stopnia. Eksperymentator nie skończył jeszcze dyktować dokładnych warunków zadania, kiedy wynik już był gotowy. Następne zadanie wybrano oczywiście znacznie trudniejsze, pani Osaka miała bowiem wyciągnąć pierwiastek szóstego stopnia z liczby 40 242 074 782 776 576. Wynik - całkowicie bezbłędny - podała natychmiast. Bez trudu poradziła sobie również z wieloma innymi.

W 1927 roku francuscy matematycy egzaminowali niewidomego chłopca Louisa Fleurie. Wśród wielu zadań, jakie dano mu do rozwiązania, było następujące: pewną liczbę stanowiącą sumę dwóch składników, z których pierwszy jest liczbą w trzeciej potęgde, a drugi liczbą czterocyfrową, należy rozłożyć na trzecią potęgę i dodać liczbę czterocyfrową. W zapisie matematycznym wyglądałoby to tak:

$$x = y^3 + z.$$

Podyktowano mu następującą liczbę: 707 353 209. Badany zastanawiał się nad wynikiem dokładnie przez 28 sekund, po czym podał rozwiązanie:

$$891^3 + 5238$$

Uczeni zaproponowali mu inną liczbę: 211 717 440. Tym razem Louis Fleurie podał wynik po 25 sekundach:

$$596^3 + 8704$$

Louis Fleurie nie był oczywiście wyjątkiem. W zachodniej Gruzji, w obwodzie wanskim, mieszka niejaki Aron Czikwaszwili. Trzydziestosześcioletni Czikwaszwili jest z wykształcenia prawnikiem i ekonomistą, zresztą bardzo zdolnym. Sławę jednak zdobył w zupełnie innej dziedzinie: w jego mózgu „zainstalowany” jest prawdziwy minikomputer. Czikwaszwili swobodnie manipuluje w pamięci wielocyfrowymi liczbami, przy czym jego „arytmometr” nigdy nie popełnia najmniejszych nawet błędów.

Pewnego razu znajomi i przyjaciele Arona postanowili sprawdzić jego możliwości matematyczne. Zadanie było rzeczywiście niezwykle. Czikwaszwili miał odpowiedzieć na pytanie, ile słów i liter wypowie sprawozdawca sportowy komentujący drugą połowę meczu piłkarskiego pomiędzy „Spartakiem” Moskwa a drużyną „Dynamo” z Tbilisi.

W momencie rozpoczęcia transmisji włączono magnetofon. Eksperyment trwał dokładnie 45 minut, tyle bowiem trwa jedna połowa meczu piłkarskiego. Jak tylko komentator wypowiedział ostatnie słowo, Czikwaszwili podał wynik: 1835 słów składających się z 17 427 liter.

Sprawdzenie tego wyniku zajęło „egzaminatorom”... ponad 5 godzin ! Wynik okazał się bezbłędny.

Jeszcze bardziej niesamowitymi wynikami może się poszczycić Holender Willem Klein, pracownik ośrodka badań nuklearnych w Cern koło Genewy. Potrafi on na przykład wyciągnąć pierwiastek 37 stopnia z liczby składającej się z 220 cyfr w ciągu zaledwie... 3 minut i 26 sekund, przy czym oczywiście w pamięci, bez posługiwania się ołówkiem.

Ciekawe, że Willem Klein piastuje w owym ośrodku naukowym funkcję, zupełnie wyjątkową: zajmuje się kontrolą skomplikowanych obliczeń dokonywanych na maszynach matematycznych. A co jeszcze ciekawsze, często znajduje w owych obliczeniach błędy!

Szczególnym powodzeniem wśród żywych „maszyn matematycznych” cieszą się zadania, które są związane... z kalendarzem. Niektórzy fenomenalni rachmistrze przenosząc się myślami poprzez wieki i tysiąclecia bez najmniejszego trudu radzą sobie z rachunkiem bądź co bądź odmiennym od dziesiątego. Pamiętajmy przecież, że tydzień składa się z 7 dni, doba z 24 godzin, godzina z 60 minut, minuta zaś z 60 sekund. A jednak potrafią oni w ciągu zaledwie kilku sekund wykonać setki tysięcy operacji i poinformować zebranych, że na przykład pierwszy stycznia 180 roku wypadł... w piątek. Przy tym wszystkim uwzględniają również takie rzeczy, jak lata przestępne, zmianę kalendarza w 1582 roku i różne inne elementy. Znane są przypadki, kiedy ci cudowni rachmistrze potrafili powiedzieć, ile sekund minęło od śmierci Nerona do upadku Konstantynopola. Pewnego razu dwaj fenomenalni matematycy zadawali sobie wzajemnie pytania tego typu: jaki dzień tygodnia wypadnie w dniu 13 października 29 486 roku. Na udzielenie odpowiedzi każdy z nich potrzebował zaledwie kilku sekund. Szybkie maszyny matematyczne, aby sprawdzić te wyniki, musiały pracować „pełną parą” przez kilka godzin.

Badaniem takich fenomenalnych matematyków zajęli się również lekarze psychiatrzy. W 1964 roku na konferencji amerykańskich psychiatrów w Los Angeles profesor Horwitz relacjonował swoje obserwacje przeprowadzone na dwóch braciach bliźniakach. Obaj w ciągu zaledwie ułamków sekundy potrafili dokładnie określić, w jaki dzień tygodnia przypadał na przykład 15 września 1920 r., a jaki dzień wypadnie w dniu 7 listopada .998 roku. Niestety - poza tym bracia są... całkowitymi, nieuleczalnymi debilami o umysłowości kilkuletnich dzieci. Ale ci nieuleczalnie chorzy chłopcy (dziś już dorośli mężczyźni) potrafili nie tylko fenomenalnie orientować się w kalendarzu, mają ponadto tak niezwykle rozwinięty zmysł węchu, że na podstawie zapachu potrafili odróżnić swoje własne rzeczy od rzeczy znajomych, przy czym bezbłędnie określają, która rzecz do kogo należy.

Inny psychiatra podał w swojej pracy opis dwudziestoletniego chłopca epileptyka, który nie umiał ani pisać, ani czytać miał zadziwiającą pamięć: potrafił powtórzyć duże fragmenty przeczytane mu z książek napisanych po grecku, japońsku czy duńsku. Oczywiście chłopiec nie znał ani jednego z tych języków, co nie przeszkadzało mu powtarzać całe akapity ze zdumiewającym akcentem. Rodowity Japończyk, który kiedyś asystował przy takim eksperymencie, nie mógł się nadziwić: chłopak recytował japoński tekst z wyraźnym akcentem typowym dla mieszkańców Osaki.

Ale to jeszcze nie wszystko. Oto na przykład wybitny radziecki uczonec, pracownik naukowy instytutu psychiatrii, profesor G. Uszakov badał przed kilku laty siedmioletniego chłopca, który leczył się w jego klinice. Chłopiec bezbłędnie, z dokładnością do jednej minuty, określał czas o dowolnej porze dnia i nocy, bez względu na pogodę. Na czym zasadzała się ta fenomenalna zdolność? Niestety

- odpowiedzi na to pytanie brak: nie udało się odnaleźć klucza do tej zagadki. Warto tu może dodać, że gdy chłopiec został wyleczony, zatracił całkowicie ową fenomenalną zdolność.

Wróćmy jednak do naszych żywych komputerów. Otóż stwierdzono, że wiele spośród zadań, które ci fenomenalni rachmistrze rozwiązują jak gdyby mimochodem w ciągu zaledwie kilku sekund, wymagałoby wielomiesięcznych obliczeń. Ale na tym jeszcze nie koniec, gdyż po otrzymaniu wyniku należałoby go potem jeszcze sprawdzić, a na to też potrzeba wiele czasu.

Jakimi metodami posługują się oni? Czy są obdarzeni tym darem już od dzieciństwa, czy też owe zdolności przychodzą z wiekiem?

No cóż... Jednoznacznej odpowiedzi na te pytania wciąż jeszcze nie znamy. Próbowano wyjaśnić tę niezwykłą zdolność wyjątkową pamięcią, tym, co psychologowie nazywają hipermnęją. W pewnym stopniu mamy tutaj rzeczywiście do czynienia z przejawem niezwykle potężnej pamięci, ale, niestety, samą pamięcią nie można wszystkiego do końca wyjaśnić.

Wiadomo na przykład, że takim cudownym „komputerem” był jeden z najwybitniejszych matematyków wszystkich czasów - Karol Fryderyk Gauss. Jego ojciec rozliczał się zazwyczaj ze swoimi robotnikami pod koniec każdego tygodnia, doliczając im do cotygodniowego, a raczej codziennego zarobku również należność za godziny nadliczbowe. Pewnego razu, kiedy ojciec małego Gaussa skończył swoje obliczenia, przyglądający mu się synek, który miał wtedy zaledwie 3 lata, zawołał:

- Tatusiu! Twoje obliczenia są błędne. Powinieneś zapłacić tylko tyle...

Ojciec sprawdził ponownie wszystkie rachunki i z największym zdumieniem przekonał się, że jego syn miał rację.

Na fenomenalne zdolności matematyczne małego Gaussa zwrócił uwagę jego nauczyciel już w pierwszej klasie. Kiedyś chcąc mieć spokój, jako że musiał poprawić klasówki ze starszych klas, kazał swoim uczniom zsumować wszystkie liczby od jednego do stu włącznie. Taka operacja powinna była dzieciom zająć sporo czasu, tymczasem już po upływie zaledwie trzech minut mały Gauss położył na katedrze kartkę z wynikiem. Wszyscy jego koledzy uporali się z zadaniem dopiero po upływie dwóch godzin. Ani jeden z ich wyników nie był poprawny.

Przed kilku laty sławą niezwykłego rachmistrza cieszył się... jedenastoletni chłopiec Bořislav Gadřanski rodem z niewielkiego jugosłowiańskiego miasteczka Zrenjanine.

Specjalna komisja złożona z matematyków i psychologów zaproponowała mu kilka zadań. Oto jedno z nich:

- Czy mógłbyś wyciągnąć pierwiastek dwudziestego drugiego stopnia z liczby 348 517 368 454 361 458 872?

Chłopczyk zamknął na chwilę oczy i odpowiedział:

- Osiem.

- A może wobec tego wyciągniesz pierwiastek trzydziestego pierwszego stopnia z liczby: 538 436 517 832 435 456 582.

Jeszcze chwila milczenia i...

- Cztery.

Gadřanski doskonale znał wyższą matematykę w zakresie programu uniwersyteckiego oraz przeprowadzał najbardziej skomplikowane obliczenia bez pomocy ołówka.

Wspominałem już o tym, że na razie nie wiemy, niestety, w jaki sposób „funkcjonują” te żywe arytmometry. Niektórzy świetnie radzili sobie z liczbami już od dzieciństwa, inni dopiero w wieku dojrzałym. Niezależnie jednak od tego, czy talent ten przejawia się we wczesnym dzieciństwie, czy też w wieku późniejszym, jego pierwsze objawy zawsze są gwałtowne. Następuje błyskawiczna metamorfoza: posiadacz takich zdolności zaczyna czuć się trochę obco w innych dziedzinach, natomiast wśród cyfr jest w swoim żywiole i szybko osiąga fantastyczną wirtuozerię.

Co się dzieje dalej z „cudownymi rachmistrzami”? Często ich umiejętności zachowują się aż do głębokiej starości, ale bywa również inaczej: ulegają one stopniowemu zanikowi, zwłaszcza u dzieci posiadających wrodzoną zdolność szybkiego liczenia w miarę pobierania przez nie obowiązkowych wiadomości programu szkolnego.

Ampère na przykład jako dziecko zadziwiał rodzinę swoim darem szybkiego rachowania, w późniejszym wieku jednak stracił tę zdolność w procesie zagłębiania się w matematykę klasyczną. Gauss i Euler natomiast zachowali do końca życia obydwie cechy swej genialności.

Najciekawsze jest jednak to, że wiele ludzi, obdarzonych tym nie-zwykłym darem, których pytano o to, jak to robią, nie umiało tego wyjaśnić. „Liczymy, i już - odpowiadali. - A jak liczymy, nie wiemy...”

Takim odpowiedziom nie należy się dziwić. Niektórzy z nich nie mieli nawet podstawowego wykształcenia. Anglik Buckston, wirtuoz szybkiego rachowania, do końca życia pozostał analfabetą, a co dziwniejsze - nie umiał pisać cyfr. Murzyn z Ameryki, Thomas Fuller, zmarł jako analfabeta w wieku 80 lat, a mimo to przez całe życie słynął z umiejętności przeprowadzania w pamięci błyskawicznych rachunków.

Osoby te zawsze stanowiły ulubiony obiekt badań dla specjalistów w dziedzinie psychologii i matematyki, którzy usiłowali rozszyfrować tajemnicę ich talentu. Ale wyjaśnienia udzielane przez tych ludzi wywoływały nie lada zaskoczenie: na przykład Urania Diamondi twierdziła, że pomaga jej w obcowaniu z cyframi ich kolor: 0 jest białe, 2 - żółte, 3 - purpurowe, 4 - brązowe, 5 - błękitne, 6 - ciemnożółte, 7 - szafirowe, 8 - szaroniebieskie, 9 - ciemnobrunatne. Proces liczenia w jej wyobraźni przybierał postać nie kończącej się symfonii barw. Brat Uranii, Perykles Diamondi, mówił: „Cyfry jak gdyby skupiają się razem w mojej czaszce i królują tam niepodzielnie”.

Dwie następne osoby - Mondé i Callburn - wyraźnie widziały przed oczami szeregi cyfr kreślonych przez niewidzialną rękę. Wystarczyło im tylko odczytać ten „czarodziejski zapis”. Rachmistrzowi Inodiemu wydaje się natomiast, że jakiś obcy głos przeprowadza za niego wszystkie obliczenia i póki ten „ktoś” liczy, on może kontynuować rozmowę lub grać na flecie.

Zaproszono go kiedyś na posiedzenie Francuskiej Akademii Nauk. Sprawozdanie z tego posiedzenia zostało opracowane przez matematyków, którzy zgodnie stwierdzili, że Inodi posługuje się przy obliczeniach pewnymi metodami klasycznymi i że doszedł do tych metod absolutnie samodzielnie, drogą praktyczną, nie korzystając z żadnej literatury.

Jedna z komisji tejże akademii, w której skład wchodziły takie sławy matematyczne, jak Arago i Cauchy, po przebadaniu Henri Mondé (patrz wyżej) stwierdziła, że ten półanalfabeta, syn drwala, podświadomie stosuje w trakcie obliczeń dwumian Newtona.

Do podobnych wniosków doszła Akademia Francuska także w przypadku eksperymentu z Naukowcem Maurycym D'Agbertem w 1948 roku.

Ten „dziwny” człowiek potrafił nawet prowadzić karkołomne rachunki grając na skrzypcach... Kilka lat temu w Lille, w obecności wysoce autorytatywnego jury, w skład którego wchodził fizycy, inżynierowie, cybernetycy, matematycy i psychologowie, D'Agbert rozpoczął wyścig z elektroniczną maszyną liczącą, wykonującą około miliona operacji na sekundę. Oświadczył, że przyzna się do porażki dopiero wówczas, gdy maszyna rozwiąże siedem zadań wcześniej niż on - dziesięć. Ku zdumieniu jurorów, D'Agbert rozwiązał dziesięć zadań w rekordowym czasie: 3 minuty 43 sekundy, tymczasem maszyna potrzebowała na ich rozwiązanie 5 minut 18 sekund.

Wspomniany już przeze mnie Wiktor Pekelis opisuje przebieg podobnego eksperymentu przeprowadzonego w 1974 roku w Instytucie Cybernetyki Ukraińskiej Akademii Nauk. Odbył się tam pod kontrolą wybitnych uczonych niezwykle „meczu” matematyczny, w którym uczestniczyli z jednej strony Igor Szeluszkow, wykładowca Instytutu Politechnicznego w Gorkim, oraz... elektroniczna maszyna licząca „Mir”.

O tej maszynie warto powiedzieć kilka słów. Może ona obliczać układy wielu równań, rozwiązywać zadania związane z programowaniem liniowym, układać wykresy i wykonywać cały szereg innych bardzo skomplikowanych operacji matematycznych. Jej twórcy nazwali ją „arytmometrem z wyższym wykształceniem”, potrafi bowiem zapamiętać jednorazowo 12 tysięcy znaków (7 stron tekstu) i liczy błyskawicznie. „Od urodzenia” zna wszystkie podstawowe wzory z zakresu średniej i wyższej matematyki. Jest to więc przeciwnik poważny.

Przed rozpoczęciem „meczu” zadbano o to, aby odbył się w atmosferze fair play i zarówno Szeluszkow, jak i maszyna mieli jednakowe szanse na wygraną. Trzeba jednak pamiętać o tym, że wiele zadań maszyna matematyczna rozwiązuje na pewno znacznie szybciej od człowieka. Są też takie zadania, których człowiek nie jest w ogóle w stanie rozwiązać. W Instytucie Cybernetyki wybrano więc odpowiednie zadania, określono, jaka ma być dokładność rozwiązań, i ze stoperem w ręce rozpoczęto eksperyment.

Mecz został „wygrany przed czasem” przez Igora Szeluszkowa. Maszyna została pokonana.

Ciekawy jest też przykład urzędnika z jakiejś radzieckiej fabryki, Józefa Prichodko. Pewnego razu natrafił on przypadkowo na artykuł zamieszczony w jednym z pism naukowych, poświęcony właśnie fenomenalnym zdolnościom matematycznym u niektórych ludzi. Kiedy zamknął czasopismo, zdał sobie natychmiast sprawę, że... on też tak potrafi! Prichodko należy dziś do ścisłej czołówki fenomenalnych matematyków w Związku Radzieckim.

Wspominałem już o tym, że dotychczas nauka nie jest w stanie znaleźć klucza do tej zagadki, nie potrafi wytłumaczyć tych zdolności mimo wielu szeroko zakrojonych badań. Co prawda to i owo już wiadomo, ale jest to jednak przysłowiowa kropla w morzu.

Tutaj może warto jednak zaznaczyć, że zadziwiające umiejętności błyskawicznego liczenia z reguły nie mają nic wspólnego z prawdziwymi uzdolnieniami matematycznymi.

Umiejętność szybkiego liczenia w pamięci zawsze frapowała uczonych, a przede wszystkim pedagogów. Jeszcze pod koniec ubiegłego wieku wybitny rosyjski uczone i świetny pedagog Sergiusz Aleksandrowicz Raczynski opracował pierwszy w Rosji podręcznik „liczenia w pamięci”. Takich podręczników jest dziś już wiele, ale jeden z nich zasługuje na szczególną uwagę.

Autorem jest wybitny szwajcarski matematyk, profesor uniwersytetu w Zurychu J. Trachtenberg. System jego powstał w dość niezwykłych okolicznościach.

W 1941 roku hitlerowcy wtrącili Trachtenberga do obozu koncentracyjnego. W straszliwych, nieludzkich warunkach uczone zajął się opracowywaniem zasad przyspieszonego liczenia. W ciągu 4

lat pobytu w obozie Trachtenberg ukończył pracę nad szczegółowym systemem przyspieszonego liczenia. Po wojnie stworzył w Zurychu specjalną placówkę - Instytut Matematyczny - który dziś cieszy się sławą na całym świecie. System Trachtenberga pozwala rzeczywiście szybko opanować zasady przyspieszonego mnożenia, dzielenia, dodawania, odejmowania, a także podnoszenia do potęgi i wyciągania pierwiastków.

Może właśnie systemy przyspieszonego liczenia pozwolą nam wreszcie zbadać i dokładnie określić metody, jakimi posługują się fenomenalni żonglerzy liczb?

## **Czarodziejska różdżka.**

Podszedł powoli do stojącego przy trakcie drzewa, w skupieniu uciął świeżą gałązkę leszczyny w kształcie widełek, ujął ją w dłoń i ruszył powoli przed siebie. Nieruchoma gałązka, w którą wpatrywał się uważnie, nagle zadrżała. Jej pojedynczy koniec uniesiony do góry powoli opuszczał się na dół. Człowiek z całej siły chce ją utrzymać w poprzedniej pozycji, lecz ta, zginana jakąś niewidzialną siłą, uparcie wykręca się ku dołowi.

Człowiek przystaje i zwraca się do towarzyszących mu wieśniaków:

- Tu możecie kopać...

Pierwsze wzmianki o czarodziejskiej różdżce znajdujemy u Herodota i Thukidydesa, natomiast informacje o jej działaniu - u starożytnego historyka Pliniusza. Wszystko jednak wskazuje na to, że tajemna wiedza i umiejętność posługiwania się tą niezwykłą witką znana była dużo wcześniej. Świadczą o tym choćby znaleziska archeologiczne, z których wynikałoby, że różdżkę i jej magiczne właściwości znano już około 8 tysięcy lat temu. O stosowaniu jej wspomina w „Iliadzie” i „Odysei” także Homer.

W Chinach również stosowano różdżkę od niepamiętnych czasów. Znaczący ziemni, jak określano tam różdżkarzy, potrafili nie tylko wskazać, co kryje się pod powierzchnią, lecz i wykorzystywać swą wiedzę do celów praktycznych.

Czymże jest ta niepozorna gałązka w kształcie prostej witki lub też widełek, ścięta z rosnącego drzewa, która jakby ożywa w rękach człowieka wędrującego z nią po powierzchni ziemi? W miejscach zalegania podziemnych złóż lub też podskórnych wód różdżka nagle wygina się, nieomylnie wskazując różdżkarzowi odpowiednie miejsce. Rzecz jednak tym dziwniejsza, że różdżka nabiera cech magicznych tylko w niektórych rękach.

Dlatego też przeciwnicy czarodziejskiej różdżki - a było i jest ich bez liku - zacięcie zwalczali różdżkarstwo, twierdząc, iż jest to zwykła szarlataneria. Często spory pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami różdżki kończyły się w sposób tragiczny.

W pierwszej połowie XVII wieku we Francji słynne było małżeństwo - baronostwo de Boseley. Pan baron był wówczas inspektorem kopalń francuskich i głównym komisarzem kopalń na Węgrzech. Do Francji przybyli w 1626 roku, gdzie otrzymali specjalne pełnomocnictwo od ówczesnego ministra finansów, czyli zarządcy dóbr królewskich. Baron de Boseley i jego małżonka odwiedzili wszystkie francuskie prowincje w poszukiwaniu różnych rud i odkryli za pomocą czarodziejskiej różdżki ponad 150 złóż srebra, złota, miedzi, ołowiu, cynku, żelaza, siarki i węgla kamiennego.

W 6 lat później pani de Boseley przedstawiła królowi Ludwikowi XIII dokładne sprawozdanie ze swoich prac i odkryć. Wkrótce jednak pani baronowa, a także jej mąż zostali oskarżeni o czary. W owych czasach takie oskarżenie pociągało tragiczne konsekwencje. Państwo de Boseley zostali najpierw pozbawieni całego majątku, skonfiskowano ich przyrzędy, odebrano wszystkie kosztowności aż do ostatniego grosza i wreszcie... wtrącono do Bas ty lii.

Smutny przykład baronostwa de Boseley nie odstraszył jednak wielu innych badaczy, którzy nadal zajmowali się tą tajemną dziedziną poszukiwań geologicznych. Na przełomie XVII i XVIII wieku mamy już do czynienia z pierwszymi „naukowymi” badaniami tych problemów. Znana jest książka księdza Malmena „Okultywna fizyka względnie traktat o magicznej laseczce”, w której autor twierdzi, iż magia różdżkarzy nie jest niczym innym, jak zjawiskiem wywołanym przez magnetyzm i elektryczność.

Malmen został jednak natychmiast zaatakowany przez oponentów, wywodzących się przeważnie z duchowieństwa, którzy zwracali uwagę, że czarodziejska różdżka wykazuje swoje niezwykle właściwości nie zawsze i że tylko nieliczni mogą się nią posługiwać. W związku z tym - twierdzili - ruchy witki wywoływane są przez jakiegoś ducha czy duchy. Ponieważ jednak nic można o to „posądzić” ani aniołów, ani świętych, gdyż Pismo święte na pewno by o tym wspomniało, wobec tego wszystko jest jedynie dziełem szatana.

Prawda, że to dowód niezwykle logiczny? A wobec tego... Patrz dzieje baronostwa de Boseley.

W ciągu wieków wysunięto wiele innych hipotez, które miały w jakiś sposób tłumaczyć zachowanie się różdżki. A więc mieliśmy już magnetyzm i elektryczność, i wpływ promieniowania, i wiele innych bardziej lub mniej pomysłowych hipotez. Ale były to jednak (zresztą i są do dziś) tylko hipotezy.



Trzeba pamiętać, że magiczna witka dziś ma już bardzo bogatą historię. Specjaliści twierdzą na przykład, że w okresie od XV do XVIII wieku większość złóż w Niemczech, Czechosłowacji, Francji i w innych krajach odkryto właśnie dzięki magicznej różdżce. Również w Polsce umiejętności różdżkarskie wykorzystywano szeroko, szczególnie za panowania Stanisława Augusta. Wielką sławą cieszył się wówczas niejaki A. Gieryk-Podebrański, odkrywca wielu złóż mineralnych, któremu Komisja Edukacyjna wyznaczyła z tego tytułu nawet roczną pensję w wysokości 6000 czerwonych złotych.

Drugi znakomity różdżkarz, Pragłowski, zrobił karierę w czasie I wojny światowej przy sztabie austriackim. Bo trzeba od razu dodać, że wojsko, nie dbając o naukowe podstawy, lecz o praktyczne wyniki, zawsze, również w czasie II wojny światowej, posługiwało się chętnie różdżką przy poszukiwaniu źródeł wody, wykrywaniu min itp., biorąc zresztą wzory z postępowania Aleksandra Macedońskiego i szwedzkiego króla Karola XII, którzy przy każdym większym oddziale zatrudniali różdżkarza, przy czym, co najciekawsze, ani nie wtrącano ich do Bastylli, ani nie palono na stosach, jak to niejednokrotnie miało miejsce w czasach znacznie późniejszych.

Wydawałoby się, że dzisiaj, w drugiej połowie XX wieku, w epoce energii jądrowej, podróży kosmicznych, niezwykłego rozwoju nauki i techniki problem różdżkarski musiał z konieczności wylądować na dalszym planie. Okazuje się jednak, że jest inaczej. Magiczna witka nadal fascynuje uczonych i badaczy na całym świecie, bo i dziś również oddaje ludziom nieocenione usługi. Dzięki niej odkryto setki źródeł wody, i to tam, gdzie urządzenia i maszyny zawiodły: na przykład w Świerku podczas budowy naszego pierwszego reaktora jądrowego, w wielkich zakładach farbiarskich we Wrocławiu i w innych miejscowościach. Dzięki niej wykorzystuje się również bogate złoża gazu ziemnego w Bańkowicach.

Praktyczne korzyści, jakie wynikają z jej stosowania, są wciąż nieodparte. Niestety nie wiemy jednak - a raczej wiemy bardzo niewiele - w jaki sposób działa ona, jakie prawa rządzą jej niezwykle zachowaniem. Nic więc dziwnego, że badania nad różdżką trwają nadal. Bardzo ciekawe wyniki osiągnięto w Związku Radzieckim. Już na początku 1944 roku radziecki uczony, kandydat nauk technicznych B. Tariejew, wraz z inżynierem hydrobiologiem, J. Simonowem, przeprowadzają na własną rękę badania nad różdżką. Sprawdzali oni, w jaki sposób zwykła, dopiero co ścięta witka reaguje na zainstalowany pod ziemią kabel elektryczny lub na skupiska wód gruntowych.

Znany radziecki hydrogeolog profesor G. Bogomołow potrafi za pomocą magicznej różdżki określić nie tylko głębokość, na jakiej na przykład przebiegają rury wodociągowe czy też kable elektryczne, ale nawet średnicę owego rurociągu.

Tariejew i Simonow wypróbowali najprzeróżniejsze gatunki drzew: brzozę, topolę, dąb, leszczynę. Okazało się, że magiczne właściwości różdżki wcale nie zależą od gatunku drzewa.

Specjalna komisja składająca się z dużej grupy geologów, geofizyków i fizjologów „przeegzaminowała” ponad 100 osób spośród współpracowników instytutu i żołnierzy jednego z pododdziałów wojskowych. Nie muszę chyba dodawać, że komisja była w tym wypadku wyjątkowo surowa.

Jak wyglądały badania?

Idący człowiek trzyma w rękach w pozycji poziomej rozwidloną witkę. W momencie kiedy przecina on zainstalowany gdzieś pod ziemią kabel elektryczny lub też miejsce, w którym przesączała się woda gruntowa, wolny koniec różdżki wyraźnie podnosił się lub też opuszczał, starając się obrócić zaciśnięte w dłoniach końce tej witki. Kierunek odchylenia zależał od kierunku przepływu prądu w kablu lub też od kierunku przepływu wody.

Tak więc różdżka zachowuje się w rękach człowieka jak najprostszy, najprymitywniejszy przyrząd elektrofizyczny. Jednocześnie jednak ten prymitywny „przyrząd” jest niezwykle, nieprawdopodobnie czuły, wygina się bowiem z siłą przekraczającą milion razy siły, które uruchamiają wskazówki galwanometrów. Momenty uginające, jakie oddziałują na gałązkę, osiągają niekiedy setki, a nawet tysiące gramów na centymetr!

Tak więc kierunek, w którym wychyla się różdżka w rękach człowieka, zależał przede wszystkim od kierunku przepływu prądu lub też wody. Co jest jednak najciekawsze to fakt, że ani prędkość strumienia wody, ani prędkość poruszania się samego różdżkarza, ani wielkość natężenia prądu przepływającego przez kabel w najmniejszym nawet stopniu nie wpływały na czarodziejskie właściwości gałązki. Nie pomagało ekranowanie człowieka od kabla za pomocą gumowych lub żelaznych płyt, ekranująca ołowiana otoczka kabla też niczego nie zmieniała. Okazało się jednak, że jeżeli woda nie płynie w metalowych lub ceramicznych rurach, lecz przez gumowy wąż, czarodziejska witka traci natychmiast wszystkie swoje właściwości.

Tariejew i Simonow wykryli również kilka innych prawidłowości. Różdżka również wychylała się w dłoniach nieruchomo stojącego człowieka, jeżeli stał on twarzą w kierunku przebiegu kabla lub rur wodociągowych. Jeżeli jednak obracał się o 90 stopni, wskaźnik zamierał, nieruchomiał. Przy obrocie o 180 stopni czujnik reagował ponownie, zmieniając jednak kierunek swego wychylenia.

W czasie długotrwałych badań ustalono, że różdżkę można z powodzeniem wykorzystywać nie tylko do lokalizacji kabli elektrycznych i przewodów wodociągowych, a także do bardzo dokładnego

ustalenia miejsca, w którym nastąpiło uszkodzenie. Przy tym jednak badany teren musi być przebyty co najmniej dwukrotnie, i to w dwóch wzajemnie prostopadłych kierunkach.

Tak więc w badaniach nad czarodziejską różdżką jest coraz więcej nauki i techniki, a coraz mniej magii. Ale tu właśnie powstaje pewien szkopuł, widełki bowiem muszą być obowiązkowo wycięte z rosnącego drzewa.

Cała ich magiczna siła trwa zaledwie dwa, najwyżej trzy dni. Potem różdżkę trzeba wyrzucić i wyciąć nową. Stwierdzono również, że jeżeli złamie się czarodziejską różdżkę, a potem bardzo dokładnie złoży obie części, traci ona swoją moc. Dlaczego tak się dzieje? Niestety, tego jeszcze nie wiemy.

Albo jeszcze taki szczegół. Na ręce różdżkarza wkładano kolejno różne rękawiczki: bawełniane, gumowe, skórzane, aby sprawdzić, w jaki sposób będą one oddziaływały na różdżkę. Przewidywano, że największy wpływ powinny wykazać rękawiczki gumowe, wiadomo bowiem, że guma ma właściwości izolujące, tymczasem doświadczenie dało zupełnie inny efekt. Ani bawełniane, ani gumowe rękawiczki w żadnym wypadku nie wpływały na magiczne właściwości witki, natomiast skórzane rękawiczki, wykonane choćby z najcieńszej skórki, redukowały do zera całą czarodziejską moc różdżki. Dlaczego?

Dziś istnieje już wiele hipotez na temat magicznych właściwości czarodziejskiej różdżki. Niektórzy uczeni twierdzą, że cały mechanizm jej działania polega na odbiorze promieniowania głębszych warstw ziemi przez niezwykle czułą antenę biologiczną, jaką jest system nerwowy różdżkarza. Promienie te, działając na określone komórki mięśni, powodują ich skurcze, a wraz z tym ruchy różdżki. Inni uczeni twierdzą jednak, że źródłem promieniowania nie są żyły wodne czy też uskoki i podziemne złoża, lecz pionowo padające i odbite od podziemnych złóż czy też żył wodnych promienie kosmiczne. Jeszcze inni sądzą, że wchodzi tu w grę oddziaływanie promieniowania nuklearnego wpływającego z wnętrza ziemi, zwłaszcza że jest ono wielokrotnie silniejsze od promieniowania kosmicznego.

Mimo iż nadal nie wiemy dokładnie, jaki jest mechanizm działania różdżki, jedno jest już pewne: różdżkarstwo nie jest na pewno niczym nadprzyrodzonym (a już tym bardziej dziełem szatana!), sama zaś różdżka nie wykazuje żadnych właściwości magnetycznych. Jej obroty są jedynie widocznym przejawem reakcji organizmu ludzkiego na pewne anomalie występujące pod powierzchnią ziemi.

Czarodziejska różdżka nie ma więc nic wspólnego z mistyką, jest po prostu kolejnym problemem naukowym, nad którego rozwiązaniem biedzą się liczni specjaliści w wielu krajach, również i w Polsce. Prawdą jest bowiem, że radiestezja (bo tak fachowo określa się różdżkarstwo) przeżywa w dzisiejszych czasach swą drugą młodość. Niewykluczone więc, że już w niedługim czasie dowiemy się, na czym polega tajemnica tego najstarszego sposobu wykrywania podziemnych złóż i źródeł wody. Niewykluczone również, że rozszyfrowanie zagadki pomoże uczonym w dobraniu klucza do rozwiązania problemów, wobec których na razie najdokładniejsze i najczulsze metody geofizyczne nie zdają egzaminu.

Na zakończenie jeszcze jedno. Ostatnie badania wykazały ponad wszelką wątpliwość, że uzdolnienia różdżkarskie występują u ludzi znacznie częściej, niż to przypuszczano dawniej. Tak więc na dobrą sprawę każdy z nas może zostać różdżkarzem! Jak jednak osiąść tę niełatwą bądź co bądź sztukę? Posłuchajmy, co na ten temat mówi polski znawca przedmiotu, mgr Jerzy Stobiński.

„Do doświadczeń najlepiej nadaje się świeżo ścięta, rozwidlona gałązka leszczynowa, wierzbową lub lipową długości mniej więcej pięćdziesięciu centymetrów i grubości nie przekraczającej dwóch. Można ją też wykonać ze sprężystego drutu o przekroju około dwóch milimetrów. Taka metalowa różdżka musi się jednak łatwo zginać w pętlę.

Najlepiej trzyma się różdżkę tak zwanym uchwytem dolnym. W tym celu obraca się obie dłonie częścią chwytną ku górze i przeprowadza się końce różdżki między palcami czwartym i piątym (małym i serdecznym) oraz pierwszym i drugim (kciukiem i wskazującym). Różdżkę należy trzymać w dłoniach mocno, ale bez niepotrzebnego zaciskania dłoni. Koniec różdżki powinien łatwo wykonywać ruchy wahadłowe przy małych nawet ruchach rąk.

Ujmując różdżkę we wskazany sposób idziemy powoli nad badanym miejscem, wyciągając ręce do przodu i bacznie obserwując zachowanie się jej. W miejscu podziemnego uskoku (znajduje się tam bardzo często żyła wodna), podziemnej pieczary albo znacznych różnic w układzie podziemnych warstw dochodzi do gwałtownego wychylenia różdżki."

Spróbujcie! Życzę powodzenia!

### **To zdarzyło się jutro...**

- Może napije się pan herbaty?
- Nie, dziękuję, missis Brown - otarł chusteczką czoło. - Nie najlepiej się dziś czuję, jeżeli nie będzie żadnych nadzwyczajnych informacji, chciałbym się odrobinę zdrzemnąć. Czy Jack już wrócił z dołu?

- Chyba tak, przed chwilą go tu widziałam. Zawołać go?
- Gdyby pani była tak uprzejma... I jeszcze jedno. Czy do porannego numeru nic nie przyszło?
- Nie wiem, ale Jack na pewno panu powie wszystko. Tak bardzo przecież chciałby być dobrym dziennikarzem, takim jak pan...

Samson uśmiechnął się krzywo. „Dobrym dziennikarzem... Boże, co ona wygaduje!... Ledwo wiąże koniec z końcem. Gdyby nie ta parszywa posadka, która trafiła mi się cudem, dawno bym już nogi wyciągnął”.

- No, więc dobrze, pani Brown. Niech go pani poprosi do mnie, chciałbym się upewnić.

Kiedy został sam, rozejrzał się po pokoju, w którym miał tego dnia nocny dyżur. Brudne, przekrzywione biurko, zavalone ponad wszelką miarę rękopisami, kliszami, starymi, nieaktualnymi afiszami... W kącie wytarta otomana, którą już dawno należało spalić i zastąpić nową. Niestety - „Globe” nie należał do zbyt dobrze prosperujących pism, więc jego właściciel oszczędny był ponad wszelką miarę.

Obejrzał jeszcze raz z nieklamany obrzydzeniem ponure pomieszczenie.

„Gdyby nie te nad wyraz skromne okruchy - pomyślał - jakie udawało mi się od czasu do czasu zarobić w dziale nowości...”

- Mister Samson - zawołał młody chłopak, który niepostrzeżenie wszedł do pokoju - wszystko w porządku! Numer już się robi, zecerzy prawie że skończyli. Żadnych nowości - nic się nie dzieje. Byłem już nawet w komisariacie, ale...

- Dobrze, dobrze, Jack - Samson uśmiechnął się mimo woli, patrząc na młodego, energicznego chłopca, który tak bardzo chciał zostać dziennikarzem. - To nawet dobrze. Zdrzemnę się wobec tego trochę, zgoda? Nie najlepiej się dziś czuję. Gdyby jednak było coś...

- Ależ oczywiście, panie redaktorze! Natychmiast pana obudzę. Może pan spać spokojnie.

Wysłużona kanapa wcale nie zapraszała do snu, ale Samson czuł się zmęczony i było mu właściwie wszystko jedno.

Sen przyszedł natychmiast. Mr Samson spał mocno, a kiedy obudził się po kilku godzinach...

To było tak straszne, że przez długą chwilę nie był w stanie podnieść się z otomany. Pot sływał mu po czole strumieniem, włosy miał zjeżone, nogi odmawiały posłuszeństwa. Minęło kilka minut, zanim wyciągnął z wewnętrznej kieszeni surduta zmiętą chusteczkę i otarł nią twarz. Czuł, że jeżeli się nie podniesie z kanapy natychmiast, po prostu zemdleje.

Nadludzkiem wysiłkiem, czepiając się ściany, zdołał stanąć na nogach. Wszystko wirowało mu przed oczami: kopcząca świeca, rozklekotane krzesło stojące bokiem przy równie rozklekotanym biurku zavalonym stosem papierów... jakiś oleodruk tak pokryty kurzem, że właściwie nikt nie wiedział, co przedstawia. Zresztą w tej chwili treść obrazka naprawdę go nie interesowała.

Mr Samson nie wiedział, ile minut upłynęło od chwili przebudzenia się: nie miał zegarka, dawno już zastawił go w lombardzie, a pieniędzy na wykupienie wciąż nie mógł zdobyć. To zresztą też nie zaprzętało teraz jego umysłu. Nic zresztą...

- O Boże! Mister Samson! Co panu jest?!

W drzwiach stał Jack i patrzył przerażony na ślaniającego się na nogach trupio bladego dziennikarza, który sprawiał wrażenie chorego.

- Czy... Czy jest pan chory? Może lekarza? Zaraz po niego...

- Nie, nie - Samson usiłował się uśmiechnąć, choć zdawał sobie sprawę, że była to żalosna próba. - Nic mi nie jest. Po prostu... lekki zawrót głowy. Daj lepiej spokój, lekarz nie jest mi potrzebny. Czy są jakieś informacje do dzisiejszego numeru?

- Nie, nie ma nic, ale może jednak?...

- Nie, nie, Jack, wszystko w porządku. Chwilowa niedyspozycja... Jeżeli nie ma nic ciekawego, to... chciałbym być przez chwilę sam. Dobrze? Gdyby coś było, dasz mi natychmiast znać, zgoda?

- Ależ oczywiście, mister Samson.

Kiedy chłopiec, wciąż jeszcze spoglądając nań z niepokojem, wyszedł z pokoju, usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach. Trwał tak nieruchomo przez długą chwilę, a potem sięgnął po pióro i papier.

To był straszny, nieprawdopodobny, koszmarny sen, tak niesamowicie wyrazisty, jak gdyby wszystko działo się naprawdę. Zresztą cóż może znaczyć słowo „naprawdę”. On naprawdę tam był, tam, gdzie zdarzyła się ta okropna tragedia... Jakim cudem on - jeden jedyne - żyje, kiedy wszyscy...

Siedząc w pustym pokoju, drżąc na całym ciele zaczął opisywać to, co widział. Tak - widział na własne oczy, choć przecież był to tylko sen.

Poprawiając knot kopczącej świecy spisał swój sen niezwykle dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami.

A więc była to wyspa - a raczej niewielka wysepka gdzieś w pobliżu Jawy: piękna, malownicza, pełna zieleni i kwiatów, na której żyli ludzie równie piękni. I oto nagle ten rajski zakątek, ten raj na ziemi, zamieszkały przez ludzi pogodnych, rośliwych, uśmiechniętych, zawsze serdecznych i przyjacielskich... pękł na połowę! Z jego wnętrza wydobył się słup ognia, który ginął gdzieś nieprawdopodobnie wysoko, ponad chmurami. Wyglądało to, jakby nagle ktoś przeciął nożem na dwoje tort urodzinowy.

I te tysiące ludzi!... Nie - dziesiątki tysięcy! - którzy w popłochu, w śmiertelnym przerażeniu uciekali z wnętrza wyspy w kierunku wybrzeża przed strumieniami rozżarzonej do białości lawy wypływającej z wnętrza ogromnej szczeliny, a raczej z wnętrza tej wyspy, która sama stała się wulkanem - największym, najokropniejszym.

I jeszcze to straszne morze, morze, które wydawało się być wybawieniem dla ludzi skazanych na zagładę przez nie kończące się strumienie ognia zalewającego rozdartą na pół wyspę. Wielkie jak góry fale z łomotem waliły o brzeg wyspy, która miała być wymazana ze wszelkich map raz na zawsze. Fale, które chciwie połykały tych wszystkich, którym udało się uciec przed atakiem ognistej lawy, tych naprawdę nielicznych...

I jeszcze dziesiątki dużych i małych statków, niewielkich kutrów rybackich, wciągniętych w otchłań przez potężne wiry, które nagle powstały tam, gdzie ich nigdy nie było.

I jeszcze opis tego niewielkiego skalnego kikuta wystającego ponad powierzchnię morza, tam gdzie przed godziną w całej swej krasie wciąż jeszcze trwała piękna, malownicza wyspa.

Kiedy wreszcie Samson opisał swój sen z najdrobniejszymi szczegółami - tak dokładnie, jak go zapamiętał - położył rękopis na biurku i na marginesie dopisał:

„Bardzo ważne!”

A pod spodem:

„29 sierpnia 1883 roku.”

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł wysoki, barczysty mężczyzna w zawadiacko przekrzywionym kapeluszu.

- Hej! Sie masz? Co tam u ciebie? Wyglądasz nietęgo! Czyżby drobny alkoholik?... He, he, he...

Był to współpracownik „Globe'u”, który właśnie rozpoczynał poranny dyżur.

- O-o-o-odczep się! - Samson skrzywił się z niesmakiem. Nie cierpiał tego napuszonego, wiecznie roześmianego i dowcipkującego faceta. Był całkowitym jego przeciwieństwem: ufny w swój „niezwykły” talent dziennikarski, pewny siebie, kipiący energią... - Tak, wiesz... trochę się nie wyspałem, więc...

- Dobra, dobra!... Czy jest coś nowego?

- Nic nie ma. Żadnego uczciwego morderstwa, żadnych skandali towarzyskich. Jednym słowem - dziura.

- Wyglądasz nietęgo. Wypij przed snem niewielkiego drinka, to ci dobrze zrobi, a resztę zostaw mnie: zajmę się wszystkim. Odpocznij sobie. - W jego głosie zabrzmiały ciepłe, serdeczne nutki. Samson nigdy by się po nim tego nie spodziewał. - Idź do domu, wyśpij się porządnie, staruszk, ja to wszystko wyprostuję. No, cześć!...

Ściągnął surdut, oczyścił knot świecy i wtedy właśnie zobaczył gruby brulion leżący na biurku opatrzone napisem: „Bardzo ważne! 29 sierpnia 1883 roku.” Przeczytał rękopis uważnie i nagle wrzasnął:

- O Boże! Ten Samson goni w piętę! Przecież to jest światowa rewelacja. A ten dureń mówi mi, że nic ważnego się nie zdarzyło! Jack!... Jack!...

Rano „Globe” pobił wszelkie rekordy poczytności. Wszystkie egzemplarze gazety rozeszły się w ciągu niecałej godziny, „dodruki” również. Opis tragedii na jednej z wysp Oceanu Indyjskiego był tak sugestywny, że zaczytywali się nim wszyscy. Właściciel gazety zacierał ręce: takich zysków nie miał już od wielu, wielu lat. „Ten Samson to łebski chłopak - myślał. - Skąd on to zdobył? Chyba podniosę mu wierszówkę. Chociaż nie... Jeszcze sobie pomyśli, że mi na nim zależy...”

A potem stało się to, co oczywiście musiało się stać: „artykuł” Samsona zaczęły przedrukowywać kolejno wszystkie amerykańskie gazety: w Chicago, Cincinnati, Cleveland. Wieść o strasznej katastrofie na maleńkiej wysepce na Oceanie Indyjskim zataczała coraz szersze kręgi.

Niestety: jak już domyślicie się, informacja nie znalazła potwierdzenia ani 29 sierpnia, ani nawet w dniu następnym.

Biedny Samson obudzony po południu kupił w pobliskim kiosku taniutki cygaro i oczywiście gazetę. Kiedy na pierwszej kolumnie znalazł opis katastrofy opatrzone wielkim nagłówkiem i podpisany jego nazwiskiem, omal nie zemdleł: przecież to był tylko sen! Dlaczego to wydrukowano? Przecież...

Przeżalony Samson popędził do redakcji i poinformował o wszystkim swego szefa. To była prawdziwa klęska, ruina, bankructwo. Kiedy tylko czytelnicy dowiedzą się o tym, jak ich oszukano... A jeszcze do tego liczne procesy wytoczone redakcji z powodu przedruków !...

Nie znamy dokładnego przebiegu rozmowy właściciela gazety z biednym reporterem, lecz możemy sobie łatwo wyobrazić jej końcowy fragment:

- Precz!!! - purpura na twarzy właściciela przybierała już w tym momencie odcień wiśniowy. - Precz! Żebyś mi się tu nigdy więcej nie pokazał, bo zamorduję!...

Dla Samsona, ledwo wiążącego koniec z końcem, była to oczywiście największa klęska życiowa: biedny dziennikarzyna wyrzucony z gazety nie mógł liczyć na żaden godziwy zarobek.

Ale wtedy właśnie niespodziewanie w jego obronie wystąpiła sama... przyroda. Następnego dnia po wyrzuceniu go z pracy dotarły do Nowego Jorku alarmujące informacje z Kalifornii, z których wynikało, że zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych zostało nagłe zaatakowane przez... Ocean Spokojny. Nieprawdopodobnie wielkie fale szturmowały wszystkie porty, zatoki i cyple, zatapiając wiele łodzi rybackich i wyrządzając spore szkody. Najstarsi ludzie nie przypominali sobie czegoś takiego.

Potem... potem zaczęły napływać coraz bardziej sensacyjne informacje z różnych kontynentów. Coś dziwnego działo się na Oceanie Indyjskim: jakiś kataklizm, niezwykła katastrofa... Nikt na dobrą sprawę nie wiedział, o co chodzi, a gazety, nauczone smutnym doświadczeniem z przedrukiem relacji Samsona, ograniczyły się tylko do krótkich informacji i postanowiły poczekać, aż nadejdą wiadomości, na których można będzie polegać.

A w kilka dni później cały świat został wstrząśnięty informacją o wybuchu wulkanu Krakatau - największym wybuchu odnotowanym w dziejach ludzkości. Wszystko to, co opisał w swoim „artykule” Samson, wszystko, co widział w owym koszmarnym śnie, kiedy spał na przydeptanej otomanie w swej redakcji w Nowym Jorku - zdarzyło się rzeczywiście na drugiej stronie kuli ziemskiej i zostało potwierdzone przez życie w najdrobniejszych szczegółach.



Sprawa niefortunnej „korespondencji” Samsona, opisującej wybuch wulkanu Krakatau odbiła się głośnie echem w świecie dziennikarskim, przy czym zainteresowali się nią również uczeni. W jaki sposób niczym się nie wyróżniający dziennikarz potrafił zrelacjonować straszliwą klęskę żywiołową, która miała miejsce na drugiej półkuli? Początkowo nie wierzono nawet w jego wieszczą sen, podawano w wątpliwość wszystko, co mówił, uważając, że jest to po prostu zręczna mistyfikacja mająca na celu wprowadzenie w błąd czytelników.

Jakoś jednak przy tym wszystkim nie zwrócono uwagi, że najbardziej poszkodowanym w całej tej sprawie był właśnie Mr Samson : to przecież jego wyrzucono z pracy. Dopiero porównanie dat i godzin, z uwzględnieniem czasu potrzebnego na złożenie i wydrukowanie informacji, wzbudziło powszechne zdziwienie. Okazało się bowiem, że rzeczywiście Samson napisał swoją relację dokładnie w tym samym czasie, kiedy nastąpił wybuch wulkanu.

Pamiętajmy jednak, że był to rok 1883. Ówczesne środki informacji daleko odbiegały od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni dziś. Nie było radia, nie było telewizji, telegraf dopiero raczkował. Uzyskanie połączenia z jakimkolwiek informatorem na drugiej półkuli za pomocą telegrafu było absolutnie niemożliwe.

Jakim więc cudem Mr Samson potrafił napisać dokładną relację z przebiegu wydarzeń na drugiej półkuli w tym samym czasie, gdy tragedia się rozgrywała?

Początkowo wersję o jego „wieszczym” śnie odrzucono. (No, nie wszyscy ją odrzucili, byli i tacy, którzy - odwrotnie - mocno ją popierali, albowiem tłumaczyłaby ona w znakomity sposób... istnienie i ingerencję sił nadprzyrodzonych). Kiedy jednak wszelkie próby wytłumaczenia całej tej historii zawiodły, sprawa wylądowała w ślepej uliczce. Fakty były bowiem nie do odparcia: dziennikarz z „Globe'u” nie miał najmniejszej możliwości otrzymania tej informacji skądkolwiek.

Warto może podkreślić, że po dziś dzień jeszcze nie znaleziono właściwego wytłumaczenia, choć podejmowano wiele prób. Najpierw „do boju” przystąpili matematycy. Zaczęto się zastanawiać nad możliwością takiego zbiegu okoliczności pod kątem analizy matematycznej, ściśle mówiąc pod kątem rachunku prawdopodobieństwa.

Dla tych czytelników, którzy nie bardzo orientują się, w czym rzecz, chciałbym podać krótką informację na temat sposobów i metod stosowania rachunku prawdopodobieństwa, zwłaszcza że przyda się nam ona jeszcze później.

Przypuśćmy, że siedzimy przy otwartym oknie parterowym wychodzącym na cichą uliczkę. Zastanówmy się, jaka jest szansa, by pierwszym człowiekiem, który przedelfiluje pod naszym oknem, był mężczyzna, a nie kobieta (jeżeli zaś będzie to dziecko, to chłopczyk, a nie dziewczynka)? Pomyślmy najpierw, ile jest w ogóle wszystkich możliwości. Tylko dwie: albo mężczyzna, albo kobieta. Wobec tego jaką mamy szansę w przypadku, który nas interesuje (mężczyzna)? Wynosi ona dokładnie połowę, czyli 1/2.

A teraz zastanówmy się, jak jest z szansą, by pierwsze dwie osoby, które przejdą pod naszym oknem, były mężczyznami? Jak już wiemy, dla pierwszego mężczyzny prawdopodobieństwo wynosi  $1/2$ , oczywiście dla drugiego mężczyzny będzie ono takie samo, czyli także  $1/2$ . A dla obu łącznie? Trzeba w tym celu pierwszy ułamek pomnożyć przez drugi, a więc otrzymamy  $1/4$ .

Oznacza to, że istnieje tylko jedna (patrz licznik ułamka) szansa na cztery (mianownik!), aby dwie pierwsze osoby były na pewno mężczyznami. Dla pierwszych trzech otrzymamy  $1/2 \times 1/2 \times 1/2 = 1/8$  albo  $1/2^3$ . Jak sami widzicie, prawdopodobieństwo jest już znacznie mniejsze, wynosi bowiem tylko jeden na osiem możliwych. Z każdym następnym maleje ono w zastraszającym tempie. Na przykład dla pierwszych dwudziestu mężczyzn wyniesie  $1/2^{20} = 1/1\ 048\ 576$ , a więc tylko jeden na ponad milion!

To bardzo mało, a więc prawdopodobieństwo, że pierwsze dwadzieścia osób będzie mężczyznami, i tylko mężczyznami, jest prawie żadne. Możemy więc z czystym sumieniem przyjąć zakład, że taki wypadek się nie zdarzy. Chociaż...

Może się tak złożyć, że kiedy dokonamy już wszystkich obliczeń, pod naszym oknem przedfiluje... kompania honorowa Wojska Polskiego. Stu chłopców na schwał! I ani jednej kobiety!

Tak więc wieszczę sen i rachunek prawdopodobieństwa. Jeżeli jednak chcemy „obliczyć” sen reportera z „Globe'u”, musimy dysponować pewnymi danymi obiektywnymi i subiektywnymi (a więc mającymi ścisły związek z samym reporterem). Oczywiście znana jest liczba wulkanów na kuli ziemskiej, znana jest również liczba wulkanów czynnych. Wiemy również mniej więcej, w jakich okresach ich aktywność jest szczególnie silna. Możemy również bez obawy popełnienia wielkiego błędu ustalić, ilu jest reporterów na naszym globie (jak się chyba domyślicie, jest ich znacznie więcej niż wulkanów). Tak więc wystarczyłoby w zasadzie wykonanie kilku dosyć prostych działań i...

Czy na pewno jednak są to dane wystarczające do obliczeń? A skąd wiemy, ile razy w roku reporterom śnią się sny i jaką część w tych snach zajmują katastrofy podobne do wybuchu Krakatau? I jeszcze jedno: a ile razy dziennikarze zapisują takie sny?

Oczywiście można przyjąć pewne liczby przybliżone, które wystarczą nam do przeprowadzenia odpowiedniego rachunku. Trzeba jednak pamiętać, że wszystkie prawdopodobieństwa musimy przez siebie przemnożyć. W wyniku obliczeń otrzymalibyśmy liczbę tak małą, że prawie równą zero, co oczywiście oznacza, że prawdopodobieństwo takiego właśnie zbiegu okoliczności jest prawie niemożliwe.

A przecież „reportaż” Mr Samsona został wydrukowany! To, co nieprawdopodobne, okazało się jednak możliwe....

## **Tajemnice spod znaku „psi”.**

Powiedzmy sobie od razu, że wypadek Mr Samsona, choć tak nieprawdopodobny, nie jest żadnym wyjątkiem: takie historie zdarzały się i zdarzają nieraz, choć właściwie nikt na dobrą sprawę nie wie, jak to się dzieje. „Ot, po prostu dziwny zbieg okoliczności i nic więcej” - taką odpowiedź słyszy się najczęściej.

Ostatnio powstała nowa nauka, która zajmuje się właśnie takimi przypadkami. Źle powiedziałem: „ostatnio”, gdyż liczy ona już sobie sporo lat, tylko że do niedawna nikt nie traktował jej poważnie, uważano, że jest to zwykła szarlataneria, szalbierstwo niegodne miana nauki. Zresztą i dziś nie wszyscy jeszcze przystają na wpisanie jej na listę poważnych dziedzin naukowych, uważając, że wszystko, czym się zajmuje, w rzeczywistości... w ogóle nie występuje.

Czymże ona jest? Posłuchajmy, jak charakteryzuje ją jeden z polskich specjalistów, mgr Jerzy Stobiński:

„Parapsychologia (bo tak się właśnie nazywa) zajmuje się zjawiskami przekazu informacji bez udziału znanych nam zmysłów oraz bezpośrednim oddziaływaniem umysłu na materię. Zjawiska paranormalne (poza-zmysłowe) oznacza się w skrócie grecką literą »psi«. Samo słowo »parapsychologia« składa się z greckiego przedrostka para- obok, i słowa psychologia, które oznacza naukę o zjawiskach psychicznych.”

Główne kierunki zainteresowań parapsychologii to przede wszystkim telepatia (Uwaga! Zaraz będzie o niej mowa), czyli możliwość i umiejętność przekazywania informacji i spostrzegania przeżyć psychicznych innej osoby bez udziału znanych nam zmysłów.

Inną dziedziną zainteresowań parapsychologii jest tak zwana telekineza (albo psychokineza), czyli przekazywanie na odległość siły fizycznej organizmu żywego oraz oddziaływanie tej siły na materię. Dokładniej o telekinezie będzie mowa w rozdziale „Niezwyczajne fotografie”. Trzecią dziedziną zainteresowań parapsychologii jest jasnowidzenie, czyli spostrzeganie odległych zjawisk, osób lub przedmiotów również bez udziału zmysłu wzroku i słuchu.

Parapsychologia zajmuje się również zjawiskami prorokowania, czyli przepowiadania wydarzeń, które mają dopiero nastąpić, zjawiskami związanymi z tak zwanymi automatycznymi czynnościami,

sugestią i autosugestią, spirytyzmem, hipnozą i temu podobnymi. Warto może podkreślić, że zjawiska sugestii, autosugestii i hipnozy od dawna już weszły do dziedziny badań fizjologii i praktyki lekarskiej. Są to zjawiska już dziś nie budzące żadnej wątpliwości, choć wciąż nie znamy mechanizmu ich występowania. O dziwnych przejawach sugestii i autosugestii wspominał zresztą w rozdziale pt. „Władcy dusz”.

Telepatia i jasnowidzenie, zjawiska wręcz nadprzyrodzone, fascynowały ludzi od najdawniejszych czasów. Nic więc dziwnego, że w licznych książkach i czasopismach aż roi się od informacji o takich właśnie niezwykłych kontaktach psychicznych ludzi, o przewidywaniu zdarzeń, które dopiero miały nastąpić.

Znany jest wypadek, kiedy w 1795 roku szwedzki filozof Swedenborg, przebywający w odległości ponad 500 kilometrów od Sztokholmu, miał pewnego dnia niezwykle widzenia. „Zobaczył” on mianowicie, że w jednej z dzielnic tego miasta wybuchł nagle pożar. Jego wizja była tak silna, tak realistyczna, że Swedenborg podał burmistrzowi miasteczka, w którym przebywał, dokładny opis pożaru i jego przebieg. Nie dość na tym: podał nawet nazwisko właściciela domu, który się przed chwilą spalił!

Pamiętajmy, że wszystko to działo się przed ponad dwustu laty. Nie było wówczas jeszcze ani radia, ani telegrafów, ani telefonów, a i poczta nie należała do instytucji najlepiej zorganizowanych, toteż wiadomości z jednego miasta do drugiego docierały niezwykle wolno. Minęło zatem kilkanaście dni, zanim do miasteczka dotarł posłaniec ze Sztokholmu, który w całej rozciągłości potwierdził widzenie Swedenborga.

W jaki sposób więc Swedenborg mógł się dowiedzieć o tym, co działo się w odległości ponad 500 kilometrów? Nie mógł przecież w żaden sposób uzyskać poufnej informacji, którą wykorzystał dla podkreślenia swego nadprzyrodzonego daru przewidywania.

A oto inna historia. Znany francuski psycholog Charles Richet wraz z doktorem Jiberem i profesorem Janetem opiekowali się pewną nerwowo chorą mieszkanką Hawru, Leonią B., znaną ze swych parapsychicznych uzdolnień. Pewnego dnia, kiedy Richet i Jiber przebywali w Paryżu, Janet wprowadził Leonię w stan hipnotyczny i zasugerował jej, że kiedy zaśnie, przeniesie się w swych marzeniach sennych do Paryża, gdzie zobaczy pozostałych dwóch uczonych. Nagle Leonia odezwała się:

- Tam się pali!

Janet próbował ją uspokoić, ta jednak nadal powtarzała:

- Zapewniam pana, panie Janet, że tam się pali!

Po pewnym czasie Janet dowiedział się, że właśnie tego samego dnia ogień zniszczył laboratorium profesora Richeta. Pożar wybuchł o godzinie szóstej rano, natomiast Janet uśpił Leonię tego samego dnia o godzinie siedemnastej, kiedy jeszcze nikt w Hawrze, a więc i sam Janet, nie mógł nic wiedzieć o pożarze. Wydarzyło się to również w połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy komunikacja i łączność pomiędzy miastami była wciąż jeszcze nie najlepsza.

Podobny wypadek przydarzył się tej samej Leonii B. innym razem. Pewnego wieczoru po kilku nie udanych doświadczeniach przekazywania obrazu cyfr i kart do gry, Richet zadał Leonii pytanie:

- Co się dzieje teraz z panem Langlois?

Pan Langlois był podówczas kierownikiem laboratorium, w którym pracował młody jeszcze podówczas Richet. Odpowiedź była natychmiastowa:

- Oparzył sobie właśnie rękę. Dlaczego był taki nieostrożny przy przelewaniu?

- A co przelewał?

- Jakąś czerwoną cieczą do niewielkiego flakonu... Zrobiły mu się pęcherze na skórze!

Sam Richet przyznał później, że nie można tego było określić dokładniej. Okazało się bowiem, że przed dwiema godzinami Langlois, przeprowadzając doświadczenia chemiczne, przelewał nieuważnie do kolby brom. Wówczas to „czerwona ciecz” wylała mu się na przedramię, gdzie natychmiast powstał duży pęcherz. Sama Leonia nie miała oczywiście żadnego dostępu do laboratorium i nikt stamtąd nie przychodził w tym czasie do Richeta.

Znany radziecki badacz zjawisk paranormalnych, Leonid Wasiljew, opisuje w swej książce „Tajemnicze zjawiska psychiki człowieka” taki przypadek:

Któregoś dnia otrzymał list od pewnej nauczycielki z prowincji, która pisała:

„Nie jestem ani wierząca, ani zabobonna, ale to, co mi się wydarzyło przed kilkunastu laty, jest dla mnie po dziś dzień zagadką. Mój syn, podówczas student Instytutu Politechnicznego w Kijowie, zachorował na gruźlicę. Wiedziałam, że jest w bardzo ciężkim stanie. Niepokoiłam się więc okropnie i popadłam w bezsenność. Aby jak najmniej myśleć o chorobie mego syna, czytałam wiele książek.

Pewnej nocy, kiedy właśnie pochłaniałam »Poemat pedagogiczny« Makarenki, poczułam, jakby przez moje ciało przebiegł prąd elektryczny. Nagle bardzo wyraźnie zobaczyłam wykrzywioną bólem twarz mego syna! Wydawało mi się, że chciał mi coś powiedzieć, coś, czego w żaden sposób nie mógł wykrztusić. Jak wryta patrzyłam na niego, ale wszystko to trwało tylko ułamek sekundy: nagle twarz

meo syna znikła. Byłam przerażona, cała drżałam. Zrozumiałam w tamtej chwili, że mój syn już nie żyje, że zmarł właśnie tej nocy.

Zapisałam dokładnie dzień, miesiąc, a nawet godzinę, o której widziałam twarz mego syna. W kilka dni później otrzymałam z Kijowa, odległego o ponad trzysta kilometrów, list od jego przyjaciela. Wszystko się zgadzało."

Oczywiście podobnych przypadków mógłbym tutaj podać znacznie więcej, jednak z punktu widzenia nauki nie mają one jakiegoś istotnego znaczenia. Specjaliści od parapsychologii określają je mianem telepatii spontanicznej, a więc nie planowanej, która może zachodzić zarówno na jawie, jak i we śnie, a także pod hipnozą. W przypadkach tych nigdy nie można wykluczyć zwyczajnego zbiegu dwóch zdarzeń nie mających ze sobą żadnego związku. Dlatego też same przez się nie stanowią wystarczającego dowodu na istnienie zjawisk telepatycznych czy też jasnowidzenia. Podobne przypadki mają znaczenie jedynie wówczas, jeżeli zjawisko telepatii udaje się rzeczywiście potwierdzić wielokrotnie powtarzanymi eksperymentami.

A wracając do niezwykłego snu Mr Samsona można by założyć, że był on rzeczywiście wynikiem telepatii (o ile telepatia istnieje naprawdę, co wcale jeszcze nie jest takie pewne). Niewykluczone bowiem, że mózg reportera w tym konkretnym wypadku odebrał sumaryczne sygnały tysięcy ludzi oszalałych z przerażenia podczas strasznego wybuchu wulkanu. Od razu jednak nasuwa się pytanie: dlaczego tylko on jeden? Dlaczego nikt więcej?

Chyba lepiej jednak założyć, że był to po prostu niezwykły zbieg okoliczności.

### **Magiczna piątka.**

Karty Zenera różnią się od zwykłych kart do gry. Talia składa się z dwudziestu pięciu kart, przy czym na pięciu z nich widnieje gwiazda, na pięciu jest namalowany krzyż, na następnych pięciu -linie faliste, na dalszych pięciu - kwadrat i na ostatnich pięciu - koło.

Znając już układ talii kart Zenera możemy teraz przystąpić do „rozgrywki”. Jak ona przebiega? W dwóch oddzielnych i zamkniętych pomieszczeniach zasiadają „gracze”. Jednym z nich jest eksperymentator, drugim - badany, a więc człowiek, którego właściwości telepatyczne będą właśnie poddawane próbie. Na dany przez badanego znak eksperymentator gruntownie przetasowuje talię i kładzie ją grzbietem do góry na stole. Następnie powoli odkłada na bok kartę po karcie, nie odsłaniając ich jednak. Zadaniem badanego jest odgadnięcie, jaka to jest konkretnie karta. Wszystkie swoje przypuszczenia notuje on w specjalnym formularzu. Po wyłożeniu wszystkich kart z talii sprawdza się, ile razy badany odgadł, a ile razy nie.

Matematyczne prawdopodobieństwo prawidłowego odgadnięcia wynosi, jak łatwo obliczyć, jedną piątą. Oznacza to, że jeżeli badany odgadnie tylko pięć kart spośród całej talii lub mniej, nie będzie w tym nic dziwnego, jeżeli jednak odgadnie więcej niż pięć, na przykład siedem lub osiem, wynik uzyska bardzo dobry, będący jakoby potwierdzeniem uzdolnień parapsychicznych badanej osoby. Tu jednak trzeba przypomnieć, że rachunek prawdopodobieństwa może mieć zastosowanie dopiero przy dużej liczbie prób. Doświadczenie to powtarza się kilka, a nawet kilkanaście tysięcy razy i dopiero średni wynik przekraczający pięć może być uznany za dowód.

Tego typu badania zapoczątkował przed kilkunastu laty doktor Ossis z Instytutu Parapsychologii w Nowym Jorku. Dziś prowadzi się je na całym świecie, między innymi także i w Polsce. A jakie są wyniki? Jak łatwo można się domyślić, w zasadzie zgadzają się one z rachunkiem prawdopodobieństwa. Innymi słowy, przy dostatecznie dużej ilości prób liczba trafnych odgadnięć zbliża się do tej granicy, jaka wynika z matematycznego prawdopodobieństwa, a więc właśnie do owej magicznej piątki.

Niekiedy jednak sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Niektórzy badacze zjawisk parapsychicznych zetknęli się podczas badań z wypadkami znacznie odbiegającymi od matematycznego schematu. Jak pisał angielski uczony dr A. Parkes z Brytyjskiego Narodowego Instytutu Badań Medycznych, miliony doświadczeń przeprowadzonych przez uczonych na całym świecie wykazały, że większość ludzi może odgadnąć nie widzianą kartę tylko przypadkowo, natomiast niewielka liczba badanych osób systematycznie odgadywała kartę częściej, niż przewiduje to rachunek prawdopodobieństwa. Interesujące wyniki uzyskała przed laty dr Gertruda Schmeidler, która przeprowadziła ponad milion doświadczeń z 1300 studentami i studentkami nowojorskiego City College.

Podczas prób podzieliła ona badanych na dwie grupy: na tych, którzy byli przekonani o istnieniu zjawisk parapsychicznych, oraz tych, którzy zdecydowanie odrzucali takie zjawiska, nie wierzyli w nie, nie wierzyli w postrzeganie pozazmysłowe. I oto podczas prób okazało się, że pierwsza grupa osiągnęła przeciętny wskaźnik 5,10, natomiast druga, owi niedowiarkowie, uzyskali zaledwie 4,93. Oczywiście dla laika taka różnica jest nieistotna, nic nie mówiąca, natomiast matematyk i statystyk muszą się poważnie zastanowić nad taką niezgodnością z rachunkiem prawdopodobieństwa.



Podobne badania prowadził ostatnio amerykański uczyony Richard Taylor. Polecił on pracownikom swojego laboratorium, aby zgadywali następujące po sobie kolory zwykłej przetasowanej talii kart, a potem wydzielili tych, którzy mieli znacznie lepsze wyniki od grupy pozostałych osób (nazwijmy ich „pechowcami”). Podczas dalszych prób „szczęściarze” wciąż nieodmiennie osiągnęli lepsze wyniki. Taylor wyciągnął stąd wniosek, że dane jego badań stanowią pewną podstawę do popularnego zrozumienia określenia szczęścia.

Ciekawe były również następne badania Taylora. Jeśli po pierwszej próbie wybierze się grupę osób bez uwzględnienia osiągniętych przez nie wyników i powie się im, zasugeruje, że uzyskały wyniki wyjątkowo dobre (choćby to nie odpowiadało prawdzie), grupa taka znacznie osiągać w następnych badaniach rezultaty rzeczywiście lepsze od grupy drugiej. Stąd wniosek, że szczęście jest pewnego rodzaju stanem umysłu, wiarą we własne możliwości.

Przed kilku laty grupa amerykańskich uczonych przeprowadziła zmodyfikowany eksperyment z kartami Zenera: eksperymentator i badani byli od siebie oddzieleni odległością wielu tysięcy kilometrów. Nie dość jednak na tym: osoby badane znajdowały się na pokładzie amerykańskiej atomowej łodzi podwodnej „Nautilus”, płynącej cały czas w zanurzeniu pod lodami bieguna północnego. O ściśle określonej porze zasiadano do „rozgrywki”, przy czym eksperyment powtarzono wielokrotnie.

Po powrocie łodzi do bazy porównano wyniki. W każdym przypadku przeciętna odgadnięć przekraczała liczbę pięć. A trzeba przy tym pamiętać, że po dziś dzień nie znamy żadnych sposobów, żadnych metod nawiązywania kontaktu z łodzią podwodną znajdującą się w zanurzeniu. A więc czyżby jednak telepatia?

Podobne badania przeprowadzono również w czasie lotu statku kosmicznego „Apollo-14”. Jeden z członków załogi tego pojazdu, Edgar Mitchell, „grał” w karty Zenera ze swymi kolegami znajdującymi się w bazie na Ziemi, a także z wieloma chętnymi z różnych miast Stanów Zjednoczonych. Sam kosmonauta stał w owym czasie na powierzchni Księżycy! I w tym wypadku wyniki przekraczały przewidywane przez rachunek prawdopodobieństwa.

W 1966 roku przeprowadzono w Związku Radzieckim eksperyment, który odbił się głośnym echem w całym świecie. W dniu 19 kwietnia aktor z Nowosybirsk Karol Nikołajew nawiązał telepatyczny kontakt ze swoim przyjacielem mieszkającym w Moskwie, geofizykiem Jurijem Kamieńskim. Obaj badani znajdowali się pod ścisłą kontrolą ekip naukowców: lekarzy, psychiatrów, fizyków. O ściśle określonej porze wręczono Kamieńskiemu zalakowaną paczuszkę, którą drogą losowania wybrano z wielu innych podobnych. Kamieński otworzył ją, wyjął zawarty w niej przedmiot, po czym zaczął nim manipulować usiłując „pokazać” go na odległość swojemu przyjacielowi.

Tym przedmiotem był metalowy resor złożony z siedmiu spiral. W odległym o 3 tysiące kilometrów Nowosybirsku Nikołajew tak opisał swoje wrażenia: „Jest to przedmiot okrągły, metalowy. Jest błyszczący, przypomina trochę bransoletkę”.

Dokładnie 10 minut później Kamieński skoncentrował swoją uwagę na zwykłym śrubokręcie o czarnej plastikowej ręczce. Nikołajew zanotował: „Jest to przedmiot długi, cienki, metalowy. Metalowy, ale i plastikowy. Jest tam czarny plastik”.

Przypominam, że obaj badani znajdowali się pod kontrolą ekip naukowców. Matematyczne prawdopodobieństwo odgadnięcia przez Nikołajewa choć jednego z tych przedmiotów było tak znikome, że całą sprawą zaczęto się poważnie interesować. W tym też roku utworzono sekcję biomatematyki pod kierunkiem profesora Popowa.

W marcu 1967 roku powtórzono serię eksperymentów z Kamieńskim i Nikołajewem. Tym razem Nikołajew umieszczony został w specjalnie urządzonej laboratorium leningradzkim, w pomieszczeniu dokładnie odizolowanym, nie przepuszczającym dźwięków, przy czym znajdował się pod kontrolą specjalnych przyrządów rejestrujących reakcje fizjologiczne. Po pewnym czasie, kiedy oświadczył, że jest już gotowy do przeprowadzenia eksperymentu, encefalograf zarejestrował specjalny rodzaj mózgowych potencjałów bioelektrycznych, tak zwany rytm alfa, który jest związany z napięciem uwagi.

Tym razem Nikołajew nie został poinformowany, kiedy zostanie mu przekazany telepatyczny meldunek od Kamieńskiego. Kiedy jednak Kamieński, znajdujący się w Moskwie, zaczął przekazywać informacje, po trzech sekundach zapis potencjałów mózgowych Nikołajewa zmienił się gwałtownie w tym samym dokładnie kierunku co i u Kamieńskiego. Po raz pierwszy uzyskano dowód, że możliwe jest przekazanie impulsu z jednego umysłu do drugiego, przy czym na odległość ponad 600 kilometrów.

Wspominałem już o tym, że radzieckie badania w przekazywaniu myśli na odległość zrobiły ogromne wrażenie w całym świecie naukowym. Posłuchajmy zresztą, co na ten temat mówi młody angielski biolog, Lyall Watson, w swej książce „Historia naturalna nadnaturalnego”.

„Badania radzieckie wykazały poza tym, że nie jest to przypadkowe podobieństwo zapisów elektroencefalograficznych. W jednym z tych doświadczeń Kamieńskiego poddano działaniu światła stroboskopowego, to znaczy przekazywanego przez lampę z regulowaną dowolnie szybkością

wysyłanych impulsów świetlnych. Znane jest zjawisko tak zwanego wodzenia rytmu alfa, polegające na tym, że częstotliwość biopotencjałów mózgowych, zwana rytmem alfa, dopasowuje się niejako do częstotliwości włączeń i wyłączeń. U Kamińskiego pojawił się zatem rytm alfa odpowiadający częstotliwości stroboskopu. Nikołajew, znajdujący się w innym budynku, przygotował się pod kontrolą alfafonu do odebrania przekazu telepatycznego wytwarzając własny rytm alfa. Gdy obaj stwierdzili, że są w »kontakcie«, u obu rytmy alfa okazały się idealnie zsynchronizowane. Co więcej, za każdym razem, gdy zmieniano częstotliwość rytmu alfa Kamińskiego, rytm u Nikołajewa zmieniał się również, natychmiast dopasowując do rytmu pierwszego.

Podobne wyniki uzyskano w Jefferson, w Medical College w Filadelfii, gdzie dwóch lekarzy wykazało, że zmiany biopotencjałów mózgowych u jednego z bliźniaków powodować mogą podobną zmianę u drugiego na odległość.

Do dzisiaj jest to najbardziej przekonywające doświadczenie z tej dziedziny. Udowodniono, że przekazy telepatyczne są najskuteczniejsze, gdy zostaną wywołane napędem lub atakiem, i że żadna nowina nie przenosi się tak szybko i sprawnie, jak zła nowina. Biologicznie jest to uzasadnione: żaden pośpiech nie wiąże się z przyjemnością i dobrym samopoczuciem, natomiast sygnały alarmowe mają wyraźną funkcję: muszą być przekazywane najszybszą z możliwych dróg.

Uczeni radzieccy używali również do tego celu królików. Na pokładzie łodzi podwodnej umieszczono nowo narodzone króliki, natomiast matkę zatrzymano na lądzie w laboratorium, z głęboko osadzonymi w głowie elektrodami. W określonych momentach zabijano małe króliki i za każdym razem mózg matki reagował gwałtownie zmianami w biopotencjałach mózgowych. Do dzisiaj nie istnieje żaden sposób kontaktowania się z łodzią podwodną w zanurzeniu. Sądzone, że króliki mogłyby stanowić projekt takiego sposobu na wypadek kataklizmu.

Wydaje się, że istnienie telepatii zostało naukowo udowodnione, dysponujemy bowiem dziś wieloma dowodami na komunikowanie się pozostające poza normalnymi drogami przekazu."

Tyle Lyall Watson. Nie muszę chyba podkreślać, że jego pogląd podziela wielu, bardzo wielu uczonych na całym świecie. Czy jednak rzeczywiście możemy przyjąć, że telepatia została naukowo udowodniona?

### ***Elektronika wewnątrz nas.***

Wspomniany już przeze mnie Leonid Wasiljew uważa (zresztą podobne poglądy mają i inni parapsychologowie), że istoty żyjące, a więc między innymi również i człowiek, wytworzyły w procesie ewolucji takie mechanizmy organiczne odczuwania i oddziaływania na odległość, które można by w jakiś sposób porównać ze współczesnymi osiągnięciami z zakresu radiotechniki czy też elektroniki. Zgodnie z takimi analogiami telepatia byłaby czymś w rodzaju łączności, jaką uzyskuje się za pomocą telegrafu bez drutu, a więc radia, natomiast telekineza przypomina telemekanicę, a więc sterowanie różnymi przyrządami i procesami na odległość za pomocą specjalnych urządzeń elektronicznych. Porównania te, stwierdza Leonid Wasiljew, nie są bezsensowne, gdyż na ich potwierdzenie można przytoczyć wiele przykładów. Wiemy, że budowa i działanie oka przypomina aparat fotograficzny. Soczewka oczna jest więc pewnego rodzaju obiektywem, natomiast warstwa światłoczułych komórek siatkówki, pręcików i czopków - czymś w rodzaju żywej emulsji fotograficznej. Delfiny, nietoperze, a także inne zwierzęta nocne zostały przez naturę wyposażone w żywe echolokatory, przy czym, co jest bardzo istotne, znacznie doskonalsze od przyrządów technicznych skonstruowanych przez człowieka. Oczywiście dziś technika w wielu przypadkach wyprzedziła to, co osiągnęły organizmy żywe w procesie ewolucji, jednakże w wielu dziedzinach wynalazczość człowieka jest zdecydowanie „zaczofana” w porównaniu z możliwościami przyrody. Jak dotąd, żadne analizy chemiczne nie są w stanie wykryć w powietrzu obecności tak minimalnych domieszek substancji zapachowych, które bez najmniejszego trudu wylawia i rozpoznaje pies myśliwski czy też inne zwierzęta.

Tak więc parapsychologowie na podstawie specjalnych doświadczeń starają się udowodnić, że przynajmniej niektóre zwierzęta, a także niektórzy ludzie mogą wykazywać w pewnych określonych warunkach szczególną zdolność do odczuwania pewnych zjawisk, przy czym w takich sytuacjach, w których możliwość postrzegania za pośrednictwem znanych zmysłów (wzroku, słuchu, dotyku czy węchu) jest całkowicie wykluczona.

Takie jest pokrótce stanowisko zwolenników zjawisk paranormalnych. Co jednak mówią przeciwnicy?

Pierwszy zarzut, jaki wysuwają w odniesieniu do wszystkich zjawisk paranormalnych, to niepowtarzalność doświadczeń. Dla wyjaśnienia czytelnikom, o co chodzi, posłużę się następującym przykładem :

Załóżmy, że niejaki pan Kowalski informuje świat naukowy o swoim odkryciu. Udało mu się mianowicie za pomocą konkretnej aparatury naukowej, dokładnie opisanej, ustalić, że przyciąganie ziemskie wynosi  $9,81 \text{ m/s}^2$  (oczywiście wartość przyciągania ziemskiego obliczona została już dawno, i to w dodatku nie przez pana Kowalskiego). Artykuł naszego polskiego „badacza” trafia do rąk pana -

nazwijmy go Smith - mieszkającego na drugiej półkuli. Wynik pana Kowalskiego zainteresował go na tyle, że sam postanawia sprawdzić doświadczenie w tych samych warunkach i za pomocą tej samej aparatury.

Jeżeli pan Smith otrzyma dokładnie ten sam wynik co pan Kowalski (pamiętajmy o tym, że doświadczenie powinno odbywać się w tych samych warunkach), to można twierdzić, że pan Kowalski z Polski rzeczywiście dokonał ważnego odkrycia. Takie same wyniki muszą zresztą otrzymać wszyscy uczeni i wszyscy badacze na całym świecie, przeprowadzając to doświadczenie w identycznych warunkach. To jest właśnie powtarzalność doświadczenia.

Natomiast zwolennicy zjawisk paranormalnych muszą przyznać, że w ich doświadczeniach powtarzalność w zasadzie nie istnieje. Zdarza się bowiem, że człowiek rzekomo obdarzony nadprzyrodzonymi zdolnościami raz znakomicie odczytuje myśli na odległość, następnym jednak razem wszelkie jego próby kończą się niepowodzeniem, czyli doświadczenie nie zawsze może być powtórzone i nie zawsze daje ten sam wynik.

Jest to oczywiście kontrargument bardzo poważny, na tym jednak nie koniec. Przeciwnicy parapsychologii zadają bowiem takie oto pytanie: w jaki sposób możliwe jest przekazywanie myśli na odległość?

W pierwszej chwili odpowiedź nasuwa się sama. Wszelkie zjawiska telepatyczne oparte są na efektach elektromagnetycznych, innymi słowy - działają na takiej samej zasadzie, na jakiej działa radio. Z mózgu jednego człowieka wypromieniowana zostaje odpowiednia fala elektromagnetyczna, którą odbiera mózg innego i rozszyfrowuje. Wiemy przecież, że w mózgu każdego człowieka powstają specjalne bioprądy, które towarzyszą wszelkim jego funkcjom. Wiemy jednak i to, że jeżeli w jakimś przewodniku płynie prąd, to wokół niego wytwarza się natychmiast pole elektromagnetyczne. Tak więc nasze komórki nerwowe na pewno wytwarzają promieniowanie elektromagnetyczne. Zjawisko to zostało zresztą udowodnione przez wielu badaczy, głównie przez radzieckich specjalistów, którzy potrafili wykryć takie pole w wyizolowanym nerwie żaby. Nie dość na tym: potrafili je zarejestrować na bardzo czułych przyrządach w odległości około pół metra od samego nerwu.

Stwierdzono również naukowo, że to pole jest niezwykle krótkotrwałe: istnieje zaledwie przez tysięczne części sekundy! Wracając więc do naszych bioprądów wytwarzanych w mózgu musimy od razu stwierdzić, że ich natężenia są znikome. Mamy do czynienia tutaj z tak małymi wielkościami, że nikną one w otaczającym szumie radiowym, jak na przykład brzęczenie komara podczas wybuchu bomby. Można oczywiście założyć, że ludzki mózg potrafi wytworzyć sygnał nieznacznie przewyższający otaczający szum dzięki kumulowaniu energii, tak jak to się dzieje we współczesnych laserach, na potwierdzenie jednak tej hipotezy trzeba byłoby zbyt wiele czasu, w każdym razie znacznie więcej, niż trwa samo doświadczenie.

Poza tym natężenie promieniowania wytwarzanego przez mózg-antenę, podobnie jak natężenie każdego promieniowania elektromagnetycznego, musi maleć odwrotnie proporcjonalnie do kwadratu odległości. Nie dość na tym, że pole w momencie powstania jest już niezwykle słabe, na domiar złego jego moc maleje w zastraszającym tempie.

Telepaci nawet nie próbują dostosować swoich badań do tego prawa, twierdzą bowiem, że pozazmysłowe komunikowanie się poszczególnych osobników jest niezależne od odległości pomiędzy nimi, jest także niezależne od wszelkich ekranów przedzielających owych ludzi. Taka hipoteza jest oczywistym zaprzeczeniem dobrze znanych i dobrze zbadanych praw.

Może jednak wobec tego mózg, podobnie jak laser, wysyła niezwykle cienki promień elektromagnetyczny?

Niestety, ta wersja też odpada. Oto co na ten temat mówi znany radziecki fizyk, profesor dr Aleksander Kitajgorodzki:

Jeżeli sygnał zostaje skierowany w tę stronę, gdzie znajduje się „bratnia” odbierająca dusza, należałoby jeszcze wykryć w organizmie taki mechanizm, który byłby w stanie obracać promień „radio-mózgu” i mógłby przebadać cały świat w poszukiwaniu takiej właśnie bratniej duszy. Niezbędna do tego celu prędkość i czułość są z punktu widzenia nauki całkowicie nie do przyjęcia.

Dalej sprawa wygląda jeszcze gorzej. Wykryta „dusza” musi bowiem natychmiast się odezwać i wysłać we właściwym kierunku własny promień. Kiedy już „odnajdą” się, powinien być uruchomiony mechanizm, który będzie podtrzymywał wzajemne ukierunkowanie, czyli orientację promieni. Nie wspominał już o nieprawdopodobnym wręcz zadaniu, jakim jest wyodrębnienie z setek milionów „audycji” mózgowych akurat tej jednej jedynej, właściwej, na której nam zależy.

Krótko mówiąc - reasumuje profesor Kitajgorodzki - wersja elektromagnetyczna jest całkowicie nie do przyjęcia. Jakie są inne możliwości przenoszenia na odległość myśli (telepatia) czy sił, a więc oddziaływanie na przedmioty materialne (psychokineza)? No cóż, niektórzy uczeni, jak na przykład inny uczony radziecki A. Dubrow czy też Amerykanin John Jungerman oraz wielu innych, występują z poglądem, że psychokineza jest swoistą emisją fali grawitacyjnej, oddziałuje bowiem na masę. Istnienie grawitacji nie budzi u nikogo wątpliwości, rzecz jednak w tym, że dotąd nie udało się wykryć owych tajemniczych fal grawitacyjnych. Jednakże większość parapsychologów uważa, że w tym wypadku mamy do czynienia z czymś zupełnie niezwykłym, czymś w rodzaju ruchomego w czasie

pola o bardzo płożonej strukturze wewnętrznej, niemożliwego do zarejestrowania przez stosowane dotychczas przyrządy, a wysyłanego wyłącznie przez mózg i odbieranego też tylko przez mózg.

Nie będę wyliczał wszystkich hipotez na temat tych szczególnych pól, fal czy też plazm, boby nam zabrało to zbyt wiele czasu, a jest ich bez liku. Dodam tylko, że są one zgodnie odrzucane przez przeciwników parapsychologii, którzy twierdzą - i chyba słusznie - że teorie te są powrotem do czasów, kiedy zjawiska paranormalne usiłowano tłumaczyć ingerencją jakichś sił pozaziemskich, astralnych, cudownych, wręcz boskich. A na to żaden uczony z prawdziwego zdarzenia nigdy się nie zgodzi.

Zwolennicy parapsychologii odpowiadają, że wnioski odrzucające są zbyt krańcowe. Uczeni badając zjawiska telepatii poszukują jakiegoś nowego, choć jeszcze nieznanego rodzaju materialnego nośnika myśli w przestrzeni. Oczywiście bez względu na to, czy taki czynnik zostanie odnaleziony, czy też nie, naukowy, materialistyczny pogląd na świat nie jest w niczym naruszony. Poważne badania prowadzone nad zjawiskami parapsychicznymi w dzisiejszych czasach nie mają najmniejszego powiązania z mistyką, z wędrówką dusz, z siłami nadprzyrodzonymi itp.

Sama możliwość przekazywania myśli na odległość wcale nie powinna nas wprawiać w zakłopotanie. Przecież rozmawiając przekazujemy swoje myśli innym ludziom, co prawda na niewielką odległość. Ale przecież wraz z rozwojem nauki i techniki pojawiły się również doskonalsze środki przesyłania myśli: druk, telefon, telegraf, radio, telewizja. Przy okazji warto może podkreślić, że kiedy zaczęto nadawać pierwsze audycje radiowe, większość ludzi traktowała je jako cud, jak coś całkowicie nieprawdopodobnego. To przecież nie do pomyślenia - twierdzili, żeby muzykę i mowę można było przekazywać przez powietrze na odległość wielu tysięcy kilometrów za pomocą jakichś tam niewidzialnych i niedostrzegalnych fal. Dziś ten wspaniały wynalazek jest czymś absolutnie powszednim i nie budzi u nikogo najmniejszych wątpliwości. Niewidoczne fale elektromagnetyczne zostały wykorzystane w setkach tysięcy różnych przyrządów. A przecież minęło tak niewiele lat od chwili wynalezienia radia!

Uczni zajmujący się badaniem zjawisk parapsychicznych szukają w przyrodzie jakichś na razie nam nie znanych „fal”, które mogłyby być nośnikiem naszych słów, myśli czy też uczuć. Czy jednak takie fale rzeczywiście istnieją?

Wielu uczonych twierdzi, że odpowiedź na to pytanie może być tylko jedna: chwilowo w żaden sposób nie możemy stwierdzić, że takie fale nie istnieją. Otaczająca nas przyroda kryje jeszcze wiele zagadek, wiele nie zbadanych zjawisk, choć z każdym rokiem dowiadujemy się o niej coraz więcej, poznajemy ją coraz lepiej.

Pod tym względem pouczająca jest historia z wieloletnimi badaniami uczonych entomologów obserwujących życie owadów, a ściślej ich niezwykłą, zdumiewającą wręcz „łączność radiową”. Na przykład francuski uczony Jean Henri Fabre przez wiele lat badał to zdumiewające zjawisko u przedstawicieli jednego z rzadkich gatunków nocnej ćmy. Oto niektóre z jego słynnych doświadczeń. Letnim wieczorem umieszczał nie zapłodnioną samkę ćmy na balkonie swojej willi w odległości pięciu kilometrów od najbliższych wiosek. Po upływie zaledwie pół godziny zlatywały się do niej samce: w ciągu trzech wieczorów zdołano schwycić ponad sześćdziesiąt cztery owady tego bardzo rzadkiego gatunku.

Niektóre z nich znaczone farbą, wywożono wiele kilometrów od domu i wypuszczano na wolność. Wszystkie wracały. Tak więc samka w jakiś sposób przywoływała do siebie samców, które odbierały to wezwanie niezależnie od miejscowości, niezależnie również od wiatru, który mógł nawet wiać w kierunku przeciwnym do wydzielonego przez samkę zapachu.

Wówczas też stwierdzono, że organem samca wychwytyującym owe „fale radiowe” wysyłane przez samkę są czułki („anteny”). Samce z odciętymi czułkami nie odbierały takich sygnałów. Nikt jednak nie wiedział, co to za szczególne fale radiowe, których zresztą nie udało się wykryć najczulszymi nawet przyrządami pomiarowymi.

Rozwiązanie znaleziono dopiero przed kilku laty. Okazało się, że o wszystkim decydują pewne niezwykle skomplikowane związki chemiczne, zwane feromonami. Samo słowo „feromon” wywodzi się z dwóch słów greckich: pherein = nieść, i hormon = pobudzać. Po raz pierwszy wykryto te związki właśnie wśród owadów, które wydzielają je po to, aby wpłynąć w określony sposób na zachowanie się innych osobników tego samego gatunku. Ciekawe, że owad, który znajdzie się w zasięgu oddziaływania takiego feromonu, nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że zaczyna się z nim dzieć coś niezwykłego. A jednak reaguje właśnie tak, jak sobie życzy „nadawca”! Stwierdzono na przykład, że jedna samka wysyła ładunek feromonu, który wystarczy do zwabienia ponad 10 tysięcy samców!

Wróćmy jednak do naszego głównego tematu. Jak to ostatecznie jest z tą telepatią: istnieje czy nie?

No cóż... Powiedzmy sobie szczerze, że na razie dyskusja pomiędzy zwolennikami zjawisk nadprzyrodzonych a przeciwnikami toczy się na równych prawach: na zasadzie całkowitego braku przekonujących argumentów. Ani zwolennicy nie są bowiem w stanie dokładnie udokumentować istnienia telepatii, ani przeciwnicy nie potrafią przytoczyć argumentu nie do odparcia, który telepatię raz na zawsze wykreśliłby z życia. Nie spieszyłbym się więc z niepotrzebnym wyciąganiem wniosków. Poczekajmy. Może już w niedalekiej przyszłości uda nam się uzyskać odpowiedź również na to pytanie.

Zresztą, jak chyba pamiętacie, telepatia to tylko jeden z kierunków parapsychologii, która poszukuje drugiego klucza do rozwiązania jeszcze innych zagadek.

### **Niezwykłe fotografie.**

W przestronnym laboratorium pełnym skomplikowanej aparatury elektronicznej krząta się kilkunastu ludzi w białych kitlach przygotowujących kolejny eksperyment. Jeszcze raz sprawdzają działanie czujników, elektroencefalografów i wielu innych mierników. Na jednym końcu długiego stołu siedzi w głębokim fotelu niepozorna babinka, w chłopskiej chustce na głowie. Kiedy już wszystko zostało starannie skontrolowane, a dwa aparaty filmowe, mające śledzić przebieg doświadczenia, ustawiono, przystąpiono do eksperymentu.

Na dany przez jednego z uczonych znak kobieta siedząca w fotelu prostuje się i... nagle zaczynają się dziać rzeczy przedziwne. Oto leżące na stole pudełko zapalek nagle unosi się do góry i zawisa w powietrzu. Aparaty filmowe zawzięcie terkocą, utrwalając na taśmie najmniejsze nawet szczegóły tego zjawiska. Wreszcie pudełko opada, teraz jego miejsce zajmuje papierowa kula, która po chwili również zawisa w powietrzu. Potem dzieje się to jeszcze z kilkoma innymi przedmiotami. Wszystko jest filmowane, wszystkie aparaty kontrolne pilnie strzegą prawidłowości przebiegu całego doświadczenia, rejestrują powstające fale mózgu u kobiety oraz pole elektromagnetyczne wokół niej. Żadnych zmian w biopotencjalach, żadnych odchyśleń od normy. A jednak różne lekkie przedmioty, a nawet niewielkie jabłka, fruwały sobie w powietrzu jak gdyby nigdy nic, unoszone tajemną, nie zbadaną siłą emanowaną przez ową babinkę. Potem na stole zjawiają się pękate butle szklane, a w każdej z nich leży mała szklana kuleczka. Kobieta wpatruje się w nie w skupieniu i oto kulki w zamkniętych butlach również zaczynają unosić się w powietrzu.

Takie oto doświadczenia demonstrowano na Kongresie Parapsychologów w Moskwie w 1968 roku. Owym niezwykłym medium, przenoszącym siłą woli przedmioty i zmuszającym do zawisania ich w powietrzu, była niejaka Michajłowa, pięćdziesięcioletnia, niewykształcona kobieta. W jaki sposób udało jej się dokonać tych wszystkich „cudów”?

Tego rodzaju doświadczenia przeprowadzano już znacznie wcześniej. W okresie międzywojennym słynny był na przykład Austriak Rudi Schneider, który potrafił z odległości kilku metrów przesunąć chusteczkę leżącą na stole jedynie za pomocą wysyłanej z siebie „siły telekinetycznej”. Rudi Schneider, podobnie jak i Michajłowa, znajdował się również pod ścisłą kontrolą uczonych i skomplikowanej aparatury pomiarowej.

W tym miejscu warto może przytoczyć obszernie omówienie doświadczeń dra Rhine'a. Otóż wysunął on tezę, że usilne myślenie może wpłynąć na... odpowiednie ustawienie się kostki do gry rzuconej dowolnie, przypadkowo.

W laboratorium Rhine'a stosowano „maszynę wyrzucającą kostkę do gry”, przez co eliminowano wszelkie uboczne działania w myśl zasady, że spadanie kostki powinno być regulowane wyłącznie przez przypadek. Jeżeli liczba takich prób będzie dostatecznie duża, każda z sześciu ścian kostki do gry powinna pojawić się jednakową ilość razy, gdyż prawdopodobieństwo pojawienia się jakiegokolwiek ścianki kostki jest takie samo i wynosi jeden na sześć rzutów. Rhine zapewnia jednak, że jeżeli osoba obdarzona zdolnością telekinetyczną skupi swoją uwagę tylko na jednej ścianie kostki, na przykład oznaczonej pięcioma punktami, i usilnie pragnie, aby za każdym razem tylko ta ścianka się ukazała, wysiłek ten nie idzie na marne. Doświadczenie daje wynik wyższy, niż to wynika z rachunku prawdopodobieństwa, czyli przy dostatecznie wielkiej liczbie prób upatrzona ścianka ukazuje się częściej, niż powinna.

Rhine i jego następcy rozpatrują podobne fakty jako elementarny przejaw telekinezy (zwanej też psychokinezą). Jest to więc właściwość, którą rzekomo dysponują niektóre osoby, zdolne „wysiłkiem myśli i woli bezpośrednio oddziaływać mechanicznie na materię”. Oczywiście może to być nie tylko myśl czy też wola - stwierdza Rhine - ale energia, którą prawdopodobnie wysyła mózg.

Parapsychologowie włożyli niemało trudu i stracili sporo czasu na przeprowadzenie takich właśnie doświadczeń. Trzeba jednak podkreślić, że tylko nielicznym udało się otrzymać wynik wyższy od przewidzianego przez rachunek prawdopodobieństwa.

Takie doświadczenia są oczywiście bardzo ciekawe, ale - niestety - nie stanowią, przynajmniej jak na razie, dostatecznego dowodu, że zjawisko telekinezy istnieje naprawdę. Trzeba bowiem mimo stosowania najnowocześniejszej aparatury elektroniczno-pomiarowej liczyć się z faktem popełnienia błędów w technice doświadczeń i obserwacji.

Tu nasuwa się jeszcze jedna uwaga. Przyroda kryje swe tajemnice, ale nie okłamuje i nie zwodzi badacza. Za to człowiek może kłamać. Lekarze, kryminolodzy, a zwłaszcza psychologowie zawsze powinni być ostrożni. Są to przecież przedstawiciele tych profesji, których mogą wprowadzić w błąd, świadomie lub nieświadomie, ludzie, z którymi stale się stykają, a więc pacjenci, klienci, osoby badane - często histerycy, psychicznie nie zrównoważeni i o spaczonym charakterze.

Do tej właśnie grupy, stwierdza wspomniany już Leonid Wasiljew, nierzadko zalicza się sławnych odbiorców telepatycznych, jasnowidzów. Historia badań parapsychologicznych dobitnie wykazuje, że najślawniejsi uczeni byli bezlitośnie i podstępnie oszukiwani przez swe „obiekty badawcze”. Jest to jeden z powodów, dla których uczeni sceptycznie odnoszą się do tego typu doświadczeń. Uczonych często odstręcza od telekinezy wręcz spirytystyczny sposób tłumaczenia tego zjawiska. Na przykład Rhine, a także wielu jego kontynuatorów twierdzą, że telekineza, podobnie jak i telepatia, jest wyraźnym przejawem oddziaływania ducha na materię.

Odrzućmy jednak mistykę, a zajmijmy się wyłącznie faktami, zwłaszcza że niekiedy są one równie sensacyjne.

Pewnego dnia 1963 roku profesor psychiatrii wydziału lekarskiego uniwersytetu w Denver, Jules Eisenbud, zetknął się przypadkowo z niejakim Tedem Seriosem, permanentnie bezrobotnym i często pijanym portierem niewielkiego hoteliku w Chicago. Nikt nie wie, co w tym niepozornym, niewykształconym i wiecznie podchmielonym osobniku zafascynowało wybitnego uczonego, fakt jednak jest: Eisenbud ściągnął Seriosa do swojej kliniki i w ciągu trzech lat poddawał go wszechstronnym badaniom, a także przeprowadził z nim cały szereg eksperymentów. Początkowo uzyskane wyniki budziły wątpliwości u większości uczonych, którzy się o nich dowiadywali, były bowiem niezwykle. Eisenbud udowodnił jednak przed autorytatywną komisją, że wyniki jego badań są obiektywne.

Wspomniany już Ted Serios, przy całej swojej infantylności i ograniczonej inteligencji, posiadał jeden niezwykle dar: potrafił wytwarzać obrazy odległych przedmiotów lub ludzi, przy czym obrazy te utrzymywała błona fotograficzna. Serios po prostu intensywnie... wpatrywał się obiektyw aparatu.

W obecności wielu wiarygodnych świadków: lekarzy, psychiatrów, fizyków, Serios wytworzył setki obrazów budynków, ludzi, rakiet, autobusów i innych przedmiotów. Najciekawsze jest jednak to, że bez względu na ogromnie zróżnicowane warunki, w jakich te eksperymenty przebiegały, zawsze potrafił wywoływać różne obrazy.

Serios był poddawany licznym oględzinom lekarskim, prześwietlany, jego ciało unieruchamiano w specjalnej kamizelce bezpieczeństwa, w której mógł poruszać jedynie głowę. Jego zdolności „fotograficzne” nie zanikały nawet w potężnym polu magnetycznym o sile 1200 gaussów ani w specjalnych komorach ograniczających pole magnetyczne Ziemi do jednej trzeciej jego normalnej siły. Poddawano go również doświadczeniom w specjalnych pomieszczeniach o stalowych ścianach grubości 12 centymetrów, w komorach mierzących promieniowanie, w których niezwykle czułe czujniki wykrywały najmniejsze nawet fale elektromagnetyczne.

Nie dość na tym, Ted Serios „produkował” swoje niezwykle obrazki nawet wówczas, kiedy aparat fotograficzny oddzielony był od niego kilkucentymetrowym szkłem ołowiowym, w specjalnej izolacji szpitalnej, dokąd nie docierały ani promienie rentgenowskie, ani promienie podczerwone czy też nadfioletowe. W kolejnych, skomplikowanych eksperymentach zastosowano szereg innych dodatkowych obostrzeń. Wszystkie one wykazały ponad wszelką wątpliwość, że wpływ jakichkolwiek ze znanych nam promieniowań elektromagnetycznych był podczas tworzenia owych czarodziejskich obrazków całkowicie wykluczony.

Ten niezwykle przypadek „myślowej fotografii” został szczegółowo opisany przez Lyalla Watsona w jego cytowanej już książce „Historia naturalna nadnaturalnego”. Podczas eksperymentów Serios zazwyczaj popadał w stan „intensywnej koncentracji” - pisze Lyall Watson - miał szeroko otwarte oczy, zaciśnięte wargi i bardzo widocznie napięte mięśnie. Przez jego członki często szerebiały dreszcze, a kiedy siedział ze skrzyżowanymi nogami, zwykle jedna z nich drżała. Jego twarz pokrywała się czerwonymi plamami, żyły na czole nabrzmiewały, oczy zaś nabiegały krwią. Podczas wszystkich tych prób z reguły występowało u niego przyspieszone tętno.

Profesor Eisenbud odnotował jednak, że Ted Serios tylko czasami wytwarzał obrazki zgodnie z zadaniem. Bardzo często różnica pomiędzy tym, co chciał „sfotografować”, a tym, co w ostatecznym efekcie pojawiało się na kliszy fotograficznej, była bardzo duża.

Pewnego razu poproszono go, aby wytworzył obraz Łuku Triumfalnego. Serios zgodził się, lecz na kliszy powstał wizerunek przypominający... sportowy samochód marki „Triumph”. Prawdopodobnie, stwierdza Jules Eisenbud, taki samochód interesował Seriosa znacznie bardziej od prawdziwego Łuku Triumfalnego.

Najczęściej na jego „myślowych obrazkach” powstawały wizerunki budowli i samochodów. Tak więc „wyprodukował” kiedyś zdjęcie Opactwa Westminsterskiego, słynnego monachijskiego kościoła Frauenkirche i wielu, wielu innych. Na zdjęciach zawsze widoczna była cała masa szczegółów, najdziwniejsze jednak było to, że znajdowano i takie, które w rzeczywistości nigdy nie istniały. Równie często widoczna była taka gra cieni, która mogłaby powstać jedynie podczas fotografowania z lotu ptaka. Uczeni doszli więc do wniosku, że źródłem obrazów, wytwarzanych myślowo przez Seriosa, nie były prawdziwe, realne obiekty, lecz coś, co kiedyś widział on naprawdę lub na jakiejś fotografii albo co zostało „zaszufladkowane” w jego podświadomości i przetworzone przez pamięć i wyobraźnię.

Serios został poddany szczegółowym badaniom psychoanalitycznym, które wykazały, że jest niedojrzały zarówno pod względem uczuciowym, jak i umysłowym. Wskazywałoby to - stwierdza Lyall Watson - jeszcze raz na związki zachodzące pomiędzy psychokinezą a infantylnością. Przed kilku laty

przeprowadzono bowiem wśród dzieci ankietę celem zbadania wyobraźni dziecięcej. Wynikiem jej było stwierdzenie, że większość dzieci ma wyjątkową zdolność dłuższego zapamiętywania obrazu po krótkim jedynie obejrzeniu: obraz trwał u nich mniej więcej dziesięć minut, ale były i takie, które zapamiętywały go nawet na przeciąg kilku tygodni. W miarę upływu czasu obrazki zacierały się w pamięci i ulegały tak poważnym zniekształceniom, że tylko w ogólnych zarysach przypominały pierwotny oryginał. Prawdopodobnie w taki sam sposób powstawały nie odpowiadające rzeczywistym obiektom obrazki Teda Seriosa.

Lyall Watson wysuwa tezę, że w miarę jak dzieci rosną, a ich umysł obarczany jest całą masą różnych nowych wiadomości, zdolności te znikają u nich. Jednakże u niektórych dorosłych, jak na przykład właśnie u Teda Seriosa, którzy otrzymali tylko nędzne wykształcenie, a u których widzenie i pojmowanie świata jest dość prymitywne, takie zdolności zostają zachowane.

Niestety, wszystko to jednak nie daje odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób „myślone obrazki”, owe „czarodziejskie fotografie”, mogą być przekazane na odległość i utrwalone na światłoczułej kliszy fotograficznej. Trzeba przecież pamiętać, że w tym przypadku chodzi o specjalną emulsję pokrywającą kliszę fotograficzną. Jest to więc problem fizykochemiczny, a proces naświetlania emulsji i utrwalania jej jest nam przecież dokładnie znany.

No cóż - jest to jeszcze jedna zagadka, z którą dzisiejsza nauka wciąż nie może sobie poradzić. Może jednak dalsze intensywne badania - podobnie jak w wypadku telepatii, potrafią odszukać klucz do niej i ustalić ściśle powiązanie pomiędzy psychokineza - jeżeli ona w ogóle istnieje - a reakcjami chemicznymi.

## ***Psychokineza dla wszystkich.***

Powszechnie uważa się, że zjawiska parapsychiczne, a więc telepatia czy też psychokineza, należą do niezwykle rzadkich. Niektórzy jednak, jak już wspominałem, w ogóle odrzucają takie zjawiska. Ostatnio jednak parapsychologowie wysuwają tezę, że zdolności spostrzegania pozazmysłowego i poruszania przedmiotów na odległość za pomocą samej tylko myśli wykazują w różnym stopniu wszyscy ludzie. Oczywiście - zastrzegają się - zdolności wybitne czy też genialne są w tej dziedzinie, jak zresztą we wszystkich innych, zjawiskiem bardzo rzadkim. Nie każdy z nas przecież rodzi się z uzdolnieniami Chopina czy też Mickiewicza.

Uczeni twierdzą, że zdolności parapsychiczne częściej występują u dzieci niż u dorosłych. Wskazują na to wyniki najprzeróżniejszych eksperymentów, w których dorośli wyraźnie ustępują młodym. Może więc i wy chcielibyście sprawdzić swoje uzdolnienia psychokinetyczne? Jeżeli macie ochotę, chętnie przytoczę tutaj opis takiego prostego, a jednocześnie ciekawego eksperymentu, zaproponowanego przez dra inż. Andrzeja Cieleckiego w artykule „Jak mały stateczek...”, zamieszczonego w czasopiśmie „Polityka” w 1974 roku. Może najpierw kilka słów o samym autorze. Dr inż. Andrzej Cielecki jest kierownikiem Pracowni Elastoplastyki w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Monokryształów w Warszawie. Z wykształcenia jest fizykiem elektronikiem, wybitnym konstruktorem aparatury naukowo-badawczej. Za prace w tej dziedzinie otrzymał liczne nagrody. Dr Andrzej Cielecki zajmuje się również, w ramach hobby, badaniami emanacji mózgu, a więc i psychokineza. Jest również autorem ciekawej teorii, w myśl której zjawiska parapsychiczne związane są z osobliwym, ruchomym w czasie polem o bardzo złożonej strukturze wewnętrznej, z tak zwaną plazmą B. Nie będę tu szczegółowo omawiał tej teorii, jest bowiem bardzo trudna, natomiast opis niezwykle prostego, a jednocześnie bardzo ciekawego eksperymentu, który w zasadzie może przeprowadzić każdy z nas w warunkach domowych, wydaje mi się tak frapujący, że pozwalam sobie przytoczyć go tutaj prawie w całości, z niewielkim tylko skrótem.

„Dla zabawy potrzebny będzie stateczek i wypełniona wodą wanną, duża kувeta lub taca plastikowa, metalowa - jakakolwiek.

Każdy z czytelników może być badaczem psychokinezy, a nawet mieć znakomitą przewagę nad badaczami zawodowymi, gdyż ci, nie wyłączając autora, przesyceni literaturą, są sugestywnie związani z wiedzą dotychczas nabytą, tworzą cykle kompilacyjne, od których trudno oderwać swe myśli.

A więc - do pokrywy od jogurtu lub masła roślinnego „Vita” przymocowujemy pionowo plasteliną słomkę długości 15-20 cm w centrum tarczy. Na słomkę nasuwamy przebitą w kilku miejscach bibułę śniadaniową lub kartkę ze szkolnego zeszytu, będzie to żagiel statku. Zasada budowy wymaga, aby stateczek był lekki, o dużej powierzchni żagla, bez kila lub miecza, abyśmy mogli-dobrze obserwować również rotacje pola plazmy B; Każda technologia budowy statku jest dozwolona, z tym że jednostki cięższe o małej powierzchni żagla pływają wolniej.

Uczeniowie wypisują na żaglu aktualne wzory z fizyki, starsi -hasło: „wrażliwi pływają szybciej”, a to w celu możliwości zawieszenia wzroku na żaglu. Doświadczenie zaczynamy ustawiając statek w pewnej odległości od brzegu wanny, gdyż na brzegu występują siły międzycząsteczkowe, które silnie przytrzymują statek.

Pokrywka od jogurtu lub „Vity” ma na obwodzie rondo jak przy kapeluszu, a więc małą powierzchnię styku z brzegiem. Siły pola plazmy B z łatwością odrywają ją od brzegu. Powierzchnia wody powinna być uspokojona. Aby nie powodować wirów powietrza, staramy się nie wykonywać gwałtownych ruchów, oddychać delikatnie - nie dmuchać. Patrzymy na stateczek spokojnie, bez napięcia, z odległości od 0,5 do 3 metrów. Zaczyna on wykonywać ruchy posuwisto-obrotowe z dużą składową szybkości w kierunku obserwującego.

Dla przeciętnego obserwatora nie mającego specjalnych predyspozycji do emanacji plazmy szybkość ruchu może dochodzić do kilku, a w wyjątkowych przypadkach do kilkunastu centymetrów na sekundę. Na każde 10 osób patrzących na statek przynajmniej 9 go porusza. Gdy w danej chwili efektów ruchu nie będzie, proszę się nie niepokoić, tylko powtórzyć doświadczenie w innym czasie przy innym stanie psychicznym. Zawsze można trafić na chwilę, gdy mamy optymalną predyspozycję do emanacji plazmy...”

Przyznam się szczerze, że sam wielokrotnie przeprowadzałem to doświadczenie, jednak... bez najmniejszego efektu. Mój stateczek nie drgnął ani na jotę. Oczywiście nie oznacza to wcale, że teoria dra Andrzeja Cieleckiego jest błędna. Po prostu ja nie mam najmniejszych zdolności parapsychofizycznych. Nie wyklucza to rzecz jasna faktu, że niektórzy spośród czytelników posiadają takie zdolności w znacznie większym stopniu i wobec tego opisane doświadczenie może im się udać.

Należy jednak w imię ścisłości zastrzec się, że jeżeli to doświadczenie uda się Wam, nie będzie ono żadnym dowodem na poparcie teorii psychokinezy. W warunkach domowych bowiem wyeliminowanie czynników ubocznych, na przykład ruchów ciepłych powietrza lub wody, przypadkowego tchnienia waszego oddechu, drgania ścian i wielu, wielu innych, jest bardzo trudne, a czasami wręcz niemożliwe. W każdym razie życzę miłej zabawy!

## **Oczy na dłoni.**

„Niewiarygodne - a jednak prawdziwe! Wniosek taki, choć nie bez wewnętrznych oporów, musiałam sformułować po obejrzeniu przedziwnych zjawisk, których byłam świadkiem. Jest to zresztą jedyny rozsądny wniosek, jaki może wyciągnąć w tym przypadku nawet nieprzeciętnie wykształcony człowiek. Bo i nauka stoi jeszcze bezradna, choć czyni duże wysiłki, wobec tajemniczych zjawisk psychiki, które przez całe wieki określano jako czary albo cuda, ponieważ zaprzeczały rozsądkowi i prawom natury.”

Tak rozpoczyna swoją relację z doświadczeń przeprowadzonych na jednym z posiedzeń Sekcji Parapsychologicznej w Warszawie reporterka „Expressu Wieczornego” Teodora Grodzka. Na pokazie tym dziesięcioletnia dziewczynka, Bogna S. z Warszawy, dokonywała sztuk nieomal magicznych, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Właśnie - chodzi o oko! Otóż dziewczynka z dokładnie związanymi oczami, co zostało zresztą sprawdzone przez autorytatywną komisję, potrafiła wodząc palcami po powierzchni szklanej płyty, pod którą włożona była kartka z wypisanym na niej dużymi literami słowem, bezbłędnie to słowo odczytać. Nie dość na tym! W następnych próbach pod szklaną płytę wkładano pojedyncze litery, a także figury geometryczne o różnych kształtach i kolorach. Mała Bogna nie pomyliła się ani razu! Zawsze bezbłędnie określała najpierw kolor, a później kształt testowych znaków.

Sceptycy - a takich oczywiście na pokazie nie brakowało - mogli sami związać dziecku oczy, sprawdzić, czy rzeczywiście nic nie widzi, oraz dawać jej do rozpoznania wymyślone przez siebie figury. Jak stwierdza jeden z naocznych świadków, ruch palców dziewczynki podczas odszyfrowywania znaków, kształtów figur i kolorów przypominał próbę ogarnięcia i zanalizowania całej powierzchni. Dopiero później następowało szczegółowe rozpoznanie odnalezionych zespołów figur czy też znaków.

Ten niezwykle pokaz - nieomal z pogranicza białej i czarnej magii - nie miał jednak w sobie nic z czarnoksiężskich sztuczek czy popisów zręcznego iluzjonisty, za co rękę sam osobiście, zresztą przy innej okazji byłem obecny przy podobnym pokazie. Należę do najzagorzalszych sceptyków, niemniej postaram się rzecz całą zrelacjonować jak najbardziej obiektywnie.

Znając ze szczegółowych opisów podobne doświadczenia prze-prowadzane na całym świecie, mniej więcej orientowałem się, jakie chwytły można by w tym przypadku zastosować. Wiedziałem również, że to dość niezwykle zjawisko, zwane zresztą przez naukę d e r-moptycznym, zostało już wykryte u wielu ludzi, i to przez uczonych, których sceptycyzm na pewno był większy od mojego i którzy dysponowali różnymi przyrządami wykluczającymi jakkolwiek szarlatanerię.

Pierwsze informacje na temat możliwości wykrywania kształtów, kolorów, a nawet całych zdań za pomocą dotyku pochodzą od jednego z wybitnych psychiatrów rosyjskich, S. Korsakowa, który wyniki swych obserwacji opublikował już w 1913 roku. Korsaków wspomina, że jedna z jego pacjentek miała wyjątkową zdolność odczytywania zdań zapisanych na papierze, który wkładano do koperty razem z nie naświetloną taśmą filmową. Była również w stanie odcyfrowywać litery poprzez kilka warstw papieru, a nawet określić charakter pisma i kolor atramentu. Tu może mała dygresja: film fotograficzny wkładano do koperty dla skontrolowania, czy przypadkiem pacjentka nie próbuje zajrzeć ukradkiem do



zapięczętowanej koperty. Po każdym takim seansie film wywoływano. Profesor Korsaków pisał później, że jego pacjenci czasem wprowadzali w zdumienie zgromadzonych przekazując im takie wiadomości, których nie sposób było uzyskać posługując się jedynie normalnymi, znanymi organami zmysłów.

Do sprawy anonimowej pacjentki dra Korsakowa jeszcze powrócimy, a na razie chciałbym podkreślić, że nie był to jedyny przypadek odgadywania kształtów figur geometrycznych, a nawet odczytywania zdań i odróżniania kolorów za pomocą dotyku. W 1962 roku przeprowadzono podobne doświadczenia w pracowni psychologicznej Instytutu Pedagogicznego w Niżnym Tagile z Rosjanką Rozą Kuleszową.

Podobnie jak mała Bogna S., Roza Kuleszowa potrafiła z zawiązanymi oczami odczytywać informacje zawarte w gazecie jedynie poprzez wodzenie palcami po drukowanym tekście. Z łatwością również „odczytywała” fotografie, bezbłędnie określała pozycję i wygląd sfotografowanego człowieka, jak i kolory różnobarwnych papierków umieszczonych w kopercie z nieprzezroczystego papieru, a nawet... treść niewielkiego rysunekczka na znaczku pocztowym.

W latach następnych wielokrotnie ponawiano eksperymenty z Rozą Kuleszową, a osiągnięte wyniki uzupełniono poważnymi doświadczeniami innych placówek naukowo-badawczych w Związku Radzieckim. Okazało się, że Kuleszowa może odczytywać tekst i rozpoznawać barwy tylko wtedy, kiedy jest dostateczne oświetlenie (Zwróćcie uwagę na ten szczegół: to bardzo ważne!). Jej niezwykła wrażliwość dotykowa, którą wypracowała wytrwałymi ćwiczeniami, nie ma tu właściwie żadnego znaczenia, a jej wyczulenie skórno-optyczne przypomina pod pewnymi względami zasady świetlnej i barwnej wrażliwości oka. Kiedy pokazano jej niebieski kwadrat oświetlony czerwonymi promieniami, Kuleszowa pomyliła się, twierdząc, że jest on fioletowy. Ale również takie fioletowe zabarwienie widział eksperymentator prowadzący badania.

Niektórzy uczeni przypuszczają, że w naskórku palców Rozy Kuleszowej istnieją pewne światłoczułe komórki podobne do tych, jakie znajdujemy w czopkach i pręcikach w siatkówce oka. Niestety - wszelkie próby ich wykrycia skończyły się fiaskiem. Niektórzy natomiast uważali, że niezwykle zdolności Rozy Kuleszowej oparte są na reagowaniu na najdrobniejsze różnice temperatury odmiennie zabarwionych powierzchni przedmiotów, przy czym temperatury nie-wykrywalne za pomocą termometrów. Na poparcie tej tezy dowodzili, że właśnie z tego powodu doświadczenia nie udawały się w ciemności.

Niezwykłe uzdolnienia Rozy Kuleszowej zafascynowały uczonych. Szybko jednak okazało się, że nie tylko Kuleszowa potrafi czytać palcami: w dwa lata później wyniki podobnych doświadczeń opublikował amerykański profesor psychologii, Richard Youtz, który eksperymentował z niemłodą już podówczas Patrycją Stanley. W przeciwieństwie do Rozy Kuleszowej, umiała ona „odczytywać” zdania nawet w ciemności, pod warunkiem jednak, że obiekty były naświetlane niewidzialnymi promieniami podczerwonymi.

Początkowo uczeni odnosili się do tych ćwiczeń sceptycznie: zdolności dermo-optyczne nie mieściły się bowiem w ogólnie przyjętych i zaakceptowanych zasadach widzenia. Na przykład w przypadku Rozy Kuleszowej podejrzewali, że główną rolę w jej „zdolnościach” odgrywa sugestia zarówno słowna, jak i myślowa. Postanowiono więc przeprowadzić w taki sposób doświadczenie, aby tę możliwość wykluczyć. Kuleszowej polecono odczytać palcami tekst z książki, otwartej przez nią na chybił trafił. Kuleszowa jednak bezbłędnie odczytała tekst, który eksperymentatorom nie był jeszcze znany, ponieważ mogli się z nim zapoznać dopiero po zakończeniu doświadczenia. Wręczono jej również zapieczętowane koperty z tekstami lub kolorowymi rysunkami, które zostały uprzednio przygotowane przez osoby nie biorące udziału w eksperymentach.

Z biegiem czasu uczeni zajmujący się badaniem zjawiska optycznego doszli do wniosku, że występuje ono u ludzi znacznie częściej, niż dotychczas przypuszczano. Na przykład z bardzo szeroko zakrojonych badań prowadzonych od lat w Związku Radzieckim wynika, że występuje ono u około 70 % dzieci. Zdolności te można łatwo rozwijać, poddając dziecko systematycznym treningom.

Takie badania prowadzi się dziś na całym świecie, jest to bowiem zjawisko, które mogłoby oddać nieocenione usługi. Chodzi tu przede wszystkim o ludzi niewidomych i ociemniałych. Tym ludziom, pozbawionym wzroku, czytanie i odróżnianie kolorów za pomocą dotyku mogłoby zastąpić w jakimś stopniu utracony zmysł wzroku.

W Polsce wstępne próbne doświadczenia przeprowadzono w zakładzie dla ociemniałych w Laskach koło Warszawy. Wykazały one, że zdolność widzenia dotykiem posiada aż 80% niewidomych dzieci.

Umiejętność odróżniania kolorów za pomocą dotyku nie jest jedynie cechą ociemniałych. Ludzie, którzy cieszą się doskonałym wzrokiem, również posiadają tę zdolność, choć czasem nie zdają sobie z tego sprawy, nie zwracają na to szczególnej uwagi. Na przykład wspomniana już mała Bogna S. ma doskonały wzrok, zbadany przez okulistów, a z łatwością odróżnia nie tylko wszystkie kolory i kształty, ale nawet subtelne odcienie jakiegoś koloru za pomocą dotyku.

Dziś nie znamy jeszcze mechanizmu „widzenia” za pomocą dotyku, choć wysuwa się różne hipotezy, o czym będzie jeszcze nowa. Zanim jednak do tego dojdziemy, chciałbym opowiedzieć o czymś jeszcze bardziej sensacyjnym, czymś z pogranicza magii.

Pierwsze informacje na ten temat odnotowano w fachowej literaturze parapsychologicznej na początku lat dwudziestych (wówczas parapsychologia nie była traktowana jako nauka, o czym już wspominałem). W 1921 roku wybitny francuski badacz Charles Richet przybył wraz z grupą swoich współpracowników z Paryża do Warszawy po to, aby przeprowadzić całą serię doświadczeń z inżynierem Stefanem Ossowieckim. Ponieważ najprawdopodobniej dzisiejszemu czytelnikowi nazwisko to nic nie mówi, przytoczę kilka informacji o tym interesującym skądinąd człowieku.

Stefan Ossowiecki, choć urodził się w Moskwie, był z pochodzenia Polakiem. W okresie międzywojennym zasłynął w Europie jako niezwykle hipnotyzer, wróżbita, odgadywacz tajemnych myśli i jasnowidz. Sława, jaką się cieszył w tych nadnaturalnych bądź co bądź dziedzinach, była tak wielka, że zwrócili na niego uwagę uczeni, między innymi właśnie Richet.

Pierwsza seria doświadczeń przypominała te, które przeprowadzono z Rozą Kuleszową. Ossowieckiemu przekazano szereg zapieczętowanych kopert, w których znajdowały się karteczki z napisanymi na nich zdaniami. Ossowiecki, dotykając tylko kopert, informował po chwili eksperymentatorów o tym, jaka jest treść tych zdań. Oczywiście zakładano, że Ossowiecki nie mógł wiedzieć, co jest w kopertach. Byłby to więc typowy przejaw zdolności dermooptycznych. Na tym jednak nie koniec - Ossowiecki postarał się bowiem o supersensację. Otóż w następnym doświadczeniu wręczono mu ołowianą rękę grubości około trzech centymetrów, dokładnie zalutowaną z obu stron, w której znajdował się rysunek. Również i tym razem Ossowiecki odgadł bez większego trudu jego treść. „Jest to - powiedział - człowiek z dużymi wąsami i wielkimi brwiami. Nie ma nosa. Ubrany jest w mundur. Ten człowiek niczego się nie boi - jest jak rycerz”.

Kiedy z rurki wydobyto rysunek, okazało się, że dokładnie odpowiadał opisowi przedstawionemu przez Ossowieckiego. Pod rysunkiem widoczny był napis: „Rycerz bez trwogi i skazy”.

W 10 lat później podobne udane doświadczenie z Ossowieckim przeprowadził inny uczyony, tym razem Anglik Besterman z Society for Psychical Research. I tym razem wynik był oszałamiający: Ossowiecki nie mylił się nigdy. Co więcej - żaden z badaczy nie potrafił udowodnić mu jakiegokolwiek oszustwa.

No cóż - to były lata dwudzieste, kiedy rozwój nauki stał na znacznie niższym poziomie niż dzisiaj. A jednak i dzisiaj na łamach prasy pojawiają się niekiedy takie właśnie supersensację. Oto jedna z nich, którą omawia w swej książce „Reniksa” wspomniany już przeze mnie radziecki uczyony Aleksander Kitajgorodzki.

Pewnego razu korespondent „Moskiewskiej Prawdy” odwiedził jednego z badaczy zajmującego się zjawiskiem dermooptycznym i asystował przy niezwykle doświadczeniu polegającym na odgadywaniu koloru arkusza papieru schowanego do nieprzezroczystej, stalowej kasety, a potem sam wystąpił w roli „medium”.

Wy tłumaczono mu, że jeżeli powoli opuszcza się rękę nad barwną powierzchnią, wówczas dłoń na pewnej określonej wysokości odczuje jak gdyby zagęszczenie powietrza, swoistą słabutką powietrzną poduszkę. Jest to więc pewnego rodzaju bariera, która nad różnymi kolorami znajduje się na różnej wysokości. „Nad czerwonym mniej więcej tutaj - dłoń psychologa zatrzymuje się w odległości około piętnastu centymetrów nad stołem. - Nad niebieskim tutaj” - dłoń unosi się do góry.

Korespondent zaczyna próbować. Jak wspominałem już, kolorowy papier zostaje schowany do nieprzezroczystej stalowej kasety, a ponadto całe doświadczenie przebiega w całkowitych ciemnościach. Dodajmy jeszcze, że grubość ścianek stalowej kasety wynosi około pięciu centymetrów. Posłuchajmy zresztą, co mówi sam korespondent :

„Przygotowuję się jak Brumel przed próbą pobicia rekordu świata. I jestem tak samo podenerwowany. Bardzo bym chciał zobaczyć prawidłowo. »Pod lewą ręką mam kolor niebieski, pod prawą zaś -czerwony« - mówię po chwili. Powtarzam doświadczenie kilkakrotnie. Po upływie pięciu minut eksperymentator włącza światła. Okazuje się, że odgadłem w ośmiu przypadkach na dziesięć. Jesteśmy nieprawdopodobnie zaskoczeni...”

No cóż, przypuszczam, że to jedynie korespondent był zaskoczony, nie sądzę bowiem, by to samo można było powiedzieć o organizatorze owego niezwyklego supereksperymentu.

Tego typu informacje pojawiały się zresztą również w wielu czasopismach angielskich, amerykańskich, francuskich... A czytelnicy tych supersensacji wcale nie byli nimi zaskoczeni! No bo skoro tak napisano w gazecie...

A przecież te niezwykle „zdolności” odczytywania rysunków, odgadywania kolorów ukrytych w nieprzenikliwych dla światła stalowych kasetach lub ołowianych rurkach powinny budzić poważne wątpliwości. Dlaczego? Oddajmy może tutaj głos profesorowi Kitajgorodzkiemu, którego komentarz na pewno wyjaśni nam wiele spraw:

„Dlaczego fizyk tak śmiało i odważnie, tak kategorycznie odrzuca możliwość widzenia poprzez ściankę albo rozpoznawania koloru arkusza papieru włożonego do nieprzenikliwej dla światła kasety?

Bezsensowność faktu, traktowanego niestety poważnie przez prasę, jest oczywista i wynika choćby z samego sformułowania przebiegu eksperymentu. Kaseeta jest przecież nieprzenikliwa dla światła!

Nawet normalne widzenie w takich warunkach byłoby zwykłą abrakadabram! Odpowiedź na to pytanie znamy od dawna. Białe światło, na przykład słoneczne lub też światło lampy elektrycznej, jest szczególną mieszaniną różnych barw. Wykazał zresztą to po raz pierwszy sam wielki Newton, przepuszczając białe światło przez szklany pryzmat.

Kiedy światło styka się z substancją papieru czy też jakiegokolwiek innego ciała, obserwujemy trzy zjawiska: albo światło przechodzi na wylot, albo zostaje pochłonięte, albo rozproszone (odbite).

Jeżeli widzimy, że papier jest czerwony, oznacza to, że promienie czerwonej części widma zostały od niego odbite, natomiast niebieskie, zielone i inne zostały pochłonięte przez substancję papieru.

Przezroczyste czerwone szkło wydaje nam się czerwone z innego powodu - przepuszcza ono przez siebie tylko promienie czerwone.

Sprawami związanymi z odbijaniem czy przepuszczaniem takich czy innych promieni przez takie czy inne ciała zajmuje się ogromna dziedzina fizyki, zwana spektroskopią. Przyczyna powodująca pochłanianie czy rozpraszanie promieni jest doskonale znana - wiąże się ona z elektronową i atomową strukturą cząsteczek substancji.

Nawet najbardziej naiwny człowiek powinien zdawać sobie sprawę z tego, że kolorowy papier znajdujący się w nieprzepuszczalnej dla światła kasecie po prostu nie ma żadnej barwy! Po pierwsze - do tego papieru nie dotarło światło z jakiegoś źródła (słońce, lampa itp.), po drugie - jeżeli nawet światło jakoś do tego papieru dotarło, to po odbiciu się od niego nie mogło nigdzie wyjść. W ciemności pojęcie koloru nie istnieje. O kolorze w ciemności można mówić z nie większym powodzeniem niż o melodyjności nie przebranej płyty gramofonowej.

Uczeni fizjologowie zajmujący się problemami światła doskonale wiedzą, jaka liczba kwantów światła jest konieczna do wytworzenia obrazu wzrokowego na siatkówce oka. Jeżeli coś jest nieprzenikliwe dla światła, to znaczy, że jest właśnie nieprzenikliwe. A więc widzenie w warunkach, kiedy nie można nic zobaczyć, jest cudem".

No cóż - musimy chyba przyznać, że komentarz profesora Kitaj-gorodzkiego nie pozostawia żadnych wątpliwości. Wynikają bowiem z niego tylko dwie możliwości: albo wszystkie opisane supersensacyjne zdolności dermoptyczne są zwykłym oszustwem, mistyfikacją lub - mówiąc grzecznie - wielkim nieporozumieniem, albo musimy odrzucić kilka niepodważalnych, niezbitych i sprawdzonych praw fizycznych, które - przynajmniej jak dotychczas - sprawdzały się (i sprawdzają) znakomicie. Chyba że znów założymy istnienie jakichś nadnaturalnych, astralnych sił, które kpią sobie ze wszelkich praw fizyki. Na to jednak żaden rozsądny człowiek się nie zgodzi.

Ciekawe, że zdecydowanymi przeciwnikami wszelkich zjawisk parapsychicznych są... zawodowi iluzjoniści, którzy powołali nawet specjalny Komitet Obrony Iluzjonistów. W 1974 roku KOI rzucił wyzwanie wszystkim zwolennikom parapsychologii, ujęte w następujących punktach:

1) Iluzjoniści umieją wywoływać wszystkie zjawiska uważane za paranormalne i produkowane przez okultystów, czarnoksiężników, fakirów, spirytystów, media, jasnowidzów, czarowników, zjawy pozaziemskie...

2) KOI wzywa wyżej wymienionych do przeprowadzenia, bez stosowania trików, eksperymentów zwanych paranormalnymi, jakie iluzjoniści przeprowadzają w czasie swoich występów.

3) Wzywa adeptów nadprzyrodzoności do wskazania na fakt paranormalny, nie polegający na triku i nie dający się wyjaśnić, stosując technikę iluzjonizmu i osiągnięcia współczesnej wiedzy.

Niestety - nikt nie podjął tego wyzwania,

A przecież, twierdzą przeciwnicy zjawisk parapsychicznych, bardzo łatwo byłoby wykryć ludzi obdarzonych siłą psi, jasnowidzenia czy psychokinezy. Istnieją stale działające i znakomicie kontrolowane laboratoria: kasyna gry. Niech napiszą do nas ci, którzy zdobyli majątek, wygrywając regularnie w gry hazardowe.

Przed kilkunastu laty radziecki technik Siemion Kirlian, naprawiając aparaturę rentgenowską w jednym ze szpitali, wykrył coś, co zakrawało już na czystą mistykę. Pewnego razu, fotografując w specjalny sposób ludzi, zwierzęta, a także różne przedmioty, odkrył, że wszystkie żywe organizmy wysyłają charakterystyczne promieniowanie. Są to niezwykle rozbłyski, jak gdyby aureole, które w określonych warunkach można obserwować, a nawet fotografować. Struktura tego promieniowania, jego barwa i natężenie zmieniają się zależnie od stanu zdrowia i psychiki fotografowanego człowieka. Nie będę tu szczegółowo opisywał samej techniki fotografowania, ponieważ nie jest ona prosta. Faktem jest, że takie fotogramy, nawet barwne, uzyskano już w wielu szpitalach radzieckich i amerykańskich. Okazało się bowiem, że owe „aureole” świetlne są ściśle powiązane z ogólnym stanem zdrowotnym żywej istoty. Nic więc dziwnego, że medycyna zainteresowała się tymi symbolami „świętości”, ale - rzecz jasna - w celach jak najbardziej praktycznych, na podstawie bowiem poświaty można w znacznie łatwiejszy sposób ustalić diagnozę choroby pacjenta.

Takie fotogramy okazały się szczególnie przydatne w wykrywaniu stanów przedrakowych czy rakowych. Dotyczy to zresztą nie tylko człowieka, lecz w ogóle wszelkich żywych organizmów, na przykład liści roślin- Jeżeli dotknięte są one jakąś chorobą, na fotogramie pojawiają się odpowiednie zmiany, typowe dla określonych schorzeń. Tak już wspominałem, owe rozbłyski są w zasadzie niedostrzegalne gołym okiem i występują jedynie na specjalnie wykonanych fotogramach. W poprzednim zdaniu użyłem słowa „w zasadzie”. Okazało się bowiem, że niektórzy ludzie, choć zdarza się to niezwykle rzadko, potrafią dostrzec ową świetlistą otokę gołym okiem. Wspomniana już przeze mnie reporterka „Expressu Wieczornego”, Teodora Grodzie opisuje tak oto swoje wrażenia z eksperymentu.

Młoda dziewczyna ze ściśle zawiązanymi oczami znajduje się w ciemnym pokoju (w którym przebywa kilka osób, ale nikt nikogo nie dostrzega), a mimo to „widzi” każdego z obecnych. Dokładnie mówiąc widzi właśnie owe świetliste zarysy sylwetek. Sygnalizuje to, trafiając zresztą bezbłędnie w ciemnościach to do jednego, to do drugiego z obecnych w pokoju. Dziewczyna mówi: widzę ramię, nos, głowę, i w tym momencie dotyka ręką właśnie tej części ciała...

Wszyscy obecni są dla niej świetlistymi konturami z jarzącymi się punktami oczu."

Obok zmysłu dermoptycznego, który ostatnio jest szczegółowo badany przez uczonych, lekarzy, psychiatrów i fizyków we wszystkich poważnych laboratoriach na całym świecie, również i w Polsce, zapoznamy się z następnym tajemniczym zjawiskiem, zwanym aureolą.

Na tym jednak nie koniec. Okazuje się bowiem, że tak dobrze nam znana własna skóra kryje w sobie tajemnice, o których dotąd nic nie wiedzieliśmy.

## **Pachnący meteoryt.**

Mało kto wie, że skóra jest jedną z najbardziej skomplikowanych „części składowych” naszego ciała. Wyczuwa ona nie tylko ciepło i dotyk, lecz uzupełnia również funkcje wielu organów wewnętrznych. To właśnie przez skórę możemy się pozbyć wielu niepotrzebnych, a nawet szkodliwych substancji, które nie zostały wydalone przez płuca czy nerki. Teraz do tego jeszcze doszły jej niezwykle właściwości „wzrokowe”, które już same przez się są zdumiewające. Wszystko jednak wskazuje na to, że na tym jej „uzdolnienia” się nie kończą. W każdym razie niektórzy uczeni są zdania, że stać ją na znacznie więcej. Zanim jednak opowiemy, o co tutaj chodzi, zacznijmy „od pieca”.

W 1783 roku nad Anglią przeleciał ogromny meteoryt. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że setki ludzi usłyszały ostry, przenikliwy dźwięk znacznie wcześniej, niż zauważyły rozżarzoną, ognistą kulę. Meteoryt upadł w odległości mniej więcej 92 kilometrów od miejsca, gdzie znajdowali się naoczni świadkowie tego wydarzenia.

Tutaj na pewno wielu czytelników wzruszy ramionami: Cóż w tym dziwnego, że gdzieś tam kiedyś przeleciał meteoryt? Przecież meteoryty spadają stale jak nie tu, to tam.

Otóż niezwykle jest to, że świadkowie najpierw usłyszeli dźwięk spadającego meteorytu, a dopiero później zobaczyli sam meteoryt. A przecież fale świetlne biegną z oszałamiającą prędkością 300000 km/s., natomiast fale dźwiękowe wloką się „w żółwym tempie”: ich prędkość wynosi tylko 330 m/s. Jakim więc cudem można było najpierw usłyszeć lot meteorytu, a dopiero potem go zobaczyć?

Podobnie niezwykle wypadek zdarzył się w dniu 1 października 1917 roku w Stanach Zjednoczonych. O godzinie 10.30 mieszkańcy niewielkiego miasta Georgetown w stanie Teksas usłyszeli przenikliwe, ostre dźwięki. Niektórzy z nich odczuli falę ciepła, a także... zapach siarki, inni wpadli w stan niezwyklego podenerwowania. A wkrótce na niebie pojawił się meteoryt, który spadł na granicy stanu.

I znów ta sama historia: najpierw dobiega odgłos lecącego meteorytu, któremu rym razem towarzyszył na dodatek zapach siarki i fala ciepła, a dopiero potem pojawia się sam meteoryt. Czyż nie jest to zdumiewające? Uczeni długo zastanawiali się nad możliwościami wytłumaczenia tego bądź co bądź dziwnego zjawiska. W ostatnich latach bardzo ciekawą hipotezę wysunął pracownik naukowy Instytutu Naukowo-Badawczego Introskopii W. Adamienko.

Istota tego zjawiska polega na tym, że ruch każdego meteorytu jest związany z promieniowaniem elektromagnetycznym, przy czym o dość szerokim paśmie. Niektóre z tych fal obiegają powierzchnię Ziemi i docierają do człowieka wcześniej niż światło, które jest przecież przesłonięte horyzontem. Niewykluczone więc, że organizm odbiera owe fale elektromagnetyczne i przekształca je - na razie nie wiadomo w jaki sposób - w dźwięk.

Taka hipoteza nie jest pozbawiona podstaw, ponieważ została potwierdzona również przez inne obserwacje. Stwierdzono na przykład, że człowiek, który znajduje się w strefie działania impulsowego nadajnika o wysokiej częstotliwości, słyszy świszczące, przerywane dźwięki w zależności od warunków modulacji. Ten przedziwny dźwięk radiowy „kt odczuwalny przy częstotliwościach 425, 1310, 2982 MHz (megaherców).

Co jednak w naszym organizmie przetwarza fale elektromagnetyczne na dźwięki? Jaki organ naszego ciała jest tym detektorem? Uczeni nie bez podstaw przypuszczają, że takie właściwości ma właśnie... skóra. To ona zajmuje się detekcją, czyli wydzielaniem z fal elektromagnetycznych fal o niskiej częstotliwości, a więc tych, które możemy usłyszeć. W myśl tej hipotezy anteną skomplikowanego nadajnika ukrytego w naszym wnętrzu jesteśmy... my sami. Powstaje jednak inne pytanie: w jaki sposób drgania elektryczne o niskiej częstotliwości wydzielone z fal elektromagnetycznych zostają przekształcone w dźwięk?

Oto proste doświadczenie zaproponowane przez wspomnianego już radzieckiego uczonego W. Adamienkę. W eksperymencie uczestniczą dwie osoby. Każda z nich mocno ściska palcami przewody włączone do gniazdka radiowego. Następnie, nie dotykając się wzajemnie, nachylają się do siebie w taki sposób, aby ich uszy zbliżyły się. Wówczas każda z tych dwóch osób powinna usłyszeć audycję radiową! Oczywiście audycja będzie dość cicha. Jeżeli chodzi o jej głośność, przypomina mniej więcej brzmienie adapteru pracującego bez wzmacniacza. Rzecz jasna, że hałas panujący w otoczeniu znacznie przeszkadza w odbiorze, a jednak bez trudu można odróżnić muzykę od mowy i bez trudu zrozumieć poszczególne głośno wypowiedziane słowa.

Tu jeszcze mała uwaga: może się tak złożyć, że audycji nie usłyszymy- Zdarza się to dość często, a winę za to ponosi zbyt wysoka oporność naszej skóry. I jeszcze jedno: jeżeli podczas słuchania takiej audycji obie osoby dotkną się wzajemnie - dźwięk natychmiast zaniknie.

Tu powstaje następne pytanie: co wobec tego jest głośnikiem w naszym ukrytym odbiorniku radiowym? Otóż jest nim błona uszna, drgająca pod wpływem przepływającego przez nią prądu o niskiej częstotliwości.

Wynika stąd wniosek, że każdy z nas, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy, jest chodzącym radioodbiornikiem. Na tym jednak nie koniec. Okazuje się, że naszą skórę stać na coś więcej.

Oto opis doświadczenia podanego przez kandydata nauk biologicznych B. Bielyszewa:

W pokoju panuje napięta cisza. Przy półokrągłym stole zgromadziło się kilkanaście osób. Na stole leży kilka przewróconych do góry dnem porcelanowych miseczek. Drzwi otwierają się, w pokoju zjawia się eksperymentator, podchodzi do stołu i zbliża dłoń do pierwszej miseczki. „Tu jest miedź” - mówi. Dłoń przesuwa do następnej miseczki. „Tu złoto”. Kolejne miseczki i kolejne powolne zdania: „Tu jest brąz, tutaj nie ma nic, tu leży srebro, tutaj nie znany mi przedmiot”. Wszystkie miseczki zostają komisyjnie podniesione i okazuje się, że pod nimi rzeczywiście leżały monety: miedziana, brązowa i srebrna, złoty pierścionek, gumka (to był właśnie ten nie znany przedmiot), a pod jedną z miseczek rzeczywiście nie ma niczego.

Tak więc doświadczenie opisane przez B. Bielyszewa leży w rażącej sprzeczności z argumentami wysuniętymi przez A. Kitajgorodzkiego, które przytoczyłem w poprzednim rozdziale. Przypominam, że profesor Kitajgorodzki, opierając się na znanych i obowiązujących prawach fizycznych, twierdzi - i słusznie! - iż niemożliwe jest widzenie palcami tego, czego w normalnych warunkach nie można dostrzec wzrokiem. Czyżby więc była to kolejna mistyfikacja?

No cóż... Niektórzy uczeni są zdania, że nasza skóra jest uczulona na zupełnie inny zakres fal elektromagnetycznych niż światło widzialne. Tu na wszelki wypadek chciałbym przypomnieć, że światło widzialne jest też swego rodzaju falą elektromagnetyczną, jednak o dość szczególnym zakresie częstotliwości. Na te właśnie fale świetlne uczulone są nasze oczy. Możliwe, że nasza skóra może odbierać i inne zakresy fal elektromagnetycznych, na które na odmianę nie reagują oczy.

Któż więc ma rację? Czy nie należałoby wobec tego zrehabilitować naszego rodaka, inż. Ossowieckiego, i tych wszystkich, którzy „odczytywali”, a raczej odszyfrowywali rysunki lub teksty zamknięte w stalowych kasetach i ołowianych rurkach?

Na to pytanie na razie nie możemy dać odpowiedzi. Oczywiście wiadomo powszechnie, że stalowa lub też ołowiana kaseeta nie przepuszcza promieni widzialnych, a więc fal elektromagnetycznych o pewnym ściśle określonym zakresie, przepuszcza jednak inne zakresy. Może więc właśnie w tym kryje się rozwiązanie tajemnicy?

Na odpowiedź musimy jeszcze, niestety, poczekać. Na razie nie znaleźliśmy klucza do tej tajemnicy.

Ludzka dłoń jest księgą, z której można wyczytać nie tylko biologiczną charakterystykę człowieka, lecz także charakterystykę społeczną, rodzaj wykonywanej pracy, pożyteczne i szkodliwe nawyki. Stan skóry i stawów pozwala określić przebyte choroby, a także przewidzieć schorzenia zagrażające pacjentowi. Na palcach i dłoni „zakodowane” są bowiem wrodzone i dziedziczne schorzenia układu nerwowego. Linie papilarne ułatwiają genetykom rozpoznawanie chorób dziedzicznych. Powstała specjalna nauka - dermatoglifyka, zajmująca się badaniem ukształtowania skóry dłoni i stóp. Nawet w dzisiejszych czasach oględziny rąk dają nieocenione wiadomości o stanie zdrowia pacjenta.

Niektórzy uczeni przypuszczają, że skóra kryje i inne, nie znane nam tajemnice. Są oni zdania, że może ona również spełniać funkcje „nosa”. Przypominam, że podczas przelotu meteorytu w Teksasie mieszkańcy Georgetownu wyczuli wyraźnie zapach siarki, kiedy jeszcze meteoryt nie był widoczny.

Czy jednak taka hipoteza ma jakkolwiek rację bytu?

Światowej sławy radziecki uczyony, akademik A. Joffe, jeszcze na początku swojej kariery naukowej wysunął hipotezę o pewnym związku pomiędzy zapachem a falami elektromagnetycznymi leżącymi w zakresie podczerwieni. Tu chciałbym przypomnieć, że fal takich człowiek nie dostrzega, choć skonstruowano już wiele przyrządów, które je potrafią wykryć i przetworzyć na światło widzialne. Są to tak zwane noktowizory, a więc przyrządy umożliwiające widzenie w nocy.

Obecnie coraz częściej wysuwany jest pogląd, że proces odróżniania zapachów nie jest związany z formą lub wymiarami cząsteczek, lecz ich drganiami. Wiadomo przecież powszechnie, że cząsteczki są miniaturowymi rezonatorami, a od wymiaru i kształtu rezonatorów zależy również rodzaj drgań. Jeżeli okazałoby się, że węch jest w jakiś sposób związany z falami elektromagnetycznymi, można by było założyć, że skóra potrafi również wyczuwać zapach. Pamiętajmy, że dublowanie organów zmysłów przez przyrodę nie jest niczym dziwnym ani zaskakującym. Wiadomo przecież powszechnie, że w procesie ewolucji żywe organizmy przebyły bardzo skomplikowaną drogę rozwoju. Na niższych stopniach ewolucji komórki nerwowe będące odbiornikami światła, dźwięków czy też zapachu były rozsięte po całej powierzchni ciała. Na przykład nasze pospolite dżdżownice, które są pozbawione oczu, reagują na światło całą powierzchnią skóry. Z biegiem czasu, w miarę ewolucji, komórki czuciowe zaczęły się koncentrować w poszczególnych sektorach, przy czym niekoniecznie tam, gdzie w myśl naszych wyobrażeń powinny się znajdować. Mało kto na przykład wie, że organ słuchu u koników polnych znajduje się... na podudziach, a u szarańczy - w bocznych częściach odwłoka.

Na razie jeszcze nie wiadomo, jakie komórki czuciowe reagują na oddziaływanie pola elektromagnetycznego i elektrycznego. Nie ulega jednak wątpliwości już dziś, że odpowiednie „czujniki” nerwowe istnieją i że są dostosowane do odbioru właśnie tych pól, tak jak oczy są dostosowane do odbierania światła, a uszy do odbierania dźwięku.

Przed kilku laty kijowski uczyony A. Podszybiakin wykrył, że przed wokółziemskimi burzami magnetycznymi elektryczny potencjał skóry znacznie się zwiększa. Ludzie jak gdyby przeczuwają te niewidoczne zaburzenia, przy czym każdy z nich na swój własny sposób. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że jedni ludzie wyczuwają te burze na dzień, a inni na dwa lub trzy dni przed zarejestrowaniem ich przez najdokładniejsze przyrządy fizyczne.

Jednakże najdziwniejszym „prezenterem”, jaki otrzymaliśmy w darze od natury w toku ewolucji, są tak zwane punkty aktywne skóry, wykorzystywane podczas akupunktury. Chciałbym przypomnieć, że akupunktura jest wschodnioazjatycką metodą leczniczą polegającą na nakłuwaniu aktywnych punktów skóry.

Akupunktura jest stosowana co najmniej od ponad 3 tysięcy lat, tyle bowiem lat liczy sobie „list” spisany na korze przez myśliwego, a który to list dotrwał aż do naszych czasów. Oto jego treść:

„Polujemy i strzelamy do dzikich zwierząt z łuku. Czasem jednak strzała przypadkowo rani człowieka. I wtedy dzieje się rzecz dziwna: jeżeli strzała trafi w określone części ciała, potrafi niespodziewanie wyleczyć z wielu chorób...”

Według innej legendy stało się to przed mniej więcej 5 tysiącami lat. Pewien żołnierz chiński raniony na polu bitwy strzałą poczuł, że zostało znieczulone jakieś inne miejsce jego ciała, dość zresztą odległe od punktu trafienia. Tak powstała akupunktura. Inne wersje legendy są podobne - we wszystkich występują żołnierze i strzały, tylko ktoś inny zauważa niecodzienne oddziaływanie ukłuć.

Akupunktura rozwijała się w Chinach, a później i w innych krajach Dalekiego Wschodu. Przez lekarzy europejskich była najczęściej traktowana nieufnie lub wręcz odrzucana, od pewnego czasu podjęto jednak dokładniejsze badanie tej metody. W opinii publicznej natomiast akupunktura jest lekarstwem na wszystko. Stale czyta się i słyszy opowieści o niemal cudownym (niemal, bo „przecież akupunktura opiera się na tysiącletnich doświadczeniach chińskich uczonek”) wyleczeniu z choroby, gdy wszyscy lekarze byli bezradni, a chory cierpiał niezmiernie.

Chińczycy jako wynalazcy mają znakomitą renomę - wszyscy wyliczą bez zająknięcia proch, papier, tusz i rakiety, lecz czy możemy na tej podstawie przyjąć bez zastrzeżeń akupunkturę? Czy rzeczywiście jest to panaceum? Coraz częściej słychać trzeźwiące wypowiedzi lekarzy. Z drugiej strony, na Zachodzie każdy może teraz kupić komplet igieł i model ciała ludzkiego (oryginalny dalekowschodni) z zaznaczonymi miejscami do nakłuć.

Jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą nie przemyślane stosowanie igieł? Po pierwsze, niefachowiec łatwo może uszkodzić nerw czy naczynie krwionośne, co w ostateczności kończy się często śmiercią delikwenta. Igły wbite w pewne miejsca stwarzają zagrożenie śmiertelne, nawet gdy nic nie zostanie pozornie uszkodzone. Przy wielokrotnym używaniu igieł istnieje poważne niebezpieczeństwo zakażenia różnymi chorobami - a zwłaszcza żółtaczką zakaźną. Obecnie stosuje się niemal wyłącznie strzykawki jednorazowe, przy akupunkturze zaś te same igły mogą służyć latami i są w niedoskonały sposób sterylizowane w domu.

Nie można odmówić akupunkturze pewnych sukcesów. Od 15 lat zajmują się nią lekarze radzieccy. W tym czasie stosowano ją w 37 miastach ZSRR, gdzie spośród leczonych w ten sposób 10 tysięcy pacjentów chorych na wrzody żołądka, astmę, zaparcia i wysokie ciśnienie krwi udało się wyleczyć 32,7%. Wyraźną poprawę stwierdzono aż u 50% pacjentów. Liczby te niestety tracą swą optymistyczną wymowę, gdy porówna się je z wynikami uzyskanymi przy stosowaniu leków typu

placebo (tzn. nie oddziałujących na organizm, podawanych dla uspokojenia pacjenta - mogą to być tabletki cukru). W tym przypadku udaje się wyleczyć również nieco ponad 30% pacjentów i ulżyć 50%.

Modnej akupunkturze poddawały się znane osobistości świata. Oto kilka przypadków. W jaskini Iwa, w Chinach, najlepsi miejscowi specjaliści próbowali wyleczyć Mao Tse-tunga z artretyzmu - jak wiadomo bezskutecznie. Były dyktator Kambodży Lon Nol miał zostać wyleczony z następstw zawału serca - jak wiadomo, nie został. Postrzelony przez zamachowca w kręgosłup, sparaliżowany gubernator Wallace mimo wielomiesięcznych nakładów igłami przez chińskiego lekarza nadal porusza się na wózku inwalidzkim. Lekarz ten twierdzi jednak, że kuracja odniosła pewien skutek, znacznie bowiem poprawił się stan psychiczny gubernatora. Amerykanin, który długo przebywał w Chinach, dr Berman, wspomina historię nałogowego palacza opium, który w wyniku kuracji zmniejszył liczbę dziennie wypalanych fajek z 8 do... 6.

Jednym z zastosowań akupunktury jest znieczulenie, zarówno w celu przyniesienia ulgi, jak i przed operacjami chirurgicznymi, lecz tu nawet chińscy lekarze twierdzą, że nie można jej stosować we wszystkich przypadkach. Na przykład nie nadaje się ona dla dzieci. Często uzyskuje się znieczulenie niecałkowite, w czasie zaś dłuższych operacji istnieje obawa ustąpienia efektu znieczulenia. Poza wszystkim akupunktura wymaga kilkudniowego psychicznego przygotowania pacjenta, przez co nie można jej stosować w nagłych przypadkach, a jedynie gdy nie można użyć leków znieczulających o sprawdzonym działaniu. Akupunktura wówczas jest chyba jedynym ratunkiem.

Najlepsze wyniki uzyskuje się w przypadku pacjentów poddających się łatwo hipnozie bądź podatnych na sugestię. Rzeczywiście istnieje pewne podobieństwo obu metod. Poważni naukowcy pracujący nad akupunkturą i jej możliwościami unikają rozgłosu, praca ich bowiem ma ciągle charakter czysto eksperymentalny. Zgłaszano nawet propozycje, by zabronić pobierania opłat za kurację - pacjent spełnia tu bowiem raczej rolę królika doświadczalnego.

Warto przytoczyć opinię biegłego w akupunkturze amerykańskiego profesora medycyny rehabilitacyjnej: „Jest to analogiczne do uderzenia dziecka w twarz, które skaleczyło się w stopę - przestaje ono w wyniku tej »kuracji« odczuwać ból nogi. Poza tym leczenie akupunkturą często trwa wiele miesięcy - trudno powiedzieć, czy pomogły igły, czy pacjent sam wyzdrowiał.”

Godna uwagi jest ogromna uległość ludzi wobec opinii o cudownym i uniwersalnym działaniu pewnych leków. W powszechnej opinii akupunkturę uważa się za panaceum, „tylko zazdrośni i niedouczeni lekarze nie dopuszczają do nas tej cudownej metody - pewnie, straciliby wówczas zajęcie!”

Akupunktura nie jest odosobnionym przykładem. Podobną wiarą zaczęto niedawno darzyć witaminę E - eliksir młodości, a jeszcze wcześniej mleczko pszczele, korzeń żeń-szeń i inne. Stale istnieje obawa przed chorobą i potrzeba pewności wyleczenia. Po wieku pary i elektryczności, rozbicia atomu i zbudowaniu lasera obietnice nauki są równie odległe, jak przed laty. W tej sytuacji odwołujemy się również do osnutej tysiącami lat tajemnicy chińskiej nauki, może tam znajdzie się owo upragnione panaceum.

Co najciekawsze, Chińczycy nigdy nie twierdzili, że akupunktura jest dobra na wszystko, i zawsze stosowali ją bardzo ostrożnie oraz w połączeniu z innymi metodami i lekami. To dopiero my uznaliśmy ją za panaceum.

Do tej pory wykryto, że na ciele człowieka występuje około 700 takich właśnie aktywnych punktów o średnicy od jednego milimetra do jednego centymetra. Te aktywne punkty różnią się od koloru skóry nieco jaśniejszym zabarwieniem, choć trudno dostrzegalnym.

Wykazują one znacznie zwiększoną przewodność elektryczną, chociaż budowa skóry w tych punktach na pozór niczym nie różni się od reszty skóry.

Dziś stosuje się z powodzeniem specjalne elektroniczne aparaty do wykrywania aktywnych punktów skóry. Trzeba jednak pamiętać, że właściwości te są niestabilne i często zmieniają się w zależności od reakcji emocjonalnych, a nawet od utlenienia krwi. W przypadku suchej skóry przewodność elektryczna zmienia się tylko pomiędzy owymi punktami aktywnymi, natomiast w tych partiach skóry, gdzie aktywne punkty nie występują, przewodność elektryczna pozostaje niezmienna nawet podczas bardzo silnych przeżyć.

Uczeni wykryli, że człowiek ulegający zmianom emocjonalnym i psychicznym może zwiększyć średnicę swych aktywnych punktów czasami nawet do tego stopnia, że będą one nakładały się jeden na drugi i w ten sposób powstaną odcinki o zwiększonej przewodności elektrycznej.

I tutaj właśnie dochodzimy do najciekawszego punktu. Okazuje się, że każdy człowiek może za pomocą autosugestii kierować zmianami przewodnictwa elektrycznego w aktywnych punktach. W normalnych warunkach z dwóch sąsiednich aktywnych punktów można otrzymać napięcie około 50 miliwoltów, z kilku takich punktów nawet 150 miliwoltów, a czasem nawet pół wolta. Tak więc człowiek-generator może zapalić niewielką żaróweczkę elektryczną jedynie wysiłkiem woli! Albo za pomocą nadajnika radiowego kierować ruchem dzieciennego samochodziku. Czyżby więc jednak prawdziwa telekineza?

No cóż - jak wspominałem - na razie niewiele wiemy o naszej pocziwej skórze, która kryje w sobie na pewno jeszcze sporo innych zagadek.

A na zakończenie mała anegdotka „niezbicie” świadcząca o skuteczności leczenia za pomocą akupunktury. Holenderski farmer Jeris Knippers stracił mowę i nie mógł jej odzyskać przez 25 lat. Uczeni i lekarze byli absolutnie bezradni. Knippers odzyskał mowę dzięki przypadkowi: pewnego razu... krowa ubodła go niespodziewanie w pośladek.

Niestety - pierwsze słowo, jakie wypowiedział, nie nadaje się do wydrukowania.

## **Z czterech krańców świata.**

### ***Milcząca tajemnica.***

„Prawią, że gdy al-Mamun, syn Haruna ar-Raszyda, do Kairu przybył, miasta przez Allacha strzeżonego, zamyślił piramidy zburzyć, aby dostać to, co się w nich kryje. Ale chociaż starał się rozwalić, nie udawało mu się, acz wiele się nad tym trudził i wielkie poniósł wydatki...

I spostrzegła Szecherezada nadchodzący poranek i przerwała dozwoloną jej opowieść.

A skoro zapadła noc trzechsetna dziewięćdziesiąta i ósma, rzekła: Wieść niesie, o królu szczęśliwym, że wiele się al-Mamun trudził nad zburzeniem piramid i ogromne poniósł wydatki, wszelako nie zdołał ich zburzyć. Aż w jednej z nich znalazł małą nyżę i prawią, że znalazł al-Mamun w odsłoniętej nyży tyle pieniędzy, ile na jej odkrycie wydał, ni mniej, ni więcej. I zadziwił się tym, a wzięwszy, co w niej było, porzucił swoje zamysły...”

Kiedy za czasów Aleksandra Wielkiego, króla Macedonii i jednego z największych w dziejach ludzkości wodzów i zdobywców (356-323 p.n.e.), ułożono listę siedmiu cudów świata starożytnego, na pierwszym miejscu znalazły się piramidy egipskie w Gizie. Są one zresztą jedynym spośród owych cudów, który zachował się po dziś dzień. Trzeba podkreślić, że nic nie straciły z owego nimbu cudowności, jakim były otoczone w starożytności. Nawet w naszych czasach, we współczesnym nam świecie najprzeróżniejszych cudów techniki, piramidy egipskie nadal zasługują na to miano, jeżeli weźmiemy pod uwagę ich ogrom i precyzję budowy.

Największą i chyba najstynniejszą jest Wielka Piramida, zwana piramidą Chufu - dawniej Cheopsa - od imienia faraona, który kazał ją wznieść. Jest to potężna budowla, która w momencie jej ukończenia miała wymiary podstawy 233x233 m i wysokość 146,5 m. Jak obliczono, została zbudowana z 2 300 000 bloków o łącznym ciężarze przeszło 6 500 000 ton.

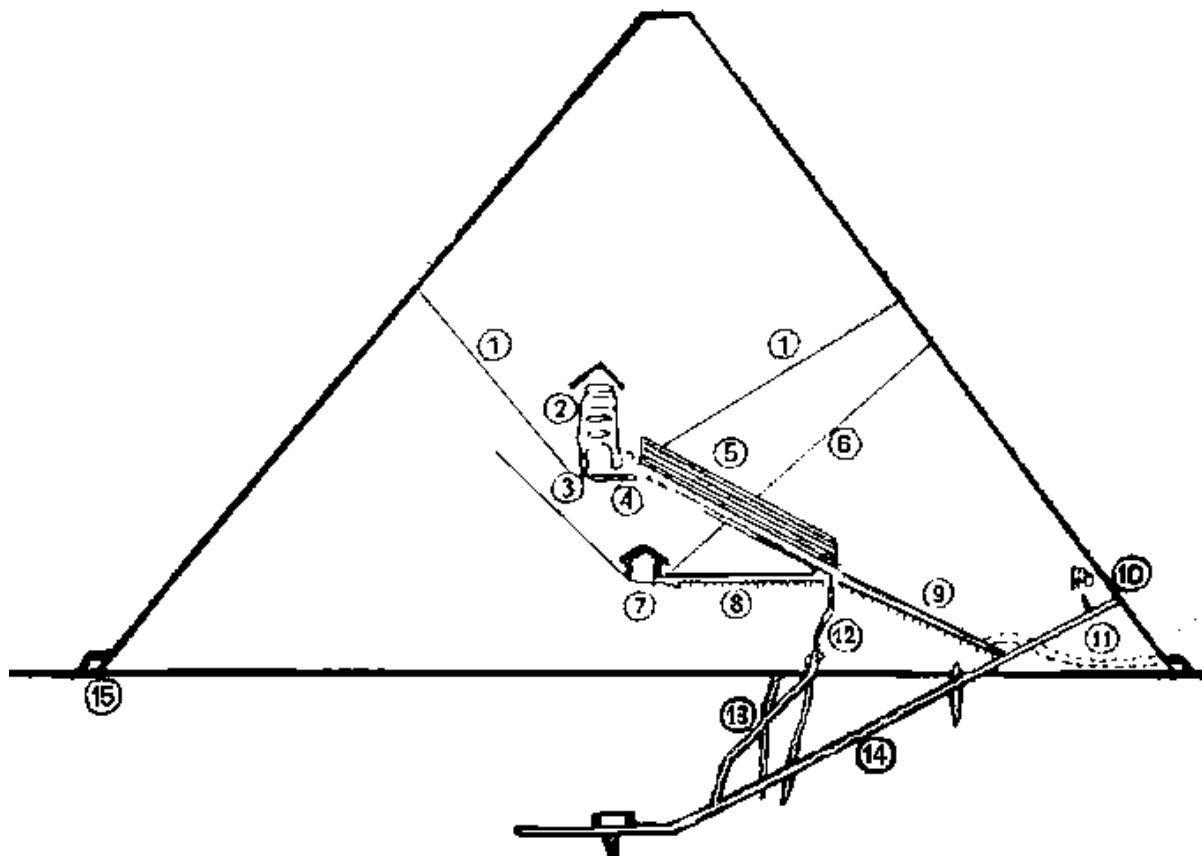
Nie będziemy się na razie wdawali w szczegóły natury technicznej, jak sposób budowania, transport bloków kamiennych z odległych o 15 kilometrów kamieniołomów, leżących zresztą po drugiej stronie Nilu, sposób szlifowania poszczególnych bloków, które są dopasowane do siebie tak ściśle, że trudno dostrzec poszczególnie spoiny. Co prawda już sam proces wznoszenia tego kamiennego kolosa mógłby być tematem osobnej historii zdumiewającej, ale w naszej opowieści chcemy zwrócić uwagę na inne sprawy.

Po co wznoszono piramidy? Pominiemy zawiłości starożytnej religii egipskiej, zwłaszcza że Egipcjanie mieli dość dziwne poglądy na życie pozagrobowe i wierzyli w istnienie osobowości po śmierci człowieka. Aby zmusić duszę do powrotu do ciała, które zamieszkiwała, a które nadal pozostawało na ziemi, odprawiano nad mumią lub posągiem w grobowcu religijne ceremonie. Jednakże podstawowym warunkiem powrotu duszy było zachowanie zmumifikowanego ciała zmarłego. Egipcjanie podejmowali wiele trudu, aby zabezpieczyć wejścia do grobowców i do komór, w których przechowywano mumie, aby dusza z ciałem mogły przebywać w zupełnym spokoju.

Chufu - władca starożytnego Egiptu, drugi faraon z IV dynastii panującej w latach około 2600-2480 p.n.e. - mógł sobie oczywiście jako król bóg pozwolić na grobowiec niezwykle, właśnie ową Wielką Piramidę, która miała mu zagwarantować szczęśliwe życie pozagrobowe i idealne zabezpieczenie przed nieproszonymi gośćmi, rabusiami, którzy chcieliby się pokusić o bezcenne kosztowności przechowywane wraz z mumią.

W 802 roku al-Mamun, młodszy syn legendarnego bohatera „Księgi tysiąca i jednej nocy” i późniejszy kalif państwa arabskiego, rozbił obóz u podnóża piramidy Chufu, „której wierzchołek sięga nieba”. Towarzyszył mu ogromny sztab architektów, budowniczych i kamieniarzy. Marzeniem al-Mamuna były nie tyle skarby ukryte w Wielkiej Piramidzie, choć i nimi też by nie pogardził, ile odkrycie tajemnicy stali, która nigdy nie rdzewieje, i szkła, które się gnie, a nie pęka. Mędracy arabscy twierdzili bowiem, że sekrety te zostały ukryte w schowku w Wielkiej Piramidzie.





Rys. 6. Tak wygląda przekrój Wielkiej Piramidy.

1,6 - kanały wentylacyjne; 2- puste pomieszczenia nad główną komorą z sarkofagiem (3), których przeznaczenie jest po dziś dzień niejasne: niektórzy badacze są zdania, że to urządzenia przeciw sejsmiczne, inni natomiast wyrażają pogląd, że służą one do wyrównania ciśnienia kamiennej masy piramidy; 4 - korytarz i pomieszczenia przed komorą centralną; 5 - galeria centralna; 7, 8 - komora środkowa i prowadzący do niej korytarz poziomy; 9 - pochyłe przejście do galerii centralnej; 10 - wejście do piramidy; 11 - przejście przebite przez ludzi Al-Mamuna; 12 - korytarz prowadzący do podstawy piramidy; 13 - przejście przebite do pochyłego korytarza (14) przebiegającego pod podstawą piramidy; 15 - pozostałości wapiennej okładziny piramidy.

Al-Mamun znał tekst wybitnego geografa starożytności, Greka Strabona, który pisał:

„Na ścianie piramidy na niewielkiej wysokości znajduje się kamień, który można z łatwością odsunąć. Otwiera się wtedy wejście do korytarza prowadzącego do wnętrza grobowca.”

Niestety - wszystkie bloki (a jest ich grubo ponad dwa miliony!) tak ściśle przylegały do siebie, że al-Mamunowi nie udało się odnaleźć tego jednego, jedynego, który otworzyłby właściwą drogę.

Rozwścieczony niepowodzeniem al-Mamun wydał rozkaz:

- Przebić mur!

Być może gdyby wiedział, jak katorżnicza praca czeka jego ludzi, zrezygnowałby z niej i z dotarcia do królewskiej komnaty, zrezygnowałby i ze skarbów, i ze stali, co nie rdzewieje ni w wodzie, ni w krwi, zrezygnowałby też z tajemnicy szkła, które nie pęka.

Kamieniarze al-Mamuna wgrzali się cał za całem w potężny masyw Wielkiej Piramidy. Wiele miesięcy trwały nieprzerwane zmagania „mrówek” al-Mamuna (tak zwano jego robotników), zanim zostały uwieńczone pierwszym powodzeniem.

Poszukiwacze dotarli do niewielkiego korytarza wznoszącego się pod kątem 26 stopni! To było właśnie to przejście, o którym pisał Strabon!

Korytarz kończył się jednak w pustej sali o nierównych, niedbale wyciosanych ścianach; w jednej z nich widoczne było wejście do poziomego korytarza, który po 50 metrach również kończył się nigdzie: zamykała go pionowa skała.

Al-Mamun nie zrezygnował jednak. Po dokładnym zbadaniu pierwszego tunelu natrafiono na potężny głaz zasłaniający wejście do następnego korytarza. Wszelkie próby rozbicia głazu skończyły się jednak niepowodzeniem. Spróbowano więc go ominąć. Po długotrwałych katorżniczych zmaganiach ze skałą w dusznych korytarzach, gdzie nawet kopzące pochodnie gasły z powodu braku powietrza, dotarto do następnego wąskiego korytarza, wznoszącego się również - jak poprzedni - pod

kątem 26 stopni. Ten korytarz - raczej tunel - był tak wąski, że ludzie przepychali się przezeń na czworakach, a kończył się w niewielkiej sali, również... pustej!

Poszukiwań jednak nie przerwano. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności jeden z kopaczy dostrzegł w suficie otwór, a w nim prowadzące do góry stopnie. Kiedy al-Mamun przecisnął się przez ten właz, znalazł się w ogromnej galerii wznoszącej się do góry.

Wielka sala, jaką na końcu galerii ujrzeli poszukiwacze, przedstawiała widok niezwykle. Odpolerowane płyty błyszcząły w świetle pochodni, jak gdyby były wysadzane tysiącami diamentów. Na posadzce stał sarkofag wyciosany z ciemnobrązowego granitu. Ale sarkofag był pusty!

Tu, w tej sali, rozwiały się wszystkie marzenia al-Mamuna. Rozwścieczeni ludzie walili młotami w ściany w nadziei, że znajdą jeszcze jedno przejście. Tym razem jednak ich wysiłki spęły na niczym: skała nie drgnęła.

Zgodnie z legendą al-Mamun, aby choć w części uratować swój prestiż w oczach poddanych, kazał schować ukradkiem w jednej z komór skarb złożony z własnych kosztowności i „przypadkiem” go odnaleźć. Skarb został rozdzielony między „mrówki”...

Stąd właśnie słowa Szecherezady, że „znalazł al-Mamun w odsłoniętej nyży tyle pieniędzy, ile na jej odkrycie wydał, ni mniej, ni więcej. I zadziwił się tym, a wzięwszy, co w niej było, porzucił swoje zamysły”...

Zostawmy jednak w spokoju kalifa al-Mamuna, któremu nie powiodło się odkrycie legendarnych skarbów w Wielkiej Piramidzie faraona Chufu. Znacznie dziwniejszy jest fakt, że w ogóle udało mu się dotrzeć do królewskiego grobowca, odkryć najważniejsze pomieszczenia we wnętrzu piramidy, jakie znamy dziś.

Zresztą to też nie jest najważniejsze. Znacznie ciekawsze byłoby znalezienie odpowiedzi na pytanie: a co się właściwie stało z mumią faraona Chufu? Czyżby sarkofag został ograbiony przez rabusiów na długo przed podjętą przez al-Mamuna próbą?

Taka wersja byłaby dość logiczna, gdyby nie jedno „ale”.

Co się stało z granitową pokrywą sarkofagu? Na co mogła się ona przydać rabusiom? Na miejscu, w komnacie, nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na to, że ją rozbito, a wyniesienie jej w całości było nie tylko bezcelowe, lecz i niemożliwe.

Może więc w tym wspaniałym grobowcu nikt nigdy nie został pochowany? Może nigdy nie zgromadzono tu żadnych skarbów i papirusów, w których opisano tajniki wytwarzania cudownej stali i niełamliwego szkła?

To tylko jedna z tajemnic Wielkiej Piramidy.

Ale nie jedyna.

## **Magia liczb.**

W XIX wieku archeologia stała się zajęciem modnym, któremu oddawali się z zapalem ludzie najprzeróżniejszych profesji, a jednym z głównych ich obiektów zainteresowań były oczywiście piramidy w Gizie.

I tu zaczyna się lawina najdziwniejszych odkryć.

Niejaki pułkownik Howard Vyse postanowił dotrzeć do podstawy Wielkiej Piramidy zasypywanej w ciągu 45 tysiącleci piaskiem z pustyni. Po pewnym czasie udało mu się oczyścić niewielki plac i dotrzeć do dwóch płyt wapiennych - resztek wykładziny piramidy Chufu, którą w ciągu wielu wieków traktowano jako wspaniałe źródło taniego budulca. Odkopane przez Vyse'a płyty zachowały się na tyle dobrze, że mógł niezwykle starannie zmierzyć kąt ich nachylenia do podstawy. Wynosił on 51 stopni i 51 minut!

To było pierwsze zaskoczenie. Po co było potrzebne budowniczym tak dokładne utrzymywanie kąta nachylenia ściany do podstawy? Czy należało je traktować jako posunięcie celowe, czy też przypadkowy wynik geometryczny kształtów piramidy?

Ale wkrótce po tej pierwszej rewelacji pojawiły się następne. Ich autorem był wydawca jednej z londyńskich gazet John Taylor. Otóż oświadczył on, że po żmudnych obliczeniach odkrył nie znane dotąd proporcje Wielkiej Piramidy, udało mu się bowiem odszukać podstawową jednostkę miary zastosowaną podczas jej budowy. Dzieląc wymiar boku Wielkiej Piramidy przez liczbę dni w roku otrzymuje się jednostkę długości wynoszącą 0,635 m, która w zaskakujący sposób powtarza się we wszystkich wymiarach korytarzy, komór i nisz. Nie byłoby w tym jeszcze nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wspomniana wartość odpowiada jednej dziesięciomilionowej części promienia kuli ziemskiej!

Podając do publicznej wiadomości swoje rewelacje, Taylor stwierdził, że budowniczowie piramidy nie tylko doskonale wiedzieli, iż nasza planeta jest kulą, lecz znali nawet jej wymiary. I to wszystko na kilka tysięcy lat, zanim padły pierwsze słowa na temat kulistości Ziemi!

Opierając się na swych obliczeniach Taylor doszedł do sensacyjnego wniosku: piramida Chufu to nie grobowiec faraona, lecz zaklęta w kamieniu „księga mądrości” stworzona po to, aby zachować tę mądrość po wsze czasy.

Wywodami Taylora zainteresował się szkocki astronom Charles Piazzi Smyth, który poparł jego wywody teoretycznie, a niezależnie od tego postanowił je uzupełnić nowymi badaniami.

Po dwuletnim pobycie i badaniu piramid Smyth powraca do Londynu, gdzie publikuje książkę, w której przytacza dalsze rewelacje. Z jego obliczeń wynika, że starożytni Egipcjanie znali wartość liczby  $\pi$ , i to w dodatku z dokładnością do pięciu miejsc po przecinku (3,14159). Obliczenie jego jest proste: stosunek podwójnej wysokości piramidy do obwodu jej podstawy ma się tak, jak średnica okręgu do jego obwodu.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Z obliczeń Charlesa Piazzi Smytha wynikało niezbitcie, że Egipcjanie znali dokładnie średni promień orbity, po której Ziemia krąży wokół Słońca! Obliczenia Smytha były dość proste. Pomiary szkockiego astronoma wykazały, że stosunek wysokości piramidy do szerokości podstawy ma się jak 10:9. Według niego pierwotna wysokość piramidy wynosiła 147 metrów i 65 centymetrów. Jeżeli tę liczbę pomnożymy przez 10 podniesione do potęgi dziesiątej, a więc wykonamy działanie:

$$147,65 \times 10^9,$$

otrzymamy iloraz odpowiadający średniemu promieniowi orbity. I to wszystko na tysiące lat przed Kopernikiem i Ludolfem van Ceylen, który liczbę  $\pi$  obliczył dopiero w XVI wieku! A przecież w owych czasach uważano, że Ziemia jest środkiem świata i wcale nie krąży wokół Słońca!

Ch. P. Smyth zwrócił również uwagę na ów dziwny kąt nachylenia ściany piramidy do podstawy, który został po raz pierwszy zmierzony przez wspomnianego już Howarda Vyse'a:  $51^{\circ}51'$ . Zdaniem Smytha taki kąt został wybrany przez budowniczych piramidy po to, aby ich dzieło, owa „kamienna księga mądrości”, było jednocześnie monstrualnym... zegarem słonecznym. Taki wniosek oparł na ścisłej obserwacji: słoneczny cień rzucany przez północny stok piramidy znika dokładnie w południe w dniu wiosennego zrównania dnia z nocą.

Tę interesującą hipotezę postanowił sprawdzić inny angielski archeolog amator, Moises Cotsworth, z zawodu lekarz. Jeżeli hipoteza jest słuszna - myślał - i piramida jest rzeczywiście zegarem słonecznym, u jej podstawy musiała się znajdować równa płaska powierzchnia podzielona odpowiednimi liniami, po której przesuwają się wskazówka - cień piramidy.

W 1900 roku Cotsworth wybiera się do Gizy, dokładnie oczyszcza teren pod północną ścianą piramidy i odnajduje plac wyłożony gładkimi kamiennymi płytami, przy czym na tyle duży, że z powodzeniem mieścił cały, nawet najdłuższy cień piramidy podczas zimowego solsticjum (przesilenia dnia z nocą).

Ale na płytach nie znalazł żadnego oznakowania, które potwierdziłoby hipotezę Smytha. Rozczarowany Cotsworth był jednak lekarzem i nigdy nie spieszył się z wystawianiem pochopnych diagnoz. Zmierzył więc poszczególne płyty i stwierdził ze zdumieniem, że każda z nich ma jednakową szerokość: 1,356 m! A cień Wielkiej Piramidy zmniejsza się codziennie właśnie o 1,356 m aż do momentu, kiedy znika zupełnie w dniu wiosennego zrównania dnia z nocą - w ostatnim dniu roku starożytnych Egipcjan.



Czym więc jest Wielka Piramida: monumentalnym grobowcem faraona Chufu, „księgą mądrości” starożytnych czy też świątynią Słońca? A może i jednym, i drugim? Jaki jest właściwie sens spiętrzenia w potężną budowlę 2 300 000 wielkich bloków kamiennych kosztem dziesiątków tysięcy ludzkich istnień, kosztem 30 lat pracy pochłaniającej nieprawdopodobne fundusze?

Nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy w Wielkiej Piramidzie rzeczywiście został pochowany faraon Chufu, czy w ogóle ktokolwiek został tam pochowany.

Szczerze mówiąc hipoteza ta nie jest pozbawiona podstaw. Fałszywe grobowce, tak zwane kenotafy, były w starożytnym Egipcie bardzo rozpowszechnione. Radzieccy egiptolodzy uważają, że źródło ich powstawania tkwi w obrzędach sięgających swymi korzeniami zamierzchłej przeszłości. W owych czasach, i to nie tylko w Egipcie, panował zwyczaj uśmiercania wodza plemienia, kiedy starzał się i niedołążniał. Przecież siła, spryt, pomysłowość wodza gwarantowały życie całemu plemieniu.

Podobny rytuał zachował się w Egipcie do czasów faraonów, z tym tylko, że zamiast faktycznego mordu rytualnego dokonywano zabójstwa... pozorowanego. Z biegiem czasu ustalono nawet odpowiednie „przepisy” i termin, po upływie którego faraona należało „uśmiercić”: wynosił on 30 lat. Dla zapewnienia nieba, że tradycji stało się zadość, budowano piramidę, w której zamurowano albo posąg faraona, albo też płytę z jego imieniem, albo po prostu pozostawiano ją pustą. Historia przekazała nam imiona faraonów, którzy mieli nawet po dwie takie fałszywe piramidy.

Najstarsze informacje o piramidzie Chufu zachowały się do naszych czasów dzięki Herodotowi, starożytnemu historykowi greckiemu, który pisał, że faraon przystąpił do budowy piramidy

bezpośrednio po wstąpieniu na tron. Herodot podaje, że piramida wraz z drogami dojazdowymi do niej była budowana dokładnie przez 30 lat. Jeżeli więc oprzemy się na tej informacji, w momencie ukończenia budowy faraon osiągnął akurat wiek, w którym powinien być być „uśmiercony”. Ponieważ jednak nadal cieszył się niezłym zdrowiem, grobowiec pozostał nie wykorzystany.

Co prawda po dziś dzień nie natrafiono na ślady następnej piramidy Chufu, ale niezależnie od tego można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że część tych pomieszczeń, które zostały odnalezione przez archeologów, pozostała nie ukończona z tego właśnie powodu.

Ale to tylko przypuszczenie. Nic pewnego nie możemy na ten temat powiedzieć. Jest to jedna z licznych zagadek Wielkiej Piramidy, która wciąż czeka na odpowiedź.

Powróćmy jeszcze na chwilę do owej niezwyklej magii liczb zakłętej w tej największej budowli świata, zwłaszcza że mamy wciąż więcej pytań niż odpowiedzi. Przede wszystkim: dlaczego budowniczy usytuowali ją prawie idealnie według stron świata? Błąd, jaki przy tym popełnili, nie przekracza 4 minut i 35 sekund kątowych, o taki bowiem kąt piramidy są lekko przesunięte w kierunku zachodnim. Błąd tej wielkości byłby dopuszczalny nawet przy zastosowaniu współczesnych precyzyjnych przyrządów pomiarowych. A pamiętajmy o jednym: starożytni Egipcjanie z całą pewnością nie znali kompasu, musieli więc posługiwać się namiarami na gwiazdy.

To jeszcze nie wszystko. Otóż niedawno dwaj uczeni - Szkot J. Polly i Duńczyk N. Abrahamson - wysunęli hipotezę, że gigantyczne budowle (również pozostałe dwie piramidy w Gizie) były w czasie ich budowy usytuowane znacznie dokładniej, lecz w ciągu czterech i pół tysiąca lat obróciły się w kierunku zachodnim wraz z całym kontynentem afrykańskim, który - jak wykazują współczesne pomiary - przesuwa się z prędkością około pięciu centymetrów rocznie. Co prawda odchylenie piramid jest zbyt wielkie, aby mogło być zrekomensowane ruchem Afryki, ale niewykluczone, że stosunkowo niedawno ruch ten był szybszy.

Niezwykle zależności arytmetyczno-geometryczno-astronomiczne zakłęte w Wielkiej Piramidzie są rzeczywiście tak zdumiewające, że nie sposób przejść nad nimi do porządku dziennego. Tutaj nasuwa się od razu cały szereg wątpliwości.

Przede wszystkim, jak wykazał wybitny radziecki znawca i historyk architektury N. I. Brunów, wszystkie magiczne liczby dotyczą wyłącznie Wielkiej Piramidy. Pozostałe dwie - Chafre, zwanego też Chefrenem, i Menkaure (Mykerinos) - nie odznaczają się niczym niezwykłym poza usytuowaniem według stron świata. Żadnych „metrów piramidowych”, żadnych „zegarów słonecznych” i promieni orbity Ziemi! Czyżby cudowny zbieg okoliczności?

Sprawa druga. Najstarszy znany nam podręcznik matematyki egipskiej, tak zwany „Papiirus Rhinda”, który pochodzi z połowy drugiego tysiąclecia p.n.e., zawiera bardzo, ale to bardzo jeszcze nieporadne początki zwykłych, prymitywnych rachunków, nawet nie matematyki. Wydaje się więc wykluczone, aby o tysiąc lat wcześniej posiadano w Egipcie tak niewspółmiernie wyższą wiedzę matematyczną.

Na ten fakt uczeni zwrócili uwagę już dawno, poddając krytyce hipotezę Taylora i Smytha twierdząc, że wszystkie te „cudowności” nie mogły być dziełem ówczesnych uczonych i geometrów i że są tylko dziełem przypadku. Na przykład profesor Mendelssohn w swej książce poświęconej piramidom w Gizie znalazł dokładną wartość liczby  $\pi$ . Po prostu budowniczy posługiwali się przy pomiarach pewnym wzorcem w kształcie cylindra, wysokości równej średnicy. Wymiary pionowe mierzono stawiając cylinder na podstawie, natomiast poziome, tocząc go po ziemi i odmierzając każdy obrót, przez co zupełnie przypadkowo „wpakowano” w wymiary piramidy ową liczbę  $\pi$ , i to z dużą dokładnością.

Jednakże Charles Piazzi Smyth wyszedł z tej krytyki „obronną ręką”.

- Któż twierdzi - powiedział, być może - że jest to dzieło ludzkie i Oczywiście, że dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą Egipcjanie nie posiadali takich wiadomości z zakresu matematyki i astronomii, a więc i nie mogli się nimi posługiwać. Pomogło im w tym natchnienie Boskie, wola Najwyższego!...

No cóż... Pod koniec ubiegłego wieku taka argumentacja mogła jeszcze jako tako trafić do przekonania szerokiej publiczności, dziś jednak nie wytrzymuje żadnej krytyki. Pomińmy jednak siły wyższe i zastanówmy się, czy cała cudowna magia liczb zawarta w Wielkiej Piramidzie może być dziełem przypadku, czy też świadomego i celowego działania.

Jeżeli odrzucimy przypadek, a zajmiemy się drugą możliwością, znajdziemy ponownie w ślepy zaulek, bo przecież - jak już wspominaliśmy - nie mogło tego dokonać ani bóstwo, ani człowiek.

A więc kto?

## **Odwiedziny z Kosmosu.**

Jak to kto? Przybysze z innych światów, istoty rozumne, które przed wiekami odwiedziły naszą planetę i pozostawiły po sobie wiele widomych znaków swej obecności na Ziemi.

Czy widzieliście film Dänikena „Wspomnienia z przyszłości”? Czy pamiętacie wszystkie „niezbite” dowody, jakie autorzy filmu przytaczali na korzyść swojej tezy, że przybysze byli? Ponieważ pogląd o odwiedzinach Ziemi przez istoty rozumne z innych systemów planetarnych stał się ostatnio bardzo modny i ma na całym świecie tysiące zażartych zwolenników, zastanówmy się nad nim i my.

Są tu tylko dwie możliwości. Pierwsza: „byli”. Druga: „nie byli”.

Właściwie nie powinna nas dziwić ani jedna z tych odpowiedzi. Byli - no cóż, wszechświat jest wielki, mogli przylecieć. Nie byli - wszechświat jest tak wielki, mogli nie przylecieć.

Pierwsza odpowiedź potwierdzi nasze poglądy o liczbie zamieszkanego świata. Druga nie potwierdzi, ale i nie przekreśli ich: widocznie „w pobliżu” nie ma znów tak wiele cywilizacji, które by nas prześcignęły.

Tak między nami mówiąc, wszyscy (albo prawie wszyscy) chcielibyśmy, aby przybysze byli. To nic, że przed milionem albo przed stu milionami lat. Astronomowie zwracają się w tej sprawie do archeologów, paleontologów i geologów. Ale ci milczą, natomiast głos zabierają przedstawiciele innych „specjalności” - fantaści, popularyzatorzy.

Oto krótki i niepełny wykaz ich „niezbitych” argumentów.

1. W prastarych warstwach pustyni Gobi znajdują się odciski podeszwy. Mają kilka milionów lat.
2. Starożytne ruiny w Ameryce w Tiahuanaco liczą sobie co najmniej 15 000 lat. Na „Bramie Słońca” znajduje się kalendarz o 290 dniach (być może wenusjański).
3. Taras w Baalbeku w Libanie ułożono „w niepamiętnych czasach” z bloków, z których każdy waży ponad 1000 ton. Prawdopodobnie była to płyta startowa dla statków kosmicznych.
4. Freski z wyżyny Tassili-n-Azder, odkryte nie tak dawno na Saharze, przedstawiają podobizny „Marsjan” wysokości kilku metrów, w ubiorach podobnych do skafandrów kosmonautów.
5. Mapy tureckiego admirała Piri Reisa w XVI wieku, na których został dokładnie odtworzony zarys brzegów Antarktydy naniesiony na podstawie starszych map, które sporządzone zostały w oparciu o jeszcze starsze(!), wywodzące się z pewnej tajemniczej, ogromnej cywilizacji (a może po prostu błąd kartografa?).

6. Wzmianki w starożytnych mitach i legendach dotyczące „wiszących wysp”, latających ludzi i ludzi zwyczajnych, zabranych do nieba (na przykład nasz znajomy z Biblii - Enoch).

Argumenty od nr 7 do nr 100 (albo jak kto woli - do nr 100 000) pominiemy, zwłaszcza że ostatnio ślady kosmicznych przybyszów wciąż się mnożą.

Ale jednym z najważniejszych argumentów jest wciąż Wielka Piramida w Gizie. No bo przecież ktoś, jak nie ONI, mógł zakląć w kamieniu dla potomności wszystkie wspomniane liczby, aby w ten sposób udokumentować swój pobyt na Ziemi?

Na marginesie mała uwaga: osobiście wolałbym, żeby to nie ONI. Jak sobie przypomniemy, ile ofiar pociągnęła za sobą budowa tej piramidy, włos się na głowie jeży na myśl, że mogliby odwiedzić naszą Ziemię ponownie. Niech raczej będzie Chufu - ten przynajmniej nie zmartwychwstanie.

Przy okazji mała dygresja. Wspomniany profesor Mendelssohn próbuje dać jeszcze jedną odpowiedź na pytanie, po co budowano piramidy. Nie, nie były to grobowce, nie były to pomniki wystawiane przez przybyszów z Kosmosu ani „kamienne księgi mądrości”. Budowano je po prostu po to, aby zająć czymś ludzi w okresie, kiedy ustawała praca na polach, by nie mieli ani siły, ani ochoty wzniecać bunt. Tego samego zdania był znakomity polski kronikarz, który uznał, że chodziło jedynie o zajęcie bezrobotnych w czasie wylewów Nilu fellachów, a więc ujarzmienie wielkich nadwyżek siły roboczej, „aby lud, próżnując, czego złego się nie chwycił...”. Fakt jest faktem: w czasach panowania IV dynastii Egipt był już potężnym, skonsolidowanym państwem. No cóż - odpowiedź równie dobra jak inne.

Wróćmy jednak do naszego tematu. Hipoteza o odwiedzeniu Ziemi przez istoty rozumne z innych planet jest bardzo ważna. Pewne poglądy na ten temat mają całkowitą rację bytu, ale mądre prawo nauki mówi: im bardziej pragniesz potwierdzenia przypuszczeń, tym usilniej szukaj dowodów przeciw.

A dziś nie mamy jeszcze ani jednego poważnego dowodu, że ONI rzeczywiście byli.

Cóż więc z milczącą tajemnicą - z Wielką Piramidą?

Oto, co na ten temat pisze Maciej Iłowiecki:

„Wielką Piramidę w Gizie budowano 23 sezony budowlane. Gdybyśmy dziś podjęli taką budowę, używając wszystkich środków naszej wspaniałej cywilizacji? Ścisłe wyliczenia nie pozostawiają wątpliwości : po długoletnim przygotowaniu inwestycji, wykonaniu licznych prób laboratoryjnych, po wyprodukowaniu serii specjalnych, gigantycznych dźwigów i przy oczywiście daleko idącej współpracy międzynarodowej - w drugiej połowie XX w. budowa Wielkiej Piramidy trwałaby 40 lat!”

Oczywiście to stwierdzenie jeszcze niczego nie przesądza. Może po prostu starożytni Egipcjanie mieli lepszą organizację pracy...

Naszą dość typową cechą jest niedocenywanie wiedzy starożytnych narodów i ich wyjątkowej pomysłowości, która wynikała właśnie z braków technicznych. Może tak jest i w tym przypadku?

Uczeni nie dają za wygraną, stosując w swych badaniach najnowsze osiągnięcia fizyki. Ciekawa pod tym względem jest historia innej piramidy w Gizie, zbudowanej przez jednego z następców Chufu, IV króla z IV dynastii - Chafre. Zachowała się w świetnym stanie i jest drugą co do wielkości piramidą egipską (ma 138 m).

Archeologowie znaleźli w jej wnętrzu pomieszczenie zawierające różne przedmioty należące niewątpliwie do faraona, nie znaleźli jednak jego mumii. Jeśli piramida miała być królewskim grobowcem, mumia winna znajdować się w jej wnętrzu. Przypuszczano, że Chafre, który, jak wynika ze źródeł historycznych, był architektem (to jemu przypisuje się zaprojektowanie Sfinksa, którego wzniesiono w czasach jego panowania), ukrył w murach piramidy niewielkie pomieszczenie. W nim, twierdzili archeolodzy, kazał zapewne schować swoją mumię, obawiając się zbeszczeszczenia zwłok przez złodziei. Dlatego właśnie miał w centrum piramidy umieścić kosztowne przedmioty - chciał rzekomo zmylić złodziei i przekonać ich, że dotarli już do właściwego grobowca.

Rozszyfrowaniem tajemnicy piramidy Chafre zajęła się niedawno specjalna ekipa egipskich naukowców, nie archeologów jednak, lecz fizyków. Zastosowali oni w swych badaniach przyrządy raczej nie stosowane w archeologii, a mianowicie czujniki promieni kosmicznych. Umieszczono je w pomieszczeniu we wnętrzu piramidy. Ich zadaniem było jak najdokładniejsze „prześwietlenie” grubych murów. Jeśliby w ich wnętrzu ukryte było pomieszczenie z królewską mumią, promienie z tego kierunku byłyby intensywniejsze, przedzierają się bowiem do detektora przez cieńszą warstwę kamienia. Nie zanotowano jednak takiego faktu. „Prześwietlenie” piramidy wykazało, że jej mury są wszędzie solidne, że nie ma w nich schowka i że mumia Chafre nigdy prawdopodobnie tutaj nie spoczywała.

Wnioski z tych badań skłaniają archeologów do odstąpienia od pierwotnych hipotez. Dotychczas uważano, że piramidy przestały być królewskimi grobowcami dopiero w 500 lat po śmierci Chafre. Władcy Egiptu wprawdzie wznosili nadal piramidy upamiętniające ich świetność, wierzyli jednak, iż skuteczniej ich mumie chronić będą zabiegi kapłanów, i kazali się grzebać w słynnej Dolinie Królów. Licznik promieni kosmicznych zainstalowany w piramidzie Chafre pozwala przypuszczać, że już ten władca oddał swe zwłoki pod straż kapłanów, nie murów wielkiego grobowca.

Uczeni zamierzają zastosować tę samą metodę badawczą do piramidy Chufu. Prześwietlając tę potworną sztuczną górę kamienną mają nadzieję trafić na wciąż jeszcze nie odkryte sale i komory, w których, być może, spoczywają od tysiącleci te same skarby, te same niezwykle tajemnice spisane na papyrusach, których przed tysiącem lat tak bezskutecznie poszukiwał kalif al-Mamun wraz ze swymi „mrówkami”.

Na razie jednak Wielka Piramida milczy.

Czy się kiedyś odezwie?

## **Wyspa pułapka.**

Ten niepozorny skrawek lądu wystający ponad powierzchnię Oceanu Atlantyckiego, cały usypany z piasku, trudno właściwie nazwać wyspą. A jednak jest to na pewno wyspa - najdziwniejsza i najbardziej zdradziecka na kuli ziemskiej.

Od niepamiętnych czasów geografowie wielu krajów wiodą między sobą spór o to, kto po raz pierwszy natknął się na tę wyspę, przekłętą przez wiele pokoleń żeglarzy. Jedni są zdania, że pierwszymi, którzy do niej dotarli jeszcze przed Kolumbem, byli żeglujący po północnym Atlantyku wikingowie. Inni zaś twierdzą, że odkryli ją rybacy z Normandii i Bretanii, począwszy od XVI wieku zajmujący się połowami dorsza w pobliżu Nowej Fundlandii. Niewykluczone też, że wyspę odkryli angielscy wielorybnicy, którzy na swych statkach dopływali aż do Nowej Szkocji.

Ta niepozorna wyspa zawdzięcza swą złowieszczą sławę przede wszystkim temu, że na wszystkich mapach, łącznie nawet z mapami sporządzonymi w naszych czasach, zarówno jej współrzędne, kształt, jak i powierzchnia znacznie się od siebie różnią. Jest to bowiem wyspa wędrująca, która co roku zmienia zarówno swoje zarysy, jak i powierzchnię. Na mapach wydanych we Francji, Anglii i we Włoszech w XVI wieku długość wyspy określano na 240 do 320 kilometrów, ale już w połowie XVII wieku holenderscy żeglarze informowali, że wyspa ma mniej więcej 64 kilometry obwodu, że morze jest tutaj bardzo płytkie, natomiast na wyspie nie ma żadnych zatok.

Dziś Sable ma 32 kilometry długości i przeszło półtora kilometra szerokości. Leży dokładnie w tym rejonie, gdzie ciepły Gólsztrom (Prąd Zatokowy) styka się z zimnym Prądem Labradorским. To właśnie ten fakt przyczynił się do powstania tutaj gigantycznej mielizny, całej z piasku, której część wystaje spod wody ponad powierzchnię oceanu. Od dawien dawna prądy oceaniczne i sztormy rozmywają zachodnią część tej mierzei i stopniowo nikiem ona pod wodą, jednocześnie jednak pod wpływem wiatrów i fal piasek nieustannie gromadzi się na wschodniej stronie. Dzięki temu Sable stale pełźnie jak gdyby na wschód, oddalając się stopniowo od brzegów Nowej Szkocji. W ciągu ostatnich 200 lat wyspa przewędrowała po oceanie prawie 16 kilometrów.

Ta gigantyczna wędrująca mierzewa już od ponad 450 lat sieje postrach wśród marynarzy całego świata, głównie zaś wśród tych, którzy żeglują po północnym Atlantyku. Różnie ją nazywają: Wyspą Tysiąca Zaginionych Statków, Wyspą Pułapką, Wyspą Tysiąca Śmierci, Śmiercionośną Mierzewą, Pożeraczem Statków.

Po dziś dzień wyspa ta jest największą pułapką na północnym Atlantyku, ponieważ leży na ożywionych szlakach morskich. Zetknięcie się zimnego Prądu Labradorskiego z Gólfstrzmem powoduje gęste i długotrwałe mgły, które ograniczają widoczność do minimum. Dodajmy do tego straszliwe sztormy, będące na tych wodach zjawiskiem niemal codziennym. Zimowe burze z reguły niosą z sobą deszcz i śnieg. Wyspa, całkowicie odkryta, jest smagana surowymi wichrami prawie przez cały rok. Można do niej dotrzeć w płaskodennej szalupie jedynie w ciągu trzech, czterech tygodni, kiedy nie ma wiatrów.

Ta przekłeta przez marynarzy wyspa „połyka” nawet statki parowe, które zostają wessane przez piasek równie szybko, jak i żaglowce.

Choć brzmi to nieprawdopodobnie, ale Sable potrafi pochłonąć swoje ofiary w ciągu zaledwie jednego miesiąca, przy czym nierzadko są to statki o wyporności od 2 do 3 tysięcy ton i długości do 100 metrów.

Pod koniec lat trzydziestych Amerykanin David Johnson, nadzorca latarni morskiej na Sable w latach od 1900 do 1937, sporządził niezwykłą mapę. Na podstawie zachowanych dokumentów Johnson zaznaczył na niej miejsca katastrof wszystkich statków, które zginęły u wybrzeży Sable począwszy od 1800 r. Jest ich tutaj setki i setki. Chcąc policzyć wszystkie zaznaczone miejsca na mapie, łatwo można się pomylić. Na mapę naniósł on statki, które zginęły w ciągu 137 lat, to znaczy od 1800 r. A przecież w pobliżu Sable pływano przynajmniej od początku XVI wieku. Nikt dziś nie wie, ile statków pochłonęły mielizny tej wyspy w ciągu wieków. Leżą tu na pewno lotne łodzie odważnych wikingów, ciężkie karaki i galeony Portugalczyków, łodzie bretońskich rybaków, statki wielorybnicze, amerykańskie i angielskie klipery.

Od czasu do czasu pod wpływem wiatru wydmy zmieniają swoją konfigurację i wówczas na powierzchni pojawiają się resztki statków pogrzebanych często przed stuleciem. Zdarza się również, że odnajdywane są ludzkie kości, czaszki, stara broń, a nawet złote monety.

W 1963 r. ówczesny nadzorca latarni morskiej spostrzegł w piasku cały ludzki szkielet, sprzączkę od buta, kawałek muszkietu, kilka kul i tuzin złotych monet wybitych w 1760 roku.

Niektórzy badacze twierdzą, że liczba zarejestrowanych katastrof u wybrzeży Sable przekracza 600, a liczba ofiar ludzkich - 10 tysięcy.



Wydawałoby się, że na tej nagiej wyspie (drzew tutaj nie ma, a trawa zasypywana jest przez piasek równie skutecznie, jak i statki, które się tu rozbiły) nie ma żywej duszy. A jednak ludzie mieszkali tutaj od dawna, choć oczywiście nie z własnej woli.

Pierwszymi, którzy się tu „osiedlili”, byli rzeczywiście rozbitkowie. Ci nieszczęśnicy zbudowali sobie z resztek statków niewielkie chatynki, gdzie kryli się przed zimnem, przejmującym wiatrem i ostrym piaskiem. Co jest jednak najdziwniejsze - ci pierwsi przymusowi mieszkańcy wyspy natrafili na niej na... krowy. Te zwierzęta pozostawił tutaj, najprawdopodobniej jakiś francuski lub angielski korsarz.

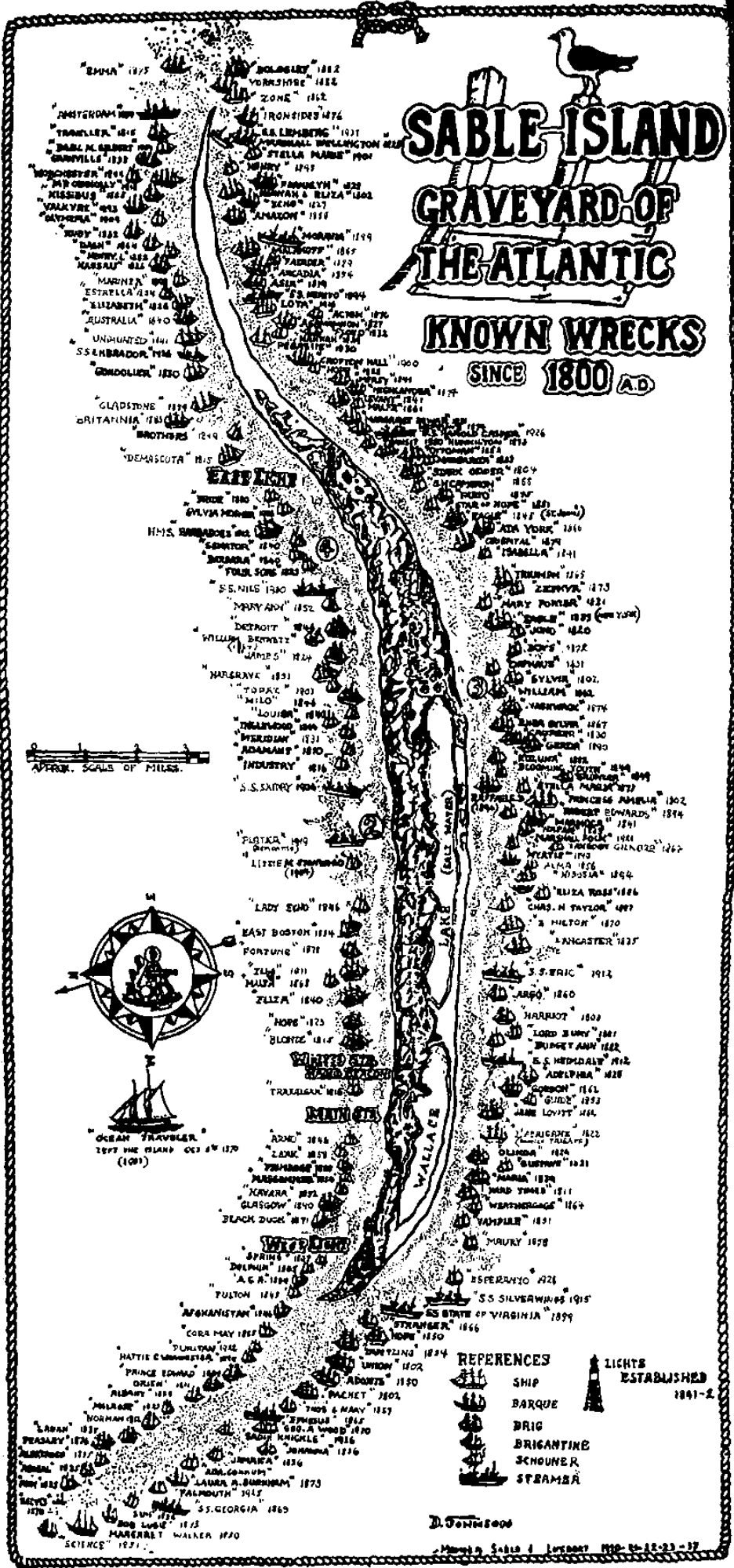
Zwierzęta rozmnożyły się i zdziczały. Rozbitkowie żywili się również fokami, dla których piaszczyste mielizny Sable po dziś dzień stanowią ulubione legowisko.

Pośrodku wyspy znajduje się słone jezioro z dużą ilością ryb, a na jego brzegach gnieźdzą się morskie ptaki. Bardzo ciężko było o wodę: słodkiej na wyspie brakowało zupełnie. W związku z tym zbierano ją w kałużach po deszczu lub strząsano rosę. Najgorsze jednak było to, że ci, którzy się już tutaj znaleźli, nie mogli liczyć na żadną pomoc. Statki omijały diabelską wyspę bardzo szerokim łukiem, mimo że sygnaly, jakie podawali rozbitkowie, były na pewno widziane. Nikt jednak nic chciał ryzykować: zbliżenie się do wyspy groziło nieuchronną katastrofą.

W 1958 r. francuski okręt wojenny wysadził tutaj 50 dalszych „robinsonów”. Byli to przestępcy skazani na zesłanie do Nowej Szkocji. Z nieznanых bliżej powodów kapitan fregaty zostawił ich właśnie na Sable. Przypomniano sobie o nich dopiero po upływie 7 lat. Uznano, że tak długi pobyt na wyspie był dla nich dostateczną karą, wysłano więc inny okręt, który miał ich przywieźć z powrotem do Francji. Odnaleziono tu jednak tylko 12 ludzi: reszta zginęła z głodu i zimna.







Na początku 1800 roku rybacy mieszkający na brzegach półwyspu Nowa Szkocja nagle zaczęli płacić za kupowane towary brytyjskimi monetami. Władze angielskie stwierdziły ze zdziwieniem, że w posiadaniu rybaków znalazły się również mapy geograficzne z herbem księcia Yorku, książki z jego biblioteki, a nawet meble. Prości rybacy na pytanie, skąd je mają, powiedzieli, że z Sable, gdzie wymieniali je u mieszkańców wyspy.

# SABLE-ISLAND GRAVEYARD-OF THE-ATLANTIC KNOWN WRECKS SINCE 1800 A.D.



APPROX. SCALES OF MILES.

**REFERENCES**

-  SHIP
-  BARQUE
-  BRIG
-  BRIGANTINE
-  SCUNNER
-  STEAMER

**LIGHTS ESTABLISHED**  
1841-2

D. JENNISON



Wśród przedstawicieli władz zapanował popłoch, ponieważ w tym właśnie okresie wypłynął z Nowej Szkocji do Londynu okręt „Francis”, na którym przewożono osobiste rzeczy księcia Yorku. Statek do portu nie dotarł, w związku z czym admiralicja angielska doszła do wniosku, że rozbił się on w pobliżu Sable, a jego załoga została wymordowana przez mieszkańców wyspy.

Rozpoczęto śledztwo, które wykazało jednak, że nikt nikogo nie zamordował. Marynarze angielskiego okrętu wojennego zginęli co do jednego tylko dlatego, że mieszkańcy wyspy... nie mieli szalup i w żaden sposób nie mogli im udzielić pomocy. Odtąd też, a ściśle mówiąc od 1802 roku, władze angielskie postanowiły wybudować na wyspie latarnię morską.

W 1738 roku pewien angielski statek handlowy, który przewoził do Nowej Szkocji kilkanaście koni, rozbił się, jak wiele innych, i nikt z załogi się nie uratował, natomiast przewożone konie dotarły do wyspy szczęśliwie, rozmnożyły się tam i zdziczały. Przypominam, że oprócz krów nie było tutaj żadnych drapieżnych zwierząt.

Pierwsza stacja ratunkowa zainstalowana na wyspie przez Anglików dysponowała więc rącznymi „rumakami” i... jednym welbotem<sup>25</sup> wielorybniczym. Dzień po dniu ratownicy objeżdżali całą wyspę na koniach wzdłuż wybrzeży, wypatrując pilnie, czy na horyzoncie nie widać żagli i czy morze nie wyrzuciło na brzeg jakichś szczątków. Jeżeli przypadkiem zauważyli ginący w pobliżu wyspy statek, pędzili galopem do stacji i bili na alarm. Wioślarze ściągali przy pomocy koni welbot na wodę i co sił w wiosłach pędzili do miejsca katastrofy, ratując prawie zawsze wszystkich członków załogi.

Po dziś dzień w angielskich locjach opisujących rejon Nowej Szkocji widnieje charakterystyczna uwaga:

„Jeżeli statek osiadł na mieliźnie w pobliżu wyspy Sable, jego załoga powinna pozostawać na pokładzie dotąd, dopóki stacja ratunkowa nie przyjdzie im z pomocą. Praktyka bowiem wykazała, że wszelkie próby uratowania się w szalupach niezmiennie kończyły się fiaskiem.”

I rzeczywiście - historia tej piekielnej wyspy zna tylko jeden wypadek, kiedy cała załoga statku wyszła z opresji cało bez pomocy ratowników.

Działo się to w 1846 roku. Amerykański szkuner rybacki „Arno” pod dowództwem kapitana Higginsa znalazł się w nocy w pobliżu wyspy Sable. Nieoczekiwany szkwał pognał statek w kierunku wyspy. Nie pomogły kotwice - statek nieuchronnie zbliżał się do pułapki. W południe następnego dnia szkwał przerodził się w potężny sztorm, kapitan, który nie liczył zbyt wiele na ratowników, postanowił spróbować innego sposobu.

Dla uniknięcia paniki zamknął całą swą załogę w ładowni, pozostawił jedynie na dziobie statku dwóch bardzo doświadczonych marynarzy, przywiązał ich jednak linami do relingu. Wylewali oni z beczek rybi tłuszcz na wodę. Ten właśnie tłuszcz, pędzony wiatrem przed statkiem, „wyglądzał” jak gdyby wierzchołki fal. Stary, od dawna przez marynarzy stosowany sposób okazał się skuteczny. Szkuner został „przerzucony” przez mieliżnę i znalazł się w bezpiecznym miejscu, tuż u podnóża wydmy. Ludzie uratowali się, szkuner jednak zatonął. Następnego dnia szalejący sztorm rozbił go w drzazgi, a jego resztki zostały pochłonięte przez piasek.

Przed kilkunastu laty ta diabelska wyspa została wyposażona przez władze kanadyjskie w radiolatarnię, a nieco później na brzegach wschodnim i zachodnim zbudowano dwie dalsze. Na wyspie oprócz kilkunastu mieszkańców jest jeszcze kilkaset koni. Trzy z nich zostały oswojone. Codziennie ratownicy i meteorologowie, tak jak przed wielu laty, objeżdżają wybrzeże na koniach, bacząc, czy przypadkiem w piaskach wyspy nie ugrzązł jacht, czy morze nie wyrzuciło jakichś szczątków rozbitych statków. Poczta i prowiant dostarcza na Sable specjalny wodnopławiec, który ląduje na słonym jeziorze.

Ostatnią ofiarą tej wyspy był panamski statek „Massachussetts”, który rozbił się tu w 1947 roku i został - jak wszystkie inne - pochłonięty przez piasek.

Oby był to rzeczywiście ostatni statek pogrzebany na tym największym cmentarzysku północnego Atlantyku.

## ***Jack z Pelorus Sound i jego kuzyni.***

Był na pewno najwybitniejszym ratownikiem w całej historii żeglarstwa. Ma na swym koncie dziesiątki tysięcy uratowanych ludzi, setki statków i wiele, wiele milionów dolarów, które ludzie musieliby spisać na straty z tytułu zatonięcia przewożonych towarów. Był niedoścignionym pływakiem i wysmienionym pilotem. A jednak mimo sławy, jaką cieszył się na całym świecie, nie umiał ani pisać, ani czytać. I nigdy nie słyszał o istnieniu pieniędzy, może dlatego, że ich nie potrzebował, pracował bowiem bezpłatnie. Zresztą tak go właśnie nazywano: bezpłatny pilot.

<sup>25</sup> Welbot- lekka, wąska, szybka 4-, 8-wiosłowa łódź o ostrych kształtach dziobu i rufy, w której wioślarze siedzą na ławach pojedynczo.

Stawiał się do pracy, którą sam sobie wyznaczył, codziennie przez 40 lat, bez względu na pogodę i porę roku. W ciągu tego okresu ani jeden statek nie uległ katastrofie, choć przeprowadził ich setki przez jedną z najniebezpieczniejszych cieśnin na Ziemi - Pelorus Sound.

Wszyscy nazywali go Jackiem z Pelorus, chociaż był tylko... delfinem.

Na Nowej Zelandii znajduje się niewielka, ale bardzo niebezpieczna Cieśnina Francuska. Zaczyna się ona od wyspy D'Urville'a i dochodzi aż do Pelorus Sound w Zatoce Tasmana. Jest krótka, ale niezwykle zdradliwa: wiele tu ostrych, podwodnych skał i gwałtownych prądów. Cieśnina zawsze cieszyła się złą sławą, dopóki nie pojawił się Jack. Dzięki niemu w ciągu owych 40 lat przebycie jej nie stanowiło żadnego problemu.

Jako pierwszy zawarł znajomość z tym wspaniałym delfinem szkuner „Breadnell” z Bostonu, który z ładunkiem maszyn i butów zmierzał do Sydney. Działo się to w 1871 roku. Tego dnia na morzu panował silny sztorm. W pewnym momencie załoga zauważyła tuż przed dziobem szarobłękitnego delfina, który baraszkował w wodzie.

Początkowo marynarze odnieśli wrażenie, że jest to młody wieloryb, toteż postanowili na niego zapolować. Na szczęście nie doszło do tego dzięki interwencji żony kapitana. Posuwając się przez mgłę i deszcz śladem płynącego delfina statek szczęśliwie przebył niebezpieczną cieśninę.

Tak zaczęła się zadziwiająca kariera Jacka. Od tej pory zawsze znajdował się gdzieś w pobliżu w oczekiwaniu na przepływające statki, aby przeprowadzić je przez cieśninę. Wkrótce też został przez marynarzy „ochrzczony” i szybko zyskał sobie nieprzemijającą sławę wśród marynarzy pływających po tych wodach.

Jack witał statki, skacząc z radości na ich widok. Marynarze i pasażerowie wypatrywali go i witali jego pojawienie się okrzykami radości i oklaskami. Od momentu kiedy Jack przystąpił do „pełnienia swoich obowiązków”, na wodach Cieśniny Francuskiej nie wydarzyła się katastrofa, z wyjątkiem jednej, o której jeszcze będzie mowa.

Zazwyczaj Jack płynął tuż przed statkiem, od czasu do czasu nurkując pod nim z jednej strony i wypływając z drugiej. A kiedy statek docierał do spienionych wód cieśniny, Jack ustawiał się tuż przed dziobem, tak żeby sternik mógł go dostrzec, i płynął dopóty, dopóki statek nie przebył niebezpiecznej strefy.

W 1903 roku jakiś pijany pasażer ze statku „Pingwin” strzelił do Jacka z pistoletu i o mało nie został zliczowany przez załogę. Dopiero interwencja kapitana, i to interwencja nader energiczna, uratowała niefortunnego pasażera od niechybnej śmierci. W ciągu następnych dwóch tygodni Jack „nie stawiał się do pracy” - wszyscy byli przekonani, że został zastrzelony. Ale któregoś słonecznego dnia znowu pojawił się.

Zarząd miasta Wellington podjął uchwałę, w której postanowił zabezpieczyć życie i zdrowie Jacka przed jakimikolwiek zakusami kłusowników. Uchwała ta była przez marynarzy przestrzegana niezwykle skrupulatnie.

Po wypadku z „Pingwinem” Jack nigdy więcej nie witał tego statku - jedyne, któremu raz na zawsze odmówił pomocy. Marynarze nie chcieli na nim pływać, twierdząc, że „Pingwin” jest przeklęty. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że marynarze należą do ludzi szczególnie przesądnych, zdamy sobie sprawę, w jakiej sytuacji znaleźli się kapitan i właściciel statku. Zresztą przesąd w tym przypadku się sprawdził: któregoś dnia „Pingwin” prowadzony przez cieśninę przez miejscowego pilota wpadł na podwodną skałę i zatonął.

Jack zawsze był wierny swej misji, której - poza jedynym „Pingwinem” - nie sprzeniewierzył się nigdy.

Ale Jack starzał się. Od momentu swego spotkania ze szkunerem „Breadnell” w 1871 roku pełnił swoje obowiązki do kwietnia 1912, po czym... zniknął na zawsze - równie nieoczekiwanie, jak się pojawił.

Zdaniem uczonych, Jack z Pelorus był dość niezwykłym delfinem. W każdym razie ani przed nim, ani po nim nie zanotowano żadnego podobnego wypadku. Wdzięczni marynarze i pasażerowie wzniesli Jackowi na jednym z bulwarów Wellingtonu pomnik, na którego cokole wyryto pełny wykaz zasług tego niezwykłego pilota.



Pierwszym śmiertelnikiem, którego uratował delfin - jak twierdzi grecki uczyony Plutarch - był najprawdopodobniej Telemach, syn Odyseusza. Chłopczyk, bawiący się na statku, wpadł do wody i zaczął tonąć. Nagle tuż obok znalazł się delfin, który wypchnął dziecko na powierzchnię morza, a następnie doholował je do brzegu. Na cześć wybawcy swego syna Odyseusz kazał wygrawerować na swym pierścieniu wizerunek delfina, a płaszcz zawsze spinał sprzączką w kształcie tego zwierzęcia.

Delfiny uratowały również życie słynnemu w VI-VII w. p.n.e. greckiemu śpiewakowi Arionowi. Jak opisuje Herodot, gdy Arion wygrał konkurs zorganizowany na Sycylii dla śpiewaków i muzyków, wracał z bogatymi darami do Koryntu. Załoga statku, na którym płynął, zapragnęła zawładnąć mieniem

sławnego pasażera. Postanowiono więc go zabić i podzielić się łupem. Kiedy Arion dowiedział się o losie, jaki go czeka, ubłagał rzeźmieszków, aby pozwolili mu zaśpiewać przed śmiercią ostatnią pieśń. Kiedy skończył, wyskoczył za burtę, wołał bowiem zginąć w morzu aniżeli z rąk morderców.

Arion jednak nie utonął. Delfin, który płynął obok statku, oczarowany jego śpiewem doholował go do brzegu.

Gdy Arion dotarł do Koryntu, opowiedział królowi Periandrowi o tym, co się stało, ten jednak nie uwierzył mu i kazał uwięzić go aż do chwili przybycia statku. Kiedy wreszcie zawinął do portu, marynarze zostali wezwani przed oblicze króla. Władca zapytał ich, co się stało ze śpiewakiem. Marynarze odpowiedzieli, że wysiadł ze statku zdrowy i cały w okolicach dzisiejszego Tarentu. W tym momencie w drzwiach pojawił się Arion. Zaskoczeni, przyznali się do popełnionego przestępstwa.

Wkrótce po uratowaniu słynnego śpiewaka w niektórych greckich miastach, a także ich koloniach pojawiły się monety z wybitym na nich wizerunkiem młodzieńca dosiadającego delfina.

Do naszych czasów dotrwało mnóstwo opowieści, legend i podań o tym, jak to delfiny nie tylko ratowały tonących ludzi, lecz i stawały się na długo, a czasem na zawsze ich serdecznymi przyjaciółmi, przy czym szczególną wierność i oddanie przejawiały w stosunku do dzieci.

Na przykład rzymski pisarz i uczonec Pliniusz Starszy (23-79 n.e.), który zginął podczas wybuchu Wezuwiusza w 79 roku, opisał historię pewnego chłopca z niewielkiej nadmorskiej osady Baia, który o każdej porze dnia i nocy mógł wyjść na brzeg obecnej Zatoki Neapolitańskiej i wezwać swego przyjaciela - delfina. Początkowo były to tylko zabawy, ale już wkrótce delfin przewoził chłopca przez zatokę do szkoły, czekał tam na niego i odwoził z powrotem. Trwało to przez kilka lat aż do momentu, kiedy chłopczyk po ciężkiej chorobie zmarł. Delfin długo jeszcze podpływał do brzegu, czekając na swego małego przyjaciela.

Tyle legendy.

A co wiemy i opowiadamy o delfinach dzisiaj? No cóż, posłuchajmy...

## **„Ludzie morza”.**

1943 roku na Florydzie pewna młoda Amerykanka podczas kąpieli w morzu wpadła w wir, który ściągnął ją na dno. Oszołomiona dziewczyna zaczęła tracić siły i tonąć. Nagle poczuła, że ktoś popchnął ją mocno w kierunku brzegu, wyciągając z wiru. Kiedy przyszła do siebie, chciała podziękować swemu wybawcy, ale obok nie było nikogo, oprócz... delfina, który baraszkował wśród fal. Ludzie na plaży zgodnie przyznali, że wypchnął ją z wiru delfin, kiedy wydawało się już, że nie ma dla niej ratunku.

A oto inna historia. W 1966 roku egipski inżynier Mahmud Wali, który w czasie urlopu łowił ryby w Zatoce Sueskiej, w pewnej chwili stracił panowanie nad łódką, którą przewróciła nieoczekiwana fala. W ostatnim momencie Mahmud chwycił za dmuchany materac. Rozszalały sztorm zalewał tonącego, on jednak nie wypuszczał z rąk materaca, wiedząc, że jest to jedyny, choć „kruchy” pas ratunkowy.

Walka z żywiołem trwała przez kilka godzin. Zapadł zmrok. Podmuchy wiatru stawały się coraz słabsze, toteż Mahmud miał nadzieję, że jednak zdoła się uratować. Nagle zobaczył w falach jakiś ciemny kształt. „To rekin” - przemknęło mu przez myśl. Wiedział przecież, że do Zatoki Sueskiej te straszliwe drapieżniki docierają z Morza Czerwonego. Mahmud, jak oszalały, zaczął walić rękami o wodę, aby uratować przed zębami rekina materac, na którym jeszcze jako tako utrzymywał się na powierzchni wody.

Na szczęście okazało się, że nie jest to rekin, lecz delfin, a nawet nie jeden, lecz całe stado. Delfiny otoczyły Mahmuda szczelnym pierścieniem, a jeden z nich zaczął uderzać głową w materac od dołu popychając go naprzód. Wyglądało to na zabawę, ale...

Najgorszy był następny dzień. Mahmud znajdował się w odległości około 200 kilometrów od najbliższego portu rybackiego. Pałące słońce parzyło go niemiłosiernie. Trwało to aż do zmroku. Ból poparzonych pleców, przeżeranych słoną wodą morską, był tak straszny, że Mahmud stracił przytomność. A jednak przez cały ten czas delfiny nie porzuciły go. Powolutku popychały materac, na którym leżał, w kierunku odległego brzegu...

Pod wieczór ludzie na wybrzeżu zobaczyli na spokojnej toni morskiej stado baraszkujących delfinów, które opisywały równomierne koła w jednym i tym samym miejscu. Zwróciło to uwagę rybaków, którzy zauważyli, że stado krąży wokół jakiegoś podłużnego przedmiotu. W kilka minut później nieprzytomny Mahmud Wali znalazł się na pokładzie kutra.

A oto jeszcze jeden przypadek, który w swoim czasie stał się sensacją na skalę światową. Rzecz działa się w Australii w 1955 roku nieopodal małej wioski rybackiej leżącej nad Morzem Tasmana. Pewnego dnia w zatoce pojawił się młody delfin afalina, który szybko zaprzyjaźnił się z miejscowymi rybakami. Ci chętnie bawili się z nim, karmili go, łaskotali po grzbiecie. Codziennie regularnie delfin podpływał do plaży, bawił się z ludźmi, którzy kąpali się, a nawet... pozwalał sobie wsadzać na grzbiet

dzieci i pływał z nimi po zatoce, nie próbując ani razu nurkować. A przecież z reguły delfiny zawsze przez cały czas nurkują!

W gazetach pojawiły się sensacyjne informacje o oswojonym delfinie, który przyjaźni się z ludźmi, bawi się z dziećmi i wykonuje wręcz nieprawdopodobne ewolucje.

Małe, nikomu dotąd nie znane osiedle rybackie wkrótce zmieniło się w modny kurort. Jak grzyby po deszczu powstawały wykwitne hotele, pensjonaty, campingi... Do tej zapadłej do niedawna wioski zjeżdżały tysiące turystów prawie z całej kuli ziemskiej, aby tylko na własne oczy zobaczyć, a może nawet pobawić się z oswojonym delfinem.

Nagły najazd tysięcy turystów i ich nie ukrywane zainteresowanie oswojonym delfinem wcale nie spieszyło Oppo-Jacka (bo tak został ochrzczony). Delfin zachowywał się jak prawdziwa gwiazda filmowa. Obwoził na plecach dziesiątki dzieci, z dorosłymi grywał w piłkę, przy czym ani jeden człowiek nie był w stanie mu dorównać - wymyślał tysiące najprzeróżniejszych nowych zabaw. Była to rzeczywiście niezwykła atrakcja, toteż nic dziwnego, że municypalitet Opponony Beach - tak nazywał się teraz słynny na cały świat kurort - zorganizował specjalny komitet, którego zadaniem była ochrona ulubieńca. Przed wjazdem do kurortu ustawiono ogromną tablicę:

„Witamy was w Opponony Beach! Nie próbujcie jednak strzelać do naszego delfina.”

A jednak Oppo zginął tragicznie: przypadkowo znalazł się pod śrubą przepływającego w pobliżu kutra.

Na jednym z bulwarów Opponony Beach widnieje dziś przepiękna rzeźba: pływający w falach delfin i obejmujący go chłopczyk.

Cóż to więc za dziwne stworzenie, o którym już nawet w starożytnej Grecji opowiadano tak wiele legend i gdzie był otoczony wielkim szacunkiem, a nawet uważany za święte zwierzę?

Zgodnie z jednym z podań delfiny były również ludźmi i zamieszkiwały miasta wraz z innymi śmiertelnikami. Jednakże na rozkaz Dionizosa, syna Zeusa, zostały na zawsze wypędzone z lądu do wody i upodobnione do ryb. Pewnego bowiem razu młody Dionizos, legendarny bóg wina, płynął na statku, którego marynarze chcieli go porwać i sprzedać w niewolę, nie wiedząc jednak, kim jest. Ciężko za tę niewiedzę zapłacili - zostali zamienieni w delfiny.

Dlatego też prawdopodobnie już w czasach Platona i Arystotelesa delfiny nazywano „ludźmi morza”. Stąd rzekomo bierze się właśnie ich inteligencja dorównująca prawie ludzkiej, stąd odwieczne przywiązanie do ludzi, a zwłaszcza do dzieci. W ten sposób starają się one - jak twierdzi legenda - odpokutować swój wielki, pierworodny grzech. Dlatego też głos delfinów, jak twierdził Pliniusz Starszy, podobny jest do ludzkiego jęku. Delfiny bowiem - zgodnie z tą legendą - nie zapomniały, że kiedyś też były ludźmi.

To oczywiście tylko legendy.

## **Paradoks Graya.**

Jeszcze nie tak dawno, bo zaledwie przed dwudziestu laty, nikomu na świecie nawet do głowy nie przychodziła myśl o możliwości nawiązania kontaktów z delfinami i wykorzystania ich dla potrzeb człowieka. Delfin, podobnie jak inne walenie: wieloryby, kaszaloty, był traktowany wyłącznie jako obiekt polowania. Jak twierdzą uczeni, w ciągu zaledwie 100 lat wyłapano ponad 2 miliony delfinów. W pewnym okresie groziło im nawet całkowite wyniszczenie.

Jak już wspominałem, sytuacja uległa zmianie dopiero niedawno. W wielu krajach, jak na przykład w Związku Radzieckim czy w Stanach Zjednoczonych, wydano absolutny zakaz polowania na delfiny. Okazało się bowiem, że są to zwierzęta nadzwyczaj inteligentne, łatwo poddające się tresurze, znacznie łatwiej od takich, jak psy czy nawet małpy. Ponadto potrafią porozumiewać się między sobą, a także wykazują cały szereg wręcz zadziwiających zdolności.

„Mister Delfin” - bo tak często nazywają to zabawne zwierzę morskie - stał się szybko „modny”. O delfinach napisano w ostatnich latach bardzo wiele i chyba większość z naszych czytelników niejednokrotnie trafiła na takie informacje. Na pewno słyszeliście więc o słynnych cyrkach-akwariach, w których delfiny dokonują sztuczek, których mogłyby im pozazdrościć najzdolniejsze tresowane zwierzęta prezentowane na naszych arenach.

Delfiny potrafią balansować piłką, grać w koszykówkę, skakać przez zapalone obręcze (skaczą na wysokość kilku metrów, przy czym potrafią wyjąć z ust swego tresera zapalonego papierosa nie dotykając nawet jego twarzy!).

Oczywiście te wszystkie sztuczki ściągają do cyrków-akwariów niezliczone tłumy widzów i przynoszą ich właścicielom nieliczne dochody. Gdyby jednak chodziło tylko o cyrkowe zdolności tych niezwykle zmyślnych ssaków, może nie byłyby warte jakiegось szerszego omówienia.

Rzecz bowiem w tym, że delfiny to żywe „składnice” najprzeróżniejszych niezwykle „patentów”. Od wielu lat są one badane przez uczonych różnych specjalności: biochemików, hydroakustyków,

fizjologów, stoczniovców, specjalistów od konstrukcji przyrządów nawigacyjnych, oceanologów, rybaków, a nawet... lingwistów! Okazało się bowiem, że mózg delfinów jest większy niż u człowieka i ma znacznie więcej zwojów mózgowych i komórek nerwowych.

Przed kilku laty szwajcarski uczoney z Instytutu Zoologicznego w Bazylei A. Portman opracował specyficzną skalę „inteligencji” poszczególnych przedstawicieli świata zwierzęcego, opierając się na wynikach badań wycinków kory mózgowej kierujących tymi czy innymi funkcjami organizmu i regulujących poszczególne procesy fizjologiczne. Oczywiście taka skala jest dość umowna, wielu uczonych nie chce jej uznać, gdyż nie uwzględnia ona wielu czynników i nie jest ścisłym wskaźnikiem inteligencji zwierząt. Niemniej jednak wyniki, jakie otrzymał uczoney, są ciekawe. Najwyższą ocenę otrzymał oczywiście człowiek: 215 punktów, natomiast drugi był delfin, który zebrał łącznie 190 punktów, brązowym medalistą został słoń mający 150 punktów, mała zaś zajęła zaledwie... czwarte miejsce, przy czym miała tylko 63 punkty! A przecież przez długi czas uważano, że mały są najinteligentniejszymi istotami wśród zwierząt. Prawdopodobnie błąd wynikał z zewnętrznego podobieństwa między małą a człowiekiem. Jak to jednak pozory mylą!

Wróćmy jednak do naszego bohatera i szczególnego zainteresowania, jakim od lat obdarzają go uczeni na całym świecie. Wspomniałem już przed chwilą, że jest to żywa „skarbnica” niezwykle wręcz „patentów”, i to takich, z którymi człowiek dotychczas... nie bardzo umie sobie poradzić.

Zacznijmy więc od fenomenalnej wręcz prędkości, z jaką te zwierzęta pływają. Przez wiele lat uczeni i inżynierowie nie byli w stanie zrozumieć, w jaki sposób delfin może rozwinąć prędkość 30 węzłów<sup>26</sup> i bez najmniejszego wysiłku towarzyszyć szybkim transatlantykom w ciągu wielu godzin, a nawet dni.

Rozwiązaniem tej tajemnicy zajął się w 1936 roku wybitny angielski biolog, profesor James Gray. Pewnego razu uczoney ze zdumieniem obserwował niewielkie stadko delfinów, które „nie odstępowało” ani na krok jednego z najszybszych ówczesnych statków morskich płynącego z prędkością około 17 węzłów.

Gray postanowił przebadać problem szybkiego poruszania się delfinów. W niewielkim basenie holował sztywny model dokładnie odpowiadający kształtem i wielkością delfinowi. Określił w ten sposób opór wody, jaki powinien napotykać żywy delfin. I wówczas badacz zaszedł w ślepy zaułek: dokładna kopia delfina, która była holowana z taką siłą, jaką właśnie rozwija delfin, posuwała się w wodzie wielokrotnie wolniej. Dalsze obliczenia dały wyniki jeszcze bardziej nieoczekiwane. Okazało się, że opór hydrodynamiczny pokonywany przez delfina jest mniej więcej dziesięciokrotnie mniejszy od oporu pokonywanego przez sztywne ciało o takim samym kształcie, wymiarach i ciężarze. Wynikałoby z tego, że moc mięśni delfina powinna być co najmniej dziesięciokrotnie wyższa niż u jakiegokolwiek innego ssaka mieszkającego na lądzie, co jest niemożliwe. A kiedy jeszcze dokonano najprzeróżniejszych skomplikowanych obliczeń, okazało się, że siła mięśni w przeliczeniu na jeden kilogram tychże mięśni jest prawie jednakowa u wszystkich ssaków, a więc i u delfina również.

Tak właśnie powstał paradoks Graya: z jednej strony delfin nie może płynąć z tak wielką prędkością, z drugiej strony jednak pływał sobie spokojnie, nic nie wiedząc o teoretycznych zastrzeżeniach uczonego.

Paradoks Graya przetrwał dokładnie 25 lat. Dopiero w 1960 roku zajął się tą sprawą amerykański specjalista od konstrukcji rakiet, Max Kramer. Okazało się, że cały sekret niezwyklej prędkości, jaką może rozwijać delfin, wcale nie kryje się w jego potężnych zresztą mięśniach, lecz... w skórze. Nie chciałbym nużyć czytelników zawiłymi rozważaniami z zakresu hydrodynamiki, a więc tylko w dwóch słowach o tym, o co tutaj chodzi.

Wokół każdego sztywnego ciała (kadłuba statku czy też pływającego człowieka) zawsze powstają zawirowania wody, przy czym tym większe, im większa jest prędkość, z jaką to ciało płynie. Każde zawirowanie działa hamująco. Im więcej zawirowań i im są one silniejsze, tym większy jest opór wody. Chcąc więc zwiększyć prędkość statku, trzeba budować coraz większe silniki, ale takie silniki są coraz cięższe. Ciężar statku zwiększa się, opór wody staje się większy i koło się zamyka: zwiększenie prędkości okazuje się niemożliwe.

Natomiast skóra delfina ma pewne niezwykle właściwości: potrafi mianowicie wygładzać wszelkie zawirowania, a więc radykalnie zmniejszać opór wody.

Oczywiście rozwiązanie „paradoksu Graya” poprzedzone zostało ogromną liczbą skomplikowanych i bardzo pracochłonnych badań. Wreszcie udało się jednak wytworzyć sztuczną skórę delfina o podobnych właściwościach. Już pierwsze próby przeprowadzone z modelami pokrytymi tą skórą wykazały, że rzeczywiście opór wody znacznie maleje. Czy rozumiecie, jakie to może mieć znaczenie dla budowniczych statków? Pokrycie taką powłoką ogromnych kolosów pozwoli na zwiększenie ich prędkości.

Ale nie tylko statków, lecz także... rakiet kosmicznych. Przecież startująca rakiet kosmiczna natrafia na ogromny opór powietrza, który musi pokonać siłą swoich silników. A gdyby korpusy rakiet również pokryć podobną „skórą”? Czy teraz już rozumiecie, dlaczego rozwiązaniem „paradoksu Graya” zajął się właśnie specjalista od produkcji rakiet kosmicznych? Co prawda dotychczas

<sup>26</sup> 1 węzeł = 1 mila morska na godzinę = około 1,852 km/godz.

zmniejszenie oporu wody o około 50% udało się uzyskać tylko w niewielkich jednostkach pływających, na przykład w kutrach czy torpedach. W przypadku większych statków efekt ten niestety nie występuje.

Wykryto ponadto, że skóra delfina posiada cały szereg jeszcze innych wręcz niezwykłych właściwości. A więc na przykład w momencie, kiedy delfin rozwija maksymalną prędkość, na jego skórze pojawiają się poprzeczne fałdy. Logicznie rzecz biorąc powinny one zwiększyć opór wody, tymczasem logika swoje, a praktyka swoje.

I znów długotrwałe, żmudne badania i skomplikowane obliczenia na maszynach matematycznych. Wyniki były również zaskakujące. Okazało się, że owe poprzeczne fałdy wcale nie „stoja” na jednym miejscu skóry delfina, lecz przesuwały się wzdłuż jego ciała z taką samą prędkością, z jaką przesuwała się otaczająca go woda. W ten sposób przy maksymalnych prędkościach delfin potrafi wygładzić zawirowania, które mogłyby hamować jego pęd.

Ale i to jeszcze nie wszystko. Okazało się ponadto, że skóra delfina ma specyficzne właściwości odpychania wody. Jeżeli jakieś ciało odpycha wodę, wówczas podczas ruchu w najbliższej warstwie tworzą się mikroskopijne kropelki składające się zarówno z cząsteczek wody, jak i powietrza. Efekt jest taki, jak gdyby delfin płynął po łożyskach kulkowych.

Oczywiście dotychczasowe wyniki nie dały jeszcze odpowiedzi na wiele innych pytań. Uczniowie podejrzewają, że zadziwiająca prędkość i łatwość, z jaką płynie delfin, jest wynikiem wielu różnorodnych czynników. Wykrycie ich i wykorzystanie w urządzeniach technicznych jest sprawą niezwyklej wagi, nic więc dziwnego, że badania ograżają na całym świecie.

## **„Inteligent morza”.**

Dość dawno temu, bo już w 1947 roku, amerykański zoolog Arthur Mac Bridge, pracujący w akwarium „Maryland” na Florydzie, zauważył zadziwiającą rzecz. Otóż nocą w mętnej wodzie delfiny z łatwością omijały zastawione sieci. Stwierdził także, że bez najmniejszego trudu znajdują rybę, bezszelestnie i z ogromną szybkością omijają ustawione w basenie przeszkody. Mac Bridge zadał więc sobie pytanie: czy przypadkiem delfiny nie posługują się pewnego rodzaju echolokatorem, jaki mają nietoperze?

W wyniku badań okazało się, że delfiny rzeczywiście posługują się pewnego rodzaju echolokatorami, które dotychczas biją na głowę najdoskonalsze urządzenia tego typu zbudowane przez człowieka. Z zawiązanymi oczami w mętnej wodzie, w ciemną noc delfiny bezbłędnie odnajdywały rybę, omijały wszelkie przeszkody, pędząc ku zdobyczy z ogromną prędkością, przy czym z łatwością odróżniały swój ulubiony gatunek ryb od mniej smacznych, a także wrzuconą do basenu rybę od niejadalnego przedmiotu. W tym drugim przypadku ani jeden delfin nie ruszył się z miejsca.

Okazało się również, że delfiny potrafią odróżniać za pomocą swego „sonaru” niewielkie różnice w wielkości przedmiotów, których nawet człowiek obdarzony dobrym wzrokiem nie byłby w stanie wykryć. Jednemu z delfinów podczas badań wrzucono do basenu dwie kule o średnicach 5,62 cm i 6,25 cm. Kiedy delfin podpływał do większej kuli, dostawał w nagrodę rybę. Już po kilku próbach docierał do niej bezbłędnie. A przecież różnica w średnicach wynosząca 0,6 centymetra jest prawie niedostrzegalna.

Delfin potrafi nie tylko niezwykle dokładnie ustalić miejsce, w którym znajduje się poszukiwany przedmiot, lecz nawet określić jego kształt i strukturę. A najdziwniejsze okazało się, że „aparat”, jakim przyroda obdarzyła delfina, jest znacznie lepiej zabezpieczony przed wszelkimi przypadkowymi zakłóceniami niż najdoskonalsze przyrządy stworzone przez człowieka.

Delfin odróżnia bardzo słabe dźwięki wydane przez siebie od takich samych wydanych przez jego pobratymców, nigdy się przy tym nie myląc.

Fenomenalny hydrolokator delfinów kryje w sobie jeszcze wiele tajemnic, które - jak się chyba domyślacie, są pilnie badane przez uczonych. Zaskakujący jest również fenomenalny słuch delfinów, które... są bardzo muzykalne. Znany badacz radziecki, dr Nikołajew z Instytutu Oceanu Spokojnego w Związku Radzieckim, stwierdził na przykład, że delfin potrafi zagwizdać melodię gwizdaną przez człowieka. „Być może - twierdzi uczyony - że legendarne syreny, które oczarowały Odyseusza i jego towarzyszy śpiewem, to nic innego, jak właśnie delfiny”.

Jednym słowem, człowiek, pan i władca tego świata, może się jeszcze wiele, wiele nauczyć od delfinów.

W 1965 roku u wybrzeży Kalifornii przeprowadzono całą serię eksperymentów w morskim laboratorium „Sealab-2”. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż takie badania prowadzone są na całym świecie, gdyby nie jeden szczegół. Otóż łącznikiem pomiędzy statkiem bazą a podwodnym

laboratorium był... delfin Tuffy, odpowiednio wytresowany. Hydronauci mieszkali w ciągu 15 dni w batyskafie na głębokości ponad 60 metrów. Do obowiązków owego niezwykle gońca należało m.in.... codzienne dostarczanie im gazet, dzienników, listów, które opakowywano w wodoszczelne folie. Podczas pracy nurków Tuffy dowoził im również przyrządy niezbędne do badania głębin oceanu.

Tuffy pełnił również funkcję strażnika, jedynym bowiem zwierzęciem morskim, którego boją się rekiny, jest właśnie delfin. W czasie pracy nurków nie zdarzyło się ani razu, aby którakolwiek z tych potężnych krwiożerczych ryb zbliżyła się do nich.

Wkrótce Tuffy został „przekwalifikowany”: „zaangażowano” go do pracy na jednym z poligonów rakietowych USA na wybrzeżu Pacyfiku. Podczas wystrzeliwania rakiet do morza często spadały skomplikowane i bardzo drogie urządzenia telemechaniczne, które można by było wykorzystać powtórnie. Tymczasem mętna woda i gruba warstwa mułu na dnie oceanu wykluczały możliwość odnalezienia ich przez akwalangistów, byłoby to bowiem przysłowiowe poszukiwanie igły w stogu siana.

I tutaj właśnie do pracy przystąpił Tuffy. Przed startem rakiety do każdego takiego urządzenia telemechanicznego przymocowywano miniaturowy nadajnik ultradźwięków, którego sygnały delfin wykrywa z łatwością, i to w dodatku z dość dużej odległości. W ślad za delfinem na dno morza opuszczał się akwalangista z liną, którą przymocował do odnalezionego przyrządu.

I jeszcze jedno. Kiedyś stwierdzono, że w dość obszernym leksykonie różnych dźwięków, jakimi posługują się te zwierzęta, istnieje jeden bardzo ważny. Jest to specyficzny gwizd, który oznacza, że jednemu z członków delfiniej rodziny przydarzyło się nieszczęście. Delfin wydaje ten dźwięk wtedy, kiedy jest ranny i nie może wypłynąć na powierzchnię wody, aby zaczerpnąć powietrza. Znajdujący się w pobliżu „rodacy”, którzy usłyszą ten sygnał, natychmiast spieszą mu z pomocą. Ten który pierwszy przyplynie, zaczyna powoli wypychać rannego na powierzchnię wody.

Amerykański uczoney D. Brown ze stanu Maryland zaproponował ciekawy wynalazek, bardzo pomocny lotnikom, którzy musieliby wodować na powierzchni oceanu. W ich kombinezonach umieszczony byłby miniaturowy nadajnik z tym właśnie wezwaniem o pomoc. W razie katastrofy lotnik mógłby włączyć sygnał, który ściągnąłby znajdujące się w pobliżu delfiny. A ponieważ przyjaźń, jaką delfiny obdarzają ludzi, jest powszechnie znana, stado tych zwierząt na pewno pomogłoby lotnikowi utrzymać się na powierzchni wody aż do przybycia pomocy. Świadczy o tym zresztą najlepiej przytoczony przykład z arabskim inżynierem Mahmudem Wali. A co najważniejsze, delfiny nie tylko pomogłyby lotnikowi utrzymać się na morzu, lecz i skutecznie chroniłyby go przed atakami rekinów.

## ***Morski morderca.***

„Apetyt wieprza, okrucieństwo wilka, zawziętość buldoga” - tak często określa się mieczniki, zwane również orkami, drapieżniki z rodziny delfinów, które osiągnęły długość często nawet 12 metrów.

Mieczniki od dawna mają sławę okrutnych, krwiożerczych morderców, potrafią bowiem zabijać bez powodu i bez przyczyny, po prostu dla przyjemności. Żaden z drapieżników lądowych: tygrys, lew czy pantera, nie jest tak krwiożerczy, jak miecznik, który atakuje nawet potężnego wieloryba. Jedynym zwierzęciem mogącym mu się oprzeć jest kaszalot. Rybacy często określają te potężne drapieżniki morskie mianem morskich morderców. Tam gdzie dostrzeżono ciemne grzbietowe płetwy mieczników, połów będzie na pewno nieudany. Trzeba przenosić się na inne miejsce.

Złowienie żywego miecznika jest prawie nieprawdopodobieństwem. Dlatego też kiedy przed kilku laty grupa kanadyjskich rybaków zauważyła, że w ich sieci zaplątał się żywy miecznik, radość ich nie miała granic- Samiec miał długość około 8 metrów i ciężar ponad 6 ton. Była to tak cenna zdobycz, że postanowiono go zabić natychmiast. Na szczęście kapitan statku zawiadomił o tym przez radio swoją bazę. Kiedy przypadkiem dowiedzieli się o tym uczeni z Seattle, ogromnie się tym zainteresowali. Miecznik został wykupiony od rybaków i dostarczony do specjalnie ogrodzonej zatoki.

Miecznika nazwano Namu. Przez pierwsze dni pobytu w ogrodzonym wybiegu Namu był niezwykle czujny i odmawiał przyjmowania pokarmu. Dla utrzymania go przy życiu trzeba było strzelać do niego z łuku specjalnymi strzałami, w których szklane ostrza wypełnione były witaminami. Dzięki tym zabiegom miecznikowi apetyt powrócił i Namu zaczął zjadać ponad 180 kilogramów ryby dziennie.

Znany kanadyjski ichtiolog Edward Griffin postanowił ni mniej, ni więcej, tylko oswoić... miecznika. Było to przedsięwzięcie trudne, a przede wszystkim niezwykle niebezpieczne. Początkowo zbliżał się do Namu od strony ogrodzenia. Młoda orka albo nie zwracała na niego najmniejszej uwagi, albo też odpływała na drugą stronę. Ważne jednak było to, że nie okazywała żadnej agresywności. Stopniowo jednak Namu zaczął się przyzwyczajać do człowieka. Wiedział już, że to właśnie on w stroju płetwonurka przynosi mu łososie. I to właśnie ten szczegół - w myśl przysłowia, że przez żołądek do serca - przyczynił się do nawiązania kontaktu pomiędzy człowiekiem a przedstawicielem z rzędu waleni.

Edward Griffin ośmielił się wskoczyć do wody, w której pływał Namu, dopiero po upływie pół roku, choć wszyscy mu gorąco odradzali.

A jednak uczonego podświadomie wierzył, że miecznik nie wyrządzi mu najmniejszej krzywdy.

Gdy tylko znalazł się w wodzie, Namu natychmiast podpłynął. Uczony bez wahania zbliżył się do miecznika i zaczął mu drapać szczotką głowę i szyję. Widać było, że miecznikowi sprawia to ogromną przyjemność.

Odtąd Griffin codziennie własnoręcznie karmił orkę, gładził ją, a pewnego razu nawet wdrapał się na jej grzbiet. Namu z zadowoleniem przewiózł go po całej zatoczce. Innym razem podczas karmienia miecznik przypadkowo wciągnął w swoją straszliwą paszczę nogę uczonego. Był to niezwykle krytyczny moment, Namu jednak ostrożnie uwolnił nogę Griffina.

Tak oto rozwiąły się ostatnie obawy uczonego, który zaczął teraz prowadzić swoje eksperymenty ze zdwojoną energią. Namu szybko przyzwyczał się do swego imienia i natychmiast przypływał, jak tylko go wzywano.

Na podstawie długotrwałych obserwacji Edward Griffin wyciągnął ciekawe wnioski. Stwierdził mianowicie, że gdyby uczeni zajęli się badaniem mieczników tak wnikliwie jak delfinów, ludzkość od dawna już miałaby w morzu silnego i niezastąpionego sprzymierzeńca. Okazało się bowiem, że mieczniki są równie pojętne jak delfiny i w niczym im nie ustępują, przy czym dają się tresować tak samo łatwo.

Nad delfinami mają przewagę pod jednym jednak względem. Przede wszystkim jest to ogromna, nieprawdopodobna wręcz siła fizyczna, mogą nurkować na znacznie większe głębokości, niż potrafią delfiny, a także rozwijają dużo większe szybkości. Gdy delfin może przenieść zaledwie jeden niewielki przyrząd, miecznik dostarczy na swoim grzbiecie całe laboratorium oceanograficzne. Przecież ciężar ciała miecznika nierzadko dochodzi do 12 ton!

Zainteresowanie tymi - niezwykle inteligentnymi ssakami morskimi nie słabnie już od wielu lat, a na całym świecie prowadzi się szeroko zakrojone badania, mające na celu spożytkowanie ich uzdolnień dla dobra człowieka. Niewykluczone, że w najbliższej przyszłości specjalnie przeszkolone mieczniki pomogą ludziom w badaniach mórz i oceanów. Uczeni spodziewają się, że po oswojeniu delfinów i mieczników można będzie rozpocząć badania głębszych rejonów, które dotychczas są dla człowieka niedostępne. Te inteligentne zwierzęta mogą mierzyć za pomocą specjalnych czujników prądy, temperaturę, zasolenie i inne parametry w różnych częściach mórz, zbierać potrzebną informację naukową, okazywać pomoc rybakom w połowach.

Ale - niestety - to nie jedyne zadania im stawiane. Na przykład Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych przeznaczyła milionowe dotacje na badania związane z możliwością tresury delfinów i mieczników i wykorzystania ich do celów militarnych. Do dziś udało się już wytresować kilka mieczników, które wyławiają zatopione torpedy i głowice rakietowe schodząc na takie głębokości, które dla człowieka są niedostępne. Mieczniki na przykład wyławiają przedmioty z głębokości 700 metrów!

Nie to jednak najważniejsze.

Czy pamiętacie jeszcze sympatycznego delfina Tuffy'ego, który przez długi czas pracował jako podwodny „goniec”? Otóż został on wkrótce „przekwalifikowany” po raz trzeci. I to nie tylko on, lecz wielu jego najbliższych krewniaków. Chodzi o to, aby można je było użyć w czasie wojny do walki z okrętami podwodnymi, w roli swoistych kamikadze. Zaczęto je więc tresować w taki sposób, aby z bombą zawieszoną na szyi atakowały pancerze łodzi podwodnych przeciwnika.

Gdyby o tym wiedział Jack z Pelorus!

## **„Nie lubię poniedziałku”.**

Pod błękitną, bezchmurną czaszą nieba, po której majestatycznie toczy się złota kula, lśni gładka jak lustro toń morza poprzecinana gdzieniegdzie żółtopomarańczowymi pierścieniami atoli. I jeszcze tylko tu i ówdzie białe grzywy przyboju rozbijającego się o podwodne skały.-. Tak właśnie wygląda na co dzień Morze Koralowe - najbardziej romantyczny i do dziś najmniej zbadany zakątek świata. Ale ten idylliczny widok nigdy nie zwiedzi prawdziwego marynarza. Żegluga po Morzu Koralowym nawet dziś jest związana z ogromnym ryzykiem.

To piękne, błękitne morze na drugiej półkuli, opiewane jest w wielu legendach i marynarskich bajdach. Ale - jak to się często zdarza - życie niekiedy „bije na głowę” najwymyślniejsze legendy.

Wszystko zaczęło się w pierwszy poniedziałek października 1829 roku. Tego właśnie dnia z portu Sydney wypłynął szkuner „Mermaid” z ładunkiem wełny owczej. Jego trasa wiodła do zatoki Rifolo, poprzez Cieśninę Torresa. Pogoda była wymarzona, a równomierny, sprzyjający wiatr wypełniał szczerlnie wszystkie żagle.

Początkowo rejs zapowiadał się dobrze. Kłopoty zaczęły się między przylądkiem Jork a wybrzeżem Nowej Gwinei. Tam właśnie „Mermaid” wpadł w nieoczekiwany szttil, wiatr zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a wszystkie żagle szkunera wyglądały jak bezkształtne szmaty.



Statek jednak nie zatrzymał się. Silny prąd morski pochwylił go i znosił na rafy koralowe. Cała załoga na pokładzie przygotowała się do walki o uratowanie statku, a młody, lecz bardzo doświadczony sternik o rudej czuprynie dwoił się i troił wypełniając rozkazy kapitana.

To jednak niewiele pomogło. Zastosowano więc dwa niezawodne sposoby, jakimi można było się w tej sytuacji posłużyć: oddano kotwice i... odprawiono modły.

Oba jednak nie zdały się na nic, toteż szkuner osiadł swą środkową częścią na koralowej rafie. W kilka godzin później zaczął się odpływ i wynurzony korpus statku z hukiem przełamał się dokładnie w połowę. Cała załoga wraz z kapitanem i sternikiem składająca się z 12 osób szczęśliwie przeprawiła się w szalupie na najbliższy niewielki atol, na którym rosło tylko 5 samotnych palm.

Mimo że Morze Koralowe przeorane jest wzdłuż i wszerz ożywionymi szlakami handlowymi, odysea rozbitków trwała trzy dni, W tym czasie żywili się orzechami, krabami i ślimakami stanowiącymi ich jedyne pożywienie. Na szczęście w kilku kałużach w zagłębieniach skalnych było dość słodkiej wody.

Rankiem czwartego dnia na horyzoncie zamajaczyły żagle. Był to duży bark „Swifsure” płynący na wyspę Celebes. Na szczęście z pokładu barku dostrzeżono rozbitków na atolu i przetransportowano szczęśliwie na pokład. Po nakarmieniu i ogrzaniu, cała załoga „Mermaid” została wygodnie rozmieszczona w kajutach.

Idylla trwała... 12 godzin. Wieczorem tego samego dnia rozległ się straszliwy łoskot. Z ogłuszającym hukiem zwały się wszystkie maszty, a przez liczne dziury w poszyciu statku do wnętrza wdarła się woda. Bark zanurzał się tak szybko, że cudem tylko zdołano spuścić szalupy ratunkowe, w których załogi owych niefortunnych statków dotarły do niewielkiej wysepki równie pustynnej, jak poprzednia. Przez całą noc nikt nie zmrużył oka. Wszyscy przyglądali się, jak morze „rozprawiało się” z resztkami barku. Sytuacja była beznadziejna.

Wraz z pierwszymi promieniami jutrzenki rozbitkowie dostrzegli na horyzoncie... żagiel. Była to niewielka brygantyna „Sovereign Ready” wioząca ładunek kopy. Jakimś cudem rozpaczliwe sygnały marynarzy zostały dostrzeżone na pokładzie statku. W kilkanaście minut później wszyscy rozbitkowie znaleźli się na pokładzie brygantyny.

Oczywiście cała załoga „Sovereign Ready” dwoiła się i troiła, aby ulżyć cierpieniom zgłodniałych i przemarzniętych rozbitków. Szczególnie wyróżniał się cooc<sup>27</sup>, który natychmiast przystąpił do przyrządzania przeróżnych smakołyków.

Kiedy pyszne potrawy prawie „dojrzewały”, cooc wyczuł nagle w smakowitych zapachach coś, czego najmniej się spodziewał: swąd spalenizny. „Cóż to takiego? - zdziwił się. - Czyżby się coś przypalało?”

Trzeba oddać sprawiedliwość kucharzowi: to nie była jego wina. Kunszt kulinarny cooca był nie do podważenia. To „po prostu”... palił się ładunek przewożony przez statek.

Jak tylko bosman otworzył luk ładowni, wydobyły się stamtąd by gęstego, czarnego dymu i rozległ się złowieszczy trzask palącej się kopy. W kilka minut później statek płonął jak smolista pochodnia, a wszyscy obecni na jego pokładzie - tym razem już 56 osób - musiało się w pośpiechu salwować ucieczką w szalupach ratunkowych.

Osmalone szczątki brygantyny z sykiem pogrążyły się w głębinie morskiej, a ludzie z przerażeniem myśleli o dalszym losie. Na horyzoncie ani śladu jakiegokolwiek skrawka ziemi, a na bezkresną wodną pustynię padały niemiłosierne promienie słońca. Nie zabrali ze sobą żadnej żywności ani nawet wody, uciekając bowiem z brygantyny nie mieli czasu myśleć o takich „drobnostkach”.

Tak minął dzień. Niepostrzeżenie zapadł zmrok, na czarnym niebie pojawiły się złote odbłyski gwiazd.

Wtedy to właśnie ktoś wysunął przypuszczenie, że wszystkiemu winien jest któryś z marynarzy „Mermaid”, nad którym najwidoczniej ciąży klątwa. Pozostali rozbitkowie zgodzili się z tym punktem widzenia, pozostało więc jeszcze tylko jedno: trzeba było ustalić, kto jest tą „czarną owcą”.

Rozważania trwały krótko, jednomyślnie orzeczono, że miał nią być rudowłosy sternik z „Mermaid”, który wielokrotnie omijał różne rafy, a jednak statek bez jego winy osiadł na jednej z nich. Główną poszlakę stanowił oczywiście fakt, że był rudy, a wiadomo powszechnie, że rudzi to itd., itd., itd. W toku „bezstronnego śledztwa” okazało się ponadto, że jest to jedyny członek załogi, który nie pije rumu! To wystarczyło. Wszystkie dowody były oczywiste i nie do podważenia. Wyrok został wydany jednomyślnie, przystąpiono więc niezwłocznie do wykonania egzekucji. Właśnie przygotowywano mocną linę okrętową, którą miano skrępować winowajcę, kiedy nagle rozległ się okrzyk: - Statek! Żagle, żagle!!!

Wszyscy zamarli. Rzeczywiście, zza horyzontu wyłonił się niewielki stateczek żaglowy płynący z Indonezji do Melbourne. Z pokładu żaglowca dostrzeżono rozbitków i pospieszono im z pomocą. Wkrótce też pokład, ładownia i kajuty zostały szczelnie wypełnione marynarzami. Wszyscy byli tak zmęczeni, że zasypiali natychmiast. Nic zresztą dziwnego - po takich przygodach!

---

<sup>27</sup> Czyt. kuk. Kucharz okrętowy.

Odpoczynek jednak i tym razem trwał dość krótko. Po prostu wachtowi trochę się zagapili i nie spostrzegli zbliżającego się szkwału. Niestety, wspólne wysiłki czterech załóg, zmierzające do błyskawicznego zrefowania żagli, spelzły na niczym.

Dalej wypadki przebiegały w błyskawicznym tempie. Gwałtowny poryw wiatru w mgnieniu oka rozszarpał żagle na strzępy. Potem nastąpiła sekunda ciszy i drugi atak szkwału, który przewrócił stateczek na burtę jak pudełko zapalek. Wszyscy znaleźli się w wodzie. Minęła jeszcze chwila i statek przekreślił się do góry dnem.

Ludzie rozpaczliwie czepiali się wszystkiego, co mogło ich utrzymać na powierzchni wody, z szalup bowiem nie pozostało ani śladu. Na szczęście tym razem w pobliżu widoczna była niewielka rafa koralowa wystająca co najmniej kilka metrów nad powierzchnię morza. Mimo wirów i wysokich fal wszyscy rozbitkowie szczęśliwie do niej dotarli.

Kiedy już rozsiedli się na nagich skałach i jako tako odetchnęli, przypomnieli sobie, że przecież mają jeszcze do wykonania wyrok. Oczy wszystkich zwróciły się na rudego sternika. Tym razem nic nie wskazywało na to, że uda mu się ująć z życiem.

Siły były najwyraźniej nierówne: 122 (w tym 4 kapitanów!) przeciwko jednemu sternikowi. Toteż rudy nie mieszkając zaczął się wdrapywać na skały, nie licząc specjalnie na jakiś cud, który mógłby go uratować. Jego prześladowcy się nie spieszyli, wiedzieli bowiem, że i tak nie jest w stanie im umknąć. Rozprawa zapowiadała się interesująco.

Rudy sternik ostatekiem sił wdrapał się na najwyższy kamień i z przerażeniem spojrzał w dół, potem na morze i... ujrzał statek. - Statek! - zawołał. - Statek! Widzę żagle na horyzoncie! Wszyscy zamarli i jak na komendę zwrócili głowy z niedowierzaniem w kierunku, który wskazywał sternik. To był najprawdziwszy cud: żagle! Bardzo dużo żagli na trójmasztowym brygu. Był jednak daleko, bardzo daleko, a rozbitkowie nie mieli żadnej możliwości przekazania sygnału. Na szczęście kapitan tego brygu - „City of Leeds” - podążającego na jedną z wysp Indonezji z ładunkiem perłowca - przypadkowo skierował lunetę na ów wystający z morza skrawek skały. Nic był pewien, ale wydawało mu się, że coś się na niej porusza, a przecież wiedział z doświadczenia, że na tych kamieniach nic nie może istnieć. Na wszelki wypadek kazał zmienić kurs, aby - z pustej ciekawości - przyjrzeć się dokładniej temu dziwolągowi. W kilka minut później dostrzegł, że na martwej koralowej skale pełno jest ludzi. Akcja ratunkowa tym razem nie nastręczała żadnych trudności: morze było spokojne, toteż po chwili wszyscy rozbitkowie - 123 osoby - znalazły się na pokładzie „City of Leeds”.

W ostatni poniedziałek października bryg dobił do portu przeznaczenia, tym razem już bez żadnych przygód.

Skończyły się niezwykle perypetie, przerwany został łańcuch katastrof, w których - i to jest najdziwniejsze! - nie zginął ani jeden człowiek.

Zaiste, pan przypadek pozwala sobie czasami na okrutne żarty! Choć niekiedy płata figle jeszcze dziwniejsze...

### **Kartka z Biblii.**

- Co tam się dzieje? - głos bosmana nie wróżył niczego dobrego. - Zmierzyliście już temperaturę? Dwaj marynarze, którzy właśnie wyciągali balię z wodą morską, byli najwyraźniej speszeni.
- Tak... to jest nie - odezwał się jeden z nich. - Melduję posłusznie, że butelka...
- Jaka znów butelka?! - wrzasnął rozsierdzony bosman. - Czy nie wiecie, że za picie podczas służby na okręcie wojennym idzie się pod sąd? Odpowiadać!
- Melduję posłusznie, że nie piliśmy. Tylko butelka... - tu przerwał, widząc, że bosman staje się purpurowy. - Wyłowiliśmy ją przed chwilą z morza i...
- Co zrobiliście? - oczy bosmana wyglądały teraz jak dwa niebieskie spodki.
- Zgodnie z rozkazem mierzyliśmy temperaturę wody. Przed chwilą w balii, którą zaczerpnęliśmy wodę, znaleźliśmy butelkę. Zalakowaną. Oto ona. Chyba nic w niej nie ma - jest lekka, ale szkło jest ciemne...
- Pokażcie.
- Butelka z ciemnego nieprzezroczystego szkła była rzeczywiście bardzo lekka. Bosman spojrzał pod światło, ale niewiele dostrzegł. Szyjka butelki była zalakowana, a na niej odcisnięta jakaś pieczęć, dość niewyraźna.
- Kiedy to znaleźliście? - jego głos był już znacznie spokojniejszy.
- Właśnie przed chwilą, w ostatniej balii.
- Hmm... - mruknął bosman i chciał podkręcić wąsy, ale w porę przypomniał sobie, że je wczoraj zgolił. - Dobrze już, dobrze... Zamelduję oficerowi.

W kilka minut później butelka znalazła się na stole kapitana Costy, dowódcy brazylijskiej kanonierki patrolowej „Araguari”.

- Ciekawe... - powiedział oglądając ją pod światło. - Tyle lat pływam, a po raz pierwszy widzę coś takiego. Zupełnie jak w powieści przygodowej o piratach. Co wy o rym sądzicie, bosmanie?

- Tak jest! - wrzasnął doniosłe bosman, który teraz wyglądał jak łagodny baranek, a jego oczy jak błękitne niezabudki.

Kapitan Costa z uśmiechem spojrzał na niego. Wiedział, że bosman, choć doskonały marynarz i doświadczony wilk morski, nie grzeszył zbyt dużą inteligencją.

- Dziękuję. Marynarzom wydać podwójną porcję rumu.

- Tak jest! - tym razem bosman przeszedł samego siebie.

Costa odpieczętował butelkę. Na biurko wypadł poślizgnięty kawałek papieru. Była to kartka wydarta z Biblii, na której ktoś drżącą ręką wypisał kilka słów:

„Na pokładzie szkunera »Sea Hero« bunt. Kapitan zabity. Pierwszy oficer wyrzucony za burtę. Ja, drugi oficer, zostałem siłą zmuszony do prowadzenia statku. Oni każą mi płynąć do ujścia Amazonki, nasza prędkość 3,5 węzła. Ratujcie nas!”

Kapitan Costa wydobył z kasy pancерnej pokładowy rejestr Lloyda i szybko przekartkował go, odnajdując potrzebną informację:

„»Sea Hero«: wodowany w 1866 roku, wyporność 460 t, port macierzysty Hull.”

W minutę później „Araguari” pędziła już pełną parą w kierunku ujścia Amazonki. Na pokładzie okrętu ogłoszono alarm bojowy, działa kanonierki zostały obsadzone przez załogi.

Pościg trwał niecałe dwie godziny. Zbliżywszy się do „Sea Hero” kanonierka oddała strzał ostrzegawczy. Buntownicy na szkunerze od razu chyba zorientowali się, że nie mają najmniejszych szans, bo żagle zostały zrefowane. Oddział abordażowy z „Araguari” w mgnieniu oka znalazł się na pokładzie zbuntowanego statku, którego marynarze zostali skrępowani linami i zakuci w kajdany.

Dowódca oddziału, porucznik Vieira, otworzył luk do ładowni. Znalazł tam drugiego oficera, nazwiskiem Hadger, i dwóch marynarzy, którzy nie przyłączyli się do buntowników.

Hadger, wciąż jeszcze nie wierząc w to, że został uratowany, opowiedział dokładnie cały przebieg wypadków, dodając tylko, że podczas buntu został zabity pies kapitana, który właśnie niedawno opuścił statek. Co prawda porucznik Vieira trochę się zdziwił, kiedy padło nazwisko kapitana „Sea Hero”: Longstaff. W rejestrze Lloyda - pamiętał to doskonale - figurowało zupełnie inne: Regis. „Może - pomyślał - kapitan statku się zmienił... Zresztą to nieważne”. Teraz jednak zaczęły się dziać rzeczy zdumiewające. Kiedy Hadger trochę ochłonął, zapytał porucznika Vieirę: - To wspaniałe, żeście nas uratowali! Ale skąd dowiedzieliście się o naszym nieszczęściu?

- Jak to skąd?! - zdumiał się porucznik. - Przecież wyłowiliśmy butelkę z tą kartką z Biblii, na której pan napisał, co się wam przytrafiło, i oczywiście natychmiast...

- Butelkę?! - Hadger otarł pot z czoła. - Jaką znowu butelkę?

- Jak to jaką? Tę, którą pan wrzucił do morza.

- Ja?!

- No tak - oczywiście. Przecież gdyby nie ta kartka wyłowiona przez naszych marynarzy...

- Jaka kartka? Czy pan sobie ze mnie kpi?

- Przecież pan sam ją napisał! - Porucznik był najwyraźniej zirytowany. - Wyłowiliśmy ją przed dwiema godzinami.

Hadger potarł czoło.

- Poruczniku, to jakieś nieporozumienie... Nie miałem czasu na pisanie jakichkolwiek kartek. Wszystko stało się dziś rano... Skrępowali mnie od razu. Czyżbym już zupełnie zwariował? Który dziś jest?

- 4 maja 1882 roku - podpowiedział Vieira.

- No właśnie... Bunt odbył się błyskawicznie. Zostałem skrępowany i wrzucony do ładowni. Nie miałem czasu kichnąć. O jakim więc liście pan mówi?

Porucznik bez słowa podał mu kartkę wydartą z Biblii.

- Na miłość boską! To przecież nie jest moje pismo! Skąd pan to wziął?

- Już panu mówiłem - wyłowili ją z morza marynarze z „Araguari” podczas pobierania prób wody do mierzenia temperatury. Przecież inaczej nie wpadlibyśmy na wasz trop...

- Ale ja tego nie napisałem! Rozumie pan, poruczniku?

- No więc kto to napisał?

- Nie wiem... Nie mam pojęcia...

Tak więc cała sprawa pozostała zagadką: nikt nie wiedział, czyja ręka wydarła ową kartkę z Biblii i w zalakowanej butelce wrzuciła do morza...

Zbuntownicy marynarze z „Sea Hero” zostali przewiezieni przez „Araguari” na Falklandy, wyspy będące pod protektoratem Wielkiej Brytanii, a stamtąd odtransportowani do Anglii, gdzie stanęli przed sądem.

I tam dopiero, w czasie rozprawy, pękła bomba!

Na 16 lat przed opisanymi wypadkami w Anglii ukazała się książka niejakiego Johna Parmingtona pod tytułem „Sea Hero” (zwróćcie uwagę na tytuł!). Nie było to może arcydzieło literatury pięknej, ale powieść cieszyła się ogromnym powodzeniem dzięki pewnemu sprytnemu trikowi reklamowemu zastosowanemu przez autora. Otóż wpadł on na niebanalny sposób zdobycia sobie czytelników: zakupił pięć tysięcy butelek do whisky i do każdej z nich włożył wyrwaną kartkę z Biblii ze znanym nam już odręcznym tekstem napisanym w poprzek kartki. Później za skromną opłatą wręczył owe butelki załogom kilku statków z prośbą, aby wrzucili je do morza w różnych punktach.

W ciągu 16 lat większość butelek została wyłowiona, przysparzając autorowi czytelników, a więc i pieniędzy. Kilkaś spośród nich nadal jednak wędrowało po morzach i oceanach, niesione morskimi prądami. Jedna z nich - właśnie ta, o której mowa - została wyłowiona na południowym Atlantyku przez brazylijską kanonierkę „Araguari”, Niezwykłym zbiegiem okoliczności nazwa statku, wydarzenia, jakie się na nim rozegrały, a także współrzędne podane na owej kartce wydartej z Biblii zgadzały się co do joty.

Nie było to jednak wołanie o pomoc, lecz... prospekt reklamowy!

W swoim czasie sprawa buntu na „Sea Hero” stała się niezwykle sensacją. Nic zresztą w tym dziwnego, skoro była to historia tak nieprawdopodobna i niezwykła. Oczywiście cudowny zbieg okoliczności sprawił wszystkim w osłupienie. Zajęli się nim również specjaliści z różnych dziedzin, którzy nie byli w stanie wytłumaczyć tego wypadku w jakikolwiek racjonalny sposób. Nic zresztą dziwnego. Ponieważ jednak był to zbieg okoliczności, choć niezwykły, pozostała tylko jedna możliwość: zastosowanie rachunku prawdopodobieństwa, o którym już wspominałem.

Oczywiście wypadek z wyłowioną z oceanu butelką nie może być obliczony w sposób dokładny, choć pewne przybliżone oceny są możliwe. Musimy się zastrzec od razu, że nawet najbardziej przybliżone oceny prawdopodobieństwa muszą być oparte na określonych danych. Zobaczmy więc, na ile możliwy jest taki zbieg okoliczności.

Przede wszystkim potrzebne nam będą informacje na temat całego szeregu szczegółów. Na przykład dla oceny prawdopodobieństwa zbieżności nazw statków musimy znać liczbę statków, które mają takie same nazwy. Ponadto musimy wiedzieć, ile razy w ciągu tych lat w marynarce angielskiej mógł wybuchnąć bunt, przypadek bądź co bądź w naszych czasach niezbyt częsty.

Załóżmy, że w owym okresie jeden z tysiąca statków miał właśnie nazwę „Sea Hero”. Przypuśćmy również, że bunt mógł wybuchnąć w owym okresie na jednym z 10 000 statków. Wówczas odpowiednie liczby wynoszą 1/1000 i 1/10000. Ponieważ są one niezależne, czyli nie zachodzi pomiędzy nimi ścisły związek, musimy obie te liczby pomnożyć przez siebie.

Wynikałoby z tego, że istnieje tylko jedna dziesięciomilionowa szansa na to, że bunt wybuchnie akurat na statku noszącym nazwę „Sea Hero”. Ponadto... ponadto musimy niestety ze smutkiem stwierdzić, że pozostałych danych nie jesteśmy w stanie określić, podać ich prawdopodobieństwa. Chociaż wyłowienie na pełnym morzu zalakowanej butelki nie jest znowu wydarzeniem aż tak niezwykłym, nie wiemy jednak, i nigdy się chyba tego nie dowiemy, ile takich butelek pływa po morzu w danym czasie, a ile zostało wyłowionych. Nie możemy również określić miejsca, w którym bunt wybuchnie. Na ten temat nie mamy żadnych, nawet jako tako przybliżonych informacji. Tego typu wydarzenia nie mogą być po prostu oceniane z punktu widzenia matematyki. Nie ulega jednak wątpliwości, że prawdopodobieństwo takich zdarzeń w żadnym wypadku nie przekracza prawdopodobieństwa, które obliczyliśmy przed chwileczką.

Tak więc tylko 1/10 000 000 szansa... Jest to prawdopodobieństwo tak małe, że właściwie moglibyśmy je całkowicie pominąć w naszych obliczeniach. Innymi słowy, opisany przez nas wypadek w ogóle nie powinien zaistnieć. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że... jednak się wydarzył. Świadczą o tym niezbiacie archiwa angielskiej admiralicji i akta z procesu sądowego.

Tak więc literatura wyprzedza życie? No cóż - wypadek z „Sea Hero”, choć na pewno niezwykły, nie jest jednak odosobniony. W historii literatury, a może po prostu w historii zanotowano kilka takich dziwnych zbiegów okoliczności.

Pan Morgan Robertson nie był pisarzem wielkiego formatu, zajmował się powieściami przygodowymi i sensacyjnymi. Jego dzieła nie cieszyły się zresztą nigdy zbyt wielkim powodzeniem u czytelników, choć jedno z nich zrobiło oszałamiającą furorę, ale dopiero w wiele lat po jego wydaniu.

W 1896 roku w Stanach Zjednoczonych wyszła kolejna powieść pana Robertsona, podobnie jak i poprzednie bez większych walorów artystycznych. Robertson - w przeszłości marynarz i kapitan, który

wiele pływał po morzach i oceanach, doskonale znał różne realia morskie, toteż fabuła jego powieści, choć prościutka i nieskomplikowana, w całości poświęcona była tematyce morskiej.

Oto w dużym skrócie treść tej książeczki.

Pewnego dnia z Europy do Ameryki wyrusza niezwykle parostatek, olbrzym, największy z największych, jakie dotąd zbudowano. Kolos długości 245 metrów wyposażony w trzy śruby napędowe, w swym pierwszym rejsie transatlantyckim ma na pokładzie 3000 pasażerów.

Podróż przebiega spokojnie, pasażerowie bawią się, wiedzą bowiem wszyscy, że statek jest całkowicie niezatopialny. Ale oto pewnej kwietniowej nocy kolos zderza się z górą lodową niedaleko od wybrzeży Ameryki. Akcja ratunkowa nie daje żadnego efektu i statek idzie na dno. Koniec.

Tu może jeszcze mała uwaga: w powieści Morgana Robertsona ów kolos nazywał się „Titanic”.

Ot, i cała fabułka, nic szczególnego, prawda? Nie dziwny się więc, że powieść nie cieszyła się specjalnym powodzeniem.

A jednak stała się bestsellerem, choć dopiero... po upływie szesnastu lat. Wtedy to właśnie (tym razem już nie w powieści, lecz naprawdę) w nocy z 14 na 15 kwietnia 1912 roku niedaleko wybrzeży Ameryki zderzył się z górą lodową największy w owych czasach statek mający na swym pokładzie 3000 pasażerów. Ten kolos morski, uważany za całkowicie niezatopialny, miał 250 metrów długości i wyposażony był również w 3 śruby (porównajcie!). W wyniku zderzenia z górą lodową statek zatonął, jego pierwszy rejs okazał się również ostatnim.

Mam nadzieję, że czytelnicy domyślili się już, jak się ten statek nazywał? Tak jest - również „Titanic”. Wszystko zgadzało się prawie co do joty z powieścią zaprezentowaną przez Morgana Robertsona. Przypominam tu jeszcze raz, że wspomniana powieść ukazała się 16 lat przed wydarzeniami, jakie rozegrały się w rzeczywistości. Była to więc niejako „prorocza” książka, nie dziwny się więc, że zdobyła sobie ogromną popularność właśnie po wypadku prawdziwego „Titanica”.

No cóż, jeszcze raz literatura wyprzedziła życie. Historia zna jednak wypadki odwrotne, kiedy życie wyprzedzało fikcję literacką.

Czy pamiętacie pana Artura Conan Doyle'a, tego samego, który stworzył postać legendarnego detektywa Sherlocka Holmesa? A jeżeli - w co nie wierzę - nikt z Was nie przeczytał ani jednej książki opisującej niezwykle przygodę tego niezwykle detektywa, na pewno zwróciliście uwagę, że nazwisko Artura Conan Doyle'a już się na kartkach naszej książki przewinęło. To on był autorem krew w żyłach mrożącej wersji o zaginięciu „Mary Celeste”. No cóż, Artur Conan Doyle był jednak pisarzem wielkiej klasy, człowiekiem obdarzonym nieprzeciętną fantazją, co w literackim „fachu” jest jednak rzeczą pierwszoplanową.

Po tym wstępie możemy już przystąpić do opowieści o fikcji literackiej i prawdziwym życiu.

Tak się kiedyś złożyło, że Artur Conan Doyle, podróżując po Europie, znalazł się w Szwajcarii. Kraj piękny, malowniczy i dla rodowitego Anglika, mieszkającego stale na zamglonych wyspach Albionu, wręcz egzotyczny. W czasie swoich wędrówek autor Sherlocka Holmesa zatrzymał się kiedyś w niewielkim hoteliku pod nazwą „Schwarenbach”. Był to dość dziwaczny budynek, nieciekawym, ponurym, jak gdyby przygarbionym, w sumie sprawiającym wrażenie dość przygnębiającym. Pisarz, urzeczony niezwykłą atmosferą tego zakątka, jak zresztą całego miasteczka, powieciem osamotnienia, jaki snuł się wokół hoteliku, zdecydował się tu właśnie umieścić akcję swego kolejnego opowiadania kryminalnego.

Pomysł noweli zrodził się szybko, wymagał jedynie nieznacznego doszlifowania. Tak więc akcja miała się toczyć w tym ponurym hoteliku zagubionym w górach Szwajcarii, a głównym bohaterem miał być właściciel. Miał to być człowiek stary, równie ponury i równie samotny jak jego hoteliczek, do którego zresztą rzadko kto zachodził. Przed wielu, wielu laty jego jedyny syn (przypominam, że to opowiadanie) uciekł z domu i odtąd wszelki śluch po nim zaginął.

Żona hotelarza, przjibita zgryzotami i zmartwieniami, zmarła i starzec pozostał sam. Na widok ponurej postaci właściciela hoteliku ewentualnym gościom odchodziła ochota do zamieszkania w nim. Hotelik pustoszeje coraz bardziej, aż wreszcie pewnego dnia zropaczony i pogrążony w nędzy właściciel postanawia, że w okrutny sposób zamorduje pierwszego gościa, który zdecyduje się przenocować w hotelu.

Mija wiele dni i tygodni, ale chętnych do zamieszkania wciąż brak. Pewnego dnia zjawia się jednak młody człowiek i bez wahania wynajmuje pokój. Nadchodzi wreszcie owa upragniona chwila, kiedy starzec może spełnić swoją przysięgę. Też nocy zabija podstępnie gościa i... rozpoznaje w nim swego własnego syna, który po latach nieobecności postanowił wrócić do ojca.

Znając mistrzowskie pióro Conan Doyle'a i jego liczne opowiadania kryminalne, należy przypuszczać, że i to stałoby się prawdziwą perełką nowelistyki. A jednak nie zostało nigdy napisane. Tak się bowiem złożyło, że następnego dnia wędrując uliczkami miasteczka natknął się na miejscową bibliotekę, niewielką, nie najlepiej zaopatrzoną. Aby skrócić sobie długie wieczory przy kominku w hotelowym saloniku, wypożyczył z biblioteki maleńki tomik opowiadań Maupassanta. Kiedy wrócił do

„Schwarenbachu” i usadowił się wygodnie w fotelu, zabrał się do lektury. Jakież było jego zdziwienie, kiedy przekonał się, że... jego nowela została już napisana, i to właśnie przez Maupassanta! Jej treść pokrywała się co do joty z pomysłem samego Conan Doyle’a. Jego zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy dowiedział się, że w swoim czasie Maupassant często odwiedzał ową miejscinę i zatrzymywał się właśnie w hotelu „Schwarenbach”.

Conan Doyle często opowiadał swoim przyjaciołom i znajomym o tym dość niezwykłym zbiegu okoliczności, nie kryjąc swego prawdziwego zdziwienia. Ale jego zdziwienie byłoby jeszcze większe, gdyby znany mu był szczegół, o którym oczywiście nie wiedział.

Otóż mniej więcej przed stu laty niemiecki pisarz Zacharias Werner wydał tragedię zatytułowaną „24 lutego”. Akcja tej tragedii, podobnie jak u Maupassanta, rozgrywa się właśnie w ponurej scenerii hotelu „Schwarenbach”. Utwór Wenera nie jest jednak całkowitą fikcją literacką, jak nowela Maupassanta czy też niedoszłe opowiadanie Conan Doyle’a. Werner oparł akcję swojej tragedii na autentycznym wydarzeniu, na autentycznym morderstwie, które w tym właśnie hotelu zostało popełnione w XVIII wieku.